

Shalev jest absolutnie szczerą,
choć nigdy nie przekracza granicy pornografii.
„Der Spiegel”

Zeruya Shalev
ŻYCIE MITOSNE



Zeruya Shalev
Życie Mitosne

Przełożyła
Agnieszka Jawor-Polak



W
ydawnic
ab
two

Marvie

Rozdział pierwszy

Nie jest moim ojcem ani matką, więc dlaczego otwiera mi drzwi ich domu, wypełnia swoim ciałem wąskie wejście, przytrzymuje klamkę, zaczynam się cofać, musiałam pomylić piętro, ale ozdobna tabliczka uparcie świadczy o tym, że to jednak ich dom, przynajmniej to był ich dom, więc słabym głosem pytam, co się stało z moimi rodzicami, a on otwiera szeroko wielkie, sinawe usta, nic się z nimi nie stało, Ja'ara, moje imię trzepoce w tych ustach jak ryba w sieci, wpadam do środka, ramieniem ocieram się o chłodne, gładkie ramię, mijam pusty salon, otwieram zamknięte drzwi ich sypialni.

Gwałtownie, jak przyłapani na gorącym uczynku, zwracają się twarzami do mnie i widzę, że ona leży w łóżku, głowę ma owiniętą kwiecistą ściereczką kuchenną, ręką podtrzymuje czoło, tak jakby miało jej odpaść, a ojciec siedzi na brzegu łóżka, w jego dłoni kołysze się szklanka wody, porusza się jednostajnie z boku na bok, a na podłodze, między nogami, zebrała mu się już niewielka, niespokojna kałuża. Co się stało, pytam, ona mówi, źle się poczułam, ojciec na to, jeszcze pięć minut temu czuła się świetnie, a ona mamrocze, widzisz, znowu mi nie wierzy. Co mówi lekarz, pytam, ojciec mówi, jaki lekarz, jest zdrowa jak koń, chciałbym mieć takie zdrowie, jak ona, ale ja nie daję za wygraną, wezwaliście lekarza, tak czy nie? Otworzył mi drzwi, tak czy nie?

Jaki tam lekarz, śmieje się ojciec, to Arie Ewen, mój przyjaciel, nie pamiętasz Ariego? Matka mówi, jak może go pamiętać, nie było jej na świecie, kiedy wyjechał z kraju, a ojciec się podnosi, pójdę do niego, nieładnie zostawiać go samego. Wygląda na to, mówię, że nieźle sobie tam radzi, zachowuje się jak gospodarz, matka zaczyna kasłać, oczy jej nabiegają krwią, on niecierpliwie popycha w jej stronę szklankę wody, już prawie pusta, a ona chrypi, Szlomo, zostań ze mną, źle się czuję, ale on już jest przy drzwiach, Ja'ara z tobą zostanie, mówi, wdeptując nogą w przezroczystą kałużę, w końcu od czego są dzieci.

Rozzłoszczona, wypija resztkę wody i strząsa z głowy wilgotną ściereczkę, rzadkie włosy sterczą w żalonych zjeżonych kępkach i podczas gdy ona próbuje ułożyć je sobie na czole, ja myślę o warkoczu, jaki kiedyś nosiła,

olśniewającym warkoczem, który szedł za nią wszędzie, pełnym życia jak małe kocię, i mówię do niej, dlaczego go obcięłaś, to tak jakbyś obcięła nogę, czy równie łatwo obcięłabyś sobie nogę? A ona mówi, przestał do mnie pasować, kiedy się wszystko zmieniło, i wyciąga się w łóżku, i spogląda nerwowo na zegarek, jak długo on zamierza tu siedzieć, dość mam tego tkwienia w łóżku w biały dzień.

Faktycznie nie jesteś chora, dziwię się, ona chichocze, pewnie że nie, po prostu nie cierpię tego typu, mówię natychmiast, ja też nie, bo miejsce, którym dotknęłam jego ramienia, pali jak ukąszenie, sprawdzam nawet, czy ramię nie spuchło, czy nie ma zaczerwienienia, a potem pytam, dlaczego.

To długa historia, mówi, twój ojciec go uwielbia, byli razem na studiach, trzydzieści lat temu to był jego najlepszy przyjaciel, ale ja zawsze twierdziłam, że Arie nim manipuluje i nic więcej, wykorzystuje go, nie sądzę, żeby był zdolny do jakichkolwiek uczuć. Widzisz sama, latami nie odzywał się do nas i nagle zjawia się tu, bo chce, żeby tata załatwił coś dla jego żony.

Przecież mówiłaś, że mieszka za granicą, powiedziałam, łapiąc się na tym, że go bronię, ale ona ciągnęła dalej z gniewem, to prawda, mieszkali we Francji, dopiero teraz wrócili do kraju, ale jeśli się chce, można pozostać w kontakcie, nawet gdy się jest daleko, pod wpływem urazy jej twarz ściągnęła się, przybierając wygląd pomarszczonego trójkąta, pokrytego starczymi plamami, a mimo to mającego w sobie coś dziecinnego, o oczach zmrużonych nieufnie, przykurzonych jak okna, których nie myto od lat, stojących na straży pięknego, prostego nosa, jaki przekazała mi w spadku, pod którym w grymasie goryczy prężą się blade wargi, wiotczące powoli, jakby wsysane od wewnątrz.

Co robił we Francji, spytałam, a ona burknęła, to samo, co wszędzie, czyli właściwie nic. Twój ojciec jest przekonany, że był tam w jakiejś tajnej misji, coś z bezpieczeństwem państwa, a moim zdaniem po prostu żył na koszt swojej bogatej żony, to oberwaniec, który się wzenił w pieniądze, teraz wrócił tu i popisuje się europejskimi manierami. Zobaczyłam, jak jej utkwione w lustrze ściennym oczy przypatrują się ustom, z których wychodzą wstrętne, zjadliwe słowa, i znowu pomyślałam, kto wie, co ona potrafi powiedzieć o mnie, zabrakło mi przy niej powietrza i powiedziałam, muszę iść, a ona wykrztusiła, jeszcze nie, próbując mnie zatrzymać przy sobie, jak próbowała zatrzymać ojca, posiedź ze mną, aż sobie pójdzie, a ja spytałam, dlaczego, na co ona po dziecinnemu wzruszyła ramionami, nie wiem.

Z salonu dolatywał ostry zapach francuskich papierosów, ojciec, który nigdy nie pozwalał nikomu palić w swojej obecności, spowity w kłęby ciężkiego dymu, kulił się na kanapie, a na jego stałym miejscu w miękkim fotelu rozpierał się gość, odprężony i zadowolony, obserwując, jak wchodzi do pokoju. Pamiętasz Ja'are, pyta ojciec przymilnie, niemal błagalnie, a gość mówi, pamiętam ją jako niemowlę, nigdy bym jej nie poznał, i podnosi się do mnie zaskakująco prężnie, podaje mi piękną dłoń o długich, smagłych palcach, uśmiechając się drwiąco, zawsze obawiasz się najgorszego? I wyjaśnia mojemu ojcu, kiedy mnie zobaczyła w drzwiach, spojrzała na mnie tak, jakbym zabił was obydwój, a teraz zamierzał się na nią, ja powiedziałam, to prawda, i poczułam, że moja dłoń wysunęła się z jego dłoni ciężka i zadziwiona, jakbym traciła przytomność, bo upuścił ją nagle, nim byłam na to gotowa, i rozsiadł się z powrotem w fotelu, szare, przenikliwe oczy badają moją twarz, próbuję ją skryć we włosach, siadam naprzeciw niego i mówię do ojca, spieszę się, Joni czeka na mnie w domu. Jak tam mama, pyta gość, głos ma głęboki, drażniący, a ja mówię, nie za dobrze, i wymyka mi się krzywy uśmieszek, jak zwykle, kiedy kłamię, ojciec patrzy na niego z błyskiem w oczach, wiesz, studiowaliśmy razem, kiedy byliśmy młodzi, mówi, młodszy niż ty, nawet mieszkaliśmy razem przez pewien czas, ale wzrok gościa nie odwzajemnia błysku, jakby jego tamte wspomnienia znacznie mniej rozpałały, za to ojciec nie daje za wygraną, czekaj chwilę, podrywa się z kanapy, muszę pokazać ci nasze zdjęcie, jak zawsze przeszłość budzi w nim wielkie, wręcz dla mnie obraźliwe wzruszenie.

Z pokoju obok dochodzą echa poszukiwań, szuflady się otwierają, a książki uderzają o podłogę, co nakłada się na ciszę między nami, dokuczliwą i nieprzyjemną, gość pali kolejnego papierosa, nawet nie próbuje rozmawiać, patrzy na mnie wyniosłym wzrokiem, prowokującym, a mimo to obojętnym, jego obecność wypełnia pokój, próbuję mu odpowiedzieć promiennym spojrzeniem, ale mój wzrok pozostaje spuszczonej, nie śmie wspiąć się ku rozpiętym guzikom krótkiej koszuli, odsłaniającym śniadą, gładką pierś, i błądzi u jego stóp, po lśniących butach, spiczastych, niemal komicznych, między którymi tkwi duża, czarna torba ze złotym napisem: „La Rive Gauche. Konfekcja Paryska”, próbuję zdusić śmiech, przesadna elegancja pakunku zaskakuje mnie, jak to się ma do jego pospolitej, prostackiej gęby, i śmiech więźnie mi w gardle, i krztuszę się zmieszana, nie wiem, co powiedzieć, w końcu mówię, na pewno nie znajdzie, tata nigdy niczego nie może znaleźć.

Nie znajdzie, bo zdjęcie jest u mnie, potwierdza gość szeptem i właśnie w tym momencie słyhać łomot, a po nim przekleństwo, i ojciec, utykając, wkracza do pokoju z szufladą, która mu spadła na nogę, gdzie może być to zdjęcie, gość patrzy na niego szyderczo, daj spokój, Szlomo, co to ma za znaczenie, denerwuje mnie, dlaczego mu nie mówi, że zdjęcie jest u niego, i czemu ja nie mówię, skąd wiedział, że nie powiem, jak para oszustów śledzimy gorączkowe poszukiwania, wreszcie nie wytrzymuję i wstaję, Joni czeka na mnie w domu, powtarzam, jakby to było zakłęcie, zakłęcie, które mnie wybawi. Szkoda, martwi się ojciec, bo chciałem ci pokazać, jacy byliśmy, a gość, na co jej to, i tobie też to na nic, mówię, to prawda, mimo że mam ochotę zobaczyć tę ciemną, stanowczą twarz u jej początku, a ojciec, kulejąc, prowadzi mnie do drzwi i pyta szeptem, no, tak naprawdę to ona nie jest chora, co? Udaje, co? Nic podobnego, jest rzeczywiście chora, musisz wezwać lekarza.

Schody budynku pokryte były śliskimi liśćmi, które zaczęły już gnić, fermentowały bezgłośnie, stapałam po nich ostrożnie, mocno trzymając się chłodnej balustrady, ledwie wczoraj ta poręcz parzyła rękę, a dziś załamał się chamsin i z nieba pokapało, takie sobie niezobowiązujące jesienne pokapywanie, wyszłam na główną ulicę w porze, kiedy kierowcy zaczynają zapalać światła i wszystkie samochody wyglądają tak samo, a wszyscy ludzie upodabniają się do siebie, i wmieszałam się między nich, przecież w ten wieczór wszyscy jesteśmy czarni, moja matka uwięziona w sypialni i ojciec spowity w zasłony dymu, wypuszczanego przez przyjaciela z młodości, i Joni, mrugający ze zmęczenia przed komputerem, który czeka na mnie w domu, i Szira, mieszkająca tuż obok, dosłownie przy tej uliczce, właściwie jestem już przed jej domem, ulegam pokusie, by sprawdzić, czy ją zastałam. Wydaje mi się, że mam jej mnóstwo do opowiedzenia, chociaż rozmawiałyśmy ledwie dziś w południe, na uniwersytecie, przyciskam dzwonek, nikt nie odpowiada, mimo to dzwonię uparcie, może jest pod prysznicem czy w ubikacji, próbuję od drugiej strony, od podwórka, stukam w spuszczoną żaluzję, wreszcie słyszę miauczenie i przez okno kuchenne wychodzi do mnie Tulia, kot Sziry, ma dość siedzenia samemu w domu przez cały dzień, głaszczę go, aż zaczyna mruczeć, wypręża szary ogon, głaskanie trochę mnie uspokaja, i jego też, kładzie mi się przy nogach i zdaje się zasypiać, ale nie, naprężony ogon towarzyszy mi, kiedy opuszczam podwórze, idę mroczniejącą uliczką, gdzie jedyna latarnia mruga chwilę i gaśnie.

Tulia, zostaw mnie, mówię do niego, niedługo wróci Szira, ale on się upiera, żeby mnie odprowadzić, jak zbyt uprzejmy gospodarz, którego gorliwość ciąży gościowi, i myślę o ojcu, o tym, jak towarzyszy teraz swojemu gościowi, lgnie do niego jak do słodkiego wspomnienia, i zdaje mi się, że widzę, jak przecinają ulicę naprzeciw mnie, ojciec drepcze krótkimi, pospiesznymi kroczkami, jego delikatne członki wchłania ciemność, a obok niego stąpa gość, chód ma drapieżny, twarz jak z brązu, niezłomną i twardą, srebrne włosy lśnią w nocy jakby odbitym światłem, biegnę do nich, a za plecami słyszę miauczenie kota, próbuję go odpędzić nogą, zjeżdżaj stąd, Tulia, wracaj wreszcie do domu, i przebiegam za nimi przez ulicę, nagle mrozi mnie pisk hamulców i lekkie uderzenie, otwierają się drzwi samochodu i ktoś krzyczy, czyj to był kot? Czyj to kot? A inny głos mówi, to już bez znaczenia, jakie to ma znaczenie.

Uciekam stamtąd, nie mając odwagi obejrzeć się w tył, widzę przed sobą ojca i jego gościa, kroczą objęci ciasno, głowa ojca muska szerokie ramię, ale nie, to nie oni, kiedy wyprzedzam ich biegiem, spostrzegam, że to para, mężczyzna i kobieta, niemłodzi, ale ich miłość widocznie ciągle jest młoda, i pędzę gwarną ulicą w dół, na nasze osiedle, pot ścieka ze mnie jak krew kota, która mnie ściga po pochyłości ulicy gniewnym strumieniem, i wiem, że ten strumień będzie płynął i płynął, zatrzyma się dopiero przy naszych drzwiach.

Co się stało, Kreciku, pyta, twarz ma rozgrzaną, miękki brzuch owinięty fartuchem, widzę, że nakrył stół do kolacji, nóż i widelec czekają grzecznie na czerwonej serwecie, a ja, zamiast się cieszyć, wpadam w gniew, nie mów tak do mnie, ile razy mówiłam ci, że nie znoszę, jak mnie tak nazywasz, on otwiera oczy szeroko, z urazą, i mówi, sama zaczęłaś z tymi imionami, a ja mówię, co z tego, i sama z nimi skończyłam, a ty nie, nie dalej jak wczoraj nazwałeś mnie tak przy ludziach, wszyscy pewnie myśleli, para debili. Co cię obchodzi, co wszyscy myślą, baka, mnie obchodzi, co my myślimy, ja mówię, czy kiedyś wreszcie dotrze do ciebie, że nie ma żadnego my, jestem ja i jesteś ty, i każde z nas ma prawo do własnych myśli, a on dalej swoje, przecież kiedyś lubiłaś, jak cię tak nazywałem, ja burczę, w porządku, więc się zmieniłam, czemu i ty nie możesz się zmienić, on mówi, zmienię się we własnym tempie, nie będziesz mi niczego dyktować, na znak protestu chwyta talerz i siada przed telewizorem, a ja spoglądam na stół, który w jednej sekundzie zmienił charakter, stał się jednoosobowy, i myślę, jak smutno jest żyć samotnie, jak Szira daje radę, i w tym momencie przypominam sobie o

kocie, o tłustawym pieszczochu Tulii, puchatym i miękkim jak Jasiek, mówię, nie jestem głodna, i idę do sypialni, kładę się i myślę, co my zrobimy bez tych słodkich zdrobnień, on mnie więcej nie nazwie Krecikiem, a ja go nie nazwę Szczurkiem, więc jak w ogóle będziemy ze sobą rozmawiali.

Usłyszałam, że dzwoni telefon i jego łagodny głos coś perswaduje słuchawce, po chwili wszedł do pokoju i powiedział, to Szira, odpowiedziałam, to powiedz jej, że śpię, a on, ale ona cię potrzebuje, i podał mi rozszlochaną słuchawkę. Tulia zniknął, płakała, sąsiedzi mi powiedzieli, że dzisiaj ktoś tu przejechał kota, i boję się, że to był on, ja wyszeptalam, spokojnie, to na pewno był inny kot, on nigdy się nie oddala od domu, a ona chlupała, czuję, że to był on, zawsze na mnie czeka wieczorem, powiedziałam, Tulia rzadko wychodzi z domu, a ona powiedziała, zostawiłam otwarte okno w kuchni, bo rano jeszcze był chamsin, nie sądziłam, że Tulia wyjdzie, co go mogło wywabić, źle mu było w domu?

Na pewno jest pod łóżkiem albo coś w tym rodzaju, powiedziałam, wiesz sama, jakie są koty, chowają się i wychodzą, kiedy im jest wygodnie, idź spać, na pewno cię obudzi rano, a ona szepnęła, oby, i znowu zaczęła płakać, moje maleństwo, bez niego jestem zgubiona, musisz przyjść pomóc mi go poszukać, ja powiedziałam, Szira, właśnie weszłam do domu i nie mam siły się ruszyć, zaczekaj z tym jeden dzień, ale ona nie ustępowała, muszę go znaleźć teraz, aż w końcu powiedziałam, no dobrze.

Przy drzwiach spytał, a co z kolacją, którą przygotowałam, patrząc z zawodem sponad żujących ust. Kawałek pomidora wymknął się ze słowami i zawisł, drżący, na brodzie, powiedziałam, muszę iść pomóc Szirze poszukać kota, a on na to, zawsze narzekasz, że nie szykuję jedzenia, a kiedy przyszykuję, nigdy nie jesz. Co mam zrobić, rozzłościłam się, gdybyś powiedział jej, że już śpię, nie musiałabym teraz wychodzić, wierz mi, wolałabym zostać w domu, on nadal przeżuwał wytrwale, jakby żuł moje słowa, mełł je w ustach, patrząc w telewizor, spojrzałam na niego na pożegnanie i wyszłam, ilekroć go zostawiałam, zawsze miałam wrażenie, że więcej go nie zobaczę, że to ostatni raz, i wszystkie te setki razy, gdy się myliłam, wcale nie osłabiały tego przekonania, tylko mnie upewniały, tylko zwiększały lęk, że tym razem to się stanie.

Szira siedziała w kuchni, z głową na brudnym stole i włosami w okruchach. Tak się tego bałam, szłochała, a gdy to się w końcu stało, jest gorzej, niż myślałam, powiedziałam, wstrzymaj się z tą żalobą, najpierw go poszukajmy, i zaczęłam się czołgać po domu, szukając go pod łóżkami, w

szafach, jak idiotka wołałam, Tulia, Tulia, jakbym poprzez wysiłek włożony w poszukiwania mogła naprawić swoją winę, przecież powinnam była go odprowadzić do domu albo przynajmniej zabrać z ulicy, i tak się czołgałam uparcie, aż kędzierzawy kurz pokrył mnie, jakbym przebrała się za owcę, i przeklinałam chwilę, w której postanowiłam przyjść do niej, czemu nie poszłam prosto do domu, co takiego pilnego miałam jej do powiedzenia, aż kolana mnie rozboleły i powiedziałam dość, poszukajmy na dworze.

Kiedy wyszłyśmy, Szira, zeszywniała, przylgnęła do mnie drobnym ciałem i wyszeptwała, dziękuję, że idziesz ze mną, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, jej słowa wbijały się we mnie jak pinezki, potęgując poczucie winy, chodząc uliczkami koło głównej ulicy, wołałyśmy: Tulia, Tulia, a ilekroć ze śmietnika wyskoczył kot, ona w napięciu chwyciła mnie za rękę, a potem puszczała ją, zawiedziona, aż w końcu nie było wyjścia, zbliżyłyśmy się powoli do głównej ulicy i ona powiedziała, sprawdź ty, bo ja nie mogę, więc go szukałam w pędzących zimnych światłach, kolejnych parach zbrodniczych ślepi, i nic nie zobaczyłam, tak sprawnie usunięto wielkie, rozpieszczone ciało, ufne, o długich wąsach, pod którymi zawsze zdawał się skrywać uśmiech, nierzeczywisty, a jednak całkowicie namacalny.

To mi uświadomiło, jaka jestem samotna, powiedziała, kiedy usiadłyśmy na ławce pod jej domem, masz szczęście, że nie jesteś sama, a ja poczułam się niezręcznie, jak zawsze, kiedy wypływał ten temat, bo ona poznała Joniego pierwsza, wcześniej niż ja, i zawsze mi się zdawało, że jest w nim zakochana, tymczasem ja odebrałam jej i Joniego, i kota. Teraz nie mogłam już powiedzieć Szirze ze śmiechem, weź Joniego i daj mi kota, jak zwykłam mawiać czasem, gdy Tulia przytulał się do mnie, przywołując wspomnienia kotów, które w życiu kochałam, zawsze lepiej radziłam sobie z kotami niż z mężczyznami, ale Joni nie zgadzał się na kota w domu, bo jego zdaniem to nigdy się dobrze nie kończy, i proszę, miał rację, ale właściwie co się dobrze kończy. Byłam tak udęczona, że ledwo mogłam oddychać, i właśnie wtedy wyszła ze śmieciami sąsiadka z góry i Szira zapytała, może pani widziała Tulię, a ona powiedziała, wydaje mi się, że go widziałam jakąś godzinę, dwie temu, siedł za wysoką dziewczyną z długimi, kręconymi włosami, nagle jej ręce, usiłujące zobrazować wzrost dziewczyny i długość włosów, zastygły przede mną i wpadłam w popłoch, czemu się nie przebrałam albo nie spięłam włosów, Szira patrzy na mnie, sąsiadka też patrzy na mnie, a ja mówię, nie, to nie ja, nie było mnie tu dzisiaj, byłam u rodziców, przysięgam, zasiedziałam się tam, bo był u nich pewien facet z

przerazającą twarzą, sąsiadka mówi, tak, w każdym razie dziewczyna podobna do pani kręciła się tutaj i kot poszedł za nią w stronę ulicy. Słyszałam, że dzisiaj ktoś tu przejechał kota, wymamrotała Szira, sąsiadka odpowiedziała, tego to ja już nie wiem, i weszła do budynku, pozostawiając mnie z nią sam na sam, odezwałam się, Szira, przysięgam, powiedziałabym ci, a ona ucięła zimno, nieważne, jak to było, chcę tylko mojego kota. On wróci, zobaczysz, powiedziałam błagalnie, do rana wróci, a ona, jestem zmęczona, Ja'ara, chce mi się spać, i znów głos jej się załamał, jak ja zasnę bez niego, przywykłam zasypiać z nim, jego mruczenie mnie uspokaja, więc powiedziałam, będę spać z tobą i będę mruczeć jak kot, a ona, dość, przestań, przecież musisz wrócić do Joniego, zawsze liczyła się z nim, okazując mu swoją miłość określonymi drogami, powiedziałam, Joni da sobie radę, zostanę z tobą, ale ona odpowiedziała, nie, nie, i usłyszałam w jej głosie ciężkie, dręczące zwątpienie, muszę się z tym uporać sama, szepnęłam, jeszcze jest szansa, że wróci, a ona powiedziała, wiesz, że nie.

W drodze powrotnej myślałam, zawsze się będę wypierać, tylko ja wiem, nikt poza mną, a jeśli będę zaprzeczać wystarczająco długo, prawda się skurczy, ustąpi przed kłamstwem i sama nie będę już wiedzieć, co się tam rzeczywiście stało, i myślałam o lęku, jaki mnie chwycił na śliskich schodach, o tym, jak czasem lęk uprzedza swoją przyczynę, próbowałam sobie przypomnieć, co tak groźnego było w tamtej twarzy, ale twarzy nie pamiętałam, tylko strach, i jak zawsze w takich momentach pomyślałam z ulgą o drogim, słodkim Jonim, zaraz zaczniemy wieczór od początku, zjem wszystko, co przygotował, nie zostawię nic na talerzu, ale z zewnątrz zauważyłam, że w domu nie pali się światło, i nawet telewizor był wyłączony, tylko telefon nie spał, dzwonił uparcie, więc odebrałam, pełna obawy, że to znów Szira, ale to była matka.

On wciąż tu jest, szeptała gniewnie, mówię ci, tata umyślnie mi to robi, jestem pewna, chce zobaczyć, kto się pierwszy złamie, umieram z głodu, przez niego jestem tu uwięziona, powiedziałam, to wyjdź na chwilę do kuchni, co za problem, a ona odpowiedziała, ale nie chcę go widzieć. No to po prostu idź z zamkniętymi oczami, wtedy go nie zobaczysz, doradziłam, a ona krzyknęła, ale w ten sposób on mnie zobaczy, nie rozumiesz? Nie chcę, żeby on mnie zobaczył, a ja powiedziałam, nie martw się, mamu, nie zostanie u was na zawsze, i weszłam do ciemnej sypialni. Joni leżał, oddychając spokojnie, z zamkniętymi oczami, położyłam mu dłoń na czole i szepnęłam, dobranoc, Szczurku.

Rozdział drugi

Gdzie ja widziałam te kwadratowe litery, kunsztowne, jak w zabytkowej Torze, z tymi wszystkimi zdobieniami, i na dodatek w złocie, złote na czarnym tle, wypełniają mi oczy, kiedy spoglądam przez okno. Autobus zatrzymuje się na przystanku, rozdziawia paszczę, a ja wgapiam się w wielki, natrętny szyld, aż litery łączą się w całość, „La Rive Gauche”, krzyczą do mnie, „Moda Paryska”, i szybko wstaję, próbuję się przepchnąć do wyjścia, jakbym zapomniała tam czegoś szczególnie cennego, czegoś, co nie może czekać.

Z bliska szyld ledwie widać, taki jest wielki, i tylko złoto na nim lśni słodką obietnicą jak słońce zimą, ogrzewam się w jego świetle i podchodzę do dużej, nowej wystawy, zaledwie miesiąc temu był tu inny sklep, z materiałami budowlanymi, a teraz te ubrania, które zerkwały na mnie, kuszące i tajemnicze, z jego torby, spomiędzy spiczastych butów, są tu zupełnie jawnie, obnażają się z dumą, zwłaszcza ta sukienka w kolorze wina, krótka, obcisła, z długimi rękawami, na manekinie w oknie wygląda fantastycznie, uwypukla plastikowe piersi z sutkami sterczącymi jak należy i szczuplutkie, toczono nogi, i stoję tak przed tą lalą, licząc z żalem różnice pomiędzy nami, aż dostrzegam między jej szeroko rozstawionymi nogami jego wąski tyłek, świetnie opakowany w czarne sztruksowe spodnie, które mierzy przed lustrem, chodząc w tył i w przód, w tył i w przód, twarz ledwie widzę, bo zasłaniają ją wątle plecy manekina, i mogę się tylko domyślać wyrazu zadowolenia, jaki się po niej rozlewa. Co on tam robi tak długo, dziwiłam się, co sobie myśli, mizdrzy się przed tym lustrem jak podstarzały model, aż nagle opustoszało miejsce między nogami lali i kobieta stojąca przy wejściu do sklepu zwróciła się do mnie, może pani przymierzyć, mamy ją w różnych kolorach, wyjąkałam, ja chcę ten kolor, a sprzedawczyni powiedziała ponuro, nie warto niepotrzebnie zdejmować z wystawy, zobaczymy najpierw, jak krój, ale ja obstawałam przy swoim, tylko tę jedną zmierzę, żadną inną, muszę zobaczyć upokorzenie manekina, i weszłam za nią do sklepu.

On już wyskoczył z ciasnej przymierzalni, tym razem w brązowych spodniach, drapieżnym krokiem podchodzi do lustra pod ścianą, a ja niewiele myśląc, szukam schronienia, jakby w sklepie lał deszcz, przemykam

się i wchodzi do przymierzalni, którą opuścił on, ale nie jego ostry zapach, następując na czarne sztruksy, które przed chwilą zdjął, obwąchuję stare spodnie wiszące na wieszaku, szperam po kieszeniach, na co mu tyle kluczy, sprzedawczyni pyta, gdzie ta dziewczyna, co chciała sukienkę z wystawy, a ja mówię zgrubiałym głosem, tu, i wyciągam rękę na zewnątrz. Ona zawiesza sukienkę na mojej ręce, a ja rozbieram się szybko, mieszając nasze ubrania, ale zamiast przymierzyć sukienkę, wkładam zdjęte przez niego spodnie, są wzruszająco chłodne w dotyku, jakby podszyte jego gładką skórą, słyszę, że ktoś się zbliża i sprzedawczyni mówi, zajęte, ktoś tu przymierza, i gruby głos, ja tu przymierzam. Przykro mi, mówi ona, za chwilę przymierzalnia się zwolni, słyszę, jak on wyjaśnia coś po francusku, i przez szparę między wąskimi drzwiczkami widzę go w brązowych spodniach i zadbaną dziewczynę, wymachującą ku niemu ciemnobrązową koszulą, perswadującą mu coś miękko francuszczyzną, on się zaczyna rozbierać przed lustrem, widocznie nie ma wolnej kabiny, odsłania pełną, młodą pierś, prawie w kolorze koszuli, i puszy się jak paw w nowym ubraniu, przypala papierosa sobie i stojącej obok dziewczynie i widzę, że ona pali przez długą firkę, która świetnie pasuje do jej rudej fryzurki *carrée* i do szytego na miarę żakietu. Niepewną hebrajszczyzną dziewczyna dopytuje się o sukienkę, którą widziała na wystawie, w kolorze wina, a sprzedawczyni mówi, jest w mierzaniu, ale mamy też inne kolory. Słyszę, jak się upiera przy tamtej, więc sprzedawczyni woła w stronę zamkniętych drzwi kabiny, no, co z panią, ludzie czekają na przymierzalnię, i na sukienkę też, ja na to, biorę tę sukienkę, i z przyjemnością słyszę okrzyk rozczarowania dziewczyny z firką, po czym szybko zdejmuję spodnie i wracam do poprzedniego stroju. Zanim zdążyłam zapiąć suwak, usłyszałam, jak ktoś woła ze złością, no już, co tu się dzieje, i drzwi, pchnięte w moją stronę, przygniotły mnie do ściany.

Córka Kormana, powiedział.

W jednej ręce trzymałam sukienkę, a drugą usiłowałam zaciągnąć suwak, w który wplątało się kilka włosów łonowych, bosymi stopami deptałam po jego spodniach, aż zobaczyłam, że rozpiął przede mną guziki koszuli i zdjął ją, spod gładkich pach uleciał ostry zapach, stężony aromat żywicy sosnowej, i zobaczyłam grube wargi, spieczone z pragnienia, i ciemny, szeroki język, który je koił, wędrując po nich w tę i z powrotem. Patrzył na mnie w bolesnym skupieniu oczami mrocznymi jak wypalone niemal do końca węgle, w których pozostał tylko żar, aż nie odwracając wzroku, rozsunał zamek w spodniach i pozwolił, żeby opadły po długich,

młodzieńczych nogach i odsłoniły obcisłe czarne slipy z wypukłością pośrodku, starałam się patrzeć w bok, tak jak wtedy, kiedy przypadkiem zdarzyło mi się zobaczyć ojca w majtkach, ale on jedną ręką odwrócił ku sobie moją twarz, a potem ściągnął ją w dół, zupełnie jakby ustawiał głowę manekinowi na wystawie, i ujął moją rękę, i przyłożył do rozgrzanego wzgórka. Poczułam, jak czarne slipy wypełniają się życiem, jakby zwinięta w nich była trąba słonia, pragnąca się wyprężyć i wydać z siebie ryk, zacisnęłam na niej dłoń, a potem dołożyłam drugą, upuszczając sukienkę, nie dotknął mnie, ale jego oczy ciążyły mi jak ręce, rażąc energią, spychając mnie w dół, bym gniotła kolanami leżące na podłodze spodnie, i przyciskała policzek do niemych zmagania, jakie toczyły się między tkaniną a skórą. I wtedy usłyszałam, jak dziewczyna z fifką mówi, *alors*, Aruś, a on uciszył mnie, kładąc palec na wargach, i pociągnął w górę, dociskając mi siłą rękę do czarnych majtek, wciągnął pospiesznie stare spodnie, mało nie zapiął ich z moimi dłońmi w środku, zakrył koszulą gładką obnażoną pierś i wybiegł z przebieralni, ciągnąc za sobą stertę ubrań, a ja się ubrałam szybko, rozglądając się za sukienką w opustoszałej kabinie, musiał zabrać ją przez pomyłkę, i wyskoczyłam stamtąd, nawet nie zawiązując butów.

Już stali przy kasie, on, postawny, wysoki, poprawiał siwe włosy, a ona, elegancka, przystojna, w krótkich spodenkach i modnym żakiecie, nieładna, ale mająca szlif, robiący większe wrażenie niż uroda, szepnęła mu coś na ucho, szperając w stercie ubrań, i wyciągnęła z niej moją sukienkę, więc pędzę do nich, potykając się o sznurowadła, wśród mnóstwa luster niełatwo się zorientować, gdzie tak naprawdę są oni, a gdzie ich odbicie, i gubię się, wpadam na lustro zamiast na żywe ciało, które jeszcze pulsuje mi w dłoniach. To moja sukienka, wyrzucam z siebie bez tchu, przepraszam, ona jest moja, kasjerka patrzy na mnie podejrzliwie, wzywam sprzedawczynię na świadka, a ona na szczęście mówi, tak, ta pani mierzyła ją pierwsza, i wtedy dopiero on łaskawie podnosi głowę znad portfela i mówi ze zdziwieniem, Ja'ara, co ty tu robisz? Wyjaśnia po francusku przystojnej przyjaciółce, *la fille de mon ami*, ale nie trzusi się, żeby mi ją przedstawić, i pyta z nieco przesadną serdecznością, nie przerywając wypisywania czeku, jak zdrowie mamy? Mam nadzieję, że doszła do siebie, ja mówię, tak, ma się już całkiem dobrze, i widzę, jak z jego twarzy znika wyraz skupienia i zastępuje go drwina i samo-zachwyty. Mam u was kredyt, wyjaśnia, podając czek kasjerce, zwracam to, co kupiłem tu tydzień temu, ona sprawdza kwity i mówi, numer dowodu i numer telefonu proszę, on jej dyktuje numery, wolno i głośno powtarza numer telefonu, a ja się go uczę na pamięć, poruszając bezgłośnie

wargami. Kiedy wychodzą z ogromną czarną torbą, która jest nawet większa od poprzedniej, macha do mnie serdecznie i mówi, przekaz rodzicom gorące pozdrowienia, po czym dodaje, jakby coś sobie przypomniał, powiedz tacie, że nadal czekam na odpowiedź, dobrze, mówię i widzę, jak odchodzą, jego ręka nadaje kierunek jej ramieniu, prowadzi je stanowczo, biodra kołyszą się w jednym rytmie, który oddala ich ode mnie, tymczasem kasjerka podaje mi cenę sukienki, co dociera do mnie z trudem, bo głowę wypełnia mi numer jego telefonu, ona powtarza cenę, a ja wystękuje, dlaczego tak drogo, nie miałam pojęcia, że jest taka droga, odkładałam sukienkę na stół i zaczynam się wycofywać, jakby miała za chwilę wybuchnąć, ale sprzedawczyni zbliża się do mnie groźnie, cała serdeczność opada z niej w jednej chwili, jak to, z pani powodu straciliśmy klientkę, nie może jej pani teraz nie wziąć. Nie zwróciłam uwagi na cenę, bąkam, muszę zapytać męża, wspomniałam o nim ot tak, żeby się uspokoić, zaczerpnąć od niego trochę równowagi, niech wiedzą, że nie jestem sama, nie jestem tak zagubiona, na jaką wyglądam, tymczasem sprzedawczyni chwyta sukienkę z gniewem, następnym razem niech pani najpierw sprawdzi cenę. Mówię, ma pani rację, przepraszam, i patrzę z żalem, jak moja piękna sukienka z aksamitu, której nawet nie zdołałam przymierzyć, wraca na manekin, który już na nią czyhał, i znów stoję przed wystawą, zupełnie jak pół godziny temu, podziwiając wspaniałą harmonię między nimi, doskonałe zwycięstwo lali, i myślę, nic się nie stało, możesz żyć dalej, jakbyś wcale nie weszła do tego sklepu, wszystko wróciło do stanu poprzedniego, nic się nie stało, ale czuję, że w głębi dłoni coś mnie uwiera, jak po bolesnym zabiegu zmiany układu palców.

Oddalam się, zawstydzona, sukienka powiewa mi przed oczami jak czerwona płachta, drażniąca i dokuczliwa, idę tyłem, bojąc się wystawić plecy na niechęć obu kobiet. Zdaje mi się, że na wystawie manekin unosi rękę na pożegnanie, więc mrugam przepraszająco i wpadam na grupkę ludzi, maszerujących w zwartych szeregach, suną jak mur, nie dają rady wymknąć się pomiędzy nich i nie mam wyjścia, muszę się z nimi wlec, dopóki nie znajdę przerwy, zresztą ta przynależność powoli zaczyna nawet być przyjemna. Zauważam, że mają na sobie brązowe stroje, do których przymocowane są duże liście w barwach jesieni, poruszające się z każdym ich krokiem, nagle stają na samym środku zdumionego bulwaru i wznoszą ręce do nieba, jak drzewa, pytam stojącą przy mnie kobietę, co to ma być, co wy robicie, a ona mówi, świętujemy nadejście jesieni, wszyscy razem niemal bezgłośnie mamroczą jakieś błogosławieństwa i biją w bębny, po czym zapada cisza i w jednej chwili zrywają liście z ubrań, i kopią je wściekle,

miażdżą butami, pytam kobietę, a to co, a ona mówi, to obrzęd wyzwolenia, zrzucamy z siebie liście, pozbywamy się wszystkiego, co zbędne, i zostajemy bez skazy, jak drzewa, sam pień i gałęzie. Jej rozpromieniona twarz hipnotyzuje mnie, włosy ma zupełnie białe, jednak twarz jest młoda, pełna zapału, wraz z innymi zaczyna nucić gorzko--słodką melodię, a ja próbuję wydostać się z tego kręgu, mieszam się z normalnymi ludźmi, część z nich śmieje się drwiąco, idźcie stąd, świry, pozamykajcie się u czubków, a część spogląda na nich z udręką, jaka pojawia się w naszych oczach w zetknięciu z czystą, prawdziwą duchowością, i myślę ze zdziwieniem, zawsze sądziłam, że drzewom żal jest rozstawać się z liśćmi, tak jak rodzicom z dziećmi, ale może rodzice też się cieszą z rozstania z dziećmi, mężowie z żonami, może każde rozstanie to wyzwolenie, oczyszczenie, uwolnienie się od materii, to mi się nawet podoba, na świecie jest mniej smutku, niż przypuszczałam. Pokrzepiona dobrą nowiną, idę dalej bulwarem, aż dociera do mnie, że radość była przedwczesna, nieprawda, że jest mniej smutku, ilość smutku jest stała, oni tylko odwrócili sytuację, u nich wesołe są pożegnania, a powitania smutne, zmylili mnie na chwilę, jak w prostej jedynie z pozoru zagadce, miałam nadzieję, że natknę się na nich jeszcze i spytam, co robią wiosną, czy obchodzą żałobę, kiedy świat kwitnie, ale nie chciałam tracić czasu, bo właśnie wypadał mi dyżur na uniwersytecie, a spóźnić się jest naprawdę niemiło, spojrzałam na zegarek, żeby sprawdzić, czy mi to grozi, i zobaczyłam, że moja godzina przyjęć zaczęła się kwadrans temu.

Weszłam, wystraszona, do kawiarni na końcu bulwaru, do telefonu, w pokoju asystentów na szczęście odebrała Neta, nie przypuszczałam, że kiedykolwiek tak się ucieszę, słysząc jej nosowy głos, i powiedziałam, Neta, zrób coś dla mnie, zastąp mnie dzisiaj, kiedyś ci się odwdzięczę, ona odpowiedziała, właśnie to robię, więc zapytałam, dużo studentów przyszło? Odpowiedziała, już rozmawiałam z dwoma, a jeszcze kilku czeka, chcą coś z tobą omówić, gdzie ty się w ogóle podziewasz, a ja powiedziałam, jestem na mieście, wysiadłam po drodze, bo chciałam przymierzyć sukienkę w sklepie i nie zwróciłam uwagi, która jest godzina. Noś ją na zdrowie, odpowiedziała, ja dodałam zmieszana, nie, w końcu jej nie kupiłam, była za droga, a Neta roześmiała się, wyobraziłam sobie, jak potrząsa gęstymi, kasztanowymi lokami, które są w ciągłym ruchu, jak stonogi, podziękowałam jej, że mnie kryje, chociaż nie mogłam nie dostrzec tonu triumfu w jej głosie, trudno zaprzeczyć, że w wyrównanej rywalizacji o miejsce w katedrze, która trwa między nami już od dwóch lat, każde moje spotkanie to punkt dla niej, nawet jeśli nikt o tym nie wie, wystarczy, że wiemy my dwie.

Nie było już sensu jechać na uniwersytet, więc usiadłam przy stoliku na dworze, niezwykle pochód zniknął, ale sama niezwykłość pozostała, i patrzyłam na poszarzałe drzewa, uwięzione w wysokich osłonach, jakby stale knuły spisek, by stąd uciec, i na stare budynki, w których odnowiono tylko górne piętra, ale kto patrzy tak wysoko, i na mizerne sklepiki na wysokości oczu, oferujące militaria, dystynkcje, mundury, nikomu niepotrzebne sztandary, po szczerbatych chodnikach płynie życie, ludzie ruszają rękami i nogami w jednym, jakby z góry uzgodnionym tempie, wśród przechodniów ugania się czarniawy dzieciak, próbując sprzedać pawie pióra, wielkie kolorowe oka kołyszą się na cienkich szypułkach, ale nikt nie kupuje. Zadawałam sobie pytanie, czy ktokolwiek z kręcących się tu ludzi poczuł kiedykolwiek to, co ja czułam ledwie kilka minut temu, to było jak połykanie ognia, zawsze byłam ciekawa, jak to jest połykać ogień, co się czuje na chwilę przed włożeniem do ust płonącej żagwi, co się czuje, kiedy jest w środku i grozi zniszczeniem wrażliwych tkanek, teraz już wiem, ale co zrobić z tą wiedzą, dokąd z nią pójść. Myślałam o jego zwiniętym członku i o starannej fryzurze tamtej dziewczyny, kto to w ogóle jest, miałam nadzieję, że może jego córka, chociaż sama nie bardzo w to wierzyłam, na żonę była za młoda, dokąd poszli z wypchaną torbą i spodniami, dlaczego mnie nie zabrali ze sobą, przecież ja coś zgubiłam tam, w ciasnej przebieralni, zgubiłam skarb, o którym nawet nie wiedziałam, skarb niewiedzy, co czujesz, kiedy połykasz ogień, bo wraz z wiedzą przyszła okropna pustka, bo nic poniżej tego już mnie nie rozpali.

W jednej chwili poczułam słabość, nagle omdlenie wszystkich członków, złożyłam głowę na okrągłym stoliku, rozgrzanym od jesiennego słońca, jak na starym, wiernym jaśku, i próbowałam przypomnieć sobie swój plan życiowy, pracę, jaką mam złożyć do końca roku, dziecko, jakie zrobimy po obronie, mieszkanie, jakie kupimy po dziecku, a w wolnym czasie kolacje, raz on przygotowuje, raz ja, spotkania z kierownikiem katedry, który jest mną zachwycony, uważa, że mam przed sobą przyszłość, sukienki, które przy mierzę w wąskich kabinach, z lustrem czy bez, ale wszystko zdawało mi się przykurzone, jakby wiatr od pustyni powiał i pokrył świat cienką warstewką szarego piasku. Przypomniałam sobie, że kiedyś już mi się to zdarzyło, taka zapaść, ale nie w takim natężeniu, tamto była zapowiedź, ostrzeżenie, parę lat temu, tuż po wojsku, zakochałam się w chłopaku, który mieszkał koło piekarni i w tę jedyną noc, kiedy z nim byłam, łóżko pełne było zapachu świeżego chleba, więcej go nie zobaczyłam i tak to się skończyło, miałam potem wrażenie, że cała świeżość mojego życia została w tamtym łóżku, bo

mieszkał koło piekarni, a jego pościel pachniała chlebem. Jakiś czas było mi ciężko, ale dość szybko poznałam Joniego i próbowałam zapomnieć, i tylko kiedy czułam skądś zapach świeżego chleba, myślałam o nim, a teraz woń chleba w nozdrzach miesza się ze smakiem ognia, który zapłonął w mojej głowie, oczy Ariego Ewena osaczają mnie jak pociski i wpadam w przerażenie, ma chód myśliwego, wzrok myśliwego, i widzę, jak idzie bulwarem, a na ramieniu niesie moje ciało w potwornym bezruchu, mięso i futro. Thumię krzyk, zrywam się do ucieczki, jak zwierzę w lesie na odgłos wystrzału, i dopiero na głównej ulicy, wśród przechodniów i samochodów, czuję się pewniej, już jestem blisko domu rodziców, syk fermentujących liści na schodach ogłusza mnie, wchodzę na górę, zaledwie tydzień temu on stał za tymi drzwiami, jakby tam mieszkał, ale teraz na jego miejscu stoi matka.

Mam ochotę powiedzieć jej, idź stąd, już tu nie mieszkasz, to jego dom, jego, ona pyta zdziwiona, nie jesteś na uniwersytecie, ja mówię, tak, jestem w drodze, tylko nie wzięłam płaszcza, a zrobiło się zimno, więc biegnie do szafy, wyjmuje stary żakiet w kratę i podejrzliwe spogląda za okno, na jasny poranek, jesteś pewna, że nie będzie ci za gorąco? Mówię, nie, na dworze jest zimno, ona wzrusza ramionami i proponuje mi kawę, więc siadam z nią w kuchni i rzucam od niechcienia, spotkałam na mieście waszego przyjaciela, Ariego Ewena, z córką, a ona prostuje z naciskiem, przyjaciela twojego ojca, i szybko wyjaśnia, on nie ma córki, w ogóle nie ma dzieci. Jestem zawiedziona, ale jeszcze próbuję, więc widocznie to była żona, jak wygląda jego żona? Podstarzała francuska kokietka, obwieszcza matka triumfalnie, nie widziałam jej wprawdzie od lat, ale przed tym się nie ucieknę. Nawet nie stara się ukryć radości, że w życiu musi nadejść taki moment, kiedy i ona, tak konsekwentnie zaniedbująca swój wygląd, i wymuskane Francuzki nieodwołalnie żegnają się z atrakcyjnością.

Dlaczego nie mają dzieci, spytałam, wciąż czując w palcach ruchliwą, wydatną męskość, a matka odpowiedziała krótko, problemy, co ci do tego?

Problemy z nią czy z nim, drażylałam, więc powiedziała, z nim, a tobie co za różnica? Nie mam już czasu na kawę, odegrałam się na niej, zaraz zaczynam dyżur, zabrałam żakiet i wyszłam prosto w upalny dzień, palona wstydem, bo było oczywiste, że nie spotkałam go z córką, ani z żoną, tylko widocznie z kochanką, między nimi czuło się przecież wyraźną, jawną zażyłość. Poszłam do domu, a w miarę jak się tam zbliżałam, domy robiły się coraz bardziej szare, coraz starsze, za to ludzie byli coraz młodszy, młode matki jedną ręką ciągnęły wózek, a drugą wrzeszczącego dzieciaka, i

rozmyślałam o jego bezpłodności, myślałam o niej z takim napięciem, że poczułam ją jako byt sam w sobie, to on, a to jego bezpłodność, jak sierp księżycy koląca i wklęsa, im on sam jest pełniejszy, tym ona bardziej wklęsa, drwi sobie z niego, wyszydza go, cóż jest wart dumny członek w czarnych slipach, skoro nie może wypełnić misji, do której został stworzony, w domu poszłam prosto do łóżka, jakbym była chora, ale tam też nie mogłam się uspokoić, bo dotkliwe poczucie zagubienia zacięniało niewielkie okna jak zasłona, i wpatrywałam się w nie, słysząc, jak od wewnątrz podgryza mnie małe, żarłoczne zwierzątko, mówiłam sobie, poczekaj, poczekaj, ale nie wiedziałam, na co mam czekać, na następny dyżur? Na wyschnięcie rozwieszonych rano prania? Na spadek temperatury? Na najkrótszy dzień? Na najdłuższy dzień? A kiedy nie mogłam dłużej czekać, wzięłam telefon i wykręciłam cyfry tłukące mi się po głowie.

Już prawie zrezygnowałam, padając z powrotem na łóżko, kiedy odebrał, co najmniej po dziesięciu sygnałach, jego „halo” było dziwne, egzaltowane, widocznie w stylu paryskim, mówił stłumionym głosem, więc spytałam, obudził cię? Nie, odpowiedział, dysząc, jakbym mu przeszkodziła zupełnie w czym innym, ale ugryzłam się w język i powiedziałam, mówi Ja'ara, a on odpowiedział, wiem, i zamilkł. Chciałam ci tylko powiedzieć, że przekazałam tacie to, o co prosiłeś, wyjąkałam, on powiedział, świetnie, dziękuję, i znowu zamilkł, nie wiedziałam, co by tu jeszcze powiedzieć, nie mogłam dopuścić do tego, żeby odłożył słuchawkę, więc powiedziałam po prostu, nie odkładaj, on zapytał, dlaczego, a ja powiedziałam, nie wiem, spytał, czego chcesz, więc powiedziałam, zobaczyć się z tobą, on drażył, ale dlaczego, i znów powiedziałam, nie wiem, on się roześmiał, zbyt wielu rzeczy nie wiesz, ja mu zawtórowałam z ulgą, ale on uciał mój śmiech, oficjalnym tonem oświadczył, jestem teraz zajęty, powiedziałam, to jak będziesz wolny, a on milczał chwilę, jakby się zastanawiał, no dobrze, bądź tutaj za pół godziny, i krótko podał mi nazwę ulicy i numer domu, jakby zamawiał taksówkę.

Natychmiast pożałowałam, że nie kupiłam tamtej sukienki, bo nic w mojej garderobie nie mogło się równać z żółtymi spodenkami Fifki, w zestawieniu z miodowym żakietem, w końcu zadowoliliam się opiętymi spodniami i czarną trykotową bluzką, wpięłam we włosy pozłacany grzebyk, czarną kredką podkreśliłam błękit oczu i byłam całkiem zadowolona, zresztą zadowolony był także kierowca taksówki, ledwo wsiadłam, zaraz zapytał, mężatka? Odpowiedziałam, tak, pewnie, a on jęknął, jakby mu serce pękło,

ale przytomnie pytał dalej, od ilu lat, długo, powiedziałam, prawie od pięciu. No, to pora na coś nowego, ożywił się, a ja oświadczyłam, nic podobnego, kocham swojego męża, co zostało w taksówce przyjęte z pobłażliwością, aż poczułam się śmieszna ze swoimi deklaracjami w takich okolicznościach, ale musiałam usłyszeć te słowa, on wyszeptał, dając mi poczuć nieświeży oddech, można kochać dwóch naraz, i wskazał na swoje serce, które niby przed chwilą pękło, serce jest duże. Moje jest tycie, powiedziałam, a on się roześmiał, tylko ci się wydaje, że jest tycie, sama będziesz zdziwiona, jak bardzo potrafi urosnąć, myślałaś, że tylko kutas rośnie? I cała ta rozmowa zrobiła się niesmaczna, więc zaczęłam wyglądać przez okno, na otwierające się przed nami przestrzenie, aż w końcu taksówkarz zatrzymał się pod niewielkim, zadbanym budynkiem przy końcu ulicy, i znów położył rękę na sercu, na pożegnanie.

Gęste pnącze otulało dom jak futro, a kiedy podeszłam bliżej, zauważyłam, dziesiątki pszczoł, brzęczących wesoło wśród bujnych liści. To znak, powiedziałam sobie, znak, że powinnaś stąd iść, bo zawsze przeczuwałam, że urządzenie pszczoły może mnie zabić, są tacy ludzie, przecież nikt tego nie wie z góry, a kiedy się to okazuje, jest już za późno, więc zrobiłam w tył zwrot i zaczęłam się wycofywać, ale świat bez tego budynku wyglądał tak znajomo i tak jałowo, te jasne bloki z małymi miejskimi ogródkami, którym trzeba zbyt wiele wody, te drzewa, których nazwy nigdy nie zapamiętam, te pokoje, które na przemian brudzą się i są sprzątane, skrzynki pocztowe, które na zmianę napęlniają się i opróżniają, cały ten wielki kombinat, którego nie zatrzyma żadne urządzenie pszczoły, zdawał się tak ponury i beznadziejny bez zadbanego domu, spowitego, jak futrem, pnączem, w którym buszują roje pszczoł, że zawróciłam i śmiało weszłam na schody.

Nie spieszył się wcale, by mi udzielić schronienia, dopiero po drugim dzwonku drzwi otworzyły się i poprowadził mnie w ciszy do dużego, wypieszczonego salonu, o ścianach obwieszonych obrazami i podłodze wysłanej dywanami, co sprawiało wrażenie, że podłoga jest lustrzanym odbiciem ścian albo na odwrót. Miał na sobie nowe brązowe spodnie i nową koszulę, i właśnie ich nowość podkreślała jego leciwość, nagle wydał się stary, starszy od mojego ojca, głębokie bruzdy na czole i na policzkach przypominały blizny, włosy właściwie miał raczej białe niż srebrne, i raczej rzadkie niż gęste, a pod oczami czarne cienie. Ciekawe, że w swoich domach ludzie wyglądają na takich, jacy są naprawdę, i tylko na zewnątrz oblewa ich jakaś

poświata, myślałam z ulgą, siedząc na jasnej kanapie, nagle uspokojona wobec starości, nacierającej na niego z pazurami, jakby i tak miał zaraz, na moich oczach, umrzeć na serce i przestać mi mącić w głowie. Bezwstydnie utkwiałam wzrok w lewej kieszeni koszuli, za którą prawdopodobnie było ostatkiem sił jego znużone serce. Różne organy wewnętrzne kłębiły się przede mną, zasłonięte kieszenia, czerwono-błękitne, całkiem jak przenicowane narządy płciowe, wstrętne i pociągające, jakie widywałam w dzieciństwie, kiedy matka mnie wlokła za sobą do rzeźników starej daty. Ciągnęłam ją za rękaw, mamó, chodźmy stąd, ale obok odrazy rosła we mnie pałaca, smutna i głucha nostalgia na widok ład zarzuconych tymi namacalnymi szczątkami życia.

Nie mogąc oderwać wzroku od pulsującej kieszeni, starałam się zharmonizować oddech z jego oddechem, zbadać, w jak ciężkim jest stanie, może nawet pochwycić jego ostatnie tchnienie, jak się chwyta falę, ale kieszeń podniosła się nagle i on stanął przede mną, czego się napijesz, Ja'ara, a ja oświadczyłam z dumą, nie jestem spragniona, naraz poczułam się wolna, szczęśliwa, nie, nie jestem spragniona ani głodna, niczego od niego nie chcę i naprawdę mnie nie obchodzi, kim jest dziewczyna z fifką i co robili po wyjściu ze sklepu, co ja w ogóle mam z nim wspólnego, więc wstałam zdecydowanie z wygodnej kanapy, co ja mam z nim wspólnego, do domu, muszę wracać do domu, do Joniego, do pracy, którą powinnam złożyć przed końcem roku.

Wybacz, powiedziałam spokojnie, sycąc się swoją małą zemstą, nie powinnam była w ogóle tu przychodzić, nie wiem, po co przyszłam, ty masz swoje życie, ja swoje, nasze drogi się nie stykają, nie muszą się zetknąć.

On znieruchomiał na chwilę, popatrzył na mnie z troską, bynajmniej nie zaskoczony, odprowadził mnie w milczeniu do drzwi i już miał je otworzyć, kiedy powiedział cicho, jakby do siebie, dziwne, myślałem, że jesteś z tych, co muszą dostać natychmiast to, czego chcą, wydawał się bardziej zmartwiony swoim błędem w ocenie niż moim nagłym wyjściem, ale połknęłam przynętę i zapytałam natychmiast, ja? Czego ja chcę?

Wziął moją dłoń, tak jak w sklepie, i położył ją naturalnie, nawet z pewnym znużeniem, na swoim rozporku, powiedział, przecież po to tu przyszłaś, i przycisnął ją mocno, możesz iść teraz albo za kilka minut, kiedy już go dostaniesz, spojrzałam na zegarek, jakby godzina miała tu jakieś znaczenie, ale byłam tak spięta, że nic nie zobaczyłam, i wyszeptalam przez suche, ściśnięte gardło, co mi radzisz. To twoja decyzja, powiedział, ja

spytałam, ale czego ty chcesz, a on powiedział, mnie naprawdę jest wszystko jedno, przecież to ty przyszłaś do mnie, nie ja do ciebie, a mimo to rozpiął powoli brązowy pasek. Poczułam ogromną słabość, nie byłam w stanie zrobić jednego kroku, ani przejść do mieszkania, ani wyjść, zresztą nie musiałam się ruszać, bo on odwrócił mnie tyłem do siebie i twarzą do drzwi, tak że uniosłam ręce w geście kapitulacji, przytrzymując się umieszczonych na drzwiach wieszaków, ze skrzepowanymi przez spodnie kolanami, i naprężonym członkiem przygwoździł mnie do drzwi w jednej chwili, nawet nie dotknął mnie małym palcem, a jego arogancki, prostacki głos ciągle pytał mnie obojętnie, bez znaku zapytania, a raczej zawiadamiał, dobrze ci, dobrze ci, nawet nie tyle mnie zawiadamiał, co obwieszczał to w pustym domu na głos, jakby spisywał jakiś tajemny protokół, dobrze ci, dobrze ci, dobrze ci.

Moja ślina, przezroczysta i lepka, rozmazała się na drzwiach jak śluz ślimaka i poczułam, jak szpary w drewnie ryją mi pierwsze zmarszczki na policzkach. Butny członek wysunął się ze mnie i słyszałam, jak pakuje się szybko do kryjówki i zamyka się za nim suwak. Ledwo udało mi się obrócić ku niemu twarz, bo szyję usztywnił mi kontrast między tą niby intymną sytuacją a naszą kompletną obcością, kontrast, który po fakcie, kiedy kapąło ze mnie jego bezpłodne nasienie, był mało pociągający, i byłam zażenowana jak dziewczynka, która zrobiła siusiu w towarzystwie, on mi nie podał papieru ani serwetki, ja, wstydząc się zapytać, gdzie jest ubikacja, żeby nie musieć tam iść w takim stanie, z opuszczonymi spodniami, po prostu je podciągnęłam, zrezygnowane majtki wchłonęły płyny, a ja wychrypiałam, teraz chce mi się pić.

Czego się napijesz, pyta z nieprzystępnym wyrazem twarzy, uprzejmym, ale niemiłym, jakby był na mnie zły, kawy, mówię, on na to, zaraz wraca moja żona, lepiej coś szybszego, po chwili zjawia się ze szklanką soku pomarańczowego, piję wolno, żeby zyskać na czasie, gniewnie łykam kwaśnawy płyn, przecież teraz powinniśmy być sobie bliscy, więc dlaczego jest jeszcze bardziej obcy niż przedtem, Joni zawsze tuli się do mnie po pieprzeniu, a tu ani chwili łaski. Z wyraźną niecierpliwością czeka, aż skończę pić, jak sklepikarz, który chciałby już zamknąć swój kram, więc podaję mu pustą szklankę, on z nią biegnie do kuchni, po czym powtarza, moja żona zaraz wraca z pracy, więc szepczę, tak, już sobie idę, próbując się pozbierać, wycisnąć trochę ciepła z szarych oczu, ale one są zupełnie zgasłe. Nie mogąc się opanować, pytam, kim była tamta dziewczyna z fifką, a on odpowiada prędko, to siostrzenica żony, z Paryża, bo co? jakby nie miał nic

do ukrycia, mówię, tak tylko pytam, a on mówi, aha, na zakończenie i na pożegnanie, otwiera drzwi, które nawet nie były zamknięte na zamek, i mówi życzliwie, pozdrowienia dla domowników, ja odpowiadam dziękuję i już jestem po drugiej stronie, i natychmiast klucz w zamku przekręca się, akurat teraz zatroszczył się o to, żeby zamknąć.

Schodziłam powoli po wąskich schodach, kolebiąc się jak dziecko, gdy stawia pierwsze, chwiejne kroki, ale nie pokrzykiwałam z dumą jak dziecko, aż poraził mnie dzień, nagle, jak policzek, nic nie widziałam, mimo że słońce stało w zenicie, wystraszona usiadłam na schodach, zupełnie obojętna na pszczoły, opuściłam głowę na kolana, zamknęłam oczy i poczułam, że się pogażam, że tonę, i powtarzałam sobie, co ty zrobiłaś, co ty robisz, co ty zrobisz, jakbym uczyła się odmiany czasowników, co ty zrobiłaś, co ty zrobisz, co ty robisz, aż usłyszałam, że zatrzymuje się przy mnie samochód i zaczyna trąbić, na pewno jego żona wróciła i trąbi na niego, żeby pomógł jej z zakupami, muszę się stamtąd wynieść, więc podniosłam się z trudem, ktoś mnie podtrzymał i zobaczyłam jak przez mgłę, że to mój taksówkarz. Powiedział, przejeżdżałem w pobliżu, więc wpadłem zobaczyć, czy nie potrzebujesz transportu do domu, a ja byłam tak szczęśliwa, że go widzę, jakby uratował mi życie. Otworzył mi drzwi, posadził mnie delikatnie i spytał, co się stało, a ja powiedziałam, źle się czuję, na co on, jeszcze pół godziny temu czułaś się świetnie, i zacykał z dezaprobatą, dziewczyna taka jak ty nie powinna się włóczyć sama, powinnaś siedzieć w domu, kto cię chce, niech przyjdzie do ciebie, a ja się rozplakałam, upokorzenie targało mną, jak podczas żarliwej modlitwy, tymczasem on zacykał raz jeszcze, będzie dobrze, nie martw się, aż wreszcie podsumował, jakby myśląc na głos, a może twoje serce faktycznie jest jeszcze tycie, jak serce niemowlaka, i położył mi na pocieszenie dłoń na kolanie, nie martw się, ono urośnie. Na rękę miał grubą damską bransoletę ze złota, która słała mi oślepiające refleksy, więc przymknęłam zranione oczy, ale i tak widziałam, jak pod koszulą jego serce nabrzmiewa jak ciepła pierś pełna mleka, pełna dobrej woli.

W mrocznej sypialni, do której wpadała jedynie odrobina światła, ślepotą powoli zaczęła ustępować, ale nadal miotały mną zatapiające fale, więc spróbowałam przetoczyć się na łóżku, żeby się uspokoić, ale nie mogłam dotrzeć na stronę Joniego, jakby wyrósł tam nagle mur, mur mojej zdrady. Między moją stroną a jego zawsze coś było, rozdźwięki, napięcia, urazy, ale nie było zdrady, i poczułam, jak łóżko pęka na dwoje, próbowałam

wyciągnąć rękę na jego stronę i natrafiłam na mur, i znowu zatkałam, co ty zrobiłaś, co ty zrobiłaś, bo nawet w chwilach, kiedy nie mogłam ścierpieć ani jego, ani naszego życia, nie sądziłam, że mogę go zdradzić, bardziej niż miłość łączyła nas wspólnota losu, i to, że go zdradziłam, zdawało mi się zdradą wobec własnego losu. Czasem łapałam się na tym, że marzę o innym życiu, ale tak, jak się marzy o cudzie, o czymś nadludzkim, co nie jest w moim zasięgu ani mocy, a teraz mój świat się burzy i narowi, nie wiem, jak go uspokoić, więc próbuję tak jak z tym kotem, zawsze się będę wypierać, w końcu prawda ustąpi przed kłamstwem, jednak tym razem ulga nie przychodzi, bo kot Sziry jest martwy, ale Arie Ewen żyje, a dopóki żyje, żyje i moja zdrada, i poniżenie, i miłość, która wzbiera we mnie jak gorzkie, brunatne soki trawienne, tak, po co zaprzeczać, przecież to właśnie to.

Rozdział trzeci

Jeszcze tylko jeden jedyny raz, obiecywałam sobie, jeden raz, który zupełnie wymaże ten poprzedni, przemieni upokorzenie w triumf, jak można żyć z obrazem uniesionych rąk, czepiających się zimnych, żeliwnych wieszaków na drzwiach, przecież nie ma różnicy, czy zdradza się raz czy dwa razy, oba grzechy zostaną potem zamknięte w tej samej klatce, a skoro już to zrobiłam, niech przynajmniej zostaną mi słodkie wspomnienia zamiast dławiącej goryczy, tak sobie powtarzałam, sprawdzając ćwiczenia studentów pierwszego roku, zmagając się z sobą w obliczu książek w bibliotece, okrągłej twarzy Joniego, jego pulchnych pleców w nocy.

Zostawmy to tak, powiedział, kiedy w końcu tam zadzwoniłam, drżąc z emocji. Co znaczy tak, zapytałam, on odpowiedział, tak jak jest, ja powiedziałam, ale ja muszę cię zobaczyć, a on na to, wierz mi, Ja'ara, lepiej zostawić to tak, jak jest.

Co znaczy tak jak jest, mam chodzić całymi dniami z jedną myślą, która wczepiła mi się w mózg i nie daje spokoju, czasem świdruje czaszkę, a czasem wali, czasem wije się, a czasem błaga, na krótką chwilę się chowa, oddycham pełną piersią i wtedy dopada mnie nagle z całą siłą, jak przeciąg, jak mokre, zgłodniałe wiatry zimowe, zrywające się w jednej chwili i otwierające okna, wiejące mi w plecy szyderczo, Joni mówi, przecież kiedyś kochałaś zimę, ja się wściekam, więc teraz jej nienawidzę, co, nie mogę się zmienić, od wieku dwudziestu lat do śmierci muszę być taka sama, a jego oczy mówią, przecież kiedyś kochałaś mnie, kochałaś mnie, kochałaś mnie.

Jak go spotkać. Wydaje mi się, że jeśli tylko go znów zobaczę, uwolnię się od niego, więc kręcę się po wszystkich miejscach akcji, jeżdżę do miasta, zaglądam do tamtego sklepu, manekin ma już na sobie gruby wełniany płaszcz, wspinam się ciągle po schodach domu rodziców, pędzę z bijącym sercem do mrocznego salonu, pamiętam, jak siedział w dużym fotelu, odprężony, swobodny, jakby to on gościł u siebie mojego bojaźliwego, pokurzonego ojca, wypełniał pokój dymem, tak łatwo było zobaczyć go przypadkiem, bez wysiłku, bez planowania, a teraz to się wydaje nierealne, beznadziejne, nigdy nie stanie na mokrych schodach, nigdy nie przejdzie się w tę i z powrotem przed lśniącem lustrem, oglądając swój tyłek z satysfakcją.

I wtedy przysłała taka noc, kiedy już myślałam, że mam rozwiązanie i byłam prawie szczęśliwa. Zrozumiałam, że właściwie powinien tu zadziałać ojciec, i nie chodzi o długotrwały, wielki wysiłek, tylko o jedno cięcie, przerwanie życia, krótko mówiąc, o jego śmierć. Jeżeli ojciec umrze, Arie na pewno przyjdzie na pogrzeb i będę szlochać, wsparta na jego ramieniu, przylgnę do niego, jakby był moim nowym ojcem, a on nie będzie mi mógł powiedzieć nie. Pytanie tylko, co na to powie ojciec, teraz wszystko zależy od jego dobrej woli. Jutro rano stanę przed nim i spytam, tato, oto chwila prawdy, ile jest dla ciebie warte moje szczęście? A może powiem, tato, zrozumiałam, że na tym etapie życia i w tych okolicznościach, umierając, pomożesz mi dużo bardziej, niż żyjąc dalej, ale pociesz się, że bywa gorzej, mam przyjaciółki, których nie uratuje już nawet śmierć rodziców, wyobraź sobie, jakie są zagubione.

Ojciec przekroczył już sześćdziesiątkę i nie miałam pojęcia, jak drogie jest mu życie, na ile jest do niego przywiązany, jeżeli w ogóle. Często wspominał przeszłość, o tak, właściwie bez końca, ale bardzo niewiele mówił o przyszłości. O ile wiem, nie miał żadnych szczególnych planów, a nawet jeśli miał, to przecież należało z nich zrezygnować.

To, co słuszne w nocy, w dzień wydaje się absurdalne, a może także na odwrót. Mając przed sobą jego łagodną, zatroskaną twarz, gotowa byłam pójść na kompromis i przystać na nieuleczalną chorobę, oczywiście fikcyjną, która zaalarmuje i skłoni przyjaciół do częstych wizyt. Będę rozczulająca w roli oddanej córki, podpory całej rodziny, i kiedy on w końcu przyjdzie, a przyjdzie na pewno, powiem mu, tata pytał o ciebie, chciał cię zobaczyć, i wystraszę go czasem przeszłym. Spóźniłem się, zapyta z lękiem, a ja go uspokoję, nie, jeszcze nie.

Co u tego twojego przyjaciela, Arie Ewena? zapytałam, a ojciec powiedział, rozmawiałem z nim wczoraj, wszystko w porządku. Może zaprosicie go z żoną na kolację, zaproponowałam i zaraz usłyszałam wrzask matki z kuchni, tylko mi tu brakuje tego nadętego bufona.

Jak ty mówisz o moim najlepszym przyjacielu, oburzył się ojciec.

Jeśli jest takim dobrym przyjacielem, gdzie był przez te wszystkie lata? Dlaczego się nie odzywał? – matka wyskoczyła z kuchni z kwaśną miną.

Ty i ta twoja arytmetyka, krzyknął, ja nie wystawiam rachunków przyjaciołom.

Bo, w najlepszym wypadku, jesteś naiwny, żeby nie powiedzieć idiota.

Pochłonięci swoim zgniłym rytuałem nawet nie zwrócili uwagi, że wyszłam i ruszyłam przed siebie, ucząc się drogi w najdrobniejszych szczegółach, ile dokładnie kroków jest między mną a nim, ile skrzyżowań, ile sklepów spożywczych, a ile warzywniczych, ile aptek, ile przejść dla pieszych, w mojej głowie powstawała mapa tego terenu, niby zwyczajnej, miejskiej rzeczywistości, a jednak innego, całkiem nowego świata. Nigdy tak nie odbierałam sklepów spożywczych, pełnych znaczenia i mocy, tajemnicy i żaru, przejść dla pieszych, malowanych w odblaskowe pasy, ulicznych świateł plujących ogniem, a moje kroki – nigdy nie wiedziałam, jak to jest iść, kiedy nogi ścigają się jak drapieżne bestie, i poczułam wielkie zdziwienie, to zakrawało na cud, jakbym była kamiennym posagiem, który ożył nagle i ruszył przed siebie.

Zatrzymałam się pod jego drzwiami, przed jasną, podłużną tabliczką, zamocowaną od zewnątrz na wysokości miejsca, gdzie miałam wtedy czoło, zdaje się, że czułam nawet ucisk śrubek, i pomyślałam o tym, że solidne drewno wchłonęło moje westchnienia i teraz są one jego częścią, być może jego żona słyszy, jak ulatują stamtąd, drażnią jej uszy, i sama nie wiedziałam, czy jej zazdroścę, czy lituję się nad nią. Jest zdradzana z taką łatwością, to prawda, ale z równą łatwością może go widzieć w każdym zakątku domu, nie musi stać zawstydzona przed drzwiami i wymyślać pretekstów.

Ale mnie też nie był potrzebny pretekst, bo przyjął mnie miło, jego mina świadczyła o tym, że prawie się ucieszył na mój widok i powiedział, jestem ci winien kawę, prawda? Przytaknęłam z zapalem, jakby mnie chciał poczęstować co najmniej boskim nektarem. Nie lubię mieć zobowiązań, powiedział i zniknął mi z oczu, a ja powlokłam się za nim do pięknej, olśniewająco jasnej kuchni, że też w słabym zimowym słońcu w tej kuchni jest tyle światła, w jego ruchach widzę wesołość i myślę, jeżeli naprawdę cieszy się, że mnie widzi, czemu próbował mnie odepchnąć, dlaczego powiedział, zostawmy to tak, jakby chciał sprawdzić moją determinację, moją wolę, a teraz, kiedy pomyślnie przesłam test, jest ze mnie zadowolony, prawie dumny, jak nauczyciel z najlepszej uczennicy. Podał mi kawę w błękitnej filizance, przez którą też przeświecało słońce, i ziewnął, jestem skonany, nad ranem wróciłem z zagranicy. Naprawdę? ożywiłam się, gdzie byłeś? Zasadniczo we Francji, powiedział, więc zapytałam, wycieczka? Roześmiał się, jaka wycieczka, praca, a ja przypominałam sobie, że matka

mówiła, że on ma coś wspólnego z tajnymi służbami, ale spytałam, jaka praca, a on odpowiedział, praca rąk, i roześmiał się, i trochę mózgu, wskazując przy tym na dużą głowę, pokrytą, siwymi, wilgotnymi włosami, widocznie właśnie brał prysznic, i znowu ziewnął. Było coś nienaturalnego w tym ziewaniu, jakby to robił na pokaz, miałam wrażenie, że zmyśla, bo po prostu jest mu niezręcznie, że przyłapałam go, jak się obija w domu przed południem, śpi do późna, i przypomniałam sobie, że ojciec powiedział, że wczoraj z nim rozmawiał, więc nie wytrzymałam i zapytałam, wiesz, co słyhać u taty, a on odpowiedział, nie, nie mam pojęcia, faktycznie zadzwonię dzisiaj spytać, czy już ma dla mnie odpowiedź, więc pomyślałam, o co tu chodzi, jeden z nich kłamie. Próbowałam odgadnąć, który z nich ma ważniejszy powód, Arie chce udowodnić, że był za granicą, a ojciec chce zirytować matkę, chce pokazać, że jest w kontakcie z Ariem, pytanie tylko, komu wierzyć, tymczasem on na poparcie swojej wersji wyjął z szafy pudełko czekoladek, prosto z *duty free* i odpakował z wielką pompą. To jak było, spytałam, on powiedział, ciężko, i zrobił poważną minę, a ja po raz drugi zadałam sobie pytanie, dlaczego u siebie w domu wydaje się mniej atrakcyjny niż w mojej głowie, wyglądał jak udomowiony lampart, gdy tak siedział naprzeciwko mnie z uśmiechem uprzejmego gospodarza, popijając z przyjemnością kawę, którą nalał także dla siebie, mmm, dobre, westchnął, nie przypominam sobie, żeby okazał równe zadowolenie, kiedy mnie pieprzył, zapala papierosa, a dym zaczyna tańczyć wokół nas i czuję, jak moje napięcie ustępuje wobec tej zaskakującej życzliwości. Liżę gorzką czekoladę i przyglądam mu się badawczo, ostrożnie, bo nadal nie ma tu bliskości, żadnej intymności, to ciało jest mi zupełnie obce, nieodgadnione, nawet kiedy jest miły, w tej życzliwości nie ma intymności, jakby nic między nami nie było, zupełnie nic, w dodatku wydaje się, że nigdy nic nie będzie, że nigdy nie poczuje, jak wdziera się we mnie z ekscytującą i nieprzyjemną władczością, po co zaprzeczać, przyjemne to nie było.

To co mi opowiesz, zapytał, a ja się spieszyłam, właściwie nic, co ja mam z nim wspólnego, co mam do opowiedzenia kompletnie obcej osobie, nie wiem nawet, od czego zacząć, on dodał, jak ci minęło te parę tygodni, a ja pomyślałam o wolno płynących dniach pełnych udręki, niepokoju, palącego upokorzenia, szarpiącej skruchy, przebłysków pożądania, nagle wydały mi się długotrwałym i niezrozumiałym koszmarem, chorobą, której się wstydzisz po wyzdrowieniu, i powiedziałam, ciężko, tak właśnie on określił swój wyjazd, usiłowałam nawet przybrać podobny wyraz twarzy. Dlaczego, co było takie ciężkie, zapytał z niewinną miną, jakby nie maczał w

tym palców, ale cały czas czułam, że te pytania nie są przypadkowe, że do czegoś zmięrzają, jego zadowolenie w drzwiach też było nieprzypadkowe, i powiedziałam, wiesz przecież, on na to, nie mam pojęcia, a ja wyszeptalam, bo cie pragnełam. Mnie? uśmiechnął się, demonstracyjnie zdziwiony, naprawdę? Tak, ciebie, powiedziałam i znowu powtórzyłam, było mi ciężko, bo sama nie wiedziałam, jakich słów użyć, to brzmiało tak bezsensownie w lśniacej kuchni, on zapytał, ale dlaczego, a ja wyszeptalam, wstydząc się banalnych słów, bo cie kocham, on ponownie uśmiechnął się jak nauczyciel, który zdołał wreszcie wydobyć z uczennicy właściwą odpowiedź, i zapytał, dlaczego? Co we mnie kochasz? Miałam przykre uczucie, że to jest ten punkt, do którego zmięrziała cała rozmowa.

Co w nim kocham? Przecież go w ogóle nie znam, więc co mogę w nim kochać, jednak skoro tak powiedziałam, muszę być konsekwentna, ociągałam się z odpowiedzią, a im dłużej zwlekałam, tym bardziej byłam zmieszana, odnosiłam wrażenie, że czeka w napięciu, więc w końcu wyjąkałam, nie wiem, nie kocham w tobie niczego konkretnego, a jednak wiem, że cie kocham.

Więc jak możesz mnie kochać, w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie, niemal agresja, to tylko deklaracja bez pokrycia.

Nic podobnego, poczułam, że się zaplątałam, po prostu cie nie znam dostatecznie, ale miłość czasem wyprzedza znajomość za sprawą jakiejś wiedzy wewnętrznej, wiedziałam, że rzeczywiście wypowiadam frazesy, bo to nie miłość, gdzie tam miłość, a wtedy on, jakby mszcząc się za brak odpowiedzi, powiedział, muszę lecieć. Nie idź, wybuchnęłam histerycznie, jakby po jego odejściu znów miał mi się zawalić świat, a on się wyprostował i powiedział z wyższością, słuchaj, Ja'ara, jesteś niezbyt ostrożna i tak jak wygłaszasz deklaracje bez pokrycia, możesz popełnić czyny bez pokrycia, jesteś zbyt słaba psychicznie, żeby ponieść ich konsekwencje. Prawdziwe życie wymaga trudnych decyzji, którym nie jesteś w stanie sprostać, więc pozostań na razie przy życiu, jakie masz. Posłuchaj mnie, nie możesz pozwalać, aby byle przeszkoda tamowała właściwy nurt, a mnie aż dławiła chęć wykazania się determinacją i siłą, więc spytałam, ale skąd wiadomo, co jest przeszkodą, a co właściwym nurtem? Sądzę, że po prostu wiadomo, powiedział, myślę, że każdy, kto popełnia błąd, z góry wie, że go popełni, tylko nie umie się powstrzymać. Zaskoczeniem może być rozmiar błędu, nie sam fakt jego popełnienia.

Ale ta odpowiedzialna przemowa nie przeszkodziła śniadej ręce o długich palcach ulokować się na moim kolanie, głaskałam kolejno każdy palec, nie ośmielając się dotknąć wszystkich naraz, popchnęłam je nawet w górę, pod spódnicę, aż zatrzymały się, wprawdzie nie tam, gdzie chciałam, ale blisko, tak blisko, że poczułam, że to zaraz nastąpi, i byłam tak poruszona, że nie mogłam dokończyć kawy, ciągle myślałam o długich palcach i ich wahaniu u wrót mojego ciała.

Ale wtedy wyszarpnął rękę, jakby go coś ugryzło, i spojrzał demonstracyjnie na zegarek, to był ogromny, czarny zegarek bez cyfr, o przezroczystych wskazówkach, nie mogłam się zorientować, która godzina, tylko że dobrze już nie będzie, on wstał pospiesznie, muszę lecieć, już jestem spóźniony, ale ja nie mogłam się poddać i cały czas myślałam, jak go zatrzymać, aż w końcu powiedziałam, muszę do ubikacji, on, zniecierpliwiony, wskazał mi drogę, usiadłam na sedesie w ubraniu i rozmyślałam, jak go zatrzymać, jak zdobyć nad nim władzę, potem umyłam ręce przed lustrem i nagle w umywalce dostrzegłam rudą włos, prosty i cienki, chciał wymknąć się z wodą, ale zdażyłam go złowić na moment przed tym, nim zniknął w czeluści odpływu, przyjrzałam mu się starannie, aż ustaliłam ponad wszelką wątpliwość, z czyjej głowy pochodzi. Zobaczyłam przed sobą precyzyjne, gładkie *carrée*, jakby odbite w lustrze, przed którym stałam, więc rozejrzałam się wokół podejrzliwie, może zaraz wyskoczy na mnie z wanny ta tajemnicza siostrzenica, i rzeczywiście, na ścianie odkryłam kolejny, tym razem kręcony, ciemniejszy włos łonowy, i pomyślałam, jak to, ona tu mieszka? Z nim i z jego żoną? Uspokoilo mnie to na chwilę, widocznie naprawdę należy do rodziny, ale coś mi się nadal wydawało podejrzane, więc na znak protestu wyrwałam z głowy włos i położyłam obok jej włosa w umywalce, i kręconego włoska też nie chciałam zostawić samego, więc przy nim też położyłam mój włos, który był do niego zaskakująco podobny.

Kiedy wyszłam, wydawał się spokojniejszy, powiedział, dzwonił do mnie, żeby przesunąć spotkanie, mam jeszcze parę minut, więc zaczęłam żałować, że zmarnowałam cenny czas w ubikacji, chociaż się trochę zdziwiłam, bo nie słyszałam dzwonka telefonu, zasiadłam nad błękitną filiżanką, kawa już całkiem wystygła, jego oficjalna mina przygnębiała mnie, i myślałam, co robić dalej, co dalej, kiedy zapytał, to czego właściwie chcesz? A ja z tego przygnębienia powiedziałam, czego ty chcesz? Nie masz własnej woli? Odpowiedział, mam własną wolę, ale między nami panuje

nierównowaga, ty jesteś tak wygłodniała, a ja taki syty. Natychmiast przestałam obgryzać czekoladową kuleczkę, próbując zadać kłam jego słowom, ale wiedziałam, że ma rację, poczułam, jak targa mną głód, to było właściwe słowo, głód, nie pożądanie, które jest bardziej subtelnym doznaniem, podczas gdy wygłodniały człowiek zjada wszystko, on spojrzał na ręce, na wypielegnowane paznokcie, więc też na nie popatrzyłam, rozmyślając, jak je odzyskać dla siebie, aż usłyszałam, jak mówi oficjalnie, nie prześpię się z tobą dzisiaj, Ja'ara, speszona spytałam, dlaczego, a on na to, bo już dziś spałem z kobietą, powiedział to poważnie i surowo, jakby obwieszczał, już dziś jadłem czerwone mięso, a lekarz mi nie pozwala jeść go dwa razy dziennie. Co z tego, zapytałam, a on odpowiedział, wyznaję taką zasadę, nie sypiam z dwiema kobietami jednego dnia, cały czas miałam nadzieję, że żartuje, że zaraz wybuchnie swobodnym, przyjemnym śmiechem, ale tak się nie stało i w końcu sama zaczęłam się śmiać z napięcia, i nie był to wcale śmiech swobodny ani przyjemny, on zapytał, co w tym śmiesznego, ja powiedziałam, naprawdę nic, próbując się uspokoić, bo to nie było wcale śmieszne, wręcz przeciwnie, więc powiedziałam, to co, trzeba cię łapać o świcie, kto pierwszy, ten lepszy, czy można się umówić albo co. Szyderstwo w moim głosie speszyło go i odpowiedział chłodno, zostawmy to tak, chciałem ci tylko oszczędzić przykrości, ale ja najwyraźniej nie mogłam się wyrzec przykrości, zawzięłam się, żeby złamać tę jego zasadę, i powiedziałam, zawsze są jakieś wyjątki, a on na to, tak, podobno, spojrzał na mnie zgaszonym wzrokiem, próbowałam sobie wyobrazić, jak twarz mu płonie w trakcie seksu z dziewczyną z firką, przecież to może być i siostrzenica żony, i zarazem jego kochanka, właściwie jedno drugiego nie wyklucza, a może był przy niej taki jak przy mnie, zgaszony i zimny, wtedy powiedział od niechcienia, jestem wolny jutro rano, i podszedł do wieszaka, zdjął czarny płaszcz i otulił się nim starannie, jak się otula cenne naczynie. Rzuciłam się na ten ochłap i zapytałam, o której, on odpowiedział, będę wolny koło dziewiątej i otworzył drzwi, dając mi znak, żebym szła za nim, zastanawiałam się, co będę robić do jutra do dziewiątej, ale czas minął całkiem szybko, wprawdzie Szira była zajęta albo tak tylko powiedziała, chcąc się mnie pozbyć, od czasu zniknięcia kota unika mnie, więc wzięłam się za sprzątanie domu, włączyłam muzykę i tańczyłam ze szczotką, obejmując jej sztywny grzbiet, czując się jak w wielkie święto, bo wreszcie miałam na co czekać, aż bałam się pomyśleć, co będzie potem, powiedzmy jutro w południe, czy jutro o tej porze, więc skupiałam się na sprzątaniu, a kiedy Joni wrócił, rozejrzał się uradowany i nieufny, nie wierząc własnemu

szczęściu, i byłam zachwycona i dumna, widząc, jak bardzo się cieszy, że znów funkcjonuje.

Wyglądasz, jakbyś wyzdrowiała z ciężkiej choroby, stwierdził, a ja powiedziałam, tak właśnie się czuję, Joni objął mnie, byłem w rozpacz, Kreciku, nie wiedziałem, co się z tobą dzieje, i zaraz przerwał, bojąc się, że mnie rozzłości, więc przytuliłam się do niego, czuję się znacznie lepiej, mój Szczurku, przepraszam, jeśli cię skrzywdziłam, a on powiedział, przeprós siebie, nie mnie, bo przede wszystkim skrzywdziłaś siebie. Masz rację, przytaknęłam i przypomniałam sobie, jak na początku starałam się go kochać, jak myślałam o nim z oddaniem żalobnika, który nieustannie wspomina zmarłego, nie pozwalając sobie na radośniejszą myśl, teraz miłość do niego wraca do mnie jak kot, który przyszedł do domu po dłuższej nieobecności, roznosząc napawający lękiem zapach wielkiego świata, niepewny, czy jest mile widziany, przyjmuję tę miłość zdziwiona, ale szczęśliwa, miał słuszość tamten taksówkarz, że można kochać dwóch, nawet łatwiej jest kochać dwóch, bo wtedy w duszy panuje równowaga, dwie miłości się dopełniają, już nie budzą takiego niepokoju, że też nie pomyślałam o tym wcześniej, i jestem tak podniecona tym, co mnie czeka jutro, że zdaje mi się, że Joni też mnie podnieca, siadam mu na kolanach, całuję go w szyję, wyjdźmy gdzieś, mruczę mu w ucho, mam dość siedzenia w domu przez cały czas. Kiedy w domu jest czysto, akurat warto zostać, śmieje się, ale ja ciągnę go za rękę, nie martw się, nie nabrudzi się do naszego powrotu, więc idziemy pod górę główną ulicą, na samym skrzyżowaniu otwarto nową kawiarnię, a kiedy mijamy uliczkę Sziry, dokładnie w miejscu, gdzie wtedy dobiegł mnie cichy, rozdzierający odgłos uderzenia, mówię mu, chodź zaprosimy ją, niech idzie z nami, a on się nie zapala, ale też nie sprzeciwia, Szira otwiera nam drzwi z ponurą miną, nie, naprawdę nie ma ochoty nigdzie iść, na dworze jest zimno, ma katar, i rzuca mimochodem, myślałam, że jesteś chora, spotkałam dziś Netę w bufecie i powiedziała mi, że znowu nie przyszłaś na dyżur, a ja pukam się w głowę, dzisiaj środa, jak mogłam zapomnieć, co się ze mną dzieje, nagle nie istnieje dla mnie nic poza nim, stracę szansę na etat, miejsce w katedrze zwalnia się raz na kilka lat i w końcu przypadnie Necie, nie mnie. Mam wrażenie, że Szirę cieszy moje zdenerwowanie, może to jej mała zemsta, od tamtego wieczoru przestała mi być życzliwa, nie wytrzymuję i pytam, co z Tulią, wrócił? Jeszcze nie, odpowiada, Joni mówi tym swoim uspokajającym tonem, pewnie trwa okres godowy, koty zawsze wtedy znikają, a potem wracają, ale Szira zaprzecza, to nie ta pora, ja mówię, jak to nie, widziałam w

pobliżu mnóstwo kotek w rui, czuć to w powietrzu, a Szira wzrusza ramionami i mówi obojętnie, ja tego zupełnie nie czuję, i opiera się o otwarte drzwi, wpuszczacie chłód, zdecydujcie się, wchodzicie czy wychodzicie, więc mówię, wychodzimy, Joni perswaduje, może jednak z nami pójdiesz, a ja się irytuję, że nie ma charakteru, przedtem nie chciał, teraz nagle chce, za to Szira ma charakter i mówi, nie, naprawdę nie, innym razem.

Wracamy na główną ulicę i już sływa na mnie udręka, i trudno mi odtworzyć wcześniejsze szczęście, szczęście to niewłaściwe słowo, ale poczucie pełni, to było rzadkie poczucie pełni, paradoksalnie wypływające z niespójności, jaka zarysowała się w moim życiu, niespójności między miłością do Joniego a pociąganiem do ponurego, starego mężczyzny, jednak nie czułam rozdarcia, przeciwnie, czułam, jak się wewnętrznie zrastam, aż surowe spojrzenie Sziry rozchwiało mnie od nowa, no i myśl o dyżurze, o którym zapomniałam, Joni widocznie poczuł, że łaska pryska i stracił humor, bębnił grubymi palcami po blacie okrągłego kawiarnianego stolika i kiwał nerwowo nogą w przód i w tył. Zamówiliśmy zupę cebulową, próbowałam się uspokoić i odtworzyć poczucie pełni, które jednak tak naprawdę było nie do utrzymania, przecież toczyła je wewnętrzna sprzeczność, wreszcie postanowiłam, że jutro ostatni raz, a potem biorę się do pisania pracy, i po raz kolejny spytałam Joniego, co go łączyło z Szirą, powiedział, nic, ale ja nie ustępowałam, to dlaczego ona zawsze patrzy na ciebie tak tęsknie, a on powiedział, nie wiem, naprawdę nic między nami nie było, byliśmy przyjaciółmi, jak brat i siostra. Poczulałam nagły skurcz w brzuchu z wielkiego żalu, bo zdaje się, że i my staliśmy się dla siebie jak brat i siostra, tak trudno jest to przełamać, przez moment tylko, pod wpływem ekscytacji ponurym, starym mężczyzną, podnieca mnie także Joni, ujmuję jego dłoń i kładę na swoim kolanie, dokładnie w miejscu, gdzie błędziła tamta ręka, śniada i gładka, i próbuję popchnąć ją pod spódnicę, a on bębni dalej nerwowo, spódnica unosi się i opada, jakby skakało pod nią stado koników polnych, i dopiero kiedy zjawiają się talerze, on przestaje, wyciąga rękę, z ulgą sięga po łyżkę i je łapczywie.

Z powodu głośnej muzyki trudno było rozmawiać, więc jedliśmy w milczeniu, maczając chleb w pikantnej zupie, a ja myślałam o swojej radości, gdy tylko się poznaliśmy, to było jak niespodziewany prezent, który szybko zaczął mi ciążyć, bo nie nadawał się dla mnie, ale nim to odkryłam, zrobiło się zbyt późno na zamianę i wiedziałam, że innego już nie dostanę, nigdy. Próbowałam pytać, co nowego u niego w pracy, był zatrudniony w firmie

komputerowej swojego ojca, powiedział, że pracują nad nowym programem, który dobrze rokuje, i jest szansa, że uda im się go rozprowadzić, po czym poprosił kelnera, żeby ściszył muzykę, bo z trudem słyszeliśmy się nawzajem, kelner odpowiedział, w porządku, nie ma problemu, ale nie ściszył, może nawet wręcz przeciwnie, więc Joni ponowił prośbę, kelner udał, że słyszy ją po raz pierwszy, i znowu powiedział, w porządku, nie ma problemu, i nie ściszył. Joni westchnął z rezygnacją, zawsze starał się unikać konfrontacji, wolał cierpieć w milczeniu tak długo, jak tylko mógł, a ja powiedziałam, chodźmy stąd, ale nasze demonstracyjne wyjście nie zrobiło na nikim wrażenia, natychmiast gdzieś z kąta wychyła jakaś parka i zasiadła na naszych miejscach. W drodze powrotnej trzymaliśmy się za ręce, a gęste od chmur niebo muskało nasze głowy jak ślubny baldachim, podtrzymywany przez czterech niskich, zmęczonych ludzi.

Może dlatego w nocy, nie mogąc zasnąć, myślałam o nim, o moim niskim, zmęczonym ojcu, pamiętałam mgliście, że kiedyś był wysoki, a potem się skurczył, jakby przecięty na pół, połowa została z nami, druga połowę zachował dla siebie, i próbowałam go sobie wyobrazić na tle niewysokich gór w naszym osiedlu, tam, gdzie mieszkaliśmy w pierwszym życiu, gór zbyt niskich, pozbawionych ambicji, czemu tam zdawał się wysoki, a teraz jest niski, to nie dlatego, że wtedy byłam dzieckiem, a teraz jestem dorosła, nigdy nie potrafiłam oddzielić w swoim życiu dzieciństwa od dorosłości, przecież i teraz, nie mniej niż wtedy, jestem dzieckiem, tyle że między pierwszym a drugim życiem nie ma żadnego związku, w każdym z nich jestem zarazem i dzieckiem, i dorosłym. A może ojciec dał się przeciąć nie tylko na pół, ale na troje czy nawet na czworo, prawdopodobnie tak trzeba, żeby spokojnie przejść przez życie, trzeba się pewnie podzielić na kilka części, i im więcej myślałam o ojcu, tym ciężiej mi było zasnąć, poczułam, jak budzi się we mnie dawna, niewyjaśniona litość dla niego, i przypominałam sobie, jak przeczytałam kiedyś w gazecie o studentce, która pracowała w hotelu jako dziewczyna do towarzystwa i pewnego dnia pojawił się tam jej ojciec w charakterze klienta, i po raz kolejny zadałam sobie pytanie, kto z nich dwojga jest bardziej nieszczęśliwy, ona czy on, pamiętam, że Joni powiedział, oboje są nieszczęśliwi, ale mnie to nie uspokoilo, musiałam wiedzieć, kto bardziej, kogo obdarzyć moją litością, a ponieważ wyczytałam, że chodzi o studentkę, podejrzewałam każdą koleżankę ze studiów, nawet Netę podejrzewałam jakiś czas, dopóki nie odkryłam, że nie ma ojca. Znowu zastanawiałam się, co też takiego było w tej jego słodkiej przeszłości, przed moim urodzeniem, przeszłości tak idealnej, ekscytującej,

że nic poza nią go nie obchodziło, pejzaże dzieciństwa, przyjaciele z młodości, początek studiów, wynajęte mieszkania, nic nie mogło się równać z tą wzniosłą przeszłością, a ja na swoje nieszczęście nie należałam do niej, tylko do szarej i pełnej rozczarowań teraźniejszości, i pomyślałam, że może jutro o dziewiątej, czy pięć po dziewiątej, zapytam Arie Ewena o tę przeszłość, o wzniosłą, żywą przeszłość mojego niskiego i zmęczonego ojca, ale nic z tego nie wyszło, bo na sztywnym, wąskim ręczniku, który rozpostarł starannie pod moją pupą na eleganckiej kanapie w salonie, wyznaczając granice swobody ruchu, zapomniałam o tym zupełnie i przypomniałam sobie dopiero po kilku tygodniach, w drodze do Jaffy.

Rozdział czwarty

W lustrze nad umywalką w jego łazience, gdzie zostawiłam dwa długie, grube włosy, wyglądałam blado, niemal anemicznie, ale tu, wśród wieszaków w sklepie, błyszczę, mam na policzkach rumieńce, a oczy płoną ogniem zemsty, to moja zemsta na nim, na jego pełnych obcości ruchach, oszczędnych, chłodnych słowach, odzywał się niewiele, głównie częstował mnie suchym, mechanicznym kaszlem palacza.

Ku mojej radości nie ma tamtej sprzedawczyni, zastępuje ją młoda dziewczyna, która z trudem panuje nad sytuacją, więc przerzucam wieszaki, jeżeli będzie, to znak, i rzeczywiście, znajduję tak niegdyś pożądaną sukienkę w kolorze wina, na którą dziś nie ma chętnych, zabieram ją do ciasnej przymierzalni, odczuwam w całym ciele gwałtowne poruszenie, zupełnie jak dzisiaj rano, dopóki nie dostrzegłam wyrazu obojętności na jego twarzy i całe poruszenie nie uskoczyło, nie skryło się jak kopnięte zwierzę, a teraz, kiedy jest tylko ze mną, przestaje się bać i wychodzi.

Gdy się rozbieram, unosi się ze mnie żywiczny zapach jego ciała, drogiego płynu po goleniu i dziwna, odpychająca woń bezpłodnego nasienia, i wszystkie te nuty nikną pod cudną, aksamitną sukienką, czuję jej piękno pomimo braku lustra w maleńkiej kabinie, która kiedyś mieściła nas oboje, jego i mnie. Wspominam z tęsknotą skupione, bolesne spojrzenie, tak inne od tego chłodnego, oficjalnego, z jakim otworzył mi dzisiaj drzwi, co mogło sprawić mu ból, może bliskość dziewczyny o rudych włosach, z którą tak zawzięcie prowadzę korespondencję. Wkładam na sukienkę niebieski sweter i luźne, pochłaniające wszystko džinsy, wychodzę z przymierzalni i powstrzymuje mnie dreszczyk napięcia i przyjemności, więc zamiast wynieść się stamtąd natychmiast, ociągam się z wyjściem, kręcę po sklepie, myszkuję wśród wieszaków, całkiem jak wtedy, w pierwszym życiu, kiedy dziecko umarło i włóczyłyśmy się z matką po ponurych ulicach naszego małego miasteczka. Jak cię pocieszyć, mamó, pytałam, a ona patrzyła na mnie obłąkanymi z żalu oczami, nie mówiąc słowa, aż kiedyś przechodziłyśmy koło wystawy, na której wisiała haftowana sukienka, bardzo kobieca, taka, jakie lubiła, powiedziałam, może pocieszy cię ta sukienka, mamó, i weszłam do środka, ona czekała na mnie na ławce przed sklepem, a ja, tak jak teraz,

włożyłam sukienkę pod ubranie, miałam wtedy z dziesięć lat, ale byłam bardzo wysoka, potem jeszcze celowo kręciłam się chwilę po sklepie, żeby dobrze poczuć napięcie, a kiedy wyszłam, podałam jej rękę i ruszyliśmy biegiem, śmiejąc się jak szalone, rękawy sukienki majtały mi spod płaszcza i zapytałam, to cię pociesza, mamó, a ona nie powiedziała tak, ale i nie powiedziała nie, wieczorem włożyła ją dla mnie i poszłyśmy, objęte, na spacer po osiedlu. Od tamtej pory, ilekroć zauważałam, że jest smutna, znosiłam jej niespodzianki, wracałam do domu promienna i wysypywałam zawartość tornistra na swoje łóżko tylko po to, żeby zobaczyć, jak się śmieje, żeby pośmiać się z nią i poczuć coś z pikanterii życia, próbuję sobie przypomnieć, kiedy to się skończyło, może gdy zobaczyłam, że już jej to nie śmieszy, w moim pokoju piętrzyły się stosy ubrań, biżuterii, książek, a ona zrobiła się gruba i odpychająca, nosiła wyłącznie brzydkie ubrania i wyrzuciła wszystkie swoje klejnoty, zresztą mnie też to już przestało bawić, bo stało się zbyt łatwe, ale teraz, po latach, znów mnie podnieca i kiedy wychodzę ze sklepu, uśmiechając się w kulminacyjnej chwili do sprzedawczyni, mówię sobie, dobrze mu tak, dobrze mu tak, frustracja słabnie, a jej miejsce zajmuje uczucie cichego, potajemnego triumfu, który dla mnie symbolizuje mające dopiero nadejść wielkie zwycięstwo, jego miłość, która jeszcze nadejdzie. Wspierana matczynym uściskiem chroniącej mnie jak pancerz skradzionej sukienki, wyruszam na swoją nową wojnę. Tamtego ranka, kilka tygodni później, kiedy zadzwonił i zaproponował, żeby z nim pojechała do Jaffy, wiedziałam, że to początek zwycięstwa. Właściwie niezupełnie zaproponował, tylko swoim zwyczajem powiedział, jakby do siebie, jadę do Jaffy, sam. Byłam bardzo zdziwiona, słysząc go w telefonie, nie wiedziałam, że ma mój numer, z radości nawet droczyłam się z nim trochę, spytałam, może pojedziesz z Fifką? Tak nazywałam wszystkie jego przyjaciółki, chociaż nie wiedziałam nawet, czy w ogóle istnieją, nigdy mi nic nie opowiadał i tylko czasem mówił przyciszonym, prowokującym tonem: jestem zajęty, byłem zajęty, albo: będę zajęty, tak jakby stado kobiet pasło się pod jego domem.

Wszystkie Fifki są dziś zajęte, odgryzł się, ty jesteś ostatnia na liście.

Powiedziałam, może ja też jestem zajęta? a on się roześmiał, może.

Naprawdę byłam. Rano miałam ćwiczenia, potem spotkanie z kierownikiem katedry, w sprawie tematu pracy. Staruszek wierzył we mnie uparcie, popychał mnie naprzód, zawsze znajdował czas dla mnie i dla moich mglistych planów, Szira twierdziła, że jest we mnie zakochany, ja

zaprzeczałam, ale wiedziałam, że chodzi tu o pewne szczególne uczucie, które, jak każde uczucie, nie będzie trwało wiecznie, wiedziałam, że nie mogę przeciągać struny. Mimo to zadzwoniłam i zostawiłam mu w sekretariacie wiadomość, że jestem chora, a Joniemu napisałam lakoniczną kartkę, mając nadzieję, że zdążę wrócić przed nim, a raczej, że nigdy tam nie wrócę, zostanę w wynajętym pokoju w Jaffie na posadzie utrzymanki, będę patrzeć na morze, uprawiać miłość, a w nocy jeść ryby i pić białe wino, obrzuciłam pożegnalnym spojrzeniem małe mieszkanko, które przez pomyłkę pomalowaliśmy kiedyś na żółto, wszyscy nas pocieszali, że brzydki odcień spłowieje, jednak z czasem tylko się pogłębił. Dziwne, jak mało związałam się z tym miejscem, od lat jest to mój adres, ale nie mój dom, widocznie miałam tylko jeden dom, mój pierwszy dom, w pierwszym życiu, a teraz będę miała tylko jednego mężczyznę i będę od niego chciała tylko jednego. Ale kiedy wkładałam jesienną sukienkę w kolorze wina, a do niej, pomimo chłodu, błyszczące rajstopy i botki, pomyślałam ze strachem, o czym właściwie będziemy rozmawiać, nigdy nie byłam z nim dłużej niż godzinę – dwie, i to w pośpiechu, zazwyczaj w środku dnia, wciąż spoglądając na ciemną plamę zegarka, a tu nagle mam cały dzień, jak nietknięty nożem tort z bitą śmietaną, kusi, ale może zaszkodzić. Fakt, że zawsze mogę słuchać tego, co on powie, zajęty swoimi tyradami, nie będzie wymagał ode mnie zbyt wiele, ale co powiem, jeśli zamilknie, co ja właściwie mam mu do powiedzenia poza tym, że go kocham, i to nawet nie wiedząc za co.

I wtedy pomyślałam, oto sposobność, na którą czekałam, wydaje mi się, że czekam na nią od lat, porozmawiam o ojcu, o moim młodym ojcu, którego nie miałam okazji poznać, i nagle poczułam więź z Ariem, bo przecież nie jesteśmy sobie zupełnie obcy, skoro mamy wspólnego znajomego, oboje znamy go dobrze, tyle że z innych lat, co czyni rzecz całą bardziej interesującą, on zawsze może nas uratować.

Opowiedz mi o moim ojcu, zaczęłam, ledwie wsiadłam do samochodu, jeszcze zanim zapięłam pasy, bojąc się, że stanie między nami chwila ciszy, że zaraz pożałuje, że zaprosił akurat mnie, abym dzieliła z nim cały dzień z życia, które ma tylko jedno. Znow ta dręcząca, ukryta rywalizacja, ukryta tak dalece, że nawet nie wiedziałam, kto jest moją rywalką, jego żona? dziewczyna z fifką? Zaczynało wyglądać na to, że wszystkie kobiety świata, takie to było męczące i niekonkretne.

O twoim ojcu? zdziwił się, wtykając papierosa między mięsiste szaro-brunatne wargi, sądę, że znasz go lepiej niż ja.

Tak, niemal go przeprosiłam, na pozór tak, ale przecież nie da się poznać rodziców naprawdę, wszystko to poza, nigdy w życiu nie odważysz się ukazać swojemu dziecku prawdziwej twarzy.

W tym momencie przypominałam sobie, że on nie ma dzieci, zamilkłam, pochyliłam się lekko, akurat przejeżdżaliśmy koło biura Joniego, i udawałam, że szukam czegoś w torebce, próbując tymczasem wymyślić inny temat do rozmowy, skoro ten odpadł tak szybko.

Był błyskotliwy, dobiegły mnie jego słowa, mówił jakby do siebie, wszyscy twierdzili, że ma przed sobą wspaniałą przyszłość, ale choroba spieprzyła mu życie.

Właśnie się wyprostowałam i mój wzrok natrafił na czerwoną koronę drzewa, w środku zimy i w środku miasta płonęła jak tajemnicze ognisko, pomyślałam, że pewnie źle usłyszałam, i zapytałam, choroba? Jaka choroba?

Papieros niknął mu w ustach, dym wtapiał się w sinawe wargi, kiedy wyjąkał speszony, co, nikt ci nie opowiadał? Ja zapytałam, o czym? Nie wiem, o czym mówisz, a on wyszeptał, przykro mi, zdaje się, że zrobiłem błąd.

Prawie krzyknęłam, opowiedz mi, skoro zacząłeś, mów dalej, jaka choroba, fizyczna, psychiczna?

Ale on już włączył radio i gniewnie szukał stacji. Sunąc łagodnie w dół, opuszczaliśmy miasto.

Powiedz przynajmniej, czy to dziedziczne, próbowałam, ale on rzucił tylko, nic się nie martw, a na koniec powiedział, zapomnij o tym, ja tylko żartowałem.

Przytknęłam czoło do chłodnej szyby, patrząc, jak podąża za nami zawzięcie długi, żółty wąż pobocza. Co to mogło być, nigdy nie kręcili się u nas lekarze, może czasem, ale nie pamiętałam niczego szczególnego, nigdy nie przeszedł żadnej operacji, nie był w szpitalu, tylko grypy, anginy, jak u wszystkich, w domu nie było prawie żadnych leków, więc co to mogło być.

I wtedy przypominałam sobie tamten dzień, w samym środku pierwszego życia, gdy zwariowany pies sąsiadów dopadł świeżo narodzone młode naszej kotki. Myślałam wtedy, że z ojcem coś jest nie tak. Ten pies był nałogowym kotożercą, ale zawsze zostawiał z ofiary jakiś szczątek, żeby wszyscy wiedzieli, że coś było i już tego nie ma, nie wystarczało mu samo

zmiecenie kota z powierzchni ziemi. Tamtego dnia ojciec znalazł nadgryzionego kociaka na schodach, przy wejściu do domu, i zrobił się cały czerwony, nigdy go takim nie widziałam, wziął kocię za ucho, widocznie ucho mu zostało, pobiegł z nim do właścicieli psa i rzucił im je na stół, akurat jedli obiad, w kuchni wspaniale pachniało, zdaje się, że nawet położył je na talerzu sąsiada, między sznyclem a groszkiem, i zaczął płakać.

Pobiegłam za nim zdziwiona, kierując się śladami krwi i jego szlochem, zawsze był taki spokojny, zrównoważony, przejmował się, co ludzie powiedzą, uciszał matkę, znacznie bardziej hałaśliwą od niego, i nagle kompletna obojętność na zdanie innych. Nawet nie lubił kotów, nigdy ich nie głaskał, zawsze strofował nas, żebyśmy myły ręce, a teraz na oczach całego osiedla szaleje z powodu kociaka, którego ledwie znał.

Ostrożnie biegłam za nim, kryjąc się za krzakami w obawie, że mnie zobaczy i obróci przeciwko mnie swój gniew, i widziałam, jak stamtąd wychodzi, szczupły i przygarbiony, spowity kuchennymi zapachami, jak pochyła się pod akacją i wymiotuje, wymiotuje i płacze.

Nie podeszłam do niego. Gdy patrzyłam, jak cierpi tak jawnie, ogarnęła mnie dziwna radość, zawsze w nim wyczuwałam jakieś wewnętrzne cierpienie, stłumione i niewyraźne, ukryte tak głęboko, że nie sposób było do niego nawiązać, pomóc, aż nagle cały ten żal był na wierzchu, jak w płaszczu założonym na lewą stronę, z widoczną podszewką i szwami, nagle wszystko wyszło na mroczne światło zimowego słońca i uwierzyłam, że teraz, gdy to się stało, będę miała innego ojca, wesołego, bo całe cierpienie uszło z niego i wchłonęła je ziemia. Zaczekałam, aż skończy i ruszy chwiejnie do domu, czerwony i cuchnący, obserwowałam go z nadzieją przez cały dzień, żeby zobaczyć, co się w nim zmieniło, ale on prawie nie opuszczał swojego pokoju, nie chciał nawet zjeść z nami kolacji. W nocy nie mogłam zasnąć z powodu jego jęków, wciąż słyszałam, jak lamentuje, jakby to on połknął kocię, które teraz miauczy mu w brzuchu. Nad ranem nabrałam podejrzeń, zaczęłam się zastanawiać, gdzie naprawdę jest zagryzione kocię? Czy zostawił je tam, na pełnym talerzu sąsiada, między sznyclem a groszkiem, czy może je połknął w obłędzie, dopełniając własnym szaleństwem wariactwo psa i dlatego wymiotował pod drzewem, i poczułam zawód tak silny, że mało się nie rozplakałam, bo ten świeżo narodzony kociak był mój, przez chwilę zdawało mi się, że ojciec walczy dla mnie, toczy tę wojnę w mojej sprawie, i dopiero nad ranem zrozumiałam, że to najwyraźniej była inna wojna, prywatna i tajna, której szczegółów nie poznam nigdy.

Rano poszłam pod wielką akację i próbowałam, pełzając wśród kamieni i błota, odnaleźć szczątki kociaka, które wymknęły się ojcu z gardła. Ziemia rozmiękla, bo w nocy padał deszcz, trudno było rozpoznać właściwe miejsce, było tam mnóstwo drobnych, wilgotnych gałązek, wyglądało to jak całe stado kocich ogonków, ułożyłam je w rzędzie i chciałam posegregować, ale akurat znowu zaczęło mocno padać i pobiegłam do domu, a kiedy chciałam wyjść jeszcze raz, matka położyła mi rękę na czole i powiedziała, że jestem rozpalona, że od rana wydaje się jej nie w porządku, i położyła mnie do łóżka, które w jednej chwili wypełniło się wymiocinami, i wśród tego wszystkiego wiedziałam, że nigdy nie będę miała nowego ojca, że możliwa jest tylko zmiana na gorsze.

Czy ta choroba ma jakiś związek z kotami, spytałam Ariego i to pytanie wydało mi się bardzo głupie, i chyba jemu też, bo silniej chwycił kierownicę, trzymał ją z taką samą nieprzyjemną władczością, z jaką trzyma mnie, i spytał, jaka choroba, a ja już wiedziałam, że nic więcej od niego nie wydobędę.

To o czym z nim rozmawiać? Powinnam być czarująca, zabawna, atrakcyjna, a chce mi się tylko spać, szkoda, że nie jestem zwykłą autostopowiczką, wtedy wszystko byłoby znacznie prostsze, bylibyśmy wobec siebie otwarci i naturalni. Może będziemy udawać, że jestem autostopowiczką, proponuję niepewnie, ale on się zapala do tego pomysłu, nawet nalega, żeby stanąć, wysadzić mnie i zabrać po chwili, tak będzie bardziej autentycznie. Musimy w to naprawdę wierzyć, mówi, kiedy wysiadam z samochodu, widzę, jak cofa szybko i parkuje na pobliskiej stacji benzynowej. A jeśli przejedzie koło mnie bez zatrzymania? Tak mało mu ufam. W jednej chwili mogę się stać prawdziwą autostopowiczką, tyle że u innego kierowcy.

Prawie się zdziwiłam, gdy stanął przy mnie, błyskając szerokim uśmiechem zza czystej szyby. Otworzyłam drzwiczki, a on powiedział, jadę do Jaffy, a ty?

Też do Jaffy, odpowiedziałam, zanurzając się w ostrą, żywiczną woń, i obrzuciłam kierowcę badawczym spojrzeniem, przecież każda taka podróż może się okazać ostatnią, on wyczuł to i powiedział, nie masz się czego obawiać, gwałcicielem nie jestem.

To kim jesteś? spytałam, może przypadkiem poznam prawdę, a on się zaśmiał, komiwojażerem, oto kim jestem. Spojrzałam na jego ciemny profil i

nagle wydał mi się Hindusem o śniadej skórze, srebrnych włosach i wysokich kościach policzkowych, starym Hindusem, który posiadał mądrość życiową, wyobraziłam go sobie w zawoju na głowie i roześmiałam się, co ja mam z nim wspólnego? On, lekko zmieszany, zapytał, a ty?

Jestem Awiszag, powiedziałam, pochodzę z kibucu na południu. Byłam w wojsku z taką Awiszag, mieszkała ze mną w pokoju i zawsze zasypiała bez kłopotu, podczas gdy ja przewracałam się z boku na bok do rana, klnąc diabelską bezsenność, i umęczona, zazdrościłam jej rozpaczliwie, marząc, by być nią.

Awiszag, powiedział z entuzjazmem, wyraźnie wolał moje nowe wcielenie, co masz pod rajstopami?

Majtki, powiedziałam, a co myślałeś?

Tak myślałem, powiedział z zawodem, wiesz, Awiszag, spędziłem wiele lat w Paryżu, i zgadnij, co tam odkryłem?

Nie mam pojęcia, odpowiedziałam chłodno, chroniona przed nim przez nowe imię.

Odkryłem, że w Paryżu kobiety nic nie noszą pod rajstopami, powiedział, i wierz mi, to im się opłaca. Zdejmij je, Awiszag, zobaczysz, że nie są ci potrzebne.

I to mi się opłaci, zachichotałam, a on, wracając do zwykłego tonu wyższości, powiedział, nie rób tego dla mnie, rób to dla siebie, poczujesz się bliższa swojemu ciału, mówię ci.

Wcale się nie paliłam, żeby zbliżyć się do swojego ciała, tylko do jego, właściwie nie do ciała, tylko do czegoś bardziej wewnętrznego, co z konieczności z żalem nazywałam ciałem, do długich palców, gładkiej, śniadej skóry i pięknie wykrojonych warg, i oczu, które nagle zbudziły się do życia i zerkały na przemian to na szeroką płaszczyznę szosy, to na moje nogi, nie potrafiąc ukryć nadziei.

Zaczęłam się rozbierać w samochodzie, zdejmować botki, potem rajstopy, wilałam się, żeby ich nie podrzeć, jak wielka pajęczycza o długich, spletanych odnóżach, zdjęłam zbędny rekwizyt, ubrałam się z powrotem i pomachałam mu majtkami, a on się uśmiechnął z zadowoleniem i wepchnął je do kieszeni spodni, jakby to była chustka do nosa. Wysiedliśmy z samochodu i ruszyliśmy przed siebie. Majtki wciąż wystawały mu z kieszeni.

Umyślnie nie pytałam, dokąd idziemy, jak przygoda, to na całego, wiedziałam, że czeka na moje pytanie, żeby się móc zirytować, bo chce, żebym mu w pełni, bezwarunkowo ufała, więc powiedziałam sobie, dzisiaj ćwiczymy zaufanie i życie bez majtek, jakby życie bez majtek było jakimś wzniosłym celem, zaawansowanym etapem na drodze do kobiecości albo raczej do bycia utrzymanką. Wyobraziłam sobie, jak ludzie będą mnie pytać, co robię, a ja z dumą, która ich zaskoczy, odpowiem: jestem utrzymanką.

Myślałam, że pokręcimy się po galeriach albo pójdziemy popatrzeć na morze, ale on skręcił szybko w wąski zaułek, wspiał się po starych schodach, błyskając moimi majtkami, i zapukał do jakichś drzwi, które po kilku minutach się otworzyły i stanął w nich zaspany mężczyzna, jaśniejący z radości.

Arie, powiedział piskliwie, cudownie, że jesteś, już nie wierzyłem, że przyjdiesz, i w tym momencie popatrzył na mnie. Wydawał się zmieszany, ale zadowolony. Arie powiedział, to jest Awiszag, autostopowiczka z kibucu na południu.

Było mi całkiem wygodnie z tą pożyczoną tożsamością, myślałam, co powiedziałyby teraz prawdziwa Awiszag, prawdopodobnie nie byłyby tu w ogóle przyjechała, dziewczyna, która tak dobrze sypia w nocy, nie trafia do takich nor w dzień. To nie była kompletna nora, ale też niezupełnie konwencjonalne mieszkanie, był tam tylko jeden duży pokój z podwójnym łóżkiem w kącie, okrągłym, niskim stolikiem z brązu i małą lodówką, coś jak mieszkanie studenckie, chociaż gospodarz wyglądał raczej na emeryta niż na studenta. Prawdopodobnie widać było po mnie zdziwienie, bo Arie powiedział nagle, jesteśmy w gnieździe rozpusty Szaula, i miałam wrażenie, że spojrzał na łóżko, Szaul zaśmiał się, skrępowany, i zaprzeczył jak dziewczyna, nie, skądże znowu, trochę tu odpoczywam, odosabniam się między jedną rozprawą a drugą, więc popatrzyłam na niego podejrzliwie, skąd te ciągle rozprawy, co on takiego zrobił, i pomyślałam, może jest adwokatem albo i sędzią, chociaż nie wyglądał, nie było w nim odrobiny dostojeństwa, ale jego cnotliwa, wstydliva obecność trochę mnie uspokoiła. Dziwne, że obu nazywa się mężczyznami, pomyślałam, wyglądają na zupełnie inną płęć, jak to jest, że wszyscy mamy tylko dwie możliwości, mężczyźni albo kobiety, jak kawa czy herbata, podczas gdy rzeczywistość jest o tyle bardziej złożona, i ciesząc się, że Szaul nie jest taki jak Arie, uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością. Spytał, czego się napijemy, zawahałam się, czy wybrać kawę, czy herbatę, ale on zaczął wyliczać nazwy piw, whisky i brandy, zachwalać

znakomity koniak, który przywiózł z Węgier, wrócił dopiero tydzień temu, przywiózł też świetne kiełbasy, po drodze zahaczył o Paryż i wziął trochę serów, dokładnie tak to powiedział, jakby cała Europa była wielkim supermarketem, po którym się spaceruje i napełnia wózki, po chwili skarby Europy zostały wyłożone na brudny orientalny stolik, a obok nich stała butelka tak polecanego koniaku, zasiedliśmy dookoła jak przy ognisku, Arie nalał mnie, potem sobie, a potem odkroił kawałek kiełbasy i podał mi do ust w geście zażyłości, ostry smak whisky zmieszał się z ostrym smakiem kiełbasy i dał mi poczucie, że żyję, żyję naprawdę. Wtedy zaczęli rozmawiać o Paryżu, ja nie bardzo słuchałam, przelatywały mi tylko koło ucha nazwy lokali, win, ulic, imiona kobiet, byłam w Paryżu tylko trzy dni i nie mogłam wiele wniesć do rozmowy, chyba to, że miałam tam straszną migrenę, leżałam w hotelu z zamkniętymi oczami i zapamiętałam głównie wzór kwiecistych tapet i różową narzutę na łóżko, ale miło mi się słuchało ich spokojnej pogawędki, byli chyba starymi przyjaciółmi, dobrze się z nimi czułam, cieszyła mnie zwłaszcza obecność Szaula, który jakby strzegł mnie przed Ariem, i miałam wrażenie, że Arie też widzi mnie teraz trochę inaczej, jakby oczami przyjaciela.

Co pewien czas Arie przypalał mi papierosa, wtykał do ust kawałek kiełbasy albo dolewał koniaku, a ja łykałam i żułam, o niczym nie myśląc, rozkoszując się pozycją niemowłęcia, za które ktoś decyduje. Wstałam, żeby się wysuszyć, poczułam przyjemny zawrót głowy, na sedesie na moment zamknęły mi się oczy, a kiedy je otworzyłam, ucieszyłam się, że jestem w tej zdumiewająco przestronnej, jakby przystosowanej dla inwalidów ubikacji. Gdy stamtąd wyszłam, Szaul powiedział, dobrze się czujesz, Awiszag? Niepokoił się o ciebie, i pomyślałam, jak prosto można rozwiązać skomplikowane problemy, wystarczy sobie wymyślić nowe imię, choćby tymczasowe, i stać się innym człowiekiem. Kiedy mijałam fotel Ariego, pogłaskał mnie po nodze i wsunął rękę pod sukienkę, jakby chciał się upewnić, że majtki nie uciekły mu z kieszeni i nie wróciły na swoje miejsce, a potem powiedział, chodź, usiądź na mnie, usiadłam mu na kolanach, on jedną ręką głaskał mnie dalej pod sukienką, a drugą karmił, wpychał mi palce do ust, aż zaczęłam je żuć, trudno było odróżnić palce od kawałków kiełbasy, też były ostre i słone, wreszcie wołałam palce, bo tak się najadłam, że nie mogłam już nic więcej przełknąć, więc po prostu trzymałam jego dłoń jak kanapkę i ssałam ze wszystkich stron, a on dalej rozmawiał z Szaułem, który się zdekoncentrował, głównie przyglądał się mnie i ruchom moich warg, aż w końcu wstał, stanął przy nas, tak że słyszałam jego oddech, i

dotknął mojej twarzy, nosa i oczu, a potem też zaczął wpychać palec do moich ust. Arie cofnął rękę i zrobił mu miejsce, zapalił tymczasem kolejnego papierosa, Szaul gmerał mi w ustach jak dentysta, miał miękkie dłonie, miałam wrażenie, że zaraz rozpuszczą mi się w ustach, poczułam lekki wstręt, widocznie to zauważył, bo wrócił na miejsce, nieco urażony, a Arie roześmiał się i powiedział do niego albo do nas obojga, w porządku, w porządku.

Tak więc moje usta opróżniły się w jednej chwili, a właśnie zachciało mi się coś z nimi zrobić, więc położyłam głowę na ramieniu Arie i zaczęłam całować go w szyję, ucho i w miejsce, gdzie się zaczyna policzek, szczególnie mocno pachnące płynem po goleniu, popatrzyłam na jego ucho, pierwszy raz zwróciłam na nie uwagę, akurat ucho miał całkiem zwyczajne, banalne, ale mnie wydało się ono nagle niezwykle osobliwe, małe w stosunku do twarzy i trochę jaśniejsze, prawie różowe, przez chwilę myślałam, że głęboko w środku ukryty jest mały aparat słuchowy, różowy i okrągły jak czereśnia, wsunęłam palce, żeby go dotknąć, ale nic nie znalazłam, Arie przez cały czas mówił tym swoim przepalonym głosem, oddychał miarowo, bez emocji, ale wyczułam w jego ciele jakieś napięcie, którego wcześniej nie było.

To taki jesteś naprawdę, pomyślałam, zawsze chciałam zobaczyć, jak się rozpala, przy mnie demonstrował tylko chłód i dystans, zupełnie jak maszyna, teraz było inaczej, jego ręce błędziły po mnie z mniejszą obojętnością, napięte i elastyczne. Nagle zaczęło padać, to była istna ulewa, a po niej przyszły grzmoty i błyskawice, małe mieszkanie, mroczne i niestabilne, przypominało arkę Noego, oni zamilkli, oddając głos grzmotom, Szaul patrzył na mnie, miał w oczach nieme pytanie, może się zastanawiał, co dziewczyna taka jak ja robi w uchu żałosnego starucha, przez chwilę sama się dziwiłam, ale Arie, który widocznie wyczuł moje wahanie, zaczął mi zsuwać rajstopy, potem wstał i mnie też zmusił do wstania, rajstopy krępowały mi kolana, i powiedział, chodź do łóżka, będzie ci wygodniej w łóżku, spytałam, ale co z Szaulem, a Arie – Szaulowi to nie przeszkadza, prawda, Szaul? Powiedział to głośno i dobitnie jak przedszkolanka, a Szaul zapiszczał posłusznie, nie, ani trochę, ja sobie tu posiedzę i popatrzę, jakby nam robił grzeczność, Arie rozpiął w marszu rozporek, przez chwilę wyglądaliśmy jak dwoje maluchów biegnących do ubikacji z odsłoniętymi pupami i opuszczonymi spodniami, potem położył się na plecach i czekał, aż skończę ściągać botki i rajstopy i usiądę na nim, jasne było, że tego chce, więc starałam się usiąść z wyprostowanymi plecami i ładnie się poruszać,

jak aktorka, bo cały czas czułam na sobie wzrok Szaula, pierwszy raz miałam widownię i wiedziałam, że to zobowiązuje.

Moje ambicje rosły z każdą chwilą, chciałam zadziwić widzów swoimi wyczynami, więc wyprężyłam się i wygięłam plecy w łuk, aż dłońmi dotknęłam brzegu łóżka i byłam gotowa przyjąć oklaski, ale w ich miejsce usłyszałam dyszenie i szelest zdejmowanego ubrania, i dostrzegłam, że mroczna postać w fotelu bieleje, opadające ubranie obnażyło jasną skórę Szaula, lśnił jak reflektor, a potem już nic nie widziałam, bo Arie się obrócił i zakrył mnie całą, teraz on próbował dokonać imponujących czynów, poruszał gwałtownie miednicą, a ja zaczęłam jęczeć, nie tylko z rozkoszy, właściwie to bolało i zaczynałam mieć dosyć, ale czułam się w obowiązku zadbać o udźwiękowanie tego niemego filmu, moje pojękiwania zagrzewały go jeszcze bardziej, powtarzał jak jakąś mantrę, lubisz to, lubisz to, już miałam chęć wypalić: nie, i zepsuć wszystko, kiedy łóżko ugięło się lekko, jakby spadł na nie ciężki przedmiot, Arie wyszedł ze mnie w jednej chwili i poczułam, jak gładzą mnie miękkie dłonie Szaula, wciąż szukałam ciała Ariego, trzymałam się go, nie chciałam zostać z Szaułem sama, zgodziłam się go przyjąć tylko jako przedłużenie Ariego, poczułam, że ociera się o mnie, że miękkie, biały członek szuka po omacku drogi jak laska niewidomego, Arie trzymał mnie mocno, jakby się bał, że ucieknę, i powtarzał, w porządku, w porządku, lubisz to, brzmiał tak wyraźnie i przekonująco, że wmówiłam sobie, że tak jest, Szaul mówił ciągle, jesteś piękna, jesteś piękna, i cieszyłam się, że Arie to słyszy, Szaul jeszcze kilka razy próbował się we mnie wcisnąć i nie udało mu się, widocznie zestresowała go bujna męskość Ariego, a kiedy zrezygnował, poczułam wielką ulgę, nie obchodziło mnie, że nadal mnie głaszczę, liże po całym ciele, dopóki Arie trzymał mnie mocno. Potem przynieśli butelkę do łóżka i piliśmy, przekazując ją z ręki do ręki jak jakąś wielką prawdę, ostro-słodki smak wrócił i pomyślałam, może jednak warto było się urodzić, Arie z powrotem włożył mi swojego fiuta, wsparłam się na Szaulu i oboje kiwaliśmy się pod wpływem silnych pchnięć Ariego, aż usłyszałam, że obaj kończą prawie jednocześnie, jak idealna para, i poczułam na plecach nasienie Szaula, a z przodu spernę Ariego, byłam jak apetyczna kość, oblizana przez psy czy koty ze wszystkich stron, i przypominałam sobie o psie, który zabił kociaka, o tajemniczej chorobie ojca, o spotkaniu z kierownikiem katedry i o Jonim, i zaczęłam płakać, bez przerwy kołatały mi się po głowie słowa, co się stało, to się nie odstanie, co się stało, to się nie odstanie.

Nic nie zauważyli, zasnęli obaj, Arie tym swoim czujnym, napiętym snem, który już znałam, a Szaul ciężkim snem ludzi starszych i schorowanych, więc poszłam do łazienki, siedziałam tam, siusiając i płacząc, potem wstałam i spojrzałam w lustro, poza zaczerwienieniem oczu wyglądałam tak samo, co mnie trochę uspokoiło, skoro wyglądałam tak samo, widocznie nic się nie stało, weszłam pod stary prysznic i kąpiąc się w ledwie ciepłej wodzie, powtarzałam sobie, w porządku, wszystko w porządku.

Kiedy wyszłam, Arie był już ubrany, znów przybrał oficjalny wyraz twarzy, wyglądał jak hinduski mędrzec, dostojny i daleki, to mnie uspokoiło jeszcze bardziej, bo taki autorytet na pewno wie, co robi, i moje przerażenie rozproszyło się, tymczasem on zapalił papierosa i zrobił kawę, Szaul też się obudził i ponownie obsiedliśmy stół, ja i Szaul nadzy, Arie ubrany, Arie zapytał, nie zimno ci, Ja'ara, ja zaprzeczyłam, a Szaul się zdziwił, jak to Ja'ara, sądziłem, że masz na imię Awiszag, Arie, chichocząc, powiedział, że tak naprawdę nazywam się Ja'ara, a Szaul na to, ładne imię, zdaje się, że córka Kormana też się nazywa Ja'ara, Arie powiedział, bo to jest córka Kormana, zapomniałem, że i ty go znasz, Szaul obruszył się, co znaczy znam, przecież byliśmy razem na studiach, ty, ja i on, Arie powiedział, faktycznie, zapomniałem, a ja, wstydząc się swojej nagości, zaczęłam zbierać ubrania, wstydziałam się zwłaszcza pochylić i wystawić do nich gołym tyłkiem, ale ubrania były na ziemi, więc zaryzykowałam jakiś żaloszny przyklęk i znalazłam się na podłodze.

Słyszałam, jak rozmawiają o tamtych latach i o moim ojcu, o tym, jak od niego ściągali, jak spędzał czas na dyskusjach z wykładowcami, kiedy oni włóczyli się z dziewczynami, jak wszyscy wykładowcy się go bali i jak rzucił studia w połowie przez tę chorobę, i tu zamilkli raptownie. Miałam mdłości i bolała mnie głowa, więc wyciągnęłam się na łóżku, a Arie zapytał ze śmiechem, chcesz jeszcze jedną rundkę? Nie chciało mi się odpowiadać, zwłaszcza że Szaul mnie wyręczył, zostaw ją, daj jej odpocząć, widziałam, że pytanie, jakie przez cały czas miał wypisane na twarzy, ciąży mu coraz bardziej, że nie czuje się dobrze z tym, że omal nie zerznął córki Kormana albo że widział, jak się pieprzyła, i bałam się, że opowie tacie, że wyśle mu anonim i napisze, że jego córka pieprzy się ze staruchami, zamiast przygotowywać pracę, więc próbowałam się skupić na swojej pracy, przejrzeć w myśli listę tematów i któryś wreszcie wybrać, aż nagle straciłam przytomność.

Zobaczyłam, że stoją nade mną jak zatroskani rodzice, Arie w roli ojca, Szaul – matki, zwilżając mi twarz i szyję mokrym ręcznikiem. Budziłam się z długiego, słodkiego snu, najśłodszego z możliwych, trochę bolała mnie głowa, ale to było raczej jak ślad po wielkim bólu, ogólnie miałam wrażenie nagiego i ekstremalnego wyzdrowienia, niemal rewolucji. Uśmiechnęłam się i zobaczyłam, jak z ich twarzy znika napięcie, Arie powiedział, zemdląłeś na kilka minut, ale nie ma powodu do obaw i przyniósł mi szklanke wody, a Szaul zaczął opowiadać, że też mu się to zdarzyło kiedyś w środku rozprawy, wtedy dotarło do mnie, że naprawdę jest sędzią, strasznie mnie rozśmieszyło, że mało się nie przespałam z sędzią, i powiedziałam sobie, nie zrobiłam nic złego, skoro wszystko odbyło się za przyzwoleniem sędziego, Arie spojrzał na swój pusty zegarek i powiedział, musimy się zbierać, Ja'ara, w drzwiach Szaul cmoknął mnie w policzek jak dobry wujek i rzucił, pozdrów tatę, Arie wziął mnie pod rękę i zaprowadził prosto do samochodu, tak że nawet nie widzieliśmy morza, w samochodzie spytałam, gdzie moje majtki, on sięgnął do kieszeni i wyjął rękę pustą, powiedział, chyba zostały, ja na to, rozgoryczona, ale ja je lubiłam, to moje najładniejsze majtki, a Arie powiedział, nie będziemy teraz wracać po majtki, innym razem. Wiedziałam, że nie będzie innego razu, i poczułam się bez nich niekompletna, jakbym wyruszyła w drogę cała, a wracała wybrakowana, i naraz ten wyjazd wydał mi się spiskiem mającym na celu podstępne wyłudzenie moich najpiękniejszych majtek.

Zamilkłam i patrzyłam przez okno, postanowiłam tym razem się nie wysilać, niech on znajdzie tematy do rozmowy, ale on najwyraźniej nie miał najmniejszego zamiaru tego robić, dobrze się czuł sam ze sobą, z kierownicą i piosenkami w radio, i może po półgodzinie przypomniał sobie o mnie i zapytał, to był twój pierwszy raz w ten sposób? A ja powiedziałam, tak, a twój?

Roześmiał się, jak to on, z samozadowoleniem, skąd, przecież mieszkałem w Paryżu w najbardziej gorących latach, wszystkiego próbowałem, wszystkiego, dlatego jest mi ciężko.

Ciężko? zdziwiłam się.

Tak, wszystko mnie już nudzi. Wiem, że to bierzesz do siebie, ale niesłusznie. To ogólne znudzenie, trudne do przezwyciężenia. Potrzeba mi coraz ostrzejszych podniet, ale i te w końcu przestają działać. Sama widziałas, że dla mnie zwykle pieprzenie, mężczyzna na kobiecie, *in-out*, jest mniej porywające niż gimnastyka przed telewizorem.

Z technicznego punktu widzenia masz może rację, wyrecytowałam, ale co z uczuciami? Przecież to one stanowią o różnicy, jeśli interesuje cię kobieta, to i pieprzenie się z nią będzie interesujące, nie? To jak rozmowa, nie?

Czemu sądzisz, że rozmowy są dla mnie interesujące? burknął, to, co ci mówiłem o seksie, odnosi się także do rozmów. Podniety muszą być coraz mocniejsze. A uczucia? Już nie wiem, co to znaczy. Z wiekiem człowiek coraz bardziej zwierzęce czy dziecinnieje, kieruje się wyłącznie potrzebami.

Nagle ogarnęła mnie rozpacz, skrajne zważnienie, jakbym połknęła truciznę i wiedziała, że chociaż bardzo tego żałuję, nie da się mnie uratować, już nic mi nie pomoże, rujnę sobie życie, a on rujnuje sam siebie z nudów. Wtedy położył piękną dłoń na mojej nodze, na pocieszenie, i powiedział, wiesz, kiedy cię zobaczyłem z Szaulem, po raz pierwszy zobaczyłem cię naprawdę, pierwszy raz poczułem do ciebie pociąg. Udzielił mi się jego zachwyty.

Ale to tylko pogłębiło moją rozpacz, to co będzie dalej, spytałam, a on, nic, czemu coś miałoby być, więc powiedziałam, ale ja cię kocham.

On zapytał znowu, dlaczego, co we mnie kochasz.

Jak zwykle zaczęłam się wic, irytowała mnie jego potrzeba ciągłych zapewnień, że jest cudowny, zwłaszcza że było to dosyć dalekie od prawdy, uważałam, że nie liczy się z nikim i jest egocentryczny, dziecinny, zarozumiały i nieczuły, ale wiedziałam, że nie wolno mi nawet o tym wspomnieć. To co we mnie kochasz, spytał znowu, to mnie interesuje naprawdę.

Wreszcie coś cię interesuje, zauważyłam zgryźliwie, lubię odcień twojej skóry i głos, i chód, i sposób, w jaki zapalasz papierosa, wiedziałam, że rozczaruję go tym skromnym i przypadkowym zestawieniem, ale on się uśmiechnął drwiąco i powiedział, jeśli takie drobiazgi budzą w tobie tak wielką miłość, co zrobisz, kiedy spotkasz naprawdę wspaniałego faceta? A ja powiedziałam, dobrze by było, gdyby istniała zależność między rozmiarem miłości a cechami kochanej osoby, ale tak nie jest, i pomyślałam o Jonim i o jego cudownych cechach, Arie sprawiał wrażenie zmartwionego, nie dostał swojej pożywki, bo skoro moja miłość nie jest związana z jego przymiotami, to przecież mu nie schlebia ani nie świadczy o nim, widocznie trudno mu było zrezygnować z bycia kochanym ze słusznych powodów, bo powiedział, myślę, że ty po prostu jeszcze mnie nie rozumiesz, tak głęboko tkwisz w tym,

co dostajesz, a czego nie dostajesz ode mnie, że nie widzisz mnie takim, jaki jestem, w oderwaniu od ciebie, a ja przyznałam, to prawda.

Patrzyłam, jak płyną na nas czarne chmury, ciężkie i niskie, jakby nad naszymi głowami biegła autostrada niebieska, i miałam wrażenie, że zaraz się zatrze granica i albo my się wzniesiemy, albo one opadną i zderzą się z nami, było wcześniej, a jednak na dworze brakło światła i znów lunął deszcz, wprawiając w drżenie samochód. Wsparta o drzwiczki, patrzyłam przez okno i myślałam, że właśnie to powinnam teraz zrobić, otworzyć je i wyskoczyć, tak jak stoję, bez płaszcza, bez majtek, skończyć z tym, bo nie ma innego sposobu, by z tym skończyć. Przysłoniłam oczy i patrzyłam na niego przez palce, jak się patrzy na przerażającą scenę w filmie, której mimo wszystko nie chce się całkiem przegapić, przypominał mi ogromną szarą larwę, te wyłupiaste oczy, grube wargi, różowe uszy i całe to ciemne mięso, jakby trochę za długo gotowane, nieświadomie uśmiechnął się nagle z lubością, a ja pomyślałam, po co ten uśmiech uroczy, fortuna kołem się toczy, i tak mi się spodobał ten rym, że wymyśliłam do niego melodię i nuciłam ją sobie po cichu, aż trochę nabrałam otuchy. Umrzeć zawsze można, powiedziałam sobie, dajmy życiu jeszcze jedną szansę. Teraz widzisz go takim, jaki jest, dobrze, że z nim pojechałaś, bo tylko dzięki temu masz teraz jasność, on szuka potwierdzenia, jest spragniony uznania, jak ty jesteś spragniona miłości, ale cóż, takie jest życie, spragniony zostaje spragniony na zawsze, nic nie dostaje. Więc lepiej od razu zrezygnuj, pozwól, niech nudzi go inna, czemu akurat ty, masz bardziej ekscytujące *rzeczy* do zrobienia, tu lekko się zawahałam, bo nic nie wydało mi się ekscytujące, i przypomniałam sobie tamtą chwilę, gdy miałam usta pełne tłustej węgierskiej kiełbasy i dwudziestu palców.

Dalej patrzyłam na niego z przysłoniętymi oczami, widzę go najdokładniej, kiedy jest rozszczępiony i niepełny między moimi palcami, a ja całkowicie panuję nad sytuacją, i powiedziałam sobie, okej, załóżmy, że mamy miłość do niego, wykreślmy „do niego”, a zostanie nam miłość, miłość jest dobra, nie? Każde dziecko wie, że miłość jest dobra, więc po prostu daj ją komuś innemu. Przypuśćmy, że upiekłaś dla kogoś ciasto, on nie jest zainteresowany, co wtedy robisz? Dajesz je komu innemu. Więc proszę bardzo, weź miłość i przenieś ją wiesz na kogo, na tego, który ma ten sam adres i ten sam telefon co ty. Zaczęłam z całej siły o nim myśleć, o Jonim, próbowałam sobie przypomnieć każdy szczegół z osobna, bo szczegóły były jego mocną stroną, brązowe oczy, długie rzęsy, wargi o cynobrowym, prawie

kobiecy odcieniu i kasztanowe loki, które z początku tak lubiłam mierzwić, i całą twarz jak z kamei, ale wtedy pojawił się inny obraz, Joni kiwał się z boku na bok jak pracujące pełną parą wycieraczki samochodowe, nie rozumiałam dlaczego, a kiedy zrozumiałam, wyrwał mi się okrzyk, wchłonięty przez wnętrze dłoni, bo zobaczyłam go martwego, wiedziałam, że przyjdę do domu i znajdę go dyndającego w łazience, zobaczyłam cień rzęs na bladych policzkach, dokładnie w tej chwili wykopuje krzesło spod nóg. Ktoś mu dziś opowiedział o mnie i o Ariem, nie może dłużej żyć z moim kłamstwem, odejść też nie potrafi, tak jak ja nie potrafię odejść od Ariego. A może potrafi, może właśnie w tej chwili się pakuje albo pisze list pożegnalny, ufałam ci, pisze, a ty mnie zdradziłaś, splamiłaś naszą miłość. Nigdy nie trzymałam cię siłą, nigdy cię nie zameczałam pytaniami, dawałam ci wolność w nadziei, że zrobisz z niej dobry użytek, prosiłam tylko o jedno, żebyś mi powiedziała, kiedy poczujesz, że już mnie nie chcesz, zawsze mówiłam ci, że jesteś wolnym człowiekiem, że nie mam kontroli ani nad twoim ciałem, ani nad duszą, nie chciałam, żebyś była ze mną z przymusu. Chciałam, żebyś każdego dnia wybierała mnie na nowo i była dostatecznie uczciwa, żeby powiedzieć mi o tym, że wybrałaś innego.

Gdyby to było takie proste, powiedziałabym mu, myślisz, że tak się da? Tak – nie, czarne – białe? A jeśli wybrałam kogoś, kto nie wybrał mnie?

Jeśli choćby przez chwilę pragnęłaś innego, powinnaś wykluczyć mnie z gry, powie Joni, niezależnie od konsekwencji, ja będę obstawać przy swoim, ale jeśli nie jestem jeszcze pewna, jeśli potem będę żałować, a on powie zgodnie ze swoją prostą, bezwzględną logiką, w której nie ma miejsca na wątpliwości, powiedziałem, niezależnie od konsekwencji.

Straciłam go, tak czy owak straciłam go, przez ciebie go straciłam, mam ochotę rzucić się z pazurami na tę zadowoloną gębę, złapać za kierownicę i wypchnąć go z samochodu na deszcz, ale on trzyma ją pewnie, jakby mówił, nic nie poradzisz, kotku, ja tu rządę. Możesz sobie pomarzyć, że mnie jutro zobaczysz, myślę, możesz pomarzyć, że mnie zobaczysz pojutrze, za dwa tygodnie, dwa miesiące, dwa lata, idę ratować to, co zostało z mojego życia, jeśli w ogóle coś zostało, i szepczę, Joni, zaczekaj, nie wykopuj krzesła spod siebie ani spode mnie, daj mi szansę, deszcz się wzmaga, Arie klnie pod nosem i boję się, że nigdy nie dojedziemy, że będziemy mieli wypadek, że akurat teraz dopadnie go zawał i nie zdążę już niczego naprawić, i składam ślub, że jeśli wszystko będzie dobrze, jeśli dojadę do domu i Joni zostanie ze

mna, nie zobaczę więcej Ariego, zrobię sobie dziecko z Jonim i będę się zajmować tylko nim i dzieckiem do końca mojego życia.

Szukasz czegoś, zapytał, gdy wjechaliśmy do miasta, przejeżdżając tymi samymi ulicami co rano, tylko w odwrotnym kierunku, a ja powiedziałam, tak, było tu takie drzewo z czerwoną koroną, chciałam je zobaczyć, on spytał, dlaczego, ja powiedziałam, bo jeśli je znajdę, to będzie znak, a jeśli nie, to też będzie znak, a on na to, czyli na jedno wychodzi, i dodał, że też widział tu rano coś czerwonego, ale to była błyszcząca dachówka. Znowu schowałam głowę, kiedy mijaliśmy firmę komputerową, miałam nadzieję, że Joni jeszcze tam jest, tresuje swoją potulną elektroniczną trzódkę. Na rogu naszej ulicy Arie zatrzymał samochód, ja zaprotestowałam, to jeszcze kawałek dalej, a on odpowiedział, wiem, ale trzeba utrzymać się w tak zwanej strefie bezpieczeństwa, nie chcę, żebyś miała kłopoty, powiedział to z naciskiem, jakby co najmniej prowadził kurs dla tajnych agentów, więc spróbowałam przejąć jego sposób myślenia, okazać zimną krew, jak profesjonalistka, zaczęłam mu się przyglądać badawczo, wiedząc, że więcej go nie zobaczę, chciałam nauczyć się tej twarzy na pamięć, żeby ją kiedyś rozwiązać jak rebus. Trzymał mocno kierownicę, pomyślałam, że jeśli ją puści i dotknie mnie, to będzie znak, a jeśli nie, to też będzie znak, tymczasem on puścił kierownicę tylko po to, żeby się podrapać w nos, a potem zapalić papierosa, mniej więcej skończyłam oględziny, więc usiłując zachować zimną krew, rzuciłam, do widzenia, i wysiadłam, a kiedy samochód odjechał, zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam była powiedzieć dziękuję, i w tym momencie uświadomiłam sobie, że nie sprawdziłam koloru jego brwi, czy są jeszcze czarne, czy siwe jak włosy, teraz do końca życia nie dowiem się, jakie ma brwi.

Już przed domem serce zaczęło mi walić ze strachu, ale powiedziałam sobie, zimna krew, zimna krew, nie będzie cię podejrzewał o coś takiego, najwyżej pomyśli, że się kręciłaś po mieście i kupowałaś ciuchy, i w życiu nie uwierzy, że się wybrałaś aż do Jaffy, żeby dostać półtora fiuta, nawet jeśli mu wszystko opowiesz, nie uwierzy, to wielka zaleta prawdy, że trudno w nią uwierzyć. W drzwiach wyszeptalam, Joni, zrób coś dla mnie, niech cię nie będzie w domu, dla twojego własnego dobra niech cię nie będzie, po co ci to, i rzeczywiście go nie było.

W mieszkaniu było ciemno i ciepło, widocznie z powodu burzy wcześniej zaczęli grzać, pogłaskałam rozpalone kaloryfery, jak wierne zwierzęta domowe, no i proszę, tylko ciepło było wcześniej niż ja i jest po

mojej stronie, będzie milczeć. Zlew był pełny, ale już rano był pełny, nie zauważyłam, żeby doszedł jakiś talerz, wróżący coś złego, więc z ulgą zdjęłam ubranie, wepchnęłam je do szafy, wzięłam szybki prysznic, starannie namydlając wszystkie skażone miejsca, włożyłam piżamę i wskoczyłam do łóżka. Najlepiej udawać, że śpię, w ten sposób zyskam na czasie, wyczuję, w jakim nastroju przyszedł, więc leżałam w ciemnym pokoju, rozkoszując się początkowo ulgą, aż powoli ogarnął mnie strach, bo była już szósta czy siódma, a Joni nie przychodził i nie dzwonił, i nikt nie dzwonił, i zaczęłam się bać, że przegapiłam dzisiaj coś jednorazowego, jakiś pociąg, który przejeżdża raz w życiu, i wszyscy wsiedli do niego beze mnie.

Wyobrażałam sobie, jak świętują z dala ode mnie, Joni i moi rodzice, i kierownik katedry, i wszyscy studenci, którzy czekali na mnie dzisiaj, i Szira, kokietująca Joniego w swój nieśmiały, pokrętny sposób, i wtedy wpadłam na pomysł, żeby do niej zadzwonić, ona zawsze wie, co się dzieje, nawet jeśli nic się nie dzieje, wykręciłam jej numer w ciemności, była nawet miła, spytałam, czy Joni się do niej odzywał, bo z nim nie rozmawiałam, a ona powiedziała, 5786543, to jego numer w biurze, i już nie była miła, powiedziała, wybacz, Ja'ara, ale mam gości, byłam pewna, że feta jest u niej, że wszyscy bohaterowie mojego życia siedzą u niej i planują przyszłość beze mnie.

Próbowałam sprawdzić, czy dobrze pamiętam twarz Ariego, która zdawała się stale zasnuta dymem, nawet kiedy nie pali, dym go otacza, zaciera rysy, jakby mówił, szczegóły są bez znaczenia, a za zasłoną dymu - wystylizowana twarz, ten szokujący koktajl powagi i wyuzdania, jakby stał ponad dobrem i złem, tym, co moralne i niemoralne, akceptowane i nieakceptowane, i z gniewem pomyślałam, kto go wyniósł na te wyżyny, i odpowiedziałam sobie, on sam, a potem – ty, czyli ja.

Później, dla uspokojenia i dla zabicia czasu, przeszłam do dalszych sprawdzianów, próbowałam odtworzyć swój pierwszy dom, przypomnieć sobie na przykład, czy ściany były zatarte na gładko, czy nie, i doszłam do wniosku, że na początku tak, a potem nie, i pomyślałam, że ten dom wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać dom, albo jak się uważa, że powinien wyglądać dom, to znaczy, karykatura domu. Był tam nawet dach z dachówki, o ile się nie mylę. Czemu miałabym się mylić, przez prawie dwadzieścia lat to był mój dom, powinnam go znać najlepiej, ale czasem właśnie rzeczy dobrze znane zostają nie poznane, jakby codzienna znajomość zwalniała nas z uważności na szczegóły. Jak w ulubionej opowieści mamy o ciotce Tircy, która w dniu rozwodu, po trzydziestu latach małżeństwa,

chciała sprawić mężowi przyjemność i spytała, ile cukru sypiesz do kawy, a on odpowiedział, że już trzydzieści lat słodzi słodzikiem.

Pięćdziesiątka to nie wiek na rozwód, tak jak dwadzieścia lat to nie wiek na ślub, ale najwyraźniej jeden błąd pociąga za sobą drugi, wzdychała, wpatrując się we mnie groźnie, jakby czekał mnie ten sam los, jeśli nie będę ostrożna. Nie cenila męża należycie, był dla niej za dobry, a ona widocznie chciała trochę pocierpieć, nie chciała przeżyć życia bez swojej porcji cierpienia, więc proszę, dostała ją, i to z nawiązką.

Ciotka Tirca była wysoka i smukła, ładna i zimna, nigdy nie potrafiłam jej sobie wyobrazić cierpiącej naprawdę, zawsze mi się wydawała taka znudzona i obojętna, jedna z tych, które nawet cierpienie śmiertelnie nuży, jej mąż, wujek Aleks, niski, czarny, zapracowany, wyglądał przy niej jak żuk, rozumiałam, dlaczego ją wkurza, tyle że on dość szybko znalazł sobie na jej miejsce młodą żonę, która uważała, że jest cudowny, i rzeczywiście stał się cudowny. Przyprawdzał ją do nas czasem w sobotę, żeby się pochwalić, byłam zadziwiona zmianą, jaka w nim zaszła, wydawał się nagle taki męski, taki pewny siebie, dowcipny, ciotka Tirca też się temu dziwiła za drzwiami sypialni, gdzie się chowała w owe soboty. Matka zawsze powiadamiała ją o terminach wizyt. Mimo że Aleks był jej bratem, wołała Tircę i zapraszała ją, żeby mogła popodglądać sobie z ukrycia, a ojciec się złościł i za każdym razem groził, że to ostatni raz, że nie życzy sobie tych sztuczek. Ja miałam za zadanie przemycać dla ciotki kawę i resztki z naszego stołu i opróżniać jej popielniczki. Pewnego razu wujek Aleks przyłapał mnie z pełną popielniczką i spytał podejrzliwie, co to, Ja'aruś, już palisz, jakby jasne było, że kiedyś jeszcze będę zapełniać popielniczki, to tylko kwestia czasu, nie, powiedziałam, ja tylko trochę sprzątam, a on, pięknie, pięknie, jednak sprawiał wrażenie zatroskanego i potem powiedział matce, że robię się całkiem ładna, ale to niedobra uroda. Dlaczego niedobra, broniła się matka, a on powiedział, taka uroda, jak jej i jej ciotki, zostaje w człowieku i nikt się nią nie cieszy, łącznie z tą osobą. Tirca słyszała to wszystko, paliła papierosa za papierosem, a kiedy szczęśliwa para wychodziła, opuszczała sypialnię wymięta, z czerwonymi oczami, cuchnąca papierosami, i zaczynała obmawiać nową żonę, że się ubiera jak kurwizson, i tak też mówi, i że to dla niej wstyd, że zastąpił ją ktoś taki, i nigdy tego Aleksowi nie wybaczy, a matka mówiła, ależ, Tirca, nie zapominaj, że to ty chciałaś się rozwieść, on by cię w życiu nie zostawił, mimo że wiedział o wszystkich twoich przygodach, i tu zaczynały szeptać, i dopiero pod wieczór Tirca obmywała

twarz, która pomimo jej pięćdziesięciu lat była ładna i gładka, i wychodziła z westchnieniem ulgi, jak człowiek opuszczający saunę, cierpiący do granic wytrzymałości, ale wierzący, że to zdrowe.

Po prostu jesteś sadystką, mówił ojciec do matki w nocy, w sypialni ciągle cuchnącej papierosami, po co ją zawiadamiasz, po co ją ciągle zapraszasz, żeby się tu męczyła, zwyczajnie jej zazdrościsz, że jest wziętym adwokatem, a ty nic nie zrobiłaś ze swoim życiem. Pod pozorem oddania znęcasz się nad nią, nie myśl, że tego nie widzę.

Nie zrobiłam nic ze swoim życiem? – oburzała się matka. – A dlaczego nic nie zrobiłam? Bo całe życie zajmowałam się tobą!

Faktycznie się zajmowałaś! Co przy mnie jest do roboty? Po prostu wolałaś zmarnować życie na bzdury!

Wychowywanie twoich dzieci to bzdury? Troszczenie się o wszystkich to bzdury?

Kim są ci wszyscy? – wściekał się. – Troszczyłaś się tylko o siebie, widziałem, co się stało z dzieckiem, które naprawdę ciebie potrzebowało!

Jak śmiesz, wrzeszczała na niego, myślałby kto, że ty Bóg wie co zrobiłeś ze swoim życiem! Całymi dniami tkwisz w laboratorium jak szczur! Przecież gdybyś skończył studia, a nie przerwał ich w połowie, mógłbyś uratować dziecko, nie bylibyśmy zdani na tych kretyńów lekarzy z tego idiotycznego szpitala! Potem trzaskały drzwi sypialni, matka ścieliła sobie na kanapie w salonie i dosyć szybko zasypiała, jak człowiek o czystym sumieniu, a ja przychodziłam na nią popatrzeć, próbowałam odnaleźć w pokrytej zmarszczkami twarzy jakiś znak prawdy. Jakiej prawdy? Nie zadawałam sobie tego pytania. Pytanie zawsze brzmiało, nad kim się litować, chodziłam od łóżka do łóżka, patrzyłam to na niego, to na nią, pograżonych we śnie, i rozmyślałam, nad którym z nich dwojga się litować, krążyłam z pakietem litości jak z lekiem, którego wystarczy tylko dla jednej osoby, ale ten, kto go dostanie, będzie uratowany, i nie wiedziałam, komu go dać. Czasami zasypiałam na podłodze w połowie drogi między nimi, a rano budziło mnie badawcze spojrzenie czworga oczu, widziałam w nich nieme oskarżenie, tyle lat daremnych prób, żeby mnie sprowadzić na świat, prawie tyle, ile ja żyję, i takie rozczarowanie, cały wysiłek na nic, nie ocalałam ich, ocalenie jest w mojej ciężkiej, dokuczliwej litości i nie wiem, komu ją dać, i w końcu daję sobie, a oni w głębi serca to wiedzą i traktują mnie, jakbym sprowadziła na nich wielkie nieszczęście, za moimi plecami zwołują sądy

polowe, pospiesznie ferują wyroki, obarczają mnie niezliczonymi, drobnymi przewinieniami, które zrastają się, zwłaszcza nocą, w jedną odwieczną winę, poszukującą łóżka, gdzie mogłaby spocząć.

Czasem ojciec rzucał, będzie z niej druga Tirca, to widać, co brzmiało w jego ustach jak przekleństwo, chociaż kiedy się spotykali, wpadali w dobry humor i rozmawiali ze sobą żywo, więc to nie samej Tircy nienawidził, tylko jakiejś jej części, utożsamianej przez niego z kobietą zdradliwością, pychą i okrucieństwem, jakiejś tircowatości, która nie w pełni określa rzeczywistą, prawdziwą Tircę, ale ujawnia się przy próbie jej określenia.

Matka mówiła, bzdura, Ja'ara jest taka ciepła, a Tirca taka zimna, a ojciec odpowiadał z urazą, może w stosunku do ciebie jest ciepła, bo wobec mnie nie.

Jakiego właściwie ciepła chcesz od niej? – atakowała matka. – Czy ty jej dajesz ciepło, że masz takie oczekiwania?

I w tym momencie w drugim pokoju zapaliło się światło, nie słyszałam, jak Joni otwierał drzwi, przyglądałam się, jak zdejmuje płaszcz i zostaje w krótkich spodenkach, aż poczułam gwałtowne ukłucie w sercu. Wyglądał tak młodo, zwłaszcza w tym białym stroju do tenisa, młodo i anielsko słodko, obserwując go z mrocznej sypialni, poczułam wielką dumę, jakby był moim dzieckiem i jakby mnie zdumiewało, że nauczył się tak ładnie chodzić i samemu zdejmować płaszcz, i zapalać światło, wszystko już potrafi zrobić ten mój wspaniały synek, wszystko, a wtedy ruszył w moim kierunku po cichu, nie chcąc mnie zbudzić, stanął w progu, próbując coś dojrzeć w całkowitej ciemności, ja go widziałam wyraźnie, a on mnie nie, nawet nie miał pewności, czy tam jestem, i nie miał odwagi podejść i sprawdzić, patrzyłam na piękne ramiona, widoczne spod kasztanowych loków i jak wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy, dziwiłam się, jak to się dzieje, że takie piękne ciało nie idzie w parze z piękną twarzą.

Kreciku? wyszeptał, ja udałam, że się przeciągam i przecierając oczy, odezwałam się szybko, chcąc uprzedzić jego pytanie, tak, przespałam się trochę, martwiłam się o ciebie, zapomniałam, że masz dziś tenisa, i poczułam się taka szczęśliwa, że wszystko poszło gładko, że jego głos jest łagodny jak zawsze, ale wtedy on rzucił, dzwoniłem na uniwersytet, w katedrze powiedzieli, że nie przysłaś, a ja powiedziałam sobie, zimna krew, zimna krew, i wy bąkałam, tak, źle się czułam, zostałam w domu. Łagodny głos zabrzmiał nagle przerażająco i okrutnie, gdy odpowiedział, wpadłem do

domu się przebrać, ale ciebie nie było, przez moment chciałam mu wszystko wyznać, rozplakać się i opowiedzieć, na jakie dno się stoczyłam, żeby mnie strzegł, nie pozwolił mi więcej wyjść z domu, ale powtórzyłam sobie, zimna krew, przyznać się zawsze zdasz, tymczasem spróbuj wyjść z tego czysta, i powiedziałam, wyskoczyłam na chwilę do apteki po paracetamol. Świetnie, on na to, dosłownie pęka mi głowa, muszę wziąć paracetamol, i w jednej chwili zapalił światło, ja przymknęłam oczy, oślepiła, i wymamrotałam, na pewno mam go w torebce, on przyniósł mi torebkę do łóżka, jak przynosi się matce niemowlę do karmienia, nie lubię ci grzebać w torebce, wiesz, że szanuję twoją prywatność, więc udałam, że szukam, aż wreszcie powiedziałam, tu nie ma, może jest w kuchni, a może przez ten ból głowy zapomniałam go zabrać z apteki i modliłam się, żeby tylko nie zaoferował się pójść po niego, na szczęście akurat zaczęło padać, istne urwanie chmury, i powiedziałam mu, chodź do łóżka, wymienimy się bólami głowy.

Usiadł na brzegu łóżka, ale zaraz poderwał się, jakby przypomniał sobie o czymś niepokojącym, muszę się umyć, śmierdzą potem, nic nie poczułam i byłam trochę zdziwiona, bo zazwyczaj to ja musiałam mu przypominać, żeby się umył, zaczęłam podejrzewać, że może wcale nie wrócił z tenisa, może śmierdzi jakąś kobietą, od razu pomyślałam o Szirze i o tonie, jakim mówiła, mam gości. Jak mecz, spytałam, on powiedział, jak zwykle, i zaczął się rozbierać, więc zapytałam, z kim dzisiaj grałeś, a on, nie pamiętasz, że mam stałego partnera? Przypomnij mi, kto to jest, poprosiłam, a on powiedział, Arie, i miałam wrażenie, że anielskie wargi maskują diabelski uśmiech, i powtórzyłam, Arie? Kto to? Ile ma lat? W moim wieku, powiedział, może odrobinę starszy, nie pamiętasz? Dwa tygodnie temu spotkaliśmy go w supermarkecie.

Odwrócił się do mnie jasnymi, delikatnymi plecami i poszedł do łazienki, a ja powiedziałam sobie, panuj nad nerwami, panuj nad nerwami, nie przerażaj się byle bzdurą, i sama nie wiedziałam, co mnie bardziej przeraża, to, że poszedł się umyć po innej kobiecie, czy że chciał się wymigać, bo wiedział, że kłamię. Jakim cudem ten chłopak nazywa się Arie, bardzo dziwne, na pewno to wymyślił, żeby dać mi do zrozumienia, że wie o wszystkim. I kiedy usłyszałam, jak nuci pod prysznicem, pobiegłam do salonu i przeszukałam mu teczkę, znalazłam kalendarz z telefonami, szukałam pod A, ale nie było żadnego Ariego, przewertowałam cały alfabet i nie znalazłam tego imienia przy żadnym nazwisku, a wtedy Joni zawołał,

Ja'aruś, można ręcznik, więc włożyłam kalendarz do teczki i weszłam z ręcznikiem do dusznej od pary łazienki.

Zawsze mi się zdawało, że to szczyt intymności, najistotniejszy pozytyw bycia z kimś, że można krzyknąć z wanny, ręcznik, i wie się, że ten okrzyk podrywa kogoś z łóżka czy z krzesła, albo odrywa od myszkowania w notesach i prowadzi do szafy, a stamtąd do ciebie, tak wielka jest moc tego słowa.

Stałam więc i patrzyłam, jak się wyciera, miał ciało miękkie jak ciasto i ręcznik pozostawiał ślady i wgłębienia na skórze, i znowu odniosłam wrażenie, że się uśmiecha, więc zanuciłam swoją piosenkę o fortunie, która kołem się toczy, i wróciłam do łóżka. Uznałam, że tylko czas pokaże, jak wygląda sytuacja, tymczasem zobaczymy, czy Joni przyjdzie do łóżka. Jeżeli tak, to znak, że nie wraca od innej kobiety, ale przypomniałam sobie, że ja sama wróciłam od mężczyzny, a mimo to gotowa jestem przespać się z nim, by rozwiać podejrzenia, więc czemu on nie miałby zrobić tego samego, i doszłam do wniosku, że te wszystkie znaki to jeden wielki, męczący i frustrujący zamęt, że już lepiej pogodzić się z tym, że nigdy nie wiemy wszystkiego o tej drugiej osobie, nie wiemy nawet połowy, i pomyślałam, że pewnie jemu się snują po głowie te same myśli, bo też nie wie, i to mnie rozśmieszyło, a potem zasmuciło.

Wszedł do pokoju i spytał, czy jestem głodna, ja powiedziałam, strasznie, i zaraz wpadłam w popłoch, bo skoro źle się czuję, nie powinnam mieć apetytu, i pomyślałam, że oblałam kolejny test, który mi zrobił, ale on zaczął kroić warzywa w kuchni, a jednostajne, miarowe ruchy noża nie wskazywały na jakieś szczególne wzburzenie czy niepewność.

Poszłam za nim do kuchni, wyjęłam jajka, zaczęłam smażyć jajecznicę, objęłam go i powiedziałam, że go kocham, naprawdę to czułam przez chwilę, on się uśmiechnął, wiem, a ja nagle się rozzłościłam, skąd wiesz, może tak tylko mówię, i zrozumiałam, że on niczego nie podejrzewa, ulżyło mi na moment, ale potem zaczęłam żałować, bo podejrzenia, zwłaszcza te wzajemne, czyniły nas równymi, a teraz znów nie byliśmy sobie równi, jak matka i dziecko, bo jego zaufanie sprawiło, że ponownie spadł na mnie ciężar winy, który wcześniej zelżał na chwilę. Poczułam, jak wina panoszy mi się w brzuchu, i cały apetyt uchodzi, więc zamieszałam jajecznicę, która prawie zdażyła się spalić, i powiedziałam, znowu zrobiło mi się niedobrze, wracam do łóżka.

Leżąc w ciemnościach, słyszałam, jak żuje skrupulatnie i gorliwie, jak kroi sobie chleb i macza go w sałatce, rozpoznawałam wszystkie odgłosy, wytarcie ust serwetką, a potem zbieranie naczyń do zlewu, gdzie dołączyły do swoich towarzyszy z wczoraj, jak on dołączył do mnie w łóżku, ciężko wzdychając ze zmęczenia.

Zaczął mnie głaskać, a ja już zapomniałam, czego to znak, i próbowałam się skupić na tym, co lepiej teraz zrobić: jeśli powiem, że nie mam ochoty, wprawdzie nie będzie w tym nic niezwykłego, ale on może właśnie zacząć coś podejrzewać, jakbym nasyciła się seksem na dzisiaj, a jeśli okaże zapał, będzie to podejrzane przez swoją wyjątkowość, jakbym próbowała coś ukryć, nie umiałam wybrnąć z tej gmatwaniny, więc wybrałam ograniczoną współpracę i byłam bierna, ale nie odtrąciłam rąk, które skojarzyły mi się nagle z rękami Szaula, na moment pochwyciłam jego spojrzenie, był załamany i bezradny, nie wiedział, co począć z tym zbiorem moich i własnych członków. Tak mi go było żal, litość spłynęła przeze mnie jak rzeka, aż zwilgotniałam na dole, próbowałam wykrzesać z siebie ogień, jakbym byłam z Ariem albo jakby Arie i Szaul patrzyli na mnie, a to zobowiązuje, więc próbowałam się mocniej ruszać i pieścić go, ale leżał już przy mnie jak martwy, zgaszony, z otwartymi oczami, zapomniałam, co trzeba robić w takich wypadkach, każdy ruch zdawał mi się żaloszny, więc po prostu głaskałam go po włosach, mierzwiłam je i całowałam czoło i oczy, zawsze mniej krępowało mnie dotykanie jego twarzy niż ciała, potem położyłam się obok niego, wzięliśmy się za ręce i spleliśmy ciasno palce, nadzy, lecz aseksualni, jak dzieci w kibucowym przedszkolu, na których nagość nie robi żadnego wrażenia, i słuchaliśmy deszczu. Przez cały czas bałam się, że zechce porozmawiać, ale na szczęście zasnął, słyszałam jego cichy oddech, nawet we śnie jest tak dobrze wychowany, aż przestałam go słyszeć i byłam pewna, że to koniec, to się stało naprawdę, śmierć w kołysce. Taka śmierć pasuje do niego, chociaż nie jest trzymiesięcznym niemowlęciem, dotknęłam jego włosów, nie śmiałam dotknąć twarzy, i myślałam sobie różne głupstwa, na przykład, zobaczmy, jak stygną mu włosy, wyobrażałam sobie, jak wezmą mnie na policję i oskarżą, że jestem morderczynią, bo nie chciałam z nim spać naprawdę, wszyscy mnie będą wytykać palcami i śpiewać zgodnym chórem, ona zamordowała, bo dupcią nie ruszała, a ja powiem, ależ skąd, to nie ja, to była śmierć w kołysce, śmierć aniołów, a oni, nie rozśmieszaj nas, w wieku trzydziestu lat śmierć w kołysce? Nagle zobaczę Szaula w czarnej todze sędziowskiej, podbiegnę do niego i powiem, pamiętasz mnie, Szaul, jestem Ja'ara, córka Kormana, musisz mnie stąd wyciągnąć, a on na to,

Kormana? Kłamiesz, on nie ma córki, ja krzyknę, nie poznajesz? Jak na obce osoby byliśmy w dość zażyłych stosunkach, nawet mój ojciec, który mi zmieniał pieluszki, nie zna mnie tak dobrze jak ty. Zaczynam się rozbierać, żeby sobie przypomnieć, chociaż i to zdaje mi się bezcelowe, myślałby kto, że w moim nagim ciele jest coś wyjątkowego, co zapada w pamięć, a gdy tak stoję przed nim obnażona, próbując nawet odtworzyć ruchy, które wykonywałam wtedy na łóżku, jak w filmie pornograficznym, on sobie przypomina, maca mnie bez entuzjazmu białymi palcami i mówi, tak, możliwe, coś pamiętam, ale ty przecież jesteś z kibucu na Negewie, nie? Nie, odpowiadam, zażartowaliśmy sobie z Ariem, on mruży podejrzliwie oczy, wreszcie mówi, słuchaj, nie mogę cię stąd wydostać, choćbym chciał, nie widzisz, że sam tu jestem w charakterze zatrzymanego, nie sędziego, wyciąga do mnie ręce i widzę, że są zakute w kajdanki, a wszyscy dookoła zaczynają się śmiać i śpiewają, jak zechce, nie jest zła, dupcią rusza jak trza. Ubieram się pospiesznie, wciąż szukając wzrokiem Ariego, powinien tam być razem z nami, a nawet mieć skute nogi, bo to on jest najniebezpieczniejszy, ale go nie ma, Szaul mówi, nie masz co go szukać, on się nie włóczy po aresztach, nie lubi takich miejsc, ja na to, ale ja też nie lubię, a on, gdybyś nie lubiła, nie byłoby cię tutaj.

Rozdział piąty

Kiedy mnie zobaczyła, przesunęła się trochę do ściany, jakby próbując mi zrobić miejsce obok siebie. Łóżko stało pod dużym, stale zamkniętym oknem, za którym widoczny był przypadkowy, ale budzący zazdrość skrawek jasnego, radosnego i podniecającego świata zdrowych. Była tam żółtawa góra, niewysoka, może raczej wzgórze, i parę domów, a łóżko, pchające się uparcie do okna, wyglądało, jakby rosło u jego podnóża, żałosne i wąskie, z ciotką Tircą w środku.

Uśmiechnęła się do mnie niewesoło, wręcz z rozdrażnieniem. Nie znosiła mnie. Po co przyszłaś? – burknęła – mówiłam mamie, że oprócz niej nie chcę nikogo widzieć.

Mama jest dziś zajęta, skłamałam, prosiła, żebym sprawdziła, czy czegoś nie potrzebujesz. Tak naprawdę o nic nie prosiła, po prostu powiedziała, że nie da rady dzisiaj tam pojechać, z własnej inicjatywy wysiadłam przystanek przed uniwersytetem, nie mogłam się powstrzymać, znowu znęcił mnie ciepły, bezpieczny azyl wąskich korytarzy, ciasnych, brzydkich sal, pełnych kaszlu i postękiwania, bólu i daremnych nadziei, nieszczęścia, które skrycie wypuszcza pędy szlachetnej, majestatycznej bladeści.

Pewnie, że potrzebuję, powtórzyła za mną drwiąco, ale nie sędzę, żebyś mogła mi to dać.

Przekonajmy się, co mogłam odpowiedzieć.

Twój wiek, powiedziała, twoją młodość.

Ja też już nie wydawałam się sobie taka młoda. Też miałam czasem ochotę udusić nastoletnie dziewczyny na ulicy, ale tu, w otoczeniu chorobliwie zdeformowanych twarzy, czułam się całkiem młoda i zdrowa, chociaż i to nie dawało mi gwarancji szczęścia. Najwyraźniej każdy ma chęć kogoś udusić z zazdrości, ot, taka piramida, zawsze masz nad sobą kogoś, kto chce cię udusić, nieważne, jak nisko w swoim pojęciu jesteś. Nawet ciotka Tirca w niewygodnym łóżku, z pustym stanikiem pod piżamą, może jeszcze w kimś wzbudzić zazdrość. Co nie znaczy, że to ją musi pocieszać.

Przecież wyglądasz dobrze, powiedziałam.

Tak? zapytała poważnie, wyciągnęła małe lusterko i przyjrzała się sobie podejrzliwie, jakby sprawdzała, czy może mi ufać. Jej twarz była szczuplejsza, niż zapamiętałam, i mniej gładka, ale szczupłość uwydatniała duże zielone oczy o chłodnym, twardym spojrzeniu i wysokie kości policzkowe. Nawet teraz ucieszyłabym się, gdyby ktoś mi powiedział, że jestem do ciebie podobna, dodałam.

Dlaczego miałby tak powiedzieć? Jesteś zupełnie inna, nie jestem twoją krewną. Możesz być najwyżej podobna do swojego wuja Aleksa, czego bym ci nie życzyła. Co u niego? Dodała pospiesznie, jak wygląda teraz, kiedy jest już stary?

Niewiele się zmienił, powiedziałam, włosy ma zupełnie białe, ale nadal jest mały i czarny.

Mały i czarny, roześmiała się, z białymi włosami, i dalej patrzyła w lusterko, jakby spoglądał na nią stamtąd sam wujek Aleks. Ciekawi mnie, jak się zestarzał, bąknęła, znałam każdy szczegół jego twarzy, ciekawe, jak się zestarzały jego oczy albo wargi. Ma zmarszczki wokół ust?

Chyba tak. Nie bardzo pamiętam. Nie zwróciłam uwagi.

Próbowała się rozprostować, w jej ruchach czuło się lęk. Nie wiem, czemu to jeszcze boli, powiedziała.

Kiedy się prostujesz, czy kiedy myślisz o Aleksie?

Jedno i drugie, skrzywiła usta w gorzkim uśmiechu, zapewniali nas, że bóle miną, ale to kłamstwo. Nie te cielesne, a inne tym bardziej nie. Trzeba dobrze ważyć każdy krok, bo jak upadniesz, nigdy ci nie przejdzie. Jeszcze nie widziałam, żeby jakaś rana całkowicie się zagoiła.

Żałujesz? spytałam nieśmiało.

Tak, powiedziała, ale to bez znaczenia, bo gdybym z nim została, też bym żałowała. Tyle że żałowałabym, podczas gdy on byłby ze mną, przynosił mi kawę do łóżka, a tak żałuję, wiedząc, że on jest z inną i to jej przynosi kawę do łóżka. Przypuszczam, że pod pewnymi względami tę pierwszą ewentualność łatwiej znieść.

Wtedy sąsiednie łóżko jęknęło. Było puste, przynajmniej tak sądziłam, dopóki nie zaczęło jęczeć i ze spranej pościeli nie wygrzebała się biała, drobna postać kobieca. Wyglądała, jakby się zbiegła w praniu, ktoś nie

przeczytał instrukcji i uprał w stu stopniach, a wolno najwyżej w czterdziestu, i w ten sposób elegancka wieczorowa suknia zmieniła się w ścierkę.

Dobrze się czujesz, Josephine? spytała ciotka z przesadną troską, podszytą zadowoleniem. Oto ktoś z piramidy, kto z pewnością gotów byłby ją udusić z zazdrości. Wydawała się taka silna i ładna przy tym wraku kobiety o cesarskim imieniu.

Tak, wszystko w porządku, wyświszczała tamta, jej odpowiedź zabrzmiała śmiesznie wobec wcześniejszych jęków bólu. Próbowwała przyciągnąć do siebie wielki wózek inwalidzki, ale im bardziej się starała, tym bardziej wózek zdawał się oddalać. Wysunęłam nogę i nie wstając, popchnęłam go ku niej. Łatwość, z jaką to zrobiłam, była niemal obraźliwa, co mogło być zamierzone, tak przynajmniej musiała pomyśleć Tirca, bo spojrzała na mnie z dezaprobatą, jej oczy mówiły, zawsze cię nie znosiłam, ale teraz nareszcie wiem, dlaczego.

Jednak mała kobietka uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością i zaskakująco zręcznie wskoczyła na wózek, który natychmiast pochłonął ją, jak przedtem łóżko. W jednej chwili pusty wózek zniknął w głębi wąskiego korytarza.

Dokąd ona się tak spieszy? – zapytałam Tircę.

Co cię tak dziwi? – napadła na mnie – myślałaś, że umierający nie mają się dokąd spieszyć? To najbardziej zajęci ludzie, tyle mają jeszcze do zrobienia, a tak niewiele czasu.

Co na przykład? spytałam lekko urażona.

Na przykład jej mąż degenerat przychodzi w odwiedziny codziennie o tej porze, więc ona się spieszy, żeby czekać na niego już przy wejściu na oddział i nie stracić ani chwili z jego pobytu. Szkoda jej nawet tych pięciu i pół kroków między wejściem a salą.

Dlaczego degenerat? zapytałam, a Tirca wzruszyła ramionami, nie wiem, może się mylę. Może mam coś przeciwko mężczyznom w ogóle, przynajmniej przeciwko tym, co obnoszą się ze swoją męskością jak ze sztandarem.

I wtedy weszli. Terkot kół wózka, jej twarz, udręczona jakby przez pomyłkę, bo przeznaczona do całkiem innego życia, do życia głaszcącego i

kołyszącego, jego piękne śniade dłonie na poręczach, każdy palec we właściwym miejscu, i on sam, pchający wózek, z tym swoim drapieżnym chodem, powściąganym przez wzgląd na bezmiar ograniczenia wokół, rosłe ciało w czarnym swetrze, który miał na sobie dokładnie przed tygodniem, kiedy pojechaliśmy do Jaffy, i wypielegnowana twarz, a w niej zgasłe oczy, które nie ożywiły się pomimo zaskoczenia wywołanego moim widokiem.

Ja'ara, powiedział, co ty tu robisz?

Odwiedzam ciotkę, wyszeptalam oniemiała, usprawiedliwiając się, jakbym się wdarła na jego terytorium.

Matka ją przysłała, ochoczo potwierdziła moją wersję Tirca, przypatrując się nam obojgu z rozbawieniem.

Aaa, uspokoił się i przyjrzał się nam uważnie, rzeczywiście jesteście trochę podobne.

Mówiłam ci, uśmiechnęłam się do niej, ale ona czym prędzej zaznaczyła, że nie jesteśmy spokrewnione.

Wszystko wokół poróżwiało, bo słońce zdrowych stanęło w oknie, gotując się do zajścia prosto na łóżko ciotki Tircy, kobieta na wózku posłała Ariemu różowe, wyczekujące spojrzenie, a on powiedział, bez drżenia w głosie, poznaj moją żonę, i wskazał na nią, jakby w tej sali były jeszcze inne możliwości, po czym wskazał na mnie, córka Kormana, a ja nie byłam pewna, czy mam podać rękę, czy wystarczy, że się uśmiechnę, więc uśmiechnęłam się i powiedziałam, bardzo mi miło, ale widziałam, że ona nie jest usatysfakcjonowana, więc wyciągnęłam do niej rękę, a ona westchnęła, jakby to była dla niej wielka fatyga. Szybko cofnęłam dłoń i właśnie wtedy ona wysunęła swoją, różową i pomarszczoną jak u noworodka, a kiedy jej dotknęłam, przeszył mnie prąd, jakby przez dotyk przekazała mi swoją chorobę.

Wstałam i zapytałam, gdzie jest łazienka, pobiegłam tam, stanęłam przy umywalce, namydliłam rękę i tarłam ją długo pod wrzącą niemal wodą, jak to możliwe, żeby to była jego żona, przecież żony kochanków powinny wzbudzać zazdrość, nie litość, a sami kochankowie też nie powinni budzić litości, tymczasem tak mi się go nagle zrobiło żal, że tylko tyle zostało z jego żony, że w jakiś sposób to się odbija na nim, co za los, zakończyć życie bez dzieci, ale w wymiarach dziecka, z dłonią niemowlęcia i króliczymi oczami. Przypomniałam sobie wszystkie sytuacje, kiedy mi mówił w południe, musisz

lecieć, żona zaraz wraca z pracy, albo wyganiał mnie rano, bo dziś się umówili w kawiarni, posługiwał się nią aż do ostatniej chwili, żeby chronić swoją prywatność, podczas gdy ona leżała tu, jęcząc z bólu. Ileż razy wyobrażałam sobie, jak wchodzi do mieszkania, które przed chwilą opuściłam, zmęczona po pracy, ale zadbana i pełna poczucia bezpieczeństwa właściwego osobom, które mają dokąd wrócić.

Usłyszałam, jak drzwi uchylają się nieśmiało, nigdy nie przekręcam zamka w ubikacji ze strachu, że utknę tam do końca życia, i do środka wsunęła się twarz, wciąż oblana różową poświatą, a za nią ramiona i całe rosłe ciało, on dla odmiany pospiesznie przekręcił za sobą klucz, widocznie ma więcej zaufania do zamków niż ja, i stał chwilę, opierając się plecami o drzwi, z rezygnacją omiół wzrokiem sprzęty zebrane w niewielkim pomieszczeniu, wózek z dużą dziurą pośrodku, stojące przy nim kule i splątane przewody na podłodze, jak sztuczne jelita, a potem spojrzał na mnie i z przepaszającym uśmiechem powiedział, muszę się wysiusiać.

W lustrze nad umywalką widziałam jego plecy, usłyszałam ciurkanie i łazienkę wypełnił ostry, odpychający zapach moczu, aż musiałam nabrać jeszcze trochę mydła i zakryć nos, pomyślałam, że trzeba mu powiedzieć, żeby pił więcej wody, to naprawdę niezdrowo mieć taki mocz, ale kto ma mu powiedzieć, kiedy jego żona umiera, tymczasem on spuścił wodę i odwrócił się do mnie z fiutem na wierzchu, z końca fiuta zwisała wielka, ciemna kropla moczu, była prawie czarna, pomyślałam, czemu jej nie wyciera albo nie strząsa, nie mogłam oderwać wzroku od tej kropli, która nie opadała sama z siebie, tylko przeciwnie, zdawała się przylepiona do członka jak żywica do pnia, i jak żywica spoista.

Moje ręce były już czerwone i szorstkie, przypominały ręce praczki, ale nie chciałam zakręcać kranu, bo bałam się ciszy, która wtedy nastanie, więc wzięłam więcej mydła i zaczęłam myć przedramiona, może bakterie już się pną w górę, i zobaczyłam w lustrze, jak zbliża się do mnie powoli i w zmieszaniu otworzyłam szeroko usta, bo od tyłu poczułam, że jego ręce zadarły mi spódnicę.

Myślałem, że cię czegoś nauczyłem, powiedział z rozczarowaniem, kiedy natrafił na majtki, a ja przesunęłam się w bok, pozwalając, by duża głowa wypełniła lustro, zaczerniła je ciężkim, groźnym wzrokiem, i zapytałam, dlaczego mi nie powiedziałeś?

Bo to nie twoja sprawa, rzucił i nieuprzejmie zakręcił kran, nie myjąc rąk. Ona wyzdrowieje, dodał natychmiast, pocieszając siebie czy mnie, odwróciłam się twarzą do niego, ciemna kropla już skapnęła na spodnie, znacząc je powiększającym się kołem, i wtedy podniósł mnie nagle i posadził na umywalce, jak się podnosi dziecko, któremu trzeba szybko umyć pupę, umywalka była zimna, a z ciekącego kranu kapalo mi na ubranie, pochylił się i położył głowę na moich udach, jakby to była poduszka, czekająca tylko na niego, zamknął oczy, oddychał głęboko, a potem zachrapał mi prosto w dziurkę. Jego głowa stała się ciężka, patrzyłam ze smutkiem na siwe włosy, na spękana skórę pod nimi, pełną łupieżu, rozsianego obficie na odzianych w czarny sweter ramionach, i znowu pomyślałam o brwiach, wciśniętych w moje uda, próbowałam sobie przypomnieć, czy są czarne, czy siwe, i nie udawało mi się to.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi, delikatnie, ale stanowczo, i usłyszałam, jak ciotka pyta, Ja'ara, jesteś tam? Wszystko w porządku? Tak, wybąkałam, zaraz wychodzę, i próbowałam zejść z umywalki, ale głowa Ariego była jak z ołowiu, wreszcie pchnęłam go mocno, tak że drgnął, wyprostował się i stanął, chwiejąc się na nogach, więc podprowadziłam go z trudem do wózka z dziurą pośrodku i posadziłam. Głowa mu opadła i znów zachrapał głośno i miarowo.

Miałam uczucie, że w czasie gdy zamknęliśmy się tu sam na sam jak para nowożeńców, którzy znikają na chwilę w środku wesela, stało się coś strasznego, na pewno jego żona umarła i wszyscy go szukają, więc będę musiała powiedzieć, gdzie jest, że zasnął na wózku z fiutem na wierzchu, i wtedy dotarło do mnie, że muszę mu schować fiuta w majtki, inaczej każdy, kto wejdzie do łazienki, zrozumie, że rozegrała się tu scena intymna. Podeszłam do niego, próbowałam podciągnąć majtki i wtłoczyć w nie fiuta, który był obły i śliski jak ryba, jakby w ogóle nie miał łączności z ciałem, tylko wciąż zmieniał położenie, okrągły otwór na końcu też nadawał mu głupi wygląd rybiej paszczy, w końcu widząc, że nic z tego nie będzie, po prostu obciągnęłam piękny, czarny sweter, żeby zasłonić cały interes. Byłam kompletnie spocona od gorąca panującego w szpitalu, ze strachu i z zażenowania, a kiedy drzwi się nie otworzyły, zrozumiałam, że tym razem naprawdę nieprędko stąd wyjdę, bo z lęku przed zamkami nigdy ich nie potrafię otworzyć, lepkie od potu ręce ślizgały się na kluczu, aż usłyszałam kliknięcie i wyleciałam stamtąd, cała drżąca, jak wystrzelona z armaty.

Na szczęście nikt nie czekał przy drzwiach. Ruszyłam przed siebie powoli i zobaczyłam, że ciotka Tirca czyta coś w łóżku, ale z bliska okazało się, że to lusterko, nie książka, ta druga drzemała z głową zwieszoną na oparciu wózka, zupełnie jak jej mąż, i pomyślałam, że mogłabym go tu przywieźć i postawić obok, wyglądałoby jak bliźnięta, para osieroconych i bezdzietnych bliźniąt, Tirca odłożyła lusterko i zapytała, co się stało, martwiłam się o ciebie, i zaraz dodała, a gdzie degenerat? Zdaje się, że wszedł po mnie do ubikacji, powiedziałam, a Tirca zaśmiała się gorzko i spytała, wy się znacie, więc odpowiedziałam, tak, i natychmiast, chcąc zmienić temat, zapytałam, wskazując na jego żonę, co jej jest, a Tirca powiedziała, to już koniec, w ciągu miesiąca będzie wdowcem do wzięcia. Wie o tym? zapytałam. Pewnie, odpowiedziała, teraz lekarze mówią wszystko, a ja przypominałam sobie, jak mi powiedział, ona wyzdrowieje.

Kiedy po kilku minutach wszedł do sali, gotowa byłabym przysiąc, że to diabeł we własnej osobie, tak bardzo się zmienił w jednej chwili, ślad nie został po ciężkim chodzie i starczym pochrapywaniu. Był pełen energii, uśmiechnięty, włosy miał zaczesane do tyłu, a spodnie starannie zapięte i tylko niewyraźna okrągła plama świadczyła o jakimś incydencie. Podeszedł szybko do żony i położył jej rękę na ramieniu, a ona w jednej chwili zbudziła się pod tym dotykiem, uniosła głowę, posłała mu piękny, pełen miłości i wdzięczności uśmiech i położyła drobną króliczą dłoń na jego dłoni.

Lepiej umrzeć w środku życia z miłością niż dożyć stu lat samotnie, szepnęła Tirca, w której oczach dostrzegłam zazdrość. Są tylko dwie możliwości? zapytałam, a ona powiedziała, dwie to i tak dużo, czasem nie ma ani jednej.

Potem wyjrzała przez duże, zamknięte okno i oświadczyła, chcę się trochę przespać, Ja'ara, więc wstałam i powiedziałam, bądź zdrowa, a ona westchnęła, ty też, dbaj o siebie, jakbym to ja była chora. Odwróciłam się w stronę pary gołąbków, zobaczyłam ten sam kochający uśmiech jego żony, który teraz wyglądał raczej na skurcz, i spytałam Ariego szeptem, czy już wychodzi, bo jestem bez samochodu, a on powiedział, zaczekaj kilka minut na zewnątrz, więc usiadłam na ławce przy wejściu do sali, obserwując nieprzerwany ruch pielęgniarek i chorych, który z każdą chwilą wydawał się bardziej bezsensowny. Wyglądali jak mrówki na moment przed zmiążdżeniem przez gigantyczną stopę, wiedzące, co je czeka, a mimo to nie przestające się krzątać w pocie czoła.

Wyszedł dość szybko, patrząc na zegarek, liczył, ile czasu stracił i ile mu jeszcze zostało z tego dnia, i z każdą chwilą jego krok stawał się młodszy, energiczniejszy, aż prawie biegł za nim po schodach, a potem po ogromnym parkingu, najwyraźniej chciał zatuszować chwilę słabości w ubikacji, i rzeczywiście całe zajście zdawało się niemożliwe, jakbym je sobie wymyśliła, pomyślałam, że tylko plama dowodzi, że to się stało naprawdę, ale kiedy usiadłam przy nim w samochodzie i spojrzałam na spodnie, po plamie też już nie było śladu.

Kiedy ruszyliśmy, spytał, co tam właściwie robiłaś? i posłał mi rozbawione spojrzenie, a ja, próbując przybrać lekki ton, odpowiedziałam, już ci mówiłam, odwiedzałam ciotkę.

Ale twoja ciotka jest tu nowa, a ciebie od dawna widuję, jak kręcisz się po szpitalu, wypalił, a ja powtarzałam sobie, zimna krew, zimna krew, pewna, że się czerwienię ze wstydu, bo zawsze czułam, że on wie o mnie coś, o czym nie chcę, żeby wiedział, jednak kiedy to na mnie spadło, byłam zdziwiona.

Dlaczego ja nie widziałam ciebie? spytałam, żeby zyskać na czasie, a on powiedział wyniośle, bo postarałem się, żebyś mnie nie widziała, wiesz, że jestem dobry w tych rzeczach.

To nie zbrodnia kręcić się po szpitalu, usiłowałam się bronić. Zbrodnia to nie jest, powiedziałabym raczej, że to zboczenie, zaśmiał się, a ja poczułam, że szczyt wielkiej fali wstydu wieńczy biała piana wdzięczności, bo teraz nie mam wyjścia, muszę się przyznać i najwyraźniej bardzo tego chcę, więc powiedziałam, wiem, że to zabrzmiało okropnie, ale lubię chodzić do szpitali, tylko tam czuję się bezpiecznie. Kiedy jest mi źle, pokręcę się trochę po szpitalu i uspokojam się, zaglądam sobie do sal, jakbym kogoś szukała, lubię tę atmosferę starannego nadzoru i opieki. Wiem, że wszyscy chorzy zazdroszczą mi, że jestem zdrowa, ale ja im zazdroszczę, że ktoś się nimi zajmuje, stale się o nich troszczy, czasem wydaje mi się, że mają znacznie lepsze życie niż ja.

Co jest takiego złego w twoim życiu? zapytał z nagłym smutkiem w głosie, a ja powiedziałam, nie wiem dokładnie, nic konkretnego, po prostu to, że należy do mnie, że ja należę do niego, że jestem tak głęboko w nim zagrzebana.

Szkoda, powiedział cicho i zaczął pogwizdywać, jego pogwizdywanie natychmiast mnie uspokoiło, bo przypominałam sobie poranki, kiedy

budziło mnie pogwizdywanie ojca, to był znak, że jest w dobrym humorze, że się na nikogo nie złości, to znaczy na mnie ani na nią. Tak przywykłyśmy do tych umownych sygnałów, że matka potrafiła obudzić mnie słowami, dzień dobry, tata rano gwizdał, i cały dzień wyglądał inaczej. Czasem mawiała z dumą w głosie, gwizdał trzy razy, a wtedy byłam pewna, że spali ze sobą w nocy.

Czasem, leżąc bezsennie, próbowałam wyłowić ich głosy ze szmeru zraszaczy, kocich lamentów czy wycia psów, nawet szakale tam były, próbowałam pochwycić jakiś odgłos bliskości. Innym razem mówiłam sobie, nie twoja sprawa, co się dzieje za tymi drzwiami, masz swoje życie, ale zawsze między mną a nimi, między mną a moim życiem obecne było jakieś pierwotne zaburzenie, wypaczenie, błagające o prawo do istnienia.

Dasz wiarę, że tam były prawdziwe szakale? wtrącam się w jego pogwizdywanie, a on pyta, gdzie, i gwizdże dalej, nie czekając na odpowiedź.

Koło mojego pierwszego domu, mówię, kiedy byłam dzieckiem, wiem, że były tam szakale, a jednak nie wierzę. Mam wrażenie, że mi się to przywidziało, podobnie jak całe moje wcześniejsze życie. Wiem, że było, ale nie wierzę. Nie wierzę, że codziennie widywałam rodziców, że jadaliliśmy we trójkę przy dużym stole, że prosiłam ich o pozwolenie na różne rzeczy, że byliśmy rodziną.

Rodzina polega na tym, że trzeba prosić o pozwolenie? roześmiał się, tak, głównie, odpowiedziałam, a on powiedział, dla mnie prawie na odwrót, to ciężka odpowiedzialność, moi rodzice byli zgorzkniałymi emigrantami, bez pracy, bez języka, bez prawa do szacunku, w wieku dziesięciu lat już byłem odpowiedzialny za dziesięć dusz.

Zapalił papierosa i uśmiechnął się z zadowoleniem, dumny ze swojej heroicznej biografii, a ja patrzyłam na niego z zachwytem, wydawał się tak doskonały, idealny, jedyny w swoim rodzaju, z unoszącym się z ciemnych warg szarym dymem, pięknie rzeźbionymi dłońmi na kierownicy, szykownym ubraniem i włosami, które lekko się kręca na końcach, ale żaden kosmyk nie zwija się w pełny lok, nawet oznaki starości zdawały się dopełniać tę doskonałość. Próbowałam go sobie wyobrazić w wieku dziesięciu lat, kiedy spod podartych ubrań wyzierała śniada skóra, na głowie wiły się czarne, brudne kędziory, a w oczach płonął głód. Jak to się stało, że jest taki rozpieszczony?

Jak to się stało, że jesteś taki rozpieszczony, zapytałam, byłam pewna, że dorastałeś w pałacu, a on roześmiał się z zadowoleniem, właśnie dlatego, że przez tyle lat nikt mnie nie rozpieszczał, zaczęłam rozpieszczać się sam, pod koniec życia trzeba próbować osiągnąć równowagę.

A ona cię rozpieszczała? spytałam.

Kto? udał, że nie rozumie, więc powiedziałam, Josephine, z przyjemnością odnotowując dysonans między obcym, wdzięcznym imieniem a żalostną postacią.

Spoważniał natychmiast. Josephine robiła, co mogła, żeby dać mi szczęście, powiedział z patosem, jakbyśmy już kroczyli za jej trumną, a ja skuliłam się jak kopnięty psiak, diabli wzięli całą przyjemność plotkowania z żonatym kochankiem o żonie, oczerniania jej i wysłuchiwania, jaka jest nudna, jak go nie rozumie, nie odpowiada jego wybujałemu temperamentowi. Zamiast tego mam tu faceta pełnego poczucia winy, który robi ze swojej żony świętą. Ciekawe, co Joni powiedziałby o mnie, gdybym była umierająca. Przecież też jestem czyjąś żoną, jakkolwiek brzmi to dziwnie. Czy powiedziałby, że zrobiłam wszystko, żeby dać mu szczęście?

W chwili, gdy pomyślałam o Jonim, samochód wjechał w wąską, zatłoczoną uliczkę i stanął pod naszym domem, ignorując sławetną strefę bezpieczeństwa. Z daleka zobaczyłam wiązkę słabego światła z kuchni, niemal słyszałam chrzęst warzyw krojonych zmęczoną, zdesperowaną i pełną dobrych chęci ręką i poczułam ból w całym ciele, jakbym sama była warzywem na desce do krojenia. Arie, wyszeptałam, nie mogę wrócić do domu, a on zapytał łagodnie, dlaczego. Bo wiem dokładnie, co będzie, wiem, co on powie, co ja powiem, co zjemy na kolację, wiem, jak na mnie spojrzy, to przygnębiające wiedzieć zbyt dużo, chcę zostać z tobą.

Nic nie powiedział, ale samochód powarczał chwilę, po czym ruszył, pospiesznie porzucając nasz budynek i słabe światło w kuchni. On znowu zaczął gwizdać, a ja położyłam mu rękę na kolanie, zamknęłam oczy i myślałam o mrocznej kuchni z małym okienkiem wychodzącym na gęste krzewy, które zamiast rozjaśniać dom, kradnie całe światło, tak że ciemność zawsze zdaje się tam znacznie ciemniejsza, niż jest naprawdę, i o kubły na śmieci, wypełniającym się obierkami, ogarnęła mnie litość nad tym kubłem, który się wypełnia na próżno, i postanowiłam, że po powrocie wy myję go, żeby widać było jego pierwotny kolor, nie pamiętałam jaki, tak był brudny, i próbowałam sobie przypomnieć, kiedy i gdzie go kupiłam i co czułam w

tamtej chwili, czy to mi dało szczęście i czy Joniemu to dało szczęście, i jak długo trwało to szczęście, i jak się skończyło.

Arie położył rękę na mojej dłoni, tylko na moment, bo zaraz mu była potrzebna do kolejnego papierosa, i zapytał, dlaczego się pobraliście. Wtedy przypomniałam sobie, że w dniu, w którym zdecydowaliśmy się na ślub, kupiliśmy ten kubek w pewnym sklepie, który otworzyli akurat tego dnia i zamknęli niemal nazajutrz. Przechodziliśmy koło niego w drodze do domu, wszystko tam było tak nowe i kuszące, nawet kubły na śmieci, więc kupiliśmy biały kubek, taki miał kolor. Zachciało mi się ślubnej bieli, a on wydał mi się jak łabędź, który choćby unosił się w najbrudniejszej wodzie, zawsze zostaje nieskazitelnie biały.

Bo on mi obiecał, że zawsze mnie będzie kochać – powiedziałam w końcu – a wiedziałam, że należy do tych, co dotrzymują słowa.

Tak to jest, kiedy się pozwala, aby lęki kierowały naszym życiem, zaśmiał się, strasznie mi przypominał swoją matkę. Przez chwilę przyglądał mi się badawczo, a ja spytałam, moją matkę? W czym przypomina matkę? Chodzi ci o wygląd czy o to, co powiedziałam? Ale on błyskawicznie zatrzymał samochód i niemal z niego uciekł, jakby się bał, że będę go dalej zamęczać pytaniami, więc wysiadłam i weszłam za nim do budynku, który aż dusił się od nadmiaru roślinności, wspiełam się po schodach, a kiedy drzwi się otworzyły, miałam uczucie, że wchodzę do swojego prawdziwego domu, że wreszcie znalazłam prawdziwy dom, że w nim i tylko w nim rozpocznę prawdziwe życie.

Niespiesznie rozglądałam się po mieszkaniu, taksując wzrokiem meble, dywany i obrazy, jakbym widziała je po raz pierwszy, przecież dotychczas widziałam tylko jego, właśnie próbowałam ocenić, co mi się podoba, a co nie, i gdzie wejdą moje rzeczy, gdy pomyślałam, że wszystko zostawię Joniemu, i przypomniałam sobie, że muszę do niego zadzwonić i wyjaśnić, gdzie jestem, ale wstydziłam się z nim rozmawiać w obecności Ariego, więc powiedziałam sobie, coś wymyślę, kiedy wrócę do domu.

Mieszkanie było zimne, jakby nikt w nim nie mieszkał, jakby zamarzło nagle w środku życia, a także czyste czystością bezwzględna i niecodzienna, jak po dezynfekcji. Kto tu sprząta? spytałam, a on odpowiedział z nutką dumy, ja sam, nie lubię, jak ktoś narusza moją prywatność. Przejechałam palcem po dużym fortepianie i palec wrócił do mnie czysty, więc powiedziałam, wyrazy uznania, kto cię nauczył sprzątać, a on burknął, już

ustaliliśmy, że nie jestem taki znów rozpieszczony, pomagałem matce sprzątać po domach, kiedy twój ojciec zabawiał się w gimnazjum, miałam wrażenie, że usłyszałam gorycz w jego głosie, i pomyślałam, że skoro mówi o tym z goryczą, widocznie to prawda, a jednak bardziej mi to wyglądało na bajkę niż na historię jego życia.

Kręciłam się o krok za nim w płaszczu, obserwując kolejne poczynania, próbując się zorientować w jego trybie życia, jakbym przez samo patrzenie, jak włącza ogrzewanie, miała się o nim dowiedzieć czegoś więcej, widziałam, jak otworzył lodówkę i zlustrował ją z wielką uwagą, chociaż była zupełnie pusta, po czym otworzył zamrażalnik, który też był prawie pusty, wyjął pudełko lodów, przeciął je nożem na dwoje i nałożył na talerzyki. Usiadłam nad talerzem i przyglądałam się lodom, naprawdę nie miałam na nie ochoty w taki ziąb, wydawało się, że są jeszcze z lata, tak mocno przylgnęło do nich kartonowe opakowanie, chciałam spytać, czy w lecie ona, Josephine, już była chora, ale był zbyt pochłonięty swoją porcją, poza tym pomyślałam, właściwie co za różnica, i pchnęłam w jego kierunku talerzyk z zamrożoną różową bryłką, która wcale nie zamierzała się rozpuścić, a on rzucił się na nią, pochłoniął żarłocznie, po czym wyciągnął z szafki whisky, pociągnął łyk prosto z butelki i dopiero wtedy wyjął dwie szklanki, napełnił je i natychmiast opróżnił swoją.

Jak zahipnotyzowana przyglądałam się tej dziwnej prywatnej ceremonii, poczułam nawet dumę, że on do tego stopnia odważa się odsłonić przede mną, to znaczy ignorować mnie. Dopiero po trzeciej szklance spojrział na mnie, prawie ze zdziwieniem, wzrokiem mętym i pełnym goryczy, i powiedział, nic więcej nie mam, chodziło mu chyba o lody, zapalił papierosa, a ja myślałam, jak dobrze mi będzie z nim żyć, bo zawsze będę wiedziała, że mnie nie kocha, nie będę musiała się ciągle dręczyć obawą, że nagle przestanie mnie kochać, i poczułam, że mam ogromną przewagę nad wszystkimi kobietami świata, bo mnie on naprawdę nie kocha.

W mieszkaniu zaczęło się robić ciepło, Arie zdjął sweter, pod spodem miał spłowiały brązowy podkoszulek, który zlewał się kolorystycznie ze skórą, i sam wyglądał jak skóra, zdjęłam płaszcz, on dolał sobie whisky i powiedział, no, dalej, cieszyłam się, że mam na sobie koronkowe body, a nie byle szmatę pod sweter, tak więc zostałam w body i w rajstopach, zaczęłam się lekko prężyć, żeby go podniecić, ale nie reagował, tylko dalej pił i palił, aż twarz mu stężała, słowa zaczęły się lepić do siebie i powiedział, wiesz, że nie mam ci nic do zaoferowania. Przytaknęłam z zapalem, jakbym usłyszała

dobrą wiadomość, podeszłam do niego, głaskałam go po rękach, głównie po miejscach, gdzie skóra łączyła się z podkoszulkiem, całowałam napiętą szyję, zalatującą ostrą wonią szpitala, i rozmyślałam o drobnej kobiecie, która kurczy się z każdą chwilą, wciąż nie docierało do mnie, że to ona jest jego żoną, bardziej przypominała maskotkę niż żonę, dlatego jej bliska śmierć wydawała się mniej zasmucająca niż śmierć ludzka, nawet mniej niż śmierć Tulii, i wyszeptałam mu w szyję, zabierz mnie do sypialni, bo nigdy nie widziałam ich sypialni. Sądziłam, że nie usłyszał, bo się nie ruszył, pomyślałam nawet, że znowu usnął, ale wtedy podniósł się i chwiejnym krokiem podszedł do wiecznie zamkniętych drzwi.

Kiedy się otworzyły, zrozumiałam, dlaczego zamykał je tak starannie. Była to najbardziej przerażająca i aseksualna sypialnia, jaką widziałam, z dwoma osobnymi, wąskimi jak w szpitalu łózkami, z wózkiem inwalidzkim w kącie i zapachem leków, trwającym wśród zupełnie gołych ścian, ja jednak poczułam dziwną ekscytację, bo było to znacznie mniej zobowiązujące niż romantyczna sypialnia, mniej zagrażające, więc pociągnęłam go na jedno z łóżek i czułam, jak się budzi, niemal wbrew swojej woli, topnieje opornie jak lody, które zjadł, i pomyślałam sobie, że im bardziej rośnie jego fiut, tym bardziej kurczy się jego żona, niedługo nie będzie jej wcale, po prostu zniknie, stanie się niedostrzegalna dla ludzkiego oka.

Zaczęłam mu ściągać spodnie z nową dla mnie śmiałością, płynącą chyba z faktu, że pogodziłam się z jego niekochaniem, a nawet wmawiałam sobie, że to jest prawdziwa miłość, że właśnie uczę się kochać, nie oczekując niczego w zamian, i patrząc na jego ciało w majtkach i podkoszulku, i na gładką oliwkową skórę, pomyślałam, że niedługo to będzie moje, za moment to będzie moje. Głaskałam go przez ubranie, zawsze wolałam pieszczoty przez ubranie, wydawały mi się bezpieczniejsze, i całowałam mu majtki, aż usłyszałam, jak mówi, muszę teraz zostać sam, Ja'ara.

Gdybym go nie przyłapała w szpitalu, pewnie powiedziałby, zaraz wróci żona, a tak nie ma wyjścia, musi powiedzieć prawdę, zresztą może i to nie jest prawda, może się z kimś umówił, bo chociaż nie wyglądało na to, żeby był w stanie gdziekolwiek się wybrać, wiedziałam już, że w ciągu minuty potrafi się całkowicie zmienić.

Uniosłam głowę znad jego majtek, a on wymamrotał, źle się czuję, nie będę mógł cię odwiedzić, weź ode mnie z kieszeni pieniądze na taksówkę. Rzeczywiście byłam prawie bez grosza, zresztą cieszyłam się, że mam okazję pogrzebać mu w kieszeniach, ale nie znalazłam tam nic ciekawego, kilka

szekli, zapalniczkę, jakieś papiery ze szpitala i znowu te klucze, co on otwiera tymi wszystkimi kluczami.

Obrócił się na brzuch, pokazując mi szczupły, umięśniony tyłek, i oddychał ciężko, a ja dalej szperałam mu po kieszeniach i rozmyślałam o tym, jak to kiedyś mi się wydawało, że jeśli widziałam goły tyłek faceta, to już go mam w garści. Sądziłam, że wszystko stanowi jedną całość, że jest chuj w sercu, że jest serce w tyłku, jest tyłek w oczach, są oczy w cipce. Nie docierało do mnie, że każdy organ może ciągnąć w swoją stronę i że pewnego dnia będę płakać z zawodu nad tyłkiem kogoś, kogo nie znoszę, a dokładniej, kto mnie nie znosi. Bo kiedy stamtąd wyszłam z głupimi łzami w oczach i widząc, że zaczyna padać, czekałam chwilę przy wejściu do budynku, zatrzymał się koło mnie mały czarny samochód, wysiadła z niego dziewczyna z firką albo inna, podobna dziewczyna z krótkimi rudymi włosami i wbiegła na schody, a ja, pomimo deszczu, uciekłam, żeby nie widzieć, na którym piętrze zapala się światło albo w którym mieszkaniu otwierają się drzwi, cały czas powtarzając sobie, są inni lokatorzy, są inne ewentualności, po co zaraz myśleć o najgorszym, ale nie odważyłam się sprawdzić, jak jest naprawdę. Szłam więc opustoszałymi ulicami, bez parasolki i bez pieniędzy na taksówkę, wyobrażając sobie, jak on wstaje do niej, cały zwarty i gotowy, nawet spodnie mu zdjęłam, żeby się jasnie pani nie trudziła, i jak jej elegancka pizda, na pewno wygolona albo ufryzowana, dostaje to, czego ja chciałam, naprawdę chciałam, może pierwszy raz w życiu poczułam, że rozumiem, co znaczy chcieć, przez chwilę miałam ochotę tam wrócić, ale bałam się poniżenia, więc po prostu szłam z przymkniętymi oczami, myśląc, jak się na nim zemszczę i jaki jest odrażający z tym swoim poczuciem niższości, które dopiero dziś odkryłam, myślałam też o zapachu jego moczu i o starych lodach, rozpuszczających mu się w brzuchu, i o tym, że na pewno tej wspaniałej dziewczynie, która go teraz dosiada, nawet nie przyjdzie do głowy, że tylko cienka warstwa oliwkowej skóry oddziela ją od brudnej kałuży lodów z ubiegłego lata.

Rozdział szósty

Rano nie wiedziałam, co mnie boli bardziej, głowa czy gardło, czy ten pas w środku ciała, *łączący* serce z łonem, żywy i swędzący jak szwy po operacji. Zalaatywałam płynem po goleniu, widocznie Joni zadał sobie trud cmoknięcia mnie w policzek przed wyjściem do pracy, kiedy jeszcze spałam, z początku się na niego wściekłam, zawsze musi się zlewać jak dzieciak, który zabawia się kosmetykami ojca i nie zna umiaru, w życiu się nie pozbędę tego smrodu, ale potem, kiedy zastanowiłam się nad tym pocałunkiem, wzruszyło mnie, że stanął przy mnie, a nawet się pochylił, nawet wysunął do przodu cynobrowe wargi i że zrobił to wszystko, nie oczekując niczego w zamian, bo ja przecież spałam, to zupełnie jak z całowaniem mebla albo umarłego, tylko ty o tym wiesz, nikt ci nie odpowie, nie doceni. Uznałam to za bardzo poważną oznakę jego miłości, może najpoważniejszą z dotychczasowych, usiłowałam opuścić się z łóżka i pocałować podłogę, żeby odtworzyć tamten gest i oszacować rozmiary miłości, a kiedy moje wargi zetknęły się z chłodną zimową terakotą, zobaczyłam pod łóżkiem książkę, pokrytą grubą warstwą kurzu, Bóg wie, jak długo kamuflowała się tam po cichu, sięgnęłam po nią niepewnie i przypomniałam sobie, że kilka miesięcy temu kierownik katedry powierzył mi uroczyście ten unikatowy egzemplarz ze swojej prywatnej biblioteki.

Wzięłam książkę do łóżka, wytarłam przy pomocy pomiętych chusteczek, które uzbierały się wokół mnie w nocy – Joni był pewien, że płacę z powodu biednej ciotki Tircy – a kiedy zaczęłam ją czytać, nie mogłam się oderwać, zrozumiałam natychmiast, że mam temat na swoją pracę: legendy o zburzeniu Świątyni, i pomyślałam, co za szczęście, że Świątynia już nie istnieje, inaczej popełniając najłżejsze wykroczenie, byłabym pewna, że ściągam na nią katastrofę, bo w książce jako powody zburzenia Świątyni wymieniano takie drobiazgi, tak osobiste sprawy, na przykład ta opowieść o czeladniku stolarza, który wykradł podstępnie żonę swojemu mistrzowi, namówił go, żeby ją wygnał, i sam mu pożyczył pieniądze na odprawę dla niej, a kiedy stolarz nie mógł spłacić długu, musiał przyjść do nich na służbę, oni jedli i pili, a on stał obok, dolewał im wina i ronił łzy do ich kielichów. Próbowałam sobie wyobrazić, jak jemy z Ariem kielbasy i popijamy koniak, a Joni napełnia nam kieliszki i płacze, i ze zmartwienia

znowu się rozplakałam, postanawiając, że nigdy nie zostawię Joniego, bo dopiero teraz odkryłam, że on mnie naprawdę kocha, a nie wolno porzucać kogoś, kto cię naprawdę kocha, ale potem pomyślałam, zaraz, a co z tobą, gdzie twoja miłość, i stwierdziłam, że chyba jestem jak ta żona w legendzie, o której nie wiadomo, co czuje naprawdę, można się tylko domyślać na podstawie jej czynów.

Tak dalece mnie pochłonęło rozmyślanie o własnych czynach, że nic nie robiłam, aż zadzwonili z katedry i sekretarka powiedziała, że kierownik mnie szuka, wyczułam w jej głosie, że cieszy się z moich kłopotów, zawsze wiedziałam, że nie rozumie, dlaczego kierownik katedry hołubi akurat mnie, szczerze mówiąc, sama się temu dziwiłam i ciągle czekałam, kiedy to się skończy, kiedy odkryje, że nie jestem tak obiecująca, jak mu się zdawało, i z wielkiej nadziei stanę się wielkim rozczarowaniem. Wiedziałam, że takie rzeczy zdarzają się z dnia na dzień, z jej radości wywnioskowałam, że ten dzień właśnie nadszedł, serce zaczęło mi walić, ścisnęłam grube tomisko i z napięcia zaczęłam zaginać rogi, aż dotarło do mnie, że niszczę unikat z prywatnej biblioteki, i wtedy usłyszałam jego dostojny głos z angielskim akcentem, powiedział, że była rada katedry i są na mnie skargi, że odwołuję dyżury i ciągle nie złożyłam konspektu pracy, i jeśli tak będzie dalej, nie dostanę stypendium ani etatu. Nawet ja nie będę mógł ci pomóc, powiedział, jeśli sama sobie nie pomożesz. Wiesz, ilu chętnych poluje na to stypendium? Zaczekałam, aż skończy, i wyjaśniłam przeproszającym tonem, że sprawa się przeciągnęła, bo nie mogłam znaleźć tematu pracy, ale właśnie dziś rano się zdecydowałam. Kryzys osobowości w legendach o zburzeniu Świątyni, powiedziałam, o tym będę pisać, a on odpowiedział, że dobrze by było się spotkać i porozmawiać, i dodał, zaraz mam wolną godzinę, z przyjemnością ci ją poświęcę. Świetnie, powiedziałam, już wychodzę i natychmiast rzuciłam się do szafy w poszukiwaniu stroju, który byłby odpowiedni dla kobiety robiącej karierę, to będzie mój nowy wizerunek, kobieta robiąca karierę, z obiecującą przyszłością akademicką i kochającym mężem, który nawet schyla się do pocałunku, pomyślałam, że zacznę palić przez firkę i skrócę włosy, wtedy nie będę miała komu zazdrościć, będę zazdrościć tylko sobie, a jeśli kiedyś wpadnę na niego na ulicy, uśmiechnę się wyniośle i nawet się nie zatrzymam. Kto to w ogóle jest? Pompa, która wyssała ze mnie całą siłę, wolę i czas i zawładnęła moim życiem, nie dając w zamian nic poza luksusem zostania bez sił, bez czasu i woli, a wszystko to zrobił z taką obojętnością, jakby wyświadczał mi łaskę, pozwalając, żebym traciła na niego życie.

Włożyłam czarne skórzane spodnie i niebieską bluzkę z aksamitu, która mi pasowała do oczu, i już patrząc w lustro, pożałowałam, że on mnie taką nie zobaczy, że to się zmarnuje na kierownika katedry, ale powtarzałam sobie, zburzenie Świątyni, tylko to się teraz dla ciebie liczy i nic innego, i znów zobaczyłam Joniego, jak nam nalewa koniak, nawet ubrałam go w damski fartuszek z falbanką, taki, jakie noszą kelnerki, zaczęłam się śmiać, aż uprzytomniłam sobie, jakie to smutne.

Zobaczyłam, że Joni wziął samochód, więc poszłam na przystanek, trochę się denerwowałam, bo autobus jeździ dłuższą drogą, koło szpitala, ale tym razem jechał szybko, było wczesne przedpołudnie, ulice były opustoszałe i patrząc na nie, pomyślałam o pustym, porzuconym domu, który w dzieciństwie czekał na mnie, ukryty w sercu gaju cytrusowego. Prowadziły do niego wyłączone słońcem ścieżki, obsadzone nieufnymi, posępnymi cyprysami, wiecznie któryś z nich był pochylony albo złamany, między nimi błyskały wesoło kolorowe gwiazdki lantany, pomarańczowe, lila, żółte, czerwone, białe, miałam wrażenie, że im bliżej domu, tym stają się większe, o, są już wielkości dojrzałej klementynki, gdy dom ukazuje się wreszcie moim oczom, pomimo zaniedbania, ruiny, porzucenia zawsze zaskakujący swoim pięknem. Na własny użytek nazywam go Świątynią. Jest całkiem opuszczony, poza mną bywają w nim tylko głodni i cuchnący robotnicy, nieradzi swoim dniom i nocom, wyczuwam ich gorzki zapach, zapach zmęczenia i sadzy, puszek piwa i tanich sardynek. W chłodne noce rozpalają w domu ogniska, podłoga jest już czarna, ściany też, ale ja widzę ją taką, jaka powinna być, błyszcząca, olśniewająca, piękną i zachęcającą, i chcę, żeby mnie też inni widzieli taką, jaka powinnam być, więc sprowadzam tam ludzi, których kocham, bo zdaje mi się, że tylko tam, w Świątyni, mogą mnie widzieć właściwie. Najpierw zaciągam tam koleżanki z klasy, trochę się boją, czują się nieswojo same w opuszczonych zabudowaniach wśród tysięcy drzew, a potem pierwszego chłopaka, siedzimy na zaniedbanym, zdziczałym trawniku przed domem, na którym potajemnie rosną rzadkie, wybująe kwiaty, i wyobrażam sobie, że to nasz dom, całujemy się między gujawami, gryzę mięsiste owoce, nie zrywając ich z drzewa, żeby pokazać mu, że są zupełnie czerwone, wargi puchną mi od pocałunków i boję się wracać do domu, co powiem rodzicom, że pszczoła mnie użądliła w usta, ale mój chłopak mówi, że wcale nie widać, że są spuchnięte, tylko czuć, że są, jestem na niego zła, to przez niego, ale nie okazuję złości, żeby się nie obraził i nie zostawił mnie samej z rodzicami. Wchodzimy szerokimi, popekanymi schodami i obchodzimy pokoje, odtwarzamy minioną świetność, po wąskich,

krętych stopniach wspinamy się na dach i uderza nas olśniewający, nie-
skończony przepych gajów cytrusowych, ich wszechwładza, nic tylko zieleń,
zieleń, zieleń. Jest już ciemno, gdy zaczynamy wracać, chłód parzy mnie w
usta, mój chłopak zapewnia, że opuchlizny nie widać, a ja nie rozumiem, jak
rzecz tak namacalna może być niewidoczna dla oka, pieką mnie też sutki,
nakrywam dłonią młode piersi pod cienką bluzką, on zrywa garść gwiazdek
lantany i sypie mi na głowę, i właśnie te gwiazdki, nie wargi, zdradzają mnie,
matka mówi, gdzieś ty leżała, masz całą głowę w tym zielsku, ostatni raz
zniknęłaś na cały dzień, słyszysz, a w nocy wydaje mi się, że ojciec mówi do
niej szeptem, czego ty od niej chcesz, po prostu jej zazdrościsz, że ma miłość,
a ty nie. Kilka miesięcy później spałam z nim, z moim pierwszym
chłopakiem, na okopconej podłodze, wśród pustych puszek po piwie,
brykietów, strzępków starych gazet, to był nasz pierwszy raz, a zarazem
ostatni raz, kiedy tam byłam, bo nagle zaczął mnie mierzić swąd dymu,
nawet sufit nade mną był okopcony i już nie widziałam domu takim, jaki
powinien być, tylko takim, jaki był naprawdę, a był opuszczoną, zaśmieconą
rudera, i nawet swojego chłopaka nie chciałam więcej widzieć, bo
przypominał mi o Świątyni, więc dość szybko po tym zdarzeniu się
rozstaliśmy.

Wyjrzałam przez okno i poczułam, że sutki pieką mnie i swędzą jak
wtedy, i pomyślałam o bohaterkach legend, które czytałam rano, młodych,
rozpieszczonych kobietach, które chodziły wybierać jęczmień z końskiego
łajna, o ich zwiotczających, wyciągniętych od głodu piersiach, i o dzieciach,
próbujących wyssać mleko z sutek matek i umierających na ich łonie,
myślałam, jak to dobrze, że nie przyszło mi żyć w tamtych czasach, na
wszelki wypadek osłoniłam piersi ciężką księgą i zobaczyłam, że niebo
zasnuwa się dymem, pomyślałam, niewiarygodne, dym ze Świątyni ciągle się
wznosi i tylko ja go widzę, aż zrozumiałam, że to komin szpitala, mówiłam
sobie, tym razem pojedziesz dalej, nie wysiądziesz, ale nagle wyczułam za-
grożenie, jakby ktoś wzywał mnie na ratunek i nie wolno mi było odmówić,
więc zamiast jechać dalej, na uniwersytet, wysiadłam w pośpiechu, z trudem
unikając zgniecenia drzwiami autobusu, i znalazłam się przy wejściu do
szpitala.

Tylko na kilka minut, postanowiłam, zobaczę, co tam słyhać, i zaraz
złapię następny autobus, nie jestem jeszcze tak bardzo spóźniona, nawet nie
wejdę do sali, tylko zajrzę i sprawdzę, czy ona jeszcze żyje. Przecież z nim nie
zamierzam się więcej widzieć, więc muszę sama zdobyć potrzebne

informacje, chociaż nie mam pojęcia, do czego właściwie są mi potrzebne. Znajomy zapach szpitala, leków, duchoty, jedzenia i ogrzewania spowił mnie jak stary płaszcz, był odpychający, ale jednocześnie uspokajał, usypiał i koił, zwiastował opiekę, która wprawdzie niewiele może pomóc, ale liczą się dobre intencje, było mi znacznie przyjemniej krażyć wśród tych dobrych intencji niż po zimnych korytarzach uczelni, pomyślałam, że jeśli zdarzy mi się to, co wtedy w Jaffie, takie omdlenie, od razu będzie się miał kto mną zająć, dadzą mi łóżko i szafkę, nie będę musiała nikomu wyjaśniać, co tu robię, zastanawiałam się nawet, czy nie udać, że mdleję, żeby zobaczyć, co będzie, kiedy przypomniałam sobie, że czeka na mnie kierownik katedry, i zaczęłam biec, żeby zdążyć ze wszystkim. Ostatni raz biegałam na lekcjach wuefu, ale wtedy nie czułam takiego uniesienia, jakby na końcu trasy miało mnie spotkać coś wspaniałego, zatrzymałam się dopiero przy tamtej sali, dysząc, stanęłam w progu i z ulgą stwierdziłam, że łóżko ciotki Tircy jest puste, tylko lustro błyskało na poduszce jak nóż, a na sąsiednim łóżku z zamkniętymi oczami leżała jego umierająca żona, bielsza od prześcieradła, którym była przykryta.

Podeszłam bliżej i przyglądałam się jej uważnie, jakby była częścią Ariego, jakbym poprzez odkrycie zasady, która nią rządzi, miała dowiedzieć się prawdy o nim. Wyglądała okropnie, ale ujmująco, jak monstrum, w którego ciele uwieczona jest szlachetna dusza i wciąż widać jej zmagania, chwilami zwycięża dusza, a chwilami ohydna powłoka. Kiedy otworzyła oczy, miałam wrażenie, że dusza zwyciężyła, były takie błękitne, prawie radosne, ale gdy rozwarły się całkiem, zrozumiałam, że walka jest przegrana, bo były przerażająco wielkie, i kiedy dotarło do niej, gdzie się znajduje i w jakim jest stanie, ich spojrzenie stało się szkliste. Córka Kormana, wymamrotała z wyraźnym francuskim akcentem, kiedy mnie rozpoznała, skinęłam głową i pomyślałam, że ostatnio coraz częściej słyszę to określenie, w końcu zapomnę, jak się nazywam, tymczasem ona dodała ze znużeniem, twoja ciotka jest na zabiegu, wróci dopiero w południe, zapytałam, na jakim zabiegu, żeby zyskać na czasie, a ona tylko westchnęła, obyś się nigdy nie dowiedziała. Widzę, że dbają o was jak o własne dzieci, rzuciłam, ona z tym samym westchnieniem odpowiedziała, tak, ale kto w środku życia chce być dzieckiem, i z trudem się powstrzymałam, żeby nie powiedzieć: ja.

Chciałam zostać jeszcze parę minut, więc spytałam, czy czegoś nie potrzebuje, nawet mi poszła na rękę, mówiąc, że chętnie wypije szklanekę herbaty, wyjaśniła mi szczegółowo, jak to wykonać, i udałam się ze swoją

misją, dzielnie lawirowałam wśród kranów i umywalek, dumna z zebranych informacji, dwie łyżeczki cukru, dwie saszetki herbaty i dużo mleka, dziwiąc się trochę, że jest jej połowa, a chce wszystkiego za dwoje. Kiedy wróciłam, siedziała już na łóżku z czerwonym swetrem na ramionach i uśmiechem przesadnej wdzięczności na twarzy, jakbym co najmniej uratowała jej życie. Zaczęłam się już niepokoić, po pierwsze czekał na mnie kierownik katedry, po drugie bałam się, że ciotka Tirca wróci z zabiegu i rozzłości się na mój widok, ale najbardziej bałam się tego, że on sam stanie nagle w drzwiach i zobaczy, jak bawię się w siostrę miłosierdzia przy jego żonie. Zamierzałam już iść, ale ona stała się tak przyjacielska, jakby nie mogła się obyć beze mnie, poprosiła, żebym jej podwyższyła zagłówek i podłożyła poduszkę pod spuchnięte nogi, i zawołała siostrę, bo chciałyby dostać środek przeciwbólowy, czułam się taka przydatna, każdy mój krok przynosił wielką korzyść i wywoływał ogromną wdzięczność, więc ciężko mi było się stamtąd wyrwać. Przecież kierownikowi katedry nic już z tego nie przyjdzie, pomyślałam, mnie samej też nie, więc przynajmniej pomogę tej dziwnej istocie, która kwitnie i więdnie dosłownie w tym samym czasie.

Jej nogi były olbrzymie i ciężkie, ciemnożółte, spuchnięte, jakby miały za moment wybuchnąć, a kiedy je uniosła, wypełniły mi całkowicie pole widzenia. Wsunęłam jej poduszkę, która zaraz się rozpląszczyła pod ich ciężarem, i jeszcze jedną poduszkę pod plecy, tak że wyglądała, jakby leżała w wannie, tyle że bez wody, a ona uśmiechnęła się do mnie, wyjęła z szufladki szminkę i pociągnęła nią wargi z zadziwiającą zręcznością, bez lusterka, mnie w życiu się nie udało trafić szminką do ust bez lusterka, czerwień swetra podkreślała piękno jej warg, wydobywała je ze zdeformowanej twarzy i pomyślałam, że może też jest taką pieszczoszką jak Marta, córka Bajtosa, którą los nagle rzucił w końskie łajno, a wtedy oświadczyła uroczyście, jakby w nagrodę za mój trud, nie uwierzysz, pamiętam dzień twoich narodzin.

Naprawdę? – zapytałam dość obojętnie, co ją chyba rozczarowało, nie uważałam, żeby dzień moich narodzin miał budzić wielkie emocje, a już na pewno nie w niej, ale ona odpowiedziała, tak, tak się złożyło, że tego dnia poznałam Ariego, pamiętam, jak mi powiedział, moja przyjaciółka po wielu latach starań urodziła dzisiaj córeczkę.

Przyjaciółka? – spytałam. – Na pewno powiedział przyjaciółka, a nie przyjaciel? Zdaje mi się, że to mój ojciec był jego przyjacielem, nie mama, ale ona pokręciła stanowczo głową, pamiętam każde słowo, jakie padło tamtego

dnia, powiedział przyjaciółka i tak to przeżywał, jakby sam był ojcem. Pamiętam, że piliśmy za twoje zdrowie, siedzieliśmy w jakimś barze w Paryżu i Arie otworzył butelkę szampana.

Wzięła przygotowaną przeze mnie szklanę herbaty i uniosła ją w uroczystym geście, chciała mi zademonstrować, jak popijali szampana w tamten wieczór, ale zaraz zaczęła kasłać, rozlewając herbatę na prześcieradło, jej oczy poczerwieniały i zaszły łzami, trudno by było o bardziej dosadną ilustrację dramatycznego dystansu, jaki dzielił tamten dzień od dzisiejszego.

Wzięłam od niej szklanę, wytarłam prześcieradło i przyniosłam wodę, piła ostrożnie, czerwień w jej oczach mieszała się z błękitem, aż pojawiły się w nich fioletowe plamy, co wyglądało jak mapa bez podpisów, mój dawny koszmar z lekcji geografii, rozpoznawanie krajów i miast wśród plam podobnych jedna do drugiej, w życiu nie udało mi się niczego rozpoznać, z jej oczu też nie wyczytałam wiele, kiedy odezwała się jakby do siebie, nawet nie wiedziałam wtedy, że jestem w ciąży, powiedziała to tak, jak się opowiada o zabawnym incydencie z dzieciństwa, który śmieszy tylko samych zainteresowanych, ale ja nie mogłam się powstrzymać i zapytałam, w ciąży? Myślałam, że nie macie dzieci.

Nie mamy, nie mamy, zniecierpliwiła się, byłam wtedy z kimś innym, zamierzaliśmy się pobrać, ale tamten wieczór, wieczór twoich narodzin, wszystko zmienił. Nie wiedziałam jeszcze, że jestem w ciąży, powtórzyła, nie rozumiałam, dlaczego zwymiotowałam twojego szampana.

A co z dzieckiem? spytałam, czując w całym ciele niemiły dreszcz, jakby chodziło o mnie, a ona powiedziała, nie było żadnego dziecka, już po tygodniu spakowałam walizkę i zamieszkałam z Ariem. On nie chciał mnie w ciąży z innym mężczyzną, więc skończyłam z tym.

Myślała pani, że będzie pani miała dzieci z Ariem, starałam się zatuszować nieodwracalność jej kroku, ale ona odpowiedziała, nie, wiedziałam, że nie będziemy mieli.

Mimo to zrezygnowała pani z ciąży, powiedziałam z nutką nagany w głosie, którą bezskutecznie starałam się ukryć, a ona odpowiedziała stanowczo, tak, zrezygnowałam, jakby dawała do zrozumienia, że z radością zrobiłaby to znowu.

I nie żałuje pani? spytałam niemal błagalnie, całkowicie utożsamiając się ze zgładzonym płodem.

Bardziej żałuję, że nie posłali mnie do szkoły baletowej, powiedziała z budzącym zakłopotaniem gniewem chorych, którzy nagle uczepią się jakiejś bzdury i robią z niej aferę, nie uwierzyłyabyś, ile się nabłagałam ojca, a on mówił, że nie ma pieniędzy. Dziś w nocy znowu mi się to śniło. Odkąd zachorowałam, bez przerwy śni mi się, że jestem na lekcji baletu, płynę w białym stroju z innymi dziewczynkami. Jestem pewna, że gdybym się uczyła baletu, nie byłabym dzisiaj chora. Nigdy ojcu tego nie wybaczę.

On jeszcze żyje? spytałam, zaskoczona jej agresywnością, a ona powiedziała, nie, ale jakie to ma znaczenie, ja też już nie żyję.

Jej powieki zamknęły się, pomyślałam, jak zgrabnie by to wyszło, gdyby właśnie teraz umarła, po tym ostatnim zdaniu jak z filmu, wreszcie to on będzie musiał się u mnie prosić, przyjdzie na kolanach, żeby usłyszeć ode mnie ostatnie słowa żony, ja oczywiście podręcę go trochę, będę udawać, że zapomniałam, a może w ogóle lepiej będzie skłamać z premedytacją, naopowiadać, jak strasznie żałowała tamtej ciąży, i niech się z tym męczy do końca życia, ale zobaczyłam, że spuchnięte nogi drgnęły, usiłowałam ją sobie wyobrazić w białych baletkach, i wtedy otworzyła oczy i spojrzała na zegarek, może chciała obliczyć, ile czasu zostało do jego przyjścia, a ja nagle wpadłam w popłoch, bo dokładnie to powinnam była zrobić, ale nie teraz, tylko pół godziny temu, jak tylko weszłam. Z przerażenia nie byłam w stanie ruszyć ręką, więc spojrzałam na jej zegarek, a dopiero potem na swój i trochę się zdziwiłam, że u mnie i u niej jest identyczna godzina, punkt dwunasta, właśnie skończył się czas, jaki przeznaczył dla mnie kierownik katedry.

Akurat teraz, kiedy nie miałam już nic do stracenia, zaczęłam się denerwować, powiedziałam jej, że jestem spóźniona na zajęcia, na co ona skinęła głową ze zrozumieniem, i poprosiłam, żeby nie mówiła ciotce Tircy o mojej wizycie, bo będzie jej przykro, ona przytaknęła ponownie, i zobaczyłam, że kolory w jej oczach rozdzieliły się, niebieski był znowu pośrodku, czerwony dookoła, kiedy się odezwała z powagą, mam nadzieję, że się nie obraziłaś, spytałam, o co, a ona odpowiedziała, o to, że zwymiotowałam twojego urodzinowego szampana, a ja, nie wiedząc, czy to żart, powiedziałam, skądże znowu, na zdrowie, i zaraz pomyślałam, że chyba nie mogło być gorszej odpowiedzi. W efekcie wyniosłam się stamtąd dość nagle, zanim strzełę kolejne głupstwo, przy drzwiach chciałam zapytać raz jeszcze, czy jest pewna co do tamtego dnia, czy on naprawdę powiedział

przyjaciółka, nie przyjaciel, ale poczułam, że nie wolno mi zostać tam ani chwili dłużej, że robię się chora na myśl o jej poświęceniu, więc uciekłam, znów przemierzyłam biegiem korytarze i dopiero kiedy wypadłam na zimne, szare powietrze, poczułam, że jestem uratowana.

W autobusie próbowałam wymyślić jakieś usprawiedliwienie, ale nie mogłam się skupić, tak bardzo mnie zadziwił jego udział w moim życiu, nawet poczułam gniew, jakim prawem on się w ogóle wzruszył, kto mu pozwolił się wzruszać, podczas gdy ja leżałam w przezroczyściej klatce, dlaczego tak się wzruszył, kiedy się urodziłam, a teraz jest taki obojętny, szkoda, że nie może być odwrotnie, i dlaczego powiedział wtedy przyjaciółka, nie przyjaciel, przecież między nim a matką panowała jawna wrogość, i tak mnie to zaprzętało, że ledwie dotarło do mnie, że już wjeżdżam ruchomymi schodami na uniwersytet i że naprzeciwko mnie tymi samymi schodami zjeżdża kierownik katedry, pogrążony w żywej rozmowie ze swoim asystentem, zawahałam się, czy nie zjechać za nimi, ale nie miałam siły, tyle się dziś nabiegałam, więc postanowiłam napisać do niego ładny list, w którym przeproszę i podam przekonujące wytłumaczenie.

W poszukiwaniu spokojnego miejsca, gdzie mogłabym sformułować list, weszłam do biblioteki. Wystraszyły mnie równe zagony głów pochylonych jak słoneczniki po zmierzchu, więc usiadłam w odległym kącie, gdzie nikt mnie nie widział. Wszyscy mozolą się nad referatami i tylko ja siedzę nad głupim listem z przeprosinami, naprawdę pilniejszą sprawą jest, żebym wreszcie zaczęła pisać pracę, list mogę mu później włożyć do przegródki, więc zaczęłam wędrować wzdłuż regałów, próbując znaleźć coś na temat legend o zburzeniu Świątyni, wzdrygałam się na widok każdego, kto mnie mijał, wydawało mi się, że każdy ma dla mnie przykrą nowinę, i myślałam o arcykapłanie, do którego przysłała mężatka podejrzana o cudzołóstwo, żeby poddać się próbie wody, a on wyszedł do niej z pucharem gorzkiej wody przekleństwa i odkrył, że to jego matka.

To właśnie wśród tych regałów po raz pierwszy zobaczyłam Joniego, krążyłam tam ze skrzypiącym wózkiem z książkami, a on niby przypadkiem przechodził z Szirą, Szira dała mi znak, że to ten, słońce akurat padło mu na twarz i natychmiast zauważyłam, że wbrew radom lekarzy w wieku młodzieńczym poświęcił sporo czasu na wyciskanie pryszczycy. Słońce oświetliło każdy z licznych dziobów, ale mnie nawet uspokoiło, że jego defekty są tak widoczne, było coś jawnego i budzącego zaufanie w człowieku, który swobodnie chodzi z taką skórą bez pończochy czy maski na twarzy, i

zaraz uniosłam kciuk, dając Szirze znak, że jeśli chodzi o mnie – wszystko w porządku.

Potem, kiedy spotkaliśmy się ponownie, byłam rozczarowana, że dzioby nie są tak wyraźne, jak zapamiętałam, widocznie kąś, pod którym słońce padało wtedy między regały, był naprawdę zabójczy. Dzioby tuliły się wiernie do jego policzków i brody, chciałam ich dotknąć, zaprzyjaźnić się z nimi, żeby stały się także moją własnością.

Siedzieliśmy w małej kawiarence, otoczonej zielonkawym kręgiem gęstej trawy, między nami stał koszyczek świeżego białego chleba, śląc ku mnie rzewne zapachy i przypomniałam sobie, jak siedziałam dokładnie w tym samym miejscu z chłopakiem, który mieszkał koło piekarni, zaledwie kilka godzin przed naszą jedyną nocą. Mieliśmy coś rozstrzygnąć, nie pamiętam dokładnie co, ale to miało związek z dziewczyną, z którą był od wielu lat, i jak mówił, pragnął mnie, ale był do niej przywiązany, powiedziałam, ustalmy z góry, że będziemy ze sobą tylko jedną noc, a on się zgodził, nawet ucieszył, oboje się cieszyliśmy, jakbyśmy znaleźli jakiś trik, sprytny sposób, żeby zjeść ciastko i mieć ciastko, i tamte godziny, płynące w gorączkowym tańcu ku naszej jedynej nocy, były najśłodsze, bo całe napięcie zniknęło, kiedy z góry ustaliliśmy, jak to się skończy, potem wstałam i przeciągnęłam się, moje ciało wyprężało się nieskończenie, stoliki wokół patrzyły, jak rosnę, jak każdy członek podwaja się i potraja, ręce muskają sufit kawiarni, i wtedy on wstał i objął mnie, nie dając mi dokończyć ruchu, moje członki opadły z zawodem i zapytałam, dlaczego zniszczyłeś mi pozę, a on się roześmiał, miał oczy w kolorze trawy, która kładła się wokół nas zieloną obietnicą. Myślałam wtedy, że to nie problem dotrzymać naszej umowy, i rano rozstaliśmy się bohaterzcy i zakochani, patrząc na tę najdroższą z twarzy, wiedziałam, że więcej go nie zobaczę, ale nie mogłam wiedzieć, że ilekroć poczuję zapach świeżego chleba, będę o nim myśleć, i kiedy tak siedziałam naprzeciw Joniego, uznałam, że to chyba znak, że Joni umówił się ze mną w tej kawiarni, co znaczy, że to, co się tu zaczęło, będzie mieć dalszy ciąg z nim, bo ile można ciągnąć przerwany początek, i próbowałam znów poczuć tę samą słodycz, a nawet odtworzyć tamto przeciągnięcie, ale on się nie podniósł i poza zniszczyła się sama, a kiedy wróciłam na krzesło, wiedziałam, że muszę się zakochać w Jonim, że to moja szansa, by zmienić tamten smutek w radość. Oprócz dziobów porozrzucane były na jego twarzy w lekkim nieładzie brązowe oczy, łagodne i aksamitne, i wargi w kolorze przejrzalej brzoskwini. Czegoś tam brakowało, aż zrozumiałam, że nosa, nie

to że nie miał nosa, po prostu jego nos był mały i zadarty jak nosek niemowlęcia, taki nosek-guziczek, idealny dla dziecka, ale trochę śmieszny u dorosłego, więc spytałam, ile ma lat, jakbym się spodziewała, że powie dwa i rozwiąże problem, ale on odpowiedział dwadzieścia trzy, czyli tyle co ja, i okazało się, że urodziliśmy się dokładnie w tym samym miesiącu i tego samego dnia, to znaczy, że jesteśmy bliźniakami. Pomyślałam, że to widocznie kolejny znak, dwa znaki to już rzecz nie podlegająca dyskusji, i usiłowałam wzniecić w sobie ogień. Opowiadał właśnie, że kilka tygodni temu stracił matkę i jest jeszcze w żałobie, a ja, jak kretyńka, rzuciłam, to cudownie, bo wszystko wydawało mi się znakiem, i powiedziałam, chodźmy do ciebie i nie ruszajmy się z domu przez tydzień, bo zawsze żałowałam, że nie umówiłam się z tamtym na tydzień, zamiast na jedną noc, a Joni odpowiedział z tym swoim delikatnym uśmiechem, ale ja muszę chodzić do pracy, daj spokój, powiedziałam, należy ci się urlop, i dalej rozpalałam jego i samą siebie, poszliśmy do domu, trzymając się za ręce, całowaliśmy się w windzie, tak bardzo go kochałam przez cały ten tydzień, myślałam tylko o nim i o tym, jakie to szczęście, że życie zespoliło dla mnie dwie różne części w jednym ciele. Joni zakochał się głównie w mojej miłości do niego, tak była przekonująca, a dopiero potem we mnie samej, i kiedy pod koniec tygodnia spytałam, czy obiecuje zawsze mnie kochać, powiedział tak, ja mu uwierzyłam i przypominałam sobie, jak stojąc rano z tamtym chłopakiem przy oknie z widokiem na piekarnię, zapytałam, co z nami będzie, a on powiedział, czy musisz wiedzieć z góry, skąd można wiedzieć z góry.

Ale potem zaczęliśmy wychodzić na świat i stopniowo znienawidziłam Joniego, nienawidziłam go, jakby mi zrobił jakąś krzywdę, im bardziej on mnie kochał, tym bardziej go nienawidziłam, sama nie rozumiejąc, dlaczego, jakby mnie celowo oszukał, a najbardziej frustrujące było, że nawet nie mogłam mu tego powiedzieć, tak to głupio brzmiało. Czasem nienawidziłam jego, czasem siebie, a w lepszych chwilach nas obojga. Za jego domem był wielki park, chodziliśmy tam popołudniami, wpatrywaliśmy się w słońce, a ja znów zadawałam mu pytanie, które stawiałam każdemu mężczyźnie, z jakim byłam, pytanie, które kiedyś płonęło mi na ustach, a teraz było zaledwie letnie i mdłe, czy zawsze będziesz mnie kochał? A jego tak było takie łatwe, tak rozczarowujące, jakby powiedział nie. Zawsze w pewnej chwili siadałam na skale, łykając lzy. Oboje byliśmy tacy zagubieni, jak osieroczone bliźnięta między białymi skałami a czerwonym niebem, owce, które zgubiły stado, wciąż się zastanawiałam, jak się podłączyć z powrotem do właściwego życia, i mówiłam Joniemu, niedługo przygotuję kolację, jakby to miał być obrzęd,

który zdejmie z nas klątwę, a on się uśmiechał do mnie łagodnie i smutno, i milczał. Chciałam krzyknąć, dlaczego milczysz, uderz w stół, uderz w kamień, zmusz mnie, żebym z tego wyszła, zagroź mi, postaw ultimatum, ale tylko łykałam łzy pośród czerniejących z wolna skał.

W noc poślubną przekonywałam go, że pieprzenie się jest zbyt banalne, że wszyscy to robią, a my powinniśmy być oryginalni i nadać tej nocy inną treść. Zanim skończyłam mówić, on już spał, a ja leżałam bezsennie, próbując sobie przypomnieć, jak to się potoczyło, dokonać tymczasowego podsumowania tego, co można by ironicznie nazwać moim życiem miłosnym, zrozumieć, dlaczego nie zostawiłam go na początku, dlaczego tak szybko uznałam, że jest już za późno, żeby się wycofać, i przypomniałam sobie, że on jeden obiecał, że zawsze mnie będzie kochał, prawdopodobnie tego nie potrafiłam się wyrzec, i myślałam o tamtej nocy, gdy zapach chleba otulał mnie jak prześcieradło.

Usłyszałam cichy trzask i spłynął na mnie wielki cień, wszystkie książki wyglądały teraz identycznie, jak zamknięte, szczelne pudełka. Szare światło popołudnia, wnikające przez zamknięte okna, nie zdołało rozjaśnić ogromnej biblioteki i zostało wyparte z powrotem na zewnątrz, i wszystkie zdziwione głowy uniosły się jednocześnie, wodząc wokół szparkowatymi oczami, jakby w tej właśnie chwili przyszły na świat. Z radością obserwowałam rozczarowane miny tych, którym wyłączono światło i komputer w połowie zdania, tak jakby między mną a nimi toczyła się nieustanna rywalizacja, w której będą musieli trochę zwolnić, dać mi kolejną szansę nadrobienia zaległości.

Usiadłam przy oknie i patrzyłam na siwy wiatr, to cień Świątyni, ja jedna o tym wiem, cień, który padał na wschód i sięgał aż do Jerycha, którego mieszkanki chroniły się w nim latem, stłoczone i ciepłe, tuląc do piersi dzieci, i nagle poczułam głuchą tęsknotę za rodzicami, bo zawsze, gdy wyłączano prąd, zbieraliśmy się we trójkę i siadaliśmy potulnie, nie mając innego wyjścia, przy jednej świeczce. Rzucaliśmy w ich stronę spojrzenia, jakie umożliwia tylko mrok, próbując odgadnąć, co bym o nich sądziła, gdyby nie byli moimi rodzicami. Czasem widziałam, jak mi się przyglądają, i myślałam ze strachem, że oni też obserwują mnie ukradkiem, co będzie, jeśli uznają, że im nie odpowiadam. Matka układała przy świeczce stertę książek, jakby przerwa w dostawie prądu miała trwać wiecznie, a na samym szczycie kładła starą, wyświeconą Biblię, która zawsze wyglądała na wilgotną i sama się otwierała na opowieściach o Dawidzie, Dawid i Jonatan, Dawid i Bat Szewa,

Dawid i Absalom. Głos matki pieścił wersety, łagodził je dla mnie, czekałam na najsmutniejsze fragmenty, przy których można płakać bez wstydu, wsiąść do pociągu płaczu i przemierzać kolejne rozdziały, a ojciec się irytował i bębnił nerwowo palcami, dosyć, przestańcie wreszcie płakać. Patrząc na nas, myślałam, że to właśnie określa się mianem danych, że to wszystko należy do kategorii rzeczy, których nie da się zmienić, teraźniejszość, która już jest przeszłością, kwieciste wersy i rytmiczne bębnienie palcami, któremu posłuszny jest nawet płomień świecy, właśnie to ukształtuje mój los. Czasami słyhać było jeszcze zawodzenie szakali w gajach otaczających dom, wtedy narastał strach, a z nim bliskość, jaką wobec nich czułam, i dopiero kiedy znowu ponownie zapalało się światło, ciesząc, a raczej zasmucając, rozjaśniając, a raczej zaciemniając, i wszyscy wzdychaliśmy z ulgą, a raczej z żalem, rozglądając się wokół, żeby zobaczyć, co zostało z tego dnia, z tego życia, dopiero wtedy znikala nasza krucha jedność, twarze tężały i zamiast bać się szakali, bałam się swoich rodziców, ich niewytłumaczalnego żalu, wyjącego nocami przy moim łóżku.

Dość szybko rozległ się wokół denerwujący szmer normalności, dławiący przez swą obojętną jednostajność, wszystkie głowy z zadowoleniem wróciły na swoje miejsca, ale ja już ruszyłam do wyjścia. Poproszę, żeby usiedli ze mną przy zapalanej świecy, czemu mieliby się nie zgodzić, muszę jeszcze raz poczuć tę rzadką jedność, nie mogą mi odmówić, dlaczego mieliby to zrobić? Nawet w restauracjach siedzi się przy świecach, więc czemu nie u nich w kuchni, kiedy nikt nie widzi?

Ale gdy otworzyła mi drzwi, zdziwiona i ucieszona moim widokiem, najwyraźniej zbudzona z popołudniowej drzemki, sądząc po odcisku poduszki na policzkach, zupełnie zapomniałam o świeczce i całej reszcie, i całkiem niezamierzenie wyrwało mi się pytanie, co cię z nim łączyło, mamu? A ona, jakby czekała na to latami, nawet nie zapytała, z kim.

Wtedy on wychynął zza jej pleców, jakby się tam chował, przez moment trzymał głowę na wysokości jej ramion, ale zaraz wysunął ją nad jej głową, wyglądało to jak piramida z głów, nastawił uszu, spojrział surowo i powiedział, Joni właśnie tu był, rzeczywiście w tej samej chwili natknęłam się na płyn po goleniu Joniego, błakał się tam jak pachnący i niewidzialny szpieg, trochę się wystraszyłam, kiedy to usłyszałam, może przyszedł powiedzieć, że mnie rzuca, i zapytałam, siląc się na obojętność, czego chciał? Stali przede mną jak piramida z rodziców, każde z nich rozważało moje pytanie i żadne nie odpowiadało.

Jak zechce, sam ci powie, odezwała się w końcu głowa ojca, czeka na ciebie w domu. Przyglądał mi się badawczo, jakbym była szczurem w jego laboratorium, jakby on był arcykapłanem, a ja cudzołożnicą, poszłam za nimi do kuchni, starając się nie garbić, nalałam sobie szklanke wody z kranu i wypilaam do dna w desperacji, zupełnie jak tamta nieszczęsnica, jak szybko zawiązują się zmowy, zwłaszcza przeciwko mnie, teraz żeby dowiedzieć się, co knuje Joni, muszę rozszyfrować twarz ojca, a jest to zadanie, którego nie umiem wykonać od lat i nie ma powodu, żeby mi się nagle powiodło, i wszystko to wydało mi się tak rozpaczliwe, te okrężne, zawiłe drogi, które prowadzą od człowieka do człowieka, to poznawanie Ariego poprzez jego żonę, ojca poprzez Ariego, Joniego poprzez ojca, jak w niekończącej się wyliczance, która komplikuje się coraz bardziej, i tylko ona stoi z boku, nie bierze w tym udziału, ukrywa się za pomarszczonymi policzkami, które w najmniejszym stopniu nie wskazują na minioną urodę i wyglądają, jakby się z nimi urodziła, stoi przy zlewie i zmywa naczynia ze spokojem gospodyni domowej, która nie ma nic do ukrycia, aż nagle zauważam, że przez cały czas zmywa ten sam talerz.

Zachodzę ją od tyłu i wtykam szklanke pod kran, chcąc dolać sobie wody, a ona odzywa się, to niezdrowo pić ciepłą wodę z kranu, chociaż woda jest zimna, i pyta, nie jesteś głodna? Chce mi się pić, odpowiadam, ona upewnia się, że ojca już nie ma w kuchni, i mówi, o co mnie przedtem pytałaś, nie dosłyszałam, ja nalewam sobie kolejną szklanke i mówię, pytałam, czy pamiętasz, jak w czasie przerw w dostawie prądu siadywaliśmy we trójkę przy jednej małej świeczce, a ona odpowiada, skąd, mieliśmy trzy lampy naftowe, każdy miał swoją, co też wydaje mi się elementem zmowy albo raczej jej ukoronowaniem, więc unoszę szklanke i wylewam wodę z powrotem do zlewu, prosto na jej ręce, które nie odrywają się od tamtego talerza, a ona odskakuje i mówi, oszalałaś, przecież to wrzątek.

Na głównej ulicy pod ich domem stał policjant z gwizdkiem, przystanąłam z boku i przyglądałam mu się, pomyślałam, że mogłabym mu powiedzieć na ucho, dyskretnie, niech pan wejdzie na chwile pod numer trzy, nie uwierzyłby pan, co tam się dzieje, nie widać tego wprawdzie gołym okiem, ale wy macie narzędzia, umiecie sobie radzić z takimi zjawiskami, a ja nie, ja niestety nie, w przeciwnym razie naprawdę nie fatygowałabym pana. Wy macie mroczne sale przesłuchań, znakomite wykrywacze kłamstw, więzienia, a ja co? Mam oczy i uszy, krótką pamięć, ludzkie pragnienia, jedno wielkie ograniczenie, oto co mam, i niech pan nie myśli, że inni tego

nie wykorzystują. Zdziwiłby się pan, jak bardzo wykorzystują. Policjant był młody, młodszy ode mnie, miał gładką, śniadą twarz i miły uśmiech, zagwizdał, uśmiechnął się z dumą, a jego wzrok na moment zatrzymał się na mnie. Na pewno ma w domu młodą żonę i dziecko, zbyt młodą, gdyby nie dziecko, nie braliby ślubu, ale teraz nie ma już czego żałować, zwłaszcza że ona jest dobra, wystarczająco dobra. Pewnie za dwadzieścia lat zostawi ją dla jakiejś młodej dziewczyny, ale na dwadzieścia najbliższych lat jest ustawiony, i ona też, bo przecież nie wie tego, co ja wiem, i nagle zaczęłam zazdrościć żonie policjanta, że mąż ją zostawi dopiero za dwadzieścia lat, a mnie zostawia już dziś.

Rozdział siódmy

Idąc tam, myślałam, jak nienawidzę tej drogi, nienawidzę każdego znaku, każdego światła i każdego sklepu, tych wszystkich świadków mojego poniżenia, mojego głupiego uporu, a już najbardziej nienawidzę tego domu, przed którym serce drży, twarz się czerwieni, nim jeszcze dojdę do drzwi, ukrytego wśród krzewów, wśród których kryją się pszczoły, domu, który ma wiele do ukrycia, domu, który powinien się wstydzić i któremu należy się tylko potężne trzęsienie ziemi, ciężkich, szerokich drzwi z typowo mieszczańską wizytówką: Ewen, kamień, jakby w środku był kamieniołom, nie ludzie. Niesamowite, że ona naprawdę tu kiedyś mieszkała, tak świetnie się wkomponowała w szpital, jakby to był jej dom, w żaden sposób nie mogłam sobie wyobrazić, jak wchodzi po tych schodach, jak pewnym ruchem sięga po klucze. Wiedziałam, że go nie będzie, a jednak przyszłam i tkwiłam zawstydzona pod zamkniętymi drzwiami, podczas gdy on pchał z oddaniem wózek żony po pętli korytarza, który się nigdy nie kończy, ciągle zaczyna się od nowa, tak jakbym przez stanie pod drzwiami, siedzenie na zimnych schodach, niewracanie do domu mogła przeciąć ponurą intrygę, czyhającą na mnie w wilgotnych, cynobrowych ustach Joniego.

Siedziałam na schodach, wpatrując się ze znudzeniem w czerniejący mur budynku naprzeciwko, aż nuda zmieniła się w strach na widok cieni liści, poruszających się w smutnym, złowrogim tańcu. Na drzewie to jeszcze jakoś wyglądało, ale odbicie na ścianie było przerażające i przypomniałam sobie, że już tak kiedyś siedziałam, w początkach zimy, czekając samotnie na schodach naszego domu, aż matka lub ojciec wróci ze szpitala, zrobi mi kolację i opowie, co dziś powiedzieli lekarze.

Jedno z nich zawsze zostawało na noc w szpitalu z moim maleńkim braciszkiem, a drugie przychodziło, żeby być ze mną, więc czekałam, patrząc na taniec liści na ścianach domu sąsiadów, coraz bardziej gwałtowny, coraz bardziej przerażający, i próbowałam wyczytać z niego, które z nich do mnie przyjdzie. Płomienie świec w oknie sąsiadów wiły się jak ośmiornice i wyciągały do mnie żółte ramiona, było święto Chanuka, drugi lub trzeci dzień, aż nagle zobaczyłam w oddali ich oboje, wystraszyłam się, bo już od miesiąca, odkąd zachorował mój brat, nie widziałam ich razem, co się stało,

że już mu niepotrzebna ich obecność. Popatrzyłam błagalnie na liście i znowu na drogę w nadziei, że może to cień ich podwaja, ale powoli zaczęli się rozdzielać, odległość między nimi rosła, bo ojciec szedł wolno, jakby się cofał, a matka biegła do mnie, pędziła jak oszalała, jej gruby, piękny warkocz owinał się wokół szyi jak szal albo sznur, twarz miała wykrzywioną, usta otwarte jak do krzyku, ale nie wydobywał się z nich żaden głos, i przez chwilę myślałam, że to nie ona, nigdy jej nie widziałam w takim stanie, tymczasem matka chwyciła mnie na ręce jak małe dziecko, jakbym to ja była jej niemowlęciem, i w obłędzie pobiegła prosto do gaju cytrusowego za domem, w biegu rozpięła bluzkę, kapiące mlekiem piersi wypadły mi na twarz, i płacząc, mówiła do mnie, chcesz ssać, prawda, teraz ty musisz ssać, nagle usiadła pod drzewem, wpychając mi sutek w usta, ja dałam się wciągnąć w jej szaleństwo i otworzyłam je, mimo że miałam już prawie dziesięć lat, zaczęłam ssać i ssałam wodniste, pulsujące mleko, które było tak niezbędne, a w jednej chwili przestało być potrzebne. Widziałyśmy, jak ojciec nas szuka, biegał zapłakany i wołał, Rachel, gdzie jesteście, wydawał się taki samotny w ciemności, między drzewami, gdzie jesteście, szlochał jak dziecko, które bawi się w chowanego, ale traktuje zabawę zbyt poważnie, a matka milczała bezlitośnie, oddychając spokojnie, na siłę zatykając mi usta sutkiem, aż poczułam, że zaraz się uduszę, zaczęłam się więc i w końcu ją ugryzłam, żeby się uwolnić, i z buzią pełną mleka zdołałam wykrztusić, tu jesteśmy, tato. Przybiegł i pochylił się nad nami, a raczej runął na nas, i siedzieliśmy we troje pod drzewem w ciemnościach, ona dalej przemawiała do mnie, jakby go nie było, mówiła, dlaczego nas odkryłaś, nagle zaczęła mówić z błędami, jak mała dziewczynka, dlaczego nas odkryłaś, zdrajczyni, on nigdy by nas nie znalazł, i wyglądało na to, że rzeczywiście myśli, że możemy przesiedzieć całe życie pod drzewem, i całe życie on będzie krążył przy nas jak ślepiec, któremu uciekł pies przewodnik i laska się złamała, i całe życie będzie panować ciemność, i właściwie można powiedzieć, że miała rację.

Radością jakoś potrafili się dzielić, ale żałobą nie, każde zrzucało wszystko na drugie albo zgarniało całość dla siebie, nie zostawiając tamtemu nic, jakby to był jego prywatny smutek. Próbując uwolnić się z jej rozpalonych ramion, cała mokra od tryskającego mleka, rozmyślałam o swoim małym braciszku, nie umiałam go tak bardzo żałować, jeszcze go nie zdążyłam pokochać, ledwie zdążyłam mu pozazdrościć, a już zachorował i wzięli go do szpitala, nie mogłam go widywać, bo był w izolatce, i jeszcze zanim umarł, zupełnie zapomniałam, jak wygląda, nawet mu nie zdążyliśmy zrobić zdjęcia, na tak krótko zawitał do naszej rodziny. Pamiętam, że

próbowałam pocieszać matkę, mówiłam jej, przecież to tak, jakby się nie urodził. Źle ci było bez niego? Więc dlaczego jest ci źle teraz, kiedy go nie ma? Jak można żałować czegoś, bez czego przywykło się żyć? Ale ona patrzyła na mnie z nienawiścią, jakbym to ja go zabiła, nie rozumiała, że chcę tylko pomóc. A tak w ogóle, mówiłam jej, powinniście teraz mnie rozpieszczać, docenić, że mnie macie, tymczasem traktujecie mnie jak pasierbicę, jakby tylko on był naprawdę waszym dzieckiem. W dniu, w którym go straciliście, mówiłam jej, ja straciłam rodziców.

Naraz usłyszałam kroki, myślałam, że to on, i wystraszona, usiłowałam się schować, jakbym to nie na niego czekała, stanęłam szybko pod drzwiami naprzeciwko, jak zwierzę, które kryje się przed myśliwym, i udawałam, że czekam, aż mi otworzą, i ciągle zastanawiałam się, skoro tak bardzo nie chcesz go widzieć, co tu właściwie robisz, za plecami usłyszałam głosy, jakaś kobieta podeszła akurat do drzwi, przed którymi stałam, i nawet zaczęła pogrząbiwać kluczami, ja ani drgnęłam, ciągnąc dalej swoje przedstawienie przed niewłaściwą publicznością, aż nagle rozległ się płacz dziecka, pełen pretensji i nadziei, i zadrżałam, bo od lat nie słyszałam takiego płaczu, nie wytrzymałam i odwróciłam się, stała za mną młoda kobieta z dzieckiem na ręku, opromieniona słodkim blaskiem, jej pełna kluczy dłoń była wyciągnięta, jakby zamierzała otworzyć drzwi przez moje plecy, a ja, nie wiedząc, co powiedzieć, wskazałam na drzwi naprzeciwko, z tabliczką Ewen, i wyjąkałam, czekam na nich. Umyślnie powiedziałam na nich, a nie na niego, żeby to wyglądało na wizytę rodzinną, a ona uśmiechnęła się z ulgą i otworzyła szeroko drzwi, z mieszkania wypłynęła fala ciepła, weszła z dzieckiem do środka i na chwilę przedtem, nim drzwi zatrzasnęły się przed moim nosem, powiedziała, możesz zaczekać z nami, z nami – powiedziała, a nie po prostu tutaj czy u nas, jakby ona i dziecko naprawdę mieli ze mną czekać, dzielić ze mną ten ciężar, napięcie, frustrację, i poczułam, że ona rozumie cały smutek mojego oczekiwania, bo przecież to nie na niego czekam tak rozpaczliwie, on kiedyś nadejdzie, tylko na jego miłość, a ta nie nadejdzie nigdy.

Znalazłam się przy drzwiach, ale po drugiej stronie, nie śmiałam wejść dalej, żeby nie wdzierać się w ich życie, tymczasem ona wyłuskała dzieciaka ze wszystkich warstw ochronnych, zdjęła mu czapkę i w jednej chwili ukazała się jego buzia, przyglądałam się zaskoczona, bo ta drobna twarzyczka była wypisz, wymaluj jak twarz Joniego, te same cynobrowe wargi, łagodne brązowe oczy i kasztanowe włosy, które u malucha jeszcze się

nie zdążyły skreślić, słodka buzia owieczki, nawet zabeczał do mnie jak owieczka i pomyślałam, że faktycznie zamiast tych wszystkich wyglupów, powinnam była zrobić sobie z Jonim dziecko, które miałyby jego twarz, ale wtedy poczułam ukłucie strachu, skąd właściwie u tego konkretnego dzieciaka ta konkretna twarz Joniego, i szybko spojrzałam na matkę, chcąc sprawdzić, czy ona też jest podobna do owcy, ale była zupełnie inna. Miała gładką, energiczną twarz o jasnych oczach, grubych ciemnych wargach, i włosy zebrane w koczek jak u tancerek, uśmiechnęła się do mnie ciepło i zapytała, czego się napijesz, ja powiedziałam wody i oparłam się ciężko o drzwi, bo myśl, że to dziecko Joniego, że może właśnie o tym chce mi powiedzieć w domu, przyprawiła mnie o zawrót głowy, ona podała mi szklanekę i zniknęła z dzieckiem w korytarzu, a po chwili wróciła bez niego. Zasnął, oświadczyła z triumfalnym uśmiechem, ale nie uwierzyłam jej, bo ledwie chwilę wcześniej był rozbudzony, przecież widziałam cały brązowy przestwór jego oczu, więc było dla mnie jasne, że go ukrywa celowo, a ja już nie mam jak sprawdzić, czy podobieństwo było przywidzeniem, czy jest faktem. Chciałam zapytać, słuchaj, czy to przypadkiem nie jest dziecko mojego męża, ale wstydziłam się, więc zaczęłam ją zagadywać, zadawać różne zwykłe pytania, żeby zbudować sobie obraz jej życia, spytałam, w jakim wieku jest mały i jak się nazywa, natychmiast zapominając wszystko, co powiedziała, a potem rzuciłam z udawaną spontanicznością, wcale nie jest do ciebie podobny, ona się uśmiechnęła, tak, jest bardziej podobny do ojca, nie wytrzymałam dłużej i zapytałam, masz ich wspólną fotografię, a ona powiedziała, nie, jeszcze im nie zdążyłam zrobić zdjęcia, poczułam, że muszę go jeszcze raz zobaczyć, i powiedziałam, wydaje mi się, że słyszę płacz, a ona posłuchała i odpowiedziała, nie, ja nic nie słyszę, tylko kroki na zewnątrz, więc odwróciłam się szybko i przycisnęłam oko do wizjera, mając nadzieję, że to nie on.

Przez wizjer wydawał się krótki i gruby, mniej pociągający, mniej przerażający, nawet lekko zgarbiony, bo miał mnóstwo siat w rękach, westchnął jak staruszka po powrocie z bazaru i odwrócił się do mnie szerokim tyłkiem, szukając w kieszeniach klucza, brakowało mu tylko chustki na głowę. Co on tyle nakupił, myślałby kto, że planuje przyjęcie czy uroczystą kolację, co tu jest do świętowania, na wszelki wypadek obraziłam się w jej imieniu, w imieniu jego żony, że ona się kurczy w szpitalu, a on się obżera i tyje, tymczasem zobaczyłam, że wyjął rękę z kieszeni, otworzył drzwi i szybko zniknął w środku razem z siatami, jak skrzat w pudełku czekoladek. Wiedziałam, że na tym koniec, muszę stąd wyjść, zostawiając za sobą

kolejną tajemnicę. Obrzuciła mnie swoim jasnym, życzliwym spojrzeniem i zapytała, przyszedł? Tak, powiedziałam, ale może poczekam jeszcze parę minut, żeby się zdażył odlać, wymknęło mi się takie paskudne zdanie, dlaczego akurat odlać, ale ona uśmiechnęła się ze zrozumieniem, dziwiłam się, jak to się dzieje, że jej wszystko wydaje się naturalne, a mnie na odwrót, spytałam, jak sądzisz, czy za duszę dziecka urodzonego w post Tisza Be-aw, które umarło podczas Chanuki, wolno zapalać znicze, czy nie, i zaraz pożałowałam swoich słów, bo zobaczyłam, jak jej uśmiech gaśnie, więc zapytałam, jak się nazywa twoje dziecko, jakby drugie pytanie miało unieważnić pierwsze, ale ona już była nieufna, czemu pytasz, ja powiedziałam, bo chętnie go popilnuję, jeśli kiedyś będziesz musiała wyjść, szaleję za dziećmi, co oczywiście nie było prawdą, ale musiałam zobaczyć jeszcze raz tego dzieciaka, w porządku, powiedziała, zadzwonię, ale nie wzięła numeru, a ja wyszłam, stanęłam przed drzwiami naprzeciwko i zadzwoniłam, z początku krótko, potem długo, ale nikt nie otwierał.

Nie słyhać było kroków po drugiej stronie, nie widać też było światła, panowała tam taka cisza, że gdybym nie widziała na własne oczy, jak znika w środku, byłabym przekonana, że w mieszkaniu nie ma nikogo. Stałam tam i myślałam o tym, że Josephine nie zobaczy więcej tych drzwi ani okrągłego wizjera, ani tabliczki Ewen, wypalanej grubymi, zadowolonymi z siebie literami, ani drobnych szpar w drewnie, ani czarnej klamki, osaczonej plamami brudu, ani wycieraczki z rysunkiem przedstawiającym dwa szczęśliwe koty, niegdyś pomarańczowej, a teraz burej, wszystkie detale tych drzwi są dla niej niedostępne na wieki wieków, pomyślałam, że chyba powinnam być wdzięczna, że mam szczęście oglądać to wszystko, położyłam rękę na klamce, żeby zostawić na niej odcisk palca, i ku mojemu zdumieniu klamka się ugięła i drzwi otworzyły się prawie same, z lekkim skrzypieniem, które zabrzmiało jak chrapanie.

Odskoczyłam w tył, żeby nikt nie miał wątpliwości, że to było niezamierzone, nawet odwróciłam się twarzą do drzwi naprzeciwko, żeby sprawdzić, czy nie obserwują mnie jej jasne, spokojne oczy, i stałam jak znużona, dezorientowana armia, unieruchomiona między dwoma frontami, aż na klatce schodowej zapaliło się światło i z góry dobiegło mnie trzaśnięcie drzwi i odgłos kroków, i wpadłam w popłoch, przecież otwarte drzwi świadczą o tym, że jest coś dziwnego w mojej obecności, podeszłam do nich szybko, chcąc je zamknąć i wreszcie sobie pójść, ale zamiast tego weszłam do środka.

Korytarz był ciemny, ale z końca mieszkania dochodziło światło, słyhać było hałas silnika i terkot kół, jakby ktoś jeździł po domu na motorze, stałam cicho i nasłuchiwałam, aż zrozumiałam, że to odkurzacz toczy się ciężko po wielkich dywanach, które wczoraj sprawiały wrażenie całkiem czystych. Siatki leżały przy wejściu do kuchni, wyglądało na to, że rzucił je tam w pośpiechu, na podłodze leżała główka sałaty, a na niej wspierał się bochenek ciemnego chleba, widocznie spieszo mu było do odkurzania. Na czyją cześć tak się wysila, zagarnia tajemnicze, niewidzialne paprochy do wygłodniałej paszczy odkurzacza, jakby miał dziś sprowadzić nową żonę, która z nim zamieszka. Przecież Josephine o niczym się nie dowie, każdego dnia o piątej pójdzie przewieźć ją po oddziale, potem wróci do odkurzonego, pełnego rozpusty domu, a ona nie będzie o niczym wiedzieć. Usłyszałam, jak nacisnął guzik, odkurzacz westchnął przeciągle, zamilkł i potoczył się w stronę drzwi. Serce mi waliło, ale nogi były zupełnie bezwładne, ani drgnęły, chociaż bardzo chciałam się stamtąd wynieść, już mi się to kiedyś zdarzyło, leżeliśmy na trawie koło domu, patrzyłam na zastygłe w powietrzu ptaki, gdy ojciec krzyknął, waż, szybko do środka, ale moje bosc nogi zamarły, więc pchnął mnie z całej siły w ramię, strasznie zabolalo, i zobaczyłam, jak zbliża się duży, brązowy waż, a potem ojciec kazał mi włożyć skarpetki, skarpetki w środku lata to była dla mnie wielka nowość, podobnie jak jego nieopanowana troska o mnie. W końcu jakoś udało mi się wyjść, cicho zamknęłam za sobą drzwi, ale nie wytrzymałam i zaraz stanęłam przed nimi znowu, jakbym w tej chwili przyszła, i nacisnęłam dzwonek, modląc się, aby sąsiadka z przeciwka nie obserwowała mojego dziwnego tańca, na zmianę to na zewnątrz, to do środka. Natychmiast rozległ się odgłos kólek, jakby w tym domu nie używano się nóg, drzwi otworzyły się z zaskakującą prędkością, niemal błyskawicznie, a ja, zdumiona, że otwierają się od wewnątrz, powiedziałam z głupim uśmiechem, halo, to ja, jakbyśmy rozmawiali przez telefon, on odpowiedział, zauważyłem, przesunął się trochę w bok i dodał, wejdz, więc weszłam prędko, nim zmienił zdanie, i z tego pośpiechu wpadłam na rurę od odkurzacza, przecież nie musiałam wiedzieć, że tam jest, zaplątałam się w kable i w jednej chwili runęłam na ziemię, rozplaszczając twarz na twardym grzbiecie wciąż gorącej z wysiłku maszyny.

Moją pierwszą myślą było, że mu połamałam odkurzacz i że nigdy mi tego nie wybaczy, zasmuciłam się, że zapamięta mnie jako tę, która mu połamała odkurzacz, dopiero kiedy podniosłam głowę i zobaczyłam krew na podłodze, zrozumiałam, że to raczej ja sobie coś złamałam, wystraszona

pomacałam twarz i moje ręce zatrzymały się na nosie. Mój kochany noseczek, na który najbardziej lubiłam patrzeć w lustrze, drobny i prosty jak u matki, był teraz obolały i ociekał krwią. Nie śmiałam go dotknąć, nie miałam odwagi unieść głowy, żeby nie opadł ze mnie jak liść z drzewa, więc siedziałam skulona, zakrywając zmiażdżony nos rękami i popłakując cicho.

Na moment zupełnie zapomniałam, że tam jest, tak bardzo się przejęłam swoją stratą, dopiero gdy usłyszałam, jak otwiera lodówkę, dotarło do mnie, że życie toczy się dalej, widocznie uznał, że to właściwy moment na schowanie sałaty, ale zaraz poczułam w ręku twardą bryłkę, zimną jak lód, i rzeczywiście to był lód, trzy kostki w małej torebce na drugie śniadanie, wzięłam je, nie dziękując, i umieściłam ze strachem na nosie, żeby zamrozić ból. Poczułam nad sobą jego cień, który zbliżał się do mnie, okrywając mrokiem zakrwawione kolana, z westchnieniem rezygnacji Arie ukląkł przy mnie na podłodze i starł białą szmatką krew ze skórzanych spodni, które włożyłam rano z takim zapałem. Najwyraźniej dla chorych i rannych jest dobry, pomyślałam, warto o tym pamiętać, może dlatego jego żona postanowiła się rozchorować, widocznie on lubi być jedynym zdrowym w okolicy i okazywać oddanie, szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałam, dla tego odkrycia warto było nawet poświęcić mój śliczny nosek, i chcąc to zweryfikować, położyłam mu głowę na ramieniu, i natychmiast poczułam, jak jego szerokie ramię odruchowo porusza się i obejmuje mnie po ojcowsku. Złamałam go, wyszeptalam ze smutkiem, jakby chodziło o wspólną stratę, a on powiedział cicho, pokaż, i delikatnie zsunał moje palce z nosa, jak pan młody, który odsłania welon żony. Wystraszona, wpatrywałam się w niego jak w lustro, w nadziei, że z wyrazu twarzy dowiem się, na ile poważny jest mój stan, ale on się uśmiechnął spokojnie i powiedział, nie jest źle. Widać, że to nos, spytałam, czy wygląda jak miazga, a on popatrzył z powagą i powiedział, zdecydowanie nos.

Trzeba jechać na pogotowie, powiedziałam, zrobić prześwietlenie, a on odpowiedział, nie martw się, Ja'ara, twój nos ma się dobrze, wierz mi, wiem, jak wygląda złamany nos, w tym momencie powinnam była zapytać go z podziwem, skąd wie, i wysłuchać, jak to w wieku dziesięciu lat sprzątał domy ze złamanym nosem, ale chciałam mu zadać tylko jedno pytanie, które mnie przerażało i nie pozwoliło mi wrócić dziś do domu, nie wiedziałam, jak je sformułować, aż w końcu wydusiłam, słuchaj, czyim byłeś przyjacielem, mojej matki czy ojca? Roześmiał się, wyjął z kieszeni papierosa i zapalniczkę, przypalił nam obojgu i powiedział, to tak, jakbyś spytała dziecko, kogo

bardziej kocha, mamę czy tatę, ja na to, ale nie jesteś dzieckiem, a już na pewno nie ich, a on, w każdym razie odpowiem ci jak to dziecko, obydwójce, to znaczy, byłem przyjacielem obojga. Ale czym bardziej, upierałam się, a on odpowiedział, wiesz, różnie bywało. Myślałam, że ona cię nie znosi, powiedziałam, a on, tak, różnie z tym bywa. Ale od kiedy jest tak jak teraz, nie ustępowałam, kiedy przestaliście być przyjaciółmi, on westchnął, nie pamiętam dokładnie, zdaje się, że po twoim urodzeniu, zamieszkałem we Francji, prawie nie przyjeżdżałem do kraju, ożeniłem się, kontakty się ochłodziły, tak to jest, różnie bywa, powtórzył jak jakieś umówione hasło, a ja naciskałam, tak, ale do tego stopnia, że ona udaje chorą, żeby się z tobą nie widzieć? Odrzuca ją na samo wspomnienie o tobie?

Nie wiem, drgnął niespokojnie, to jej sprawa, nie moja i nie twoja, szybko wstał, przyniósł następną szmatkę i zaczął sprzątać wokół mnie. Uniosłam nogi, jak to robiłam, gdy matka myła podłogę, czasem, kiedy byłam chora, zostawiali mnie w domu, z zachwytem przyglądałam się wtedy życiu, które zwykle toczy się beze mnie, spokojnej rutynie porannej, pełnej ukrytych znaczeń, miałam wrażenie, że każda czynność wykonywana przez matkę jest tak naprawdę czymś więcej, niż się zdaje, mycie podłogi jest czymś więcej niż myciem podłogi, przygotowanie obiadu czymś więcej niż przygotowaniem obiadu, a wszystkie te magiczne zabiegi odbywają się każdego dnia w czasie, gdy mnie wysyłają do szkoły. Arie zabrał odkurzacz, rozłożył go zręcznie, wepchnął do szafy i pomógł mi wstać, żeby móc sprzątnąć w miejscu, gdzie był mój tyłek, rzeczywiście zostały tam plamy krwi, można było pomyśleć, że pod moim siedzeniem kogoś zamordowano, ale on z całkowitym spokojem wszystko sprzątnął i po chwili w jego mieszkaniu nie było śladu po zajściu, tylko na mojej twarzy nos spuchł jak balon. Przy drzwiach było lustro, stanęłam przed nim, a potem podeszłam bliżej, stopniowo i ostrożnie, żeby zdążyć się cofnąć w odpowiednim momencie, i zobaczyłam dużą, brzydką ranę na samym środku, nagle on stanął przy mnie z ceremonialnym uśmiechem, jakbyśmy pozowali do okolicznościowej fotografii, więc mogłam się przyjrzeć naszej wspólnej twarzy i wystraszyć, że jesteśmy tak niedopasowani, jak dwoje obcych ludzi wciśniętych we wspólne ramy, jak dwie różne rasy, on z ciemną twarzą i jasnymi ze starości włosami, ja z jasną twarzą i ciemnymi włosami, on przy mnie wyglądał jak cień, taki był czarny, a ja przy nim biała jak zjawą. Lustro wydobywało jakieś skrzywienie, nieprzyjemny brak symetrii w jego twarzy, zazwyczaj prawie niedostrzegalny, który przechodził na moją twarz, bo w lustrze byliśmy tylko we dwoje, przez moment zdawało się, że to skrzywienie

jest we mnie, próbowałam poruszyć wargami, żeby je naprostować, bo kiedy dwoje ludzi daje się ująć w ramy, nie wiadomo, kto ma w sobie prostotę, a kto skrzywienie, ale wtedy wszystko się gwałtownie wyprostowało, bo zostałam w lustrze sama. Odwrócił się, poszedł do kuchni, zaczął układać zakupy i usłyszałam, jak mówi niecierpliwie, nie martw się, kość nie jest złamana, w jednej chwili zrzucając z siebie cały problem czy odpowiedzialność. Stałam przed lustrem, widziałam, jak nos puchnie, a jego łaskawość znika, i zapytałam oskarżycielskim tonem, spodziewasz się gości? Jakby zbrodnią było przyjmować gości w jego sytuacji, a on zaskoczył mnie, bo powiedział tak, i nawet raczył podać szczegóły, okazało się, że rodzina Josephine przyjeżdża wieczorem z Francji, jej siostra, szwagier i matka staruszka, która zdecydowała się przyłączyć do tej wyprawy, niedługo lądują, ma ich odebrać z lotniska i do tej pory kolacja powinna być gotowa. Zaakcentował sprawę kolacji, jakby przyjeżdżali do Izraela tylko po to, żeby coś zjeść, a ja nie wytrzymałam i spytałam, udając naiwną, po co przyjeżdżają? W lustrze widziałam, że na moment zamarł, stał przed otwartą lodówką, jakby w niej była odpowiedź, a potem powiedział, pożegnać Josephine, zabrzmiało to smutno i słodko jak tytuł filmu, „Pożegnać Josephine”, a może lepiej, „Josephine odchodzi” albo „Josephine idzie do nieba”, lekka jak puchowy obłok. Zamiast młodej córki ma starą matkę, a wszystko przez niego, nie wiem, co w nim takiego jest, co wydaje jej się warte więcej niż dzieci, niż wszystko inne, nawet teraz, w jej stanie, niczego nie żałuje, tymczasem matka staruszka na pewno płacze w samolocie i mówi, czemu nie mogę umrzeć zamiast Josephine. Zastanawiałam się, czy moja matka dogoni mnie w tym wyścigu, czy też zaskoczę ją i zdołam umrzeć przed nią, a wtedy rodzice będą odumarci podwójnie, jeśli istnieje coś takiego. Prawdopodobnie żal po mnie zmiesza się z żalem po moim małym braciszku i zmieni się w żal kompleksowy i wszechobejmujący, za dziećmi w ogóle, a oni pozostaną po prostu odumarci, jeden raz, bo jeśli żal po śmierci dziecka jest nieskończony, jak można go podwoić, przecież nieskończony żal plus nieskończony żal równa się jeden nieskończony żal.

Tak się roztkliwiłam, że nawet po śmierci będę dyskryminowana, aż oczy zaszły mi łzami i chcąc zatuszować całą sprawę, powiedziałam, to boli, chodziło mi o nos, ale on myślał o gościach i odpowiedział, tak, jej matka jest naprawdę załamana, jakby jasne było, że rodzice zawsze będą cię kochać bardziej niż jakikolwiek towarzysz życia, bo on zdecydowanie nie wyglądał na załamanego, nawet zresztą nie próbował na takiego wyglądać, a potem

zapytałam, można ci pomóc z kolacją, a on ku mojemu zaskoczeniu powiedział tak.

Szybko, nim się rozmyśli, stanęłam przy nim i tak wyszło, że staliśmy obok siebie jak na uroczystości zaślubin, ze zlewem w roli rabina, łączącego nas węzłem małżeńskim, była w nim sterta naczyń, Arie powiedział, może zacznijmy od tego, wyjął płyn do zmywania z jednej z siatek i podał mi dużą butelkę, opakowanie rodzinne, trzymałam ją mocno, jak tamta trzymała dziecko, a kiedy sobie o niej przypomniałam, ogarnął mnie niepokój i zapytałam, słuchaj, twoja sąsiadka z przeciwka ma męża? On powiedział, ma dziecko, to na pewno, co noc słyszę, jak się wydziera, mąż jest prawdopodobnie spokojniejszy.

Ale czy jesteś pewny, że go ma? – spytałam. – Widziałeś go kiedyś? Jak wygląda? A on powiedział, widuję go tak często, że nigdy nie zwróciłem na niego uwagi. Nie pamiętasz, czy jest wysoki, czy niski, gruby czy chudy? nalegałam, a on powiedział, jest normalny, zdaje się, że jest normalny. Czemu cię to interesuje? A ja wyszeptalam ze wstydem, bo jej dziecko jest bardzo podobne do Joniego.

Kto to jest Joni? – zapytał obojętnie, a ja powiedziałam, mój mąż.

Naprawdę? – wyglądał na rozbawionego. – Jak wygląda twój mąż?

Jak owca, powiedziałam i przypomniałam sobie, że mam jego zdjęcie w torebce, pobiegłam po nią i zaczęłam grzebać jedną ręką, bo w drugiej trzymałam płyn, w końcu znalazłam zdjęcie, dosyć już wymiętoszone, na którym Joni całuje mnie w czoło podczas naszego ślubu, mam welon na ramionach, jak szal, on staje na palcach, żeby dosięgnąć, bo jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu, ja pochylałam głowę, żeby mu było łatwiej, tyle wysiłku dla niepotrzebnego pocałunku, tak się oboje staramy, że wyglądamy jakoś koślawo, wstydziłam się pokazać zdjęcie Ariemu, ale musiałam wiedzieć natychmiast, więc podałam mu je z przeproszającym uśmiechem, popatrzył obojętnie i nic nie powiedział, a ja zapytałam z napięciem, to on? Arie widocznie zapomniał, o co chodzi, i rzucił, mnie się pytasz, czy to twój mąż? Z irytacją nauczycielki, która próbuje wydobyć odpowiedź od ospałego ucznia, powiedziałam, mąż sąsiadki, czy jest podobny do męża sąsiadki? A on przyglądał się spokojnie, nieświadomy, jak wiele zależy od jego odpowiedzi, pełne wargi zwlekały, aż w końcu stwierdził, nie wydaje mi się, i dodał, nie wiem, ledwie go sobie przypominam. Czemu właściwie miałby być podobny? Zobaczyłam, że nie chce zrozumieć, a może ja się niejasno

wyraziłam, bo przecież chciałam zapytać, czy to jest mąż sąsiadki, a nie czy mój mąż jest podobny do męża sąsiadki, ale faktycznie, czemu mój mąż miałby być także mężem sąsiadki? Nagle i mnie to się wydało bez sensu, schowałam zdjęcie z powrotem z uczuciem ulgi, wynikającym nie z uzyskania nowych informacji, tylko ze skonfrontowania lęków z rzeczywistością. Z płynem do naczyń w objęciach wróciłam do zlewu, on powtórzył, *zacznij* od tego, ja się zajmę jedzeniem, wziął ode mnie płyn, wlał do małej miseczki i włożył do niej nową, dzisiaj kupioną, błękitną gąbkę, potem stanął i czekał, aż zacznę działać, a w końcu zapytał z troską, potrafisz zmywać naczynia, prawda?

Popatrzyłam na zlew i nie odpowiedziałam, bo przypomniałam sobie, że kiedy byłam u niego wczoraj, zlew był zupełnie pusty, może z wyjątkiem spodeczka po lodach i jakiejś szklanki, więc jak to się stało, że teraz jest pełen po brzegi, dosłownie pęka w szwach, tyle w nim talerzy, kieliszków i mis, jakby od wczorajszej nocy do teraz nic tylko jadł, i to niezupełnie sam, bo miałam wrażenie, że liczba naczyń jest raczej parzysta, dwa kieliszki po winie, cztery filiżanki do kawy, ze zlewu wyzierała suta kolacja we dwoje, ze śmiechami, słodkimi słówkami, zalotami i pieszczotami, a teraz mam po tym wszystkim pozmywać, jakbym to ja była oszukanym mężem z legendy, usługującym przy stole i płaczącym w kielichy, mężem, przez którego krzywdę zburzono Świątynię, a Arie był żoną, brakowało mi tylko trzeciej osoby, tej, po której zgodziłam się zmywać, która siedziała tu z nim po moim wyjściu i cieszyła się wszystkim, czego tylko mogłam się domyślać, i usiłowałam sobie przypomnieć twarz dziewczyny z fifką, tajemniczej siostrzenicy, która, jak mówił, już dawno wróciła do Francji, ale pamiętałam jedynie, co wtedy miała na sobie, krótkie spodenki i żakiet, który prawdopodobnie już dawno zastąpiła cieplejszym, zimowym ubraniem, więc teraz właściwie nic o niej nie wiem.

Zanurzyłam gąbkę w miseczce i zaczęłam pocierać duże talerze, spoglądając na rosnące pod oknem drzewko cytrynowe, latarnia świeciła prosto na nie, cytryny lśniły jak małe księżycy i pomyślałam, co ja tu robię, zmywam naczynia po starym dziwkarzu i jego flammie, zamiast zmywać w domu nasze naczynia, stać przed naszym oknem, zasłoniętym przez mroczny krzew, słyszeć koło siebie łagodny głos Joniego, miły, subtelny i zgodny, zamiast tego charczenia i tych wszystkich bakterii, przywiezionych prosto ze szpitala. Nagle Arie zaniósł się kaszlem jak gruźlik, a ja specjalnie zmywałam dalej z zaangażowaniem, jak gdyby nigdy nic, chociaż kątem oka widziałam,

że zbliża się, lekko chwiejnie, wyciąga w moją stronę rękę ze szklanką i mamrocze, wody.

Powinieneś rzucić palenie, powiedziałam, ignorując wyciągniętą szklankę, rozkoszując się tą chwilową władzą nad jego losem. Wody, powtórzył, ja wzięłam szklankę, napełniłam ją letnią wodą, niezupełnie bez płynu, i podałam mu, a wszystko to robiłam niespiesznie i precyzyjnie, tak że nim woda trafiła do ust, już dusił się od kaszlu, oczy nabiegły mu krwią i przełykał z trudem, wypluwając większość na podłogę. Uskoczyłam natychmiast, żeby nie zmoczył mi skórzanych spodni, a on rzucił się do zlewu jak koń do koryta, wetknął swój wielki łeb pod strumień wody, ciężki, umęczony podbródek spoczął na brudnych talerzach, aż wreszcie kaszel zgasł.

Wtedy uniósł ku mnie szarą, ociekającą wodą twarz i pomyślałam, może on płacze, ale akurat oczy miał suche, wziął z krzesła ścierkę kuchenną i wytarł się, zawsze poruszał mnie sposób, w jaki siebie dotykał, swobodnie, pewnie, po męsku, i nagle w mojej głowie pojawiła się słodka wizja, przyjdzie lato, on będzie leżał na mnie, i tak jak teraz woda, z jego twarzy będzie skapywał ciepły, słony pot, prosto na moje policzki, i będzie go ocierał dokładnie tym samym gestem. Usiadł przy stole ze spuszczoną głową, ja popatrzyłam na niego ze smutkiem, kto wie, czy on w ogóle dożyje lata, podeszłam bliżej, usiadłam mu na kolanach i objęłam go, on się nie poruszył, ale też nie oponował, bolał mnie nos, ale nie zważałam na to, tak dobrze mi było u niego na kolanach, jakby to było moje właściwe miejsce, położyłam mu głowę na ramieniu i powtórzyłam, powinieneś rzucić palenie, dodając, martwię się o ciebie, on zapytał, dlaczego, więc powiedziałam, bo należysz do mojej rodziny, on się uśmiechnął, czemu musisz każdego wciągać do swojej rodziny, a ja odpowiedziałam, wiesz, że już w niej jesteś. Wtuliłam się w jego ramię, badając z bliska szary profil, nos, lekko spłaszczony, jak u Murzyna, pełne wargi i mocno zarysowany podbródek, bardzo go pragnęłam, ale chciałam nie tyle się z nim przespać, co zespolic, chciałam znać każdą jego myśl, chciałam być jedną z rzeczy, o których myśli, chciałam, żeby chciał wiedzieć, co ja myślę, i żeby w jakiejś części te myśli, moje i jego, pokrywały się. Chciałam nim potrząsnąć, jeśli ma w sobie choć odrobinę miłości do mnie, powiedzmy tyle, co brudu za paznokciem, niech ta odrobina rozejdzie się po całym ciele, ale po twarzy Ariego przemknął tylko ten tajemniczy, samowystarczalny uśmiech, który jeśli nawet nie jest daleki, nie jest też bliski, i szybko zgasł, a on powiedział z

rozpaczą, jak ja zdażę, nie zdażę, ale nie wstawał z krzesła, chcąc go pocieszyć, rzuciłam, pomogę ci, jest jeszcze czas, ale on, ze spojrzeniem utkwionym w białym zegarze ściennym nad kuchennym blatem, powiedział, nie ma czasu, za pół godziny muszę wyjechać na lotnisko, już trudno, wezmę ich do restauracji, i poczułam się strasznie winna, bo w jego słowach nie było lekkości, tylko wielki ciężar, jakby ta zmiana planu była tragedią, która pociągnie za sobą kolejne tragedie, a wszystko przez mnie.

Zepchnął mnie z kolan, podniósł się ciężko i zaczął chować jedzenie z powrotem do lodówki, z żałobnym ceremoniałem żegnał zbędną sałatę, zbędne ryby i grzyby, wszystko, co uroczyście przygotował na blacie, co prezentowało się tam jak ekspozycja dobrych chęci, więc zaproponowałam, może ja przyszykuję kolację, pozwól mi, zanim wrócisz, wszystko będzie gotowe, ale on pokręcił głową, nawet nie rozważając propozycji, dodałam, nie martw się, nie będzie mnie tu, kiedy wrócicie, nie chcę cię krępować, ale on dalej kręcił głową, uprzątnął wszystko, z wyrazem smutnej rezygnacji na twarzy stanął przed zlewem i zaczął zmywać naczynia, ja z tym swoim spuchniętym nosem stałam się bardziej zbędna nawet od sałaty, bo ona jeszcze się przyda jutro, a ja nie, i odwołanie uroczystej kolacji jawiło mi się jak nieodwracalny wyrok, który załamie zupełnie nieszczęśliwą rodzinę, bo przyjeżdżają w tak bolesnych okolicznościach, a tu nawet domowe jedzenie nie osłodzi im pożegnania.

Pozwól mi przynajmniej dokończyć zmywanie, poprosiłam, ale nie odpowiedział i ani drgnął, obwarowany na stanowisku przy zlewie, wiedziałam, że teraz już zdecydowanie mogę iść, ale chciałam odejść z czymś dobrym, a nie w ten sposób, nie wiedziałam, jak zmienić nastrój, więc siedziałam, przypatrując się jego plecom i zręcznym ruchom, i licząc zmywane talerze, żeby sprawdzić, czy ich liczba jest parzysta, i pełne napięcia milczenie między nami przypomniało mi tamte dni po śmierci brata, a raczej nie dni, tylko tygodnie, miesiące, co najmniej rok, kiedy oni prawie ze sobą nie rozmawiali i jedno patrzyło na drugie z wrogością, jak na mordercę. Z początku ojciec próbował ją ukoić, ale jak zwykle dość szybko się poddał, taki słomiany ogień, a kiedy się poddał, niechęć zdwoiła się, co chyba ją wystraszyło, ale nie mogła już tego naprawić, i tak dom się prowadził bez słowa, w złowroziej ciszy, i tylko co jakiś czas przypominali sobie, co zapomniane, różne zadawnione winy wracały w demonicznym szepcie, a zwłaszcza jego wina, ciągle od nowa, dlaczego rzucił w połowie studia medyczne, zajął się żałosnymi badaniami w laboratorium, przecież

gdyby dokończył, mógłby ocalić dziecko, ocalić dziecko, ocalić nas wszystkich, powtarzała to wciąż od nowa, a on uciekając przed jej słowami, zamykał drzwi, puszczał się biegiem i krążył godzinami po gajach. Zmienili się nawet fizycznie, ojciec prawie nic nie jadł, wychudł jak szkielet, wyglądał przerażająco z wielkimi oczami w udreżonej twarzy, a ona na odwrót, przytyła, żarła jak świnia, wracała z supermarketu z siatkami i żarła, raz nawet widziałam, jak się rzuciła na surowe mięso mielone, robiąc kotlety, włożyła nagle do ust miękką masę, powiedziałam jej, mam, to jest surowe, a ona odpowiedziała, ugotuje się w brzuchu, zobacz, jaki jest ciepły. On słyszał nasze rozmowy i rzucał pod jej adresem straszne uwagi, zazwyczaj za moim pośrednictwem, mówił, wydaje jej się, że musi jeść dla mleka, nikt już nie potrzebuje jej mleka, myśli, że jeśli przytyje i będzie nosić worki zamiast ubrań, to będzie w ciąży, a ona mówiła, z nim będę w ciąży? Nigdy w życiu, jego nasienie jest zgniłe. Ależ, mam, protestowałam, ja też jestem z jego nasienia, a ona próbowała ukryć gorzki, dziwaczny uśmiech i nie odpowiadała, przesuwając tylko zatłuszczoną ręką po końcach krótkich włosów, okrytych bliznami w miejscu po obciętym warkoczu, tak jakby ta brutalna amputacja urody była jej zemstą.

Biegłam do swojego pokoju i wchodziłam do łóżka, tuląc się pod kołdrą do jedynej zabawki, jaką udało mi się uratować, wszystkie jego ubranka i maskotki włożyli do białego łóżeczka i wynieśli z domu, ale wykradłam stamtąd małą owieczkę, miękką i wełnistą, i latami tuliłam się do niej potajemnie, chowałam ją w różne miejsca przed matką, żeby mi jej nie wyrzuciła, codziennie po powrocie ze szkoły biegłam najpierw do pokoju upewnić się, że owieczka tam jest, odmawiałam, gdy przyjaciółki zapraszały mnie do siebie, bo bałam się ją zostawić zbyt długo samą, a kiedy wiele lat później poszłam do wojska, wzięłam ją ze sobą do bazy i tam zniknęła, chyba ktoś mi ją ukradł, i pamiętam, że żałowałam jej mniej, niż sądziłam, że będę żałować, może nawet się ucieszyłam.

Wiesz w ogóle o dziecku? zapytałam Ariego, próbując przeciwstawić jego nieszczęściu swoje, a on się zawahał chwilę i powiedział, oczywiście, że wiem, akurat przyjechałem wtedy do Izraela, chciałem przyjść i pocieszyć twoich rodziców, ale oni nie chcieli nikogo widzieć. Naprawdę chciałem przyjść, dodał, jakbym w to wątpiła, tak mi było przykro, po tylu latach starań o kolejne dziecko, i nie dokończył zdania, ale zmywanie tak, i spojrzał z zadowoleniem na czysty zlew. Wykąpię się i pojedziemy, powiedział, po drodze wysadzę cię pod domem, przemawiał łagodnie, jakby nasza tragedia

przesłoniła tragedię związaną z odwołaną kolacją, więc już się na mnie nie złościł, poszłam za nim do sypialni i patrzyłam, jak się rozbiera, jak zdejmuje sweter i spodnie, i zostaje w czerwonych slipkach i długim podkoszulku w kolorze wina, dosłownie parsknęłam śmiechem, kiedy to zobaczyłam, to było jak najlepszy dowcip, jego spodni strój był taki młody w stosunku do wierzchniego, zawsze uładowanego i poważnego, stał przede mną kolorowy, obnażony starzec w przebraniu chłopca, przebraniu tak udanym, że nikt by się nie poznał, przebraniu, które staje się drugą skórą, potem powlokłam się za nim jak ogon do łazienki, przyglądałam się, jak zdejmuje podkoszulek i majtki, nawet bez nich dalej wyglądał na przebranego z tą swoją gładką śniadą skórą, i jak się przeży pod strumieniem wody, namydla się skrupulatnie, nie pomijając żadnego punktu na ciele, i jak spienia mydło na włosach łonowych, zupełnie jak moja matka, i zaczęłam się zastanawiać, czy ona nauczyła się tego od niego, czy też on od niej.

Przypomniałam sobie, jakie obrzydzenie budził we mnie ten gest, kiedy przyglądałam się jej pod prysznicem, to rzeczowe, prostackie, szybkie pocieranie tajemniczego, delikatnego narządu, to ubijanie piany, jak przy pieczeniu ciasta. Potem, kiedy przytyła, zaczęła się zamykać w łazience i nie widziałam tego gestu aż do teraz, ale u niego nie był odpychający, tylko pociągający, wśród białej piany czernił się pięknie wyrzeźbiony członek, w całym ciele poczułam mrowienie, ukłucia pożądania, a może nostalgii, to samo czułam wtedy, w pierwszym życiu, zawsze myślałam, że mam po prostu ochotę na czekoladę, ale choćbym bez końca jadła czekoladę, to by nie przeszło, tak samo było teraz, wiedziałam, że nawet jeśli się rzucę na to ciało, nadal mnie będzie dręczyć kłujące pożądanie, bo tego głodu nie da się nasycić.

Zakręcił wodę, wyszedł ostrożnie, owijając się dużym ręcznikiem, stanął przed szafą i wyciągnął z niej pasiaste kolorowe slipki i fioletowy podkoszulek, ale na wierzch włożył granatowy garnitur i szarą koszulę, jakby szedł na spotkanie w interesach, potem wyjął z szuflady niewielki grzebyk, zaczesał włosy do tyłu, przy czym zęby grzebienia wyryły białe pasy na opalonej czaszce, i wetknął go do tylnej kieszeni spodni. Ze wszystkich tych rutynowych, wykonywanych z wielkim spokojem czynności, które obserwowałam w skupieniu jak szpieg notujący wszystkie szczegóły, by je przekazać dalej, akurat ta czynność rozzłościła mnie, tyle w niej było taniej kokieterii, jak dorosły człowiek, któremu umiera żona, może wpychać plastikowy grzebyk do tylnej kieszeni. Nie uwiera cię w tyłek, kiedy siadasz?

zapytałam, a on spojrzał na mnie zdziwiony, pomacał swoje siedzenie i powiedział, nic nie czuję, podeszłam do niego, obmacałam mu tyłek poprzez tkaninę odświętnego garnituru i rzeczywiście nie wyczułam grzebienia, jakby się całkiem wtopił w to zagadkowe ciało, w moich oczach był taki tajemniczy i czarujący, on i wszystko, co z nim związane, dogorywająca żona, matka staruszka, która przyjeżdża się pożegnać, spodnie odzienie, ale byłam pewna, że istnieje na świecie kobieta, co najmniej jedna, dla której nie byłoby nic niezwykłego w tym, że on się kąpie, spienia mydło na włosach łonowych, że się ubiera i jedzie na lotnisko, wydałoby się jej to tak zwyczajne, że nie robiłoby na niej najmniejszego wrażenia, zapewne istnieje również na świecie kobieta, co najmniej jedna, może nawet ta sama, dla której każda czynność, jaką wykona Joni, będzie tajemnicza i pociągająca, która zechce pójść za nim do łazienki, żeby zobaczyć, jak się namydla, którą rozpalą jego niedbałe ruchy i biała skóra, więc muszę się postarać odsunąć tę kobietę, żyjącą może na drugim końcu świata, a może tuż za ścianą, spojrzałam z obawą na ścianę i przypomniałam sobie sąsiadkę z dzieckiem, wrócili do mnie nagle jak zapomniany koszmar, i pomyślałam, że muszę pilnie zająć się tym dzieciakiem, zbadać nie tylko jego owczą twarzyczkę, ale też ciało, rozbiorę go i sprawdzę kolor skóry, budowę stóp, członek, uszy, to jedyna droga, by się dowiedzieć czegoś w życiu, sprawdzić samemu, przecież zapytać nie mogę, nie ma też szans, żebym dostała odpowiedź, tak jak się nigdy nie dowiem, kto jadł z talerzy i pił z kieliszków spiętrzonych w zlewie.

Pokój wypełnił się zapachem płynu po goleniu, a on stanął przede mną, wciśnięty między dwa osobne, wąskie łóżka, wyperfumowany i wyelegantowany, trochę śmieszny, istny bohater taniego serialu telewizyjnego, który wyrusza, dumny i blady, w tragiczną misję, żaloszny w swojej pysze, w wysiłkach, żeby wyglądać zdrowo, idealnie, jakby żadna część jego ciała się nie psuła, nie kurczyła. Lećmy, spieszę się, powiedział i utkwiał badawcze spojrzenie w moim nosie, próbując ukryć uśmiezek, oni zaraz lądują, popędzał mnie w korytarzu i pomyślałam, że kiedy będziemy mieszkać razem, a nagle stało się dla mnie jasne, że to naprawdę nastąpi, i już mnie nie obchodziło, co Joni mi obwieści za kilka minut, będzie tak słodko, kiedy mnie będzie poganiał, chodź już, spóźnimy się, będzie mówił, a to „my” obejmować będzie także mnie, specjalnie będę się guzdrać, stać godzinami przed lustrem i patrzeć na swój nos tylko po to, żeby usłyszeć, jak mówi, chodź już, spóźnimy się.

Rozdział ósmy

O której godzinie umarła, to jedno chciałam wiedzieć, ale akurat tego matka nie wiedziała. Nie rozumiała także, dlaczego to ma dla mnie takie znaczenie. Powiedziała, że ciotka Tir ca dzwoniła ze szpitala i mówiła, że wczoraj umarła żona Ariego. Uwierzyłybyś, że leżała tam z nią dosłownie łóżko w łóżko? Tak, ale o której godzinie, nalegałam, zadzwoń do niej i spytaj, o której. Nie będę jej teraz zawracać głowy twoimi bzdurami, odpowiedziała matka. Zdawała się zawiedziona, uwielbiała budzić mnie rano złymi wiadomościami o różnych znajomych, którzy zachorowali albo zmarli, o niepokojących, a zarazem ekscytujących dolegliwościach członków rodziny, tym się karmiła jej duchowa pustka, która przyszła po depresji, która przyszła po latach żałoby i nienawiści. Była w niej oczywiście radość z cudzego nieszczęścia, może nawet zachłanna nadzieja na zasilenie szeregów klubu poszkodowanych przez życie, do którego wstąpiła po śmierci dziecka, pospiesznie zatrzasnąwszy za sobą drzwi, żeby ojciec nie wepchnął się za nią i nie skradł jej tragedii. Jednak w stosunku do innych była bardziej wspaniałomyślna, każdy skrzywdzony przez los mógł wstąpić do jej klubu, oczywiście przy odpowiednich rozmiarach nieszczęścia, tak więc w jej gardle tłoczyły się żony po stracie mężów, dzieci po stracie różnych części ciała, przechodzące ciężkie zabiegi, i wszyscy oni lądowali u mnie szybciotko podczas naszych rozmów telefonicznych. Słyszałaś, co się stało z tą czy tamtą, zaczynała i nie czekając na odpowiedź, tłoczyła dalsze informacje. Tym razem poszło prędko. Nawet nie wiedziałam, że była chora, powiedziała rozżalonym głosem, jak mała dziewczynka, której nie zaproszono na kinderbal, tylko twój ojciec wiedział i nic nie powiedział. Pamiętasz, że Arie przyszedł do niego parę miesięcy temu? Chciał się poradzić w sprawie jakiejś nowej terapii, ale widocznie było za późno. Nie uwierzysz, okazuje się, że przez cały tydzień leżała z Tirca, przecież byłam tam prawie co rano i nie poznałam jej, nie przyszło mi w ogóle na myśl, że to Josephine, tak się zmieniła. W młodości wyglądała jak laleczka z porcelany, to prawda, że wiele lat jej nie widziałam, ale taka zmiana, pamiętam, porcelanowa figurka, delikatna, ale i silna, ciągnęła z wielkodusznością zarezerwowaną wyłącznie dla zmarłych. Ciekawe, co bez niej zrobi ten wyrośnięty dzieciak, ona go trzymała, wierz mi, on nie potrafi przeżyć minuty bez kobiety, która by go

trzymała. Zobaczysz, że w ciągu tygodnia sprowadzi sobie nową, pewnie nawet z tym nie zaczeka do weekendu.

Z trudem się opanowałam, żeby nie powiedzieć, nie zdziw się, jeśli to będę ja, ale trochę mnie wystraszyły jej słowa. Wydawał mi się taki silny, samowystarczalny, a tu nagle ona mi mówi, że jest niesamodzielny, dziecinny, słaby. Jak mogła go trzymać, zaprotestowałam, skoro przez cały ten czas była chora?

Tirca mówi, że do samego końca troszczyła się o niego, żeby się nie czuł samotny, żeby nie wpadł w depresję, dbała, żeby miał wokół siebie przyjaciół. Wszystkich gości wyganiała po kilku minutach i odsyłała do Ariego, jakby to on był chory, nie ona, zakończyła z triumfalnym chrapnięciem.

Więc nie masz pojęcia, o której to się stało? spytałam raz jeszcze, a ona odburknęła, co się z tobą dzieje, Ja'ara, zamiast pytać, kiedy będzie pogrzeb, pytasz, kiedy umarła. Pójdiesz ze mną, prawda?

Byłam jej stałą partnerką na pogrzebach. Nie lubiła oglądać ojca nad otwartymi grobami, zawsze go oskarżała, że się wpycha naprzód, zasłania jej widok, za to lubiła zabierać ze sobą mnie. Za każdym razem przysięgałam sobie, że więcej nie pójdę, ale w ostatniej chwili się łamałam i szłam, wiedziona jakąś głupią nadzieją, że jeśli będę uczestniczyć w jej żalu, to może dopuści mnie także do radości.

Tylko jeśli się dowiesz, o której godzinie umarła, odpowiedziałam twardo, a ona burknęła, że całkiem zwariowałam i że z radością pójdzie beze mnie, ale po kilku minutach zadzwoniła znowu, przez ciebie zbudziłam ciotkę Tirce, gderała, więc to się stało koło dziesiątej wieczorem. Teraz jesteś zadowolona?

Nie, nie byłam zadowolona. Byłam przerażona jak hipochondryk, który odkrywa, że jest chory, jak paranoik, który odkrywa, że ktoś go naprawdę ściga, bo przez całą noc czułam, że nie zdążą się z nią pożegnać, powiedziałam mu nawet pod domem, kiedy mnie wczoraj odwiózł, mam nadzieję, że zdążysz, a on odpowiedział, nie martw się, będę na czas, mając na myśli lotnisko, nie docierało do niego to, co z trudem dotarło do mnie, i myślałam o dziwnej grupie, jaką tworzył wyperfumowany zięć w eleganckim, odświeżonym garniturze, trzęsąca się ze starości matka, prawdopodobnie z niebieskawymi włosami, podtrzymująca ją siostra i jej mąż, i wyobrażałam sobie, jak z walizkami w aucie udali się prosto do najdroższej restauracji w

mieście, włoskiej albo francuskiej, bo w domu nie było kolacji, a kiedy znaleźli się w domu i wkroczyli na odkurzone dywany, czekała na nich wiadomość.

Ze smutku i poczucia winy dostałam zawrotów głowy, pokrzyżowałam mu plany przez swoją głupią wizytę, może gdyby jedli w domu, jak zamierzał, zdążyliby jeszcze, i wiedziałam, że ten pierwszy niefortunny traf pociągnął za sobą ten następny, jak w dominie, bo kiedy się psuje coś małego, zawsze pociąga to za sobą coś dużego, a teraz on wie, że to moja wina, i nigdy mi nie wybaczy.

Ale on nawet się do mnie uśmiechnął ciepło i przyjacielsko znad otwartego grobu swojej żony, stał w samym środku grupy wyglądającej dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam, jak wędrowna trupa aktorów z prowincjonalnego teatru, z których każdy chciał jak najlepiej odegrać swoją rolę. Matka w roli matki ocierała łezkę powściągliwie, po europejsku, a jej loki wtapiały się w błękit nieba, siostra podtrzymywała ją ze skruszoną miną, zawstydzona, że sama jest zdrowa, prawdopodobnie zawsze była brzydsza, mniej udana, a teraz właśnie ona została, mąż obejmował ją, dumny, że może okazać oddanie w tych trudnych chwilach, a obok niego stał Arie w roli kulturalnego wdowca, wysoki i elegancki, we wczorajszym odświętnym garniturze, nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że pod spodem może mieć śmieszne majtki w paski.

Stałam niedaleko niego, matka zawsze dbała o dobre miejsce pośrodku, czasem wręcz robiła użytek z pięści, żeby się tam wepchnąć, stałam jak grzeczna dziewczynka między matką a ojcem, który tym razem uparł się, żeby przyjść. Z ich gniewnych min domyśliłam się, że nie było to łatwe, na pewno wymieniali się uwagami, których treść mogłaby mnie niezwykle interesować, ustalali, kto ma naturalne prawo tu być, on czy ona, to znaczy, z kim Arie był bardziej zaprzyjaźniony, z nim czy z nią, i poczułam dumę, że pokonałam oboje w tej rywalizacji, uczciwie zapracowałam na prawo stania tu w kręgu bliskich, może uczciwie to nie jest właściwe słowo, ale wiadomo, o co chodzi. Być może jestem ostatnią osobą w tym całym tłumie, która widziała ją żywą, możliwe, że z moich rąk przyjęła ostatnią szklanekę herbaty, dwie łyżeczki cukru i dwie saszetki herbaty, jeśli będą mnie sprawdzać, opowiem wszystko, widocznie wiedziała, że to koniec, i chciała sobie dogodzić. Patrzyłam z ciekawością i dumą na smutne twarze, próbując odnaleźć wśród nich dziewczynę o rudych, równo obciętych włosach, ale nie było jej tam, większość żałobników sprawiała wrażenie mocno już leciwych,

nie było między nimi żadnej kobiety, która budziłaby we mnie podejrzenia czy zazdrość, nagle zobaczyłam w oddali ciotkę Tircę, zbliżała się powoli, starając się omijać kamienie i doły, bo cały teren cmentarza wyglądał jak plac budowy, bardzo nie chciałam, żeby opowiedziała o mojej wizycie w szpitalu, więc ku zdumieniu rodziców pospieszyłam jej na spotkanie, niby to ją podtrzymać, a ona natychmiast zawisła na mnie całym ciężarem, aż dziw brał, jak sobie radziła przedtem, beze mnie.

No to teraz jest wolny ten jej facecik, rzuciła ze złośliwym uśmiechem, a ja nie dosłyszałam, czy powiedziała jej, czy twój, więc zapytałam, czyj? A ona powtórzyła, jej, co zabrzmiało jak twój, a może odwrotnie. Zdenerwowało mnie, że nazwała go facecikiem, pogardliwie, dlaczego facecik, nie facet, kim ona w ogóle jest, co o nim wie, po prostu zgorzkniałe babsko, nienawidzące mężczyzn, ale dręczyła mnie myśl, że może ona wie o nim więcej niż ja, może naprawdę jest facecikiem, a nie facetem, kto wie, o czym Josephine opowiadała jej w długie szpitalne noce, kiedy światło nie gaśnie, hałasy nie ustają i nie ustaje ból.

Mało się nie złamałam pod jej ciężarem, szłam przygięta, ze wzrokiem wbitym w ziemię i rozmyślałam, jak to jest, że Josephine przez chorobę tak się zmniejszyła, a Tirca tak rozrosła, zmieniła się w apodyktyczną, przerażającą olbrzymkę, cały tłum już ją zauważył i obserwował w napięciu nasz powolny marsz, powolny i mozolny do tego stopnia, że nabrałam podejrzeń, że ona to robi umyślnie, uwieszą się na mnie brutalnie, z całej siły, celowo mnie miażdży, i przeklinałam ją i moje tajemnice, które wpędzają mnie w tak żenujące sytuacje, żenujące w najlepszym wypadku, a wszystko przez to, że mam coś do ukrycia.

Dokładnie w chwili, gdy dotarliśmy na zajęte dla nas miejsca, rozpoczęła się ceremonia, jakby czekali tylko na nas, ciotka Tirca stanęła z zadziwiającą lekkością obok mojej matki i uśmiechnęła się chłodno, a ja wyprostowałam się z ulgą, wciąż czując w kościach jej ciężar, na moich oczach drobne, niedbale owinięte ciało spłynęło do głębokiego dołu, wyglądała zupełnie jak dwunastoletnia dziewczynka, nie dałabym jej ani dnia więcej, dwunastolatka, która bawi się na zjeżdżalni i śmieje radośnie, ale zamiast śmiechu rozległ się płacz, zrazu powściągliwy, który nasilał się stopniowo, a Arie, w dużej czarnej jarmułce, odmówił kadisz, zaintonował go płynnie i bezbłędnie, jakby ćwiczył to przez całe życie. Przyglądałam mu się oczarowana, nigdy mnie tak nie zachwycił, jak w tamtej chwili, czarna, jarmułka zasłaniała jego siwiznę, imitując ciemne niegdyś włosy, twarz

odmłodziła mu ze wzruszenia i nagle nabrałam nadziei, że po mnie też zmówi kadisz, on i nikt inny, zamierzałam uzgodnić to z nim przy okazji, przecież nie proszę o wiele. Kiedy skończył, na twarzy i przez wznoszący się z grobu kurz widziałam, jak drżą mu ramiona, ktoś szybko stanął przy nim i objął go, też był w dużej czarnej jarmułce i też był pod nią siwy, i z przerażeniem poznałam, że to ten sędzia z Jaffy, wykazujący znacznie więcej inicjatywy i przytomności umysłu nad otwartym grobem niż w swoim kawalerskim łożu. Arie odwzajemnił mu się czułym uściskiem, a ja poczułam palący wstyd na wspomnienie białego, miękkiego cielska, dostrzegłam wokół dziwne poruszenie, usłyszałam stłumiony śmiech i zobaczyłam, jak ojciec porzuca nasze rodzinne gniazdo i zmierza w ich kierunku, nie zważając na szepty oburzenia, i jak obaj przyjmują go ze wzruszeniem, i stoją tak we trzech, ponownie zjednoczeni, splakani i ciasno objęci. Byłam dość zaskoczona, że ojciec też się rozplakał, nie sądziłam, że zmarła była tak bliska jego sercu, matkę również to zaskoczyło i słyszałam, jak szepce Tirca na ucho jakieś kąśliwe uwagi, i jak Tirca mówi, pozwól mu, co ci szkodzi, niech ma trochę przyjemności.

I rzeczywiście, sądząc po nateżeniu płaczu, znajdował w tym przyjemność, nawet po moim bracie nie płakał chyba tak rozpaczliwie, jak po tej prawie obcej kobiecie, obejmował Ariego z jednej, a Szaula z drugiej strony, wcisnął się w sam środek bez krępacji, jakby to on był wdowcem, i stali tuż nad krawędzią grobu, trzech mężczyzn ani młodych, ani pięknych, ani szczęśliwych, i łkali, jakby stracili wspólną ukochaną. Przyglądałam się ojcu, tulonemu jak dziecko w ramionach dwóch mężczyzn, z którymi spałam, zupełnie jak ja byłam tulona zaledwie kilka dni temu, jego subtelna, jasna obecność podkreślała śniadą tężyznę Ariego i pomyślałam, że matka, która przypatrywała się im zza moich pleców, nie mogła się w nim nie zakochać, gdy zobaczyła ich razem, jak mogłaby się nie zakochać w tej nieprzeniknionej, tajemniczej śniadości, wydawał się taki silny i tchnący bezpieczeństwem, a jednak nie budził zaufania. Nawet tu wydawał się śliski, podejrzany, może właśnie przez kontrast z dwoma pozostałymi, śmiertelnikami w każdym calu, pełnymi wad i słabości. Mój ojciec był szczupły, niski, łysiejący, Szaul otyły, lekko zgarbiony, on za to rosły, prosty, jego defekty były niewidoczne, ukryte, i przez to był najbardziej niebezpieczny. Słyszałam, jak z tyłu matka i ciotka Tirca szydzą z nich szeptem, trzech muszkieterów, chichotały, jeden bardziej stuknięty od drugiego, ten gruby sprawia wrażenie normalnego, rzuciła Tirca, ale matka fuknęła gniewnie, jaki on tam normalny, słyszałam, że bardzo gustuje w

nieletnich, a ja aż się wzdrygnęłam, nie wytrzymałam, odwróciłam się do niej i powiedziałam, czy musisz każdego obsmarować, przecież on jest sędzią, niezwykle ważne było dla mnie oczyszczenie Szaula, który stał się nagle drogi memu sercu, a matka aż podskoczyła, co ty masz z nim wspólnego? Skąd go w ogóle znasz? A potem zasyczała jak żmija, kto osądzi sędziego, i miałam ochotę wepchnąć ją do dołu, niech tam leży w objęciach Josephine, niech opowiada swoje rewelacje robakom, i przez zaschnięte gardło krzyknęłam szeptem, przez ciebie, to wszystko się stało przez ciebie, a ona odszepnęła, co się stało, a ja, przez ciebie zburzono Świątynię, bo widziałam, jak z jej zgorzkniałych ust bucha jaskrawożółty płomień, jak wije się wśród świeżych grobów, pozostawiając za sobą mroczny, gorący pas, pełźnie prędko na Wzgórze Świątynne, nieskończenie się zwielokrotnia, wspina na mury Przybytku i okrywa je złotem, a potem czernią. Popatrzyłam w niebo, zaraz z chmur wyłoni się dłoń, by przejąć klucze do Świątyni, rzucone wysoko w górę ręką arcykapłana, i kiedy szukałam tej dłoni, zniknęła mi z oczu jego impertynencka twarz, bo tylu ludzi otoczyło go w jednej chwili, ojciec wy dostał się z trudem i wrócił na swoje miejsce, rozdarty między dumą, zrodzoną z niecodziennego męskiego braterstwa, a wstydem, zrodzonym w zetknięciu z powszednim jadem kobiecym, i więcej nie widziałam Ariego. Tu i tam mignęła mi między głowami czarna jarmułka, ale bezczelna, tak ukochana przeze mnie twarz, porzucona w chwili rozpacz, ukryła się przede mną i przestraszyłam się, że już nigdy jej nie zobaczę, jakby to jego pochowano, a nie Josephine, i poczułam, jak spływa na mnie ciężka, bezgraniczna żałość, i zaskoczona jej siłą powlokłam się niepewnie z tłumem w kierunku samochodów, zakleszczona między rodzicami, którzy raz jeszcze zjednoczyli się przeciwko mnie jak dwa gangi, które jednoczy czasem strach przed policją. Patrząc na rzędy jasnych grobów, myślałam o moim bracie, Absalomie, takie długie imię dla dziecka, i o tym, jak ojciec go oplakiwał, „Synu mój, Absalomie! Synu mój, synu mój, Absalomie! Obym to ja był umarł zamiast ciebie”*, dopiero ta biblijna lamentacja uzasadniła po fakcie wybór imienia, jak ja się bałam, że to się stanie naprawdę, że mały wyjdzie nagle z ziemi, a ojciec wejdzie tam zamiast niego, uważałam, że mnie w ten sposób zdradza, i z mściwością myślałam, jak ciasno mu będzie w maleńkim grobie, gdzie będzie leżał zwinięty i skręcony, i będą go bolały wszystkie mięśnie.

* Ks. Samuela II 18, 33. Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z przekładu Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, Warszawa 1975.

W samochodzie wcisnęłam się do tyłu, obok ciotki Tircy, która usadowiła się ze swoją rozłożystą miednicą w szczodrym rozkroku i wyglądała obojętnie przez okno. Nie chcę was martwić, odezwała się do rodziców, ale za miesiąc – dwa będziecie musieli się tu zebrać znowu, a kiedy zaoponowali uprzejmię, powiedziała, bez hipokryzji, moi państwo, mam dokładnie to samo, co ona, nie widzę żadnego powodu, żeby u mnie to się miało skończyć inaczej, nie wytrzymałam i zapytałam, jak ona umarła, co mówiła przed śmiercią, a Tirca roześmiała się gorzko, naoglądałaś się filmów, kotku, prawdziwa śmierć zazwyczaj jest mniej rozgadana niż ta na ekranie, nie mówiła zupełnie nic. Jak długo nic nie mówiła? spytałam, a Tirca wzruszyła ramionami, naprawdę nie wiem; kiedy w południe wróciłam z zabiegów, ona spała, nie obudziła się do wieczora. Arie przyszedł o piątej, a ona nadal spała. Powiedział, że wróci w nocy z jej rodziną, ale kiedy przyszli, już nie oddychała.

Więc nic nie mówiła od południa? drażyłam dalej, a Tirca zdenerwowała się, przecież ci mówię, że spała, może coś mamrotała przez sen, nie zwróciłam uwagi, co się z tobą dzisiaj dzieje, powiedz no, co w ogóle z tobą jest? Nie odpowiedziałam jej, patrzyłam na brzydkie budynki za oknem i myślałam, jakie to straszne i jakie niewiarygodne, że w końcu naprawdę byłam ostatnią osobą, która z nią rozmawiała, która widziała ją żywą. Próbowałam sobie przypomnieć każde jej słowo, stało się dla mnie jasne, że nie na darmo wysiadłam z autobusu w połowie drogi, nie na darmo rozminęłam się z kierownikiem katedry, ale nie pamiętałam nic poza tym, że wymiotowała w dniu moich narodzin, im bardziej próbowałam sobie przypomnieć, tym było to trudniejsze, aż rozboleła mnie głowa, w kąciku oka tańczyło mi ostre, zimowe słońce i prawie nic nie widziałam, i jak w malignie, dotarło do mnie, że ojciec pyta, rozmawiałaś już z Jonim? Nie, odpowiedziałam, spał, kiedy wczoraj wróciłam do domu, a ja spałam dziś rano, kiedy wychodził, Tirca się roześmiała, dobry sposób na przeżycie w małżeństwie, że też na to nie wpadłam, a ja spytałam ze strachem, a co, tato? O czym mam z nim rozmawiać? Ojciec milczał i momentalnie odżył we mnie uśpiony strach, że Joni powiadomił ich wczoraj, że mnie zostawia, odchodzi na zawsze, i poczułam, że zaraz zwymiotuję, ona wymiotowała w dniu moich narodzin, a ja zwymiotuję w dniu jej pogrzebu, ale samochód właśnie się zatrzymał i ojciec powiedział, jesteśmy na miejscu, zdziwiłam się, że tak obcy mi człowiek wie, gdzie mieszkam, wysiadłam bez słowa i zwymiotowałam na środku ulicy, tam, gdzie przed chwilą stał ich samochód.

Weszłam prosto do łazienki i brałam prysznic tak długo, aż się skończyła ciepła woda, umyłam włosy, nałożyłam balsam, spróbowałam nawet ubić pianę na dole, jak oni, ale z bliska nie wydało mi się to niczym szczególnie godnym uwagi, ot, zwykła codzienna czynność, po wyjściu z łazienki obciąłam paznokcie, również u nóg, cały czas usiłowałam siebie uspokajać, że nic się nie dzieje, że teraz jestem czysta, szczęście, że nie można mnie poddać próbie dla cudzołożnic, mogę obciąć paznokcie i poczuć się nieskalana, a jeśli nawet Joni coś podejrzewa, zawsze mogę zaprzeczyć, on też zawsze może zaprzeczyć, całkiem łatwo można uwierzyć, w co się chce, zapomnieć o faktach, tak jak ja zapomniałam ostatnie słowa Josephine, już zawarłam z nim w myślach układ, powiedziałam, wybaczę ci, że zrobiłeś dziecko sąsiadce Ariego, a ty mi wybaczysz wszystko, co ja zrobiłam, i przez moment miałam nadzieję, że dziecko rzeczywiście jest jego, w przeciwnym razie nie będę mu miała czego wybaczyć i z układu nici, wreszcie uznałam, że nie wolno mi tego sprawdzać, bo się zdradzę, wszystko odbędzie się w myślach, wyłącznie między nami, wyłącznie między naszymi myślami, bez wypowiedania na głos. Włożyłam wąską mini, sweter w pasy, uczesałam się i spojrzałam w lustro, opuchlizna na nosie była ledwie widoczna, nawet matka się nie zorientowała, i wydawało mi się, że teraz wszystko będzie w porządku, dam sobie radę, i tylko co pewien czas paliła mnie tęsknota za twarzą, która ukryła się przede mną, żałowałam, że straciłam wszystkie grymasy, jakie dziś po niej przemknęły, i próbowałam się pocieszać, że to nic w porównaniu z tym, co jeszcze stracę, bo matka na pewno ma rację, jeszcze dziś przyjdzie do niego przyjaciółka od *carrée* i fifki, i jeśli nie dołożę starań, żeby o sobie przypomnieć, na pewno zapomni o mnie, nim minie trzydziestodniowa żałoba.

Przystąpiłam do makijażu z nadzwyczajnym, sekretnym zapalem dziewczynki, która pilnuje dziecka i sięga po szminkę pani domu. Cały czas miałam uczucie, że komuś coś podkradam, mimo że wszystko było moje, podkład, który przybrązowił mi twarz i zatuszował zmarszczki, eye liner, który podkreślał linię oka, mascara do przyczerniania i pogrubiania rzęs, niebieska konturówka, nadająca głębię oczom, róż, który uwydatnił kości policzkowe, i błyszcząca, purpurowa szminka, malowałam się ukradkowo, z ogromną przyjemnością, latami nie robiłam sobie równie perfekcyjnego makijażu, na koniec wyglądałam tak pięknie, tak promiennie, jak nie ja, i śmiałam się sama z siebie, że robię wszystko na opak, maluję się po powrocie, zamiast przed wyjściem. Uznałam, że skoro już jestem taka ładna, szkoda to marnować na cztery żółte ściany i warto by się gdzieś ruszyć, może

pójść do Joniego do pracy, dowiedzieć się, co opowiadał wczoraj moim rodzicom, ale wahałam się, bo jeśli on ma jakieś podejrzenia, każde nietypowe zachowanie go w nich utwierdzi, a ten krok byłby zdecydowanie nietypowy, więc postanowiłam pojechać na uniwersytet, wydrapać oczy sekretarce i przypodobać się kierownikowi katedry, ale po chwili to też wydało mi się bez sensu, szkoda psuć sobie makijaż na fałszywe uśmiechy, więc tymczasem położyłam się, żeby się zastanowić, co robić, żaden pomysł nie wydał mi się wystarczająco niezwykły i w końcu zasnęłam, zanim zdążyłam rozstrzygnąć, co jest głupsze, malować się do łóżka, jak ja, czy do grobu, jak starożytni Egipcjanie.

Obudziło mnie trzaśnięcie drzwi, wyskoczyłam z łóżka przerażona, że odszedł, serce waliło mi tak, że drżałam na całym ciele, tak samo się budziłam, będąc dzieckiem, gdy ojciec trzaskał drzwiami po ich kłótniach, zawsze z dygocącym sercem i ze strachem, że już nie wróci, że straciłam ostatnią okazję, żeby go zobaczyć, przekonać, żeby z nami został, i wypadłam z pokoju, jak stałam, w obcisłej spódniczce i z mocnym, rozmazanym makijażem na twarzy. Rozpoznawałam wszystkie oznaki obecności Joniego, zapach płynu po goleniu, płaszcz na krześle, teczkę na podłodze, tylko jego samego nie było, i byłam na siebie wściekła, że pozwoliłam mu się wymknąć w ten sposób, co teraz będę robić, zanim wróci, jeśli w ogóle wróci, pobiegłam sprawdzić, czy jego przybory do golenia i szczoteczka do zębów są na miejscu, zobaczyłam, że wszystko jest, i uspokoiliłam się trochę, chociaż gdyby naprawdę chciał mnie zmylić, mógł kupić wszystko podwójne. Kręciłam się dalej po domu, sprawdzając, czy poza Jonim czegoś nie brakuje, i w końcu, kiedy dotarłam do kuchni, odkryłam, że nie ma kubła na śmieci, i jak kretynka zaczęłam sobie powtarzać, brakuje Joniego i kubła na śmieci, co to oznacza? I w tym momencie pojawili się w drzwiach, jak szczególnie natrętna wypowiedz, pusty kubel, który zamierzałam umyć rano, ale zapomniałam, i Joni, który spojrzał na mnie zdziwiony i zapytał, gdzie byłaś? W łóżku, powiedziałam, spałam, a on spytał sceptycznie, z tym całym makijażem? Akurat wtedy, kiedy mówię prawdę, on mi nie wierzy. Próbowałam szybko wymyślić jakieś kłamstewko, które brzmiałoby wiarygodniej niż prawda, ale nic z tego nie wyszło, więc odwróciłam się do niego tyłem i podeszłam do lustra, gdzie z przerażeniem ujrzałam oczy w czarnych obwódkach z rozmazanego tuszu do rzęs, zlewającego się z czerwonym różem i do połowy startą szminkę, przy czym druga połowa pozostała nie naruszona i lśniąca, wyglądałam zupełnie, jakbym wróciła z

dzikiej orgii, wybąkałam żałośnie, przysięgam, umalowałam się, żeby wyjść, i w końcu zasnęłam, ale on zapytał podejrzliwie, żeby wyjść dokąd?

Zaczęłam oczyszczać twarz, próbując zmyć podejrzenia ciepłą wodą, jak to się stało, że coś, co było tak ładne, zrobiło się takie brzydkie, przecież właściwie umalowałam się dla niego, naprawdę dla niego, chciałam powitać go w pięknej masce, zasadzić się z umalowaną twarzą na nowiny, jakie przyniesie, ale i to brzmiało jak wyssane z palca. Przejechałam wilgotnym wacikiem wszystkie kluczowe miejsca, które w jednej chwili zbrzydły, zużyły się od pocierania, dosłownie widać było, jak moja twarz zamierza się zestarzeć, wacik pokrył się kolorami, które wcześniej pokrywały mnie, czernią, brązem, czerwienią i błękitem, a Joni cały czas przyglądał mi się wyczekująco, drapiąc się po zadartym nosie, pewnie czekał, aż skończę, ale ja bałam się skończyć, po raz kolejny orałam twarz, która była teraz blada i wypłowiała, aż w końcu rzucił, zniecierpliwiony, dość tych zachwyty, ja zakreśliłam kran i powiedziałam, to co będziemy robić, jakby nie było nic lepszego do roboty niż wystawanie przed lustrem, malowanie się i zmywanie makijażu, a on powiedział, pojedziemy w podróż poślubną, przecież nie mieliśmy miodowego miesiąca.

Rzeczywiście nie mieliśmy, ale mnie to niespecjalnie przeszkadzało, nawet mnie cieszył ten brak, umacniał w poczuciu, że to nie był prawdziwy ślub, a w każdym razie nie mój prawdziwy ślub, skoro faktem jest, że nie mieliśmy miodowego miesiąca, zamierzałam poczekać z tym do prawdziwego ślubu, więc zapytałam ostrożnie, a dokąd pojedziemy, żeby sprawdzić, czy mówi poważnie, czy też w ten dziwny sposób daje mi coś do zrozumienia, a on powiedział, do Istambułu, jutro rano, wszystko już zorganizowałem, twoi rodzice pomogli mi z pieniędzmi, pozostało ci tylko się spakować. Mówił to z dumą wzorowego ucznia, który wykonał wszystkie zadania i czeka na pochwałę, i rzeczywiście byłam pełna podziwu, tak się cieszyłam, że to, a nie co innego ukrywali przede mną rodzice, poczułam rozluźnienie w całym ciele, widocznie dobrze jest zawsze spodziewać się najgorszego, wtedy spotyka cię miłe zaskoczenie, pocałowałam go i powiedziałam, nie mogę w to uwierzyć, że też o tym pomyślałeś, że też się nie zorientowałam, i przez chwilę tak bardzo kochałam ojca, a nawet ją, za ten projekt rodzinny, spóźniony miesiąc miodowy, pięć lat po ślubie, że już miałam zaproponować, żeby z nami jechali i pilnowali nas tam, bo nagle zaczęłam się bać Istambułu. Wyobrażałam go sobie jako jeden ogromny bazar, kolorowy i gwarny, na który łatwo wejść, ale trudno się z niego wydostać, gdzie na

pewno się roi od nieszczęsnych par, które wyruszyły w podróż poślubną i nie zdołały odnaleźć powrotnej drogi, są głodni i wycieńczeni, piętrzą się przed nimi w stosach wszystkie przysmaki Orientu, ale są już bez grosza, od wielu dni i tygodni błakają się po nieskończonym labiryncie, nikt nie rozumie ich mowy, ten wskazuje na wschód, tamten na zachód, jeden na północ, a inny na południe, wszystko wygląda tak samo, żadnego drogowskazu, te same stragany, to samo niebo, gęste od minaretów meczetów zamienionych na kościoły, albo odwrotnie, i pary, które ruszyły w drogę podniecone i zakochane, płaczą jedno na ramieniu drugiego z nienawiścią, bo każde w skrytości ducha jest przekonane, że tamten ponosi winę. Ona mówi sobie, gdyby mój mąż nie był taki nieporadny, dawno by mnie stąd wyprowadził, a on myśli, ona na pewno zna drogę, ale się nie przyznaje, testuje mnie, chce, żebym dowiódł, że dam sobie radę, tymczasem dom oddala się coraz bardziej, z lękiem spojrzałam na Joniego i powiedziałam, może nie do Istambułu? Może gdzie indziej? Ale zaraz pomyślałam, że pod tym względem cały świat jest podobny, jednakowo przerażający, a kto sobie z tym nie radzi, niech siedzi w domu. Urządźmy sobie miodowy miesiąc w domu, sięgnęłam po najbardziej uwodzicielski ton, nie będziemy wychodzić przez cały tydzień, jak na początku, pozwiedzamy pokoje, ale on się roześmiał, chociaż był rozczarowany, dlaczego, w czym problem, więc powiedziałam rozkapryszonym tonem, boję się, że się tam zgubimy na bazarze, a on objął mnie, jak się obejmuje niedorozwinięte dziecko, widocznie mój strach wyzwolił w nim hart ducha, i powiedział, nie martw się, już od miesiąca poznaję Istambuł, i pomachał mi kolorowym przewodnikiem, wyjętym z teczki. Nie dając za wygraną, zapytałam, ale skąd wiesz, że tej książce można zaufać? Może to dla zmylenia przeciwnika? Słyszałeś, żeby ktoś pojechał z tym przewodnikiem i wrócił? A Joni machał mi dalej przed nosem, jakby odganiał muchę, jak zwykle przekonany, że się z nim drocę, i powiedział, wszyscy ciągle jeżdżą i wracają, jeżdżą i wracają, nikt nigdzie nie zostaje. Uspokoiliam się trochę, mimo że ta informacja brzmiała zbyt ogólnikowo i mało wiarygodnie, i postanowiłam w duchu, że jeśli się będę bała, po prostu go przekonam, żebyśmy większość czasu spędzili w hotelu, zawsze można wymyślić migrenę.

Joni wspiał się na pawlacz i zrzucił stamtąd walizkę, prezent ślubny, który spadł mi na nogi, zabolalo, ale nic nie mówiłam, żeby czegoś nie zepsuć, otrzepałam ją z kurzu, a potem zaczęłam grzebać w szafie, zapytałam, tam jest zimno czy ciepło, on powiedział, mniej więcej tak jak u nas, trochę zimniej, a ja odkryłam w szufladzie seksowną cielistą koszulkę,

którą sobie kiedyś kupiłam, kilka par przezroczystych majtek i podwiązki, coś w rodzaju munduru galowego, który przeleżał się w szafie dość zaniedbany, i wepchnęłam to wszystko do dużej walizki, może bizantyjskie noce obudzą chęć, zdejmą zakłęcie, które nam nie pozwala wspólnie dorastać, dojrzewać, wyjęłam kilka swetrów, a za nimi odkryłam kolejną zapomnianą skarbnicę gorących rekwizytów, zupełnie odruchowo zebrałam je kiedyś i uspiłam w szafie, aż przyjdzie właściwy moment. Było tam czarne body i siatkowe rajstopy, i czarne pończochy z przezroczystego jedwabiu, i odważne staniki, to również wylądowało w walizce, jakbym tam miała pracować co najmniej w charakterze luksusowej dziwki, i roześmiałam się, patrząc na Joniego, poważnego i pochłoniętego składaniem flanelowych koszul w wesołą, kolorową kratkę, koszule znikwały w dużej torbie podręcznej, a ja pomyślałam, jak go zaskoczę w hotelu swoimi przebraniami, i jak się będzie cieszył, i jak ja się będę cieszyć, że on się cieszy, w pokoju, który z niczym nie będzie mi się kojarzył, wśród twarzy, których nie znam i które nie znają mnie, i może w ten sposób Joni całkiem zapomni o bazarze, mój drogi Joni, który zamiast odejść, zaprasza mnie w podróż poślubną. Co nam stoi na drodze do szczęścia? Przez moment widziałam go jakby z boku, jakby robiono o nas film, niemalże można nam było pozazdrościć tych słodkich przygotowań do miodowego miesiąca, naszej młodości, wydawał się taki młody przy Ariem, nie miał ani jednego siwego włosa, można by powiedzieć, że życie przed nami, że razem dorośniemy, jak wszyscy, w każdym razie jak większość, będziemy mieli dziecko, i jeszcze jedno, i dwie kariery, dwie pensje, i dojrzejemy dzięki trudnościom, jak wszyscy, i pogodzimy się z brakiem, najważniejsze, że zawsze można na nim polegać, wesprzeć się trochę, wiedząc, że on to wytrzyma, poczuć się bezpiecznie.

Z tego szczęścia usiadłam w walizce, wtuliłam się w śmiałe stroje i wyprężając ramiona, jakbym się właśnie zbudziła, powiedziałam, chodź do mnie, pragnę cię, niezupełnie pragnęłam, ale też niezupełnie skłamałam, bo bardzo pragnęłam pragnąć, i pomyślałam, że jeśli on w to uwierzy, ja też uwierzę, a kiedy zobaczyłam, że nie rozumie, wyciągnęłam do niego rękę z walizki, on pochylił się ku mnie zaskoczony i powiedział, może najpierw coś zjemy, umieram z głodu. Od dołu jego brzuch, chociaż pusty, wydawał się duży i miękki, poczułam lekki wstręt, mimo to postanowiłam spróbować raz jeszcze, więc przesłoniłam twarz pończochą czy majtkami, trudno było rozróżnić, i szepnęłam uwodzicielsko, jedzenie nie ucieknie, a ja tak, on się roześmiał, jakby to był żart, nie dostrzegając groźby, i powiedział, ale zaraz zamkną sklep, a nie ma nawet chleba, wyskoczę na chwilę, możesz na mnie

zaczekać w walizce. Nim zdążyłam zaprotestować, już go nie było, więc natychmiast wyszłam z walizki, też coś, mam tam na niego czekać, co on sobie wyobraża, że jestem kobieta z gumy, i nie dość, że wyszłam, to jeszcze zaczęłam wyciągać z niej wszystko, co spakowałam z takim zapalem, bo nagle wydało mi się to beznadziejne, koronki rozsypały się po pokoju, znacząc efektownymi plamami proste, zużyte meble, i wtedy zobaczyłam go za sobą, wszedł cicho, z pustymi rękami, i zapytałam, co, już zamknęli sklep, a on powiedział, nie, nie dotarłem do sklepu, zrozumiałem, że chyba zrobiłem ci przykrość, więc wróciłem. Jego głos brzmiał żałośnie, był pozbawiony życia, radości, usiłowałam sobie przypomnieć, czy tak samo było, zanim się poznaliśmy, czy to przeze mnie, ale skąd mogłam wiedzieć, przecież zanim się poznaliśmy, nie znałam go; na przykład kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, miał smutny głos, ale myślałam, że to dlatego, że stracił matkę, tyle że wtedy głos był smutny, a teraz jest żaloszny, żaloszność jest bardziej przykra niż smutek, i pomyślałam, co my teraz zrobimy, co my kiedykolwiek zrobimy, schowamy wszystko z powrotem do walizki? Wejdziemy tam sami? Nigdy z niej nie wyjdziemy?

Siląc się na beztroskę, powiedziałam, nie szkodzi, może rzeczywiście najpierw coś zjemy, a on, zdziwiony, że nie robię z tego problemu, pobiegł z radością do sklepu, ale szybko wrócił, jeszcze bardziej żaloszny, i powiedział, właśnie zamknęli, w tej chwili zamknęli, miałam ochotę go sprać, dosłownie dać mu w tyłek, jak dziecku, ale postanowiłam utrzymać lekki ton i rzuciłam, nie szkodzi, jest chleb w zamrażalniku, on odpowiedział z przesadnym entuzjazmem, świetnie, zrobię jajecznicę z pomidorami, ja tymczasem włożyłam wszystko z powrotem do walizki, mrocznej i rozwartej szeroko jak obnażony srom, po czym zamknęłam ją, i to na suwak, bo komu potrzebny na środku domu nagi srom. Gdy zasiedliśmy do jedzenia, zaczęłam go wypytywać, dlaczego akurat Istambuł, od jak dawna planował tę niespodziankę i tak dalej, jak zawodowa dziennikarka, która powinna udawać, że wszystko ją interesuje, odpowiadał mi chętnie i rozwlekle, z pełnymi ustami, a ja próbowałam się pocieszać, mówiąc sobie, to jest twoje życie, może być znacznie gorzej, ale czułam, że się pograżam, on rozwodził się nad trudnościami z dokonaniem wyboru między Istambułem a Pragą, jak to w chwili, gdy zdecydował się na Istambuł, wiedział, że to właściwe miejsce, mimo że przedtem raczej skłaniał się ku Pradze, ale pomyślał, że się zachwycę bazarami, odzieżą ze skóry, i w miarę jak mówił, irytował mnie coraz bardziej, bo ja akurat wołałam Pragę, dlaczego mnie nikt nie zapytał. Zawsze zazdrościłam kobietom, którym mężowie robią takie niespodziewane

prezenty, a teraz zobaczyłam, ile w tym żądy władzy, ile nieliczenia się z nikim, bo ja na przykład wolę zobaczyć piękną, dostojną Pragę, wolę pojechać w innym terminie, nie w czasie, gdy muszę składać wizyty kondolencyjne, i poczułam powracającą falę mdłości, pobiegłam do ubikacji, stanęłam przed niewielkim lustrem i opłukałam twarz zimną wodą, ile razy można zaczynać życie od nowa, ile można próbować, przecież nie sposób próbować w nieskończoność.

Kiedy do niego wyszłam, był wystraszony, widząc mokrą twarz, pomyślał, że płakałam, i spytał, powiedziałem coś, co ci sprawiło przykrość? Przepraszam, Kreciku, tak bardzo się staram i nic nie wychodzi jak. trzeba, już chciałam mu odpowiedzieć, to staraj się mniej, a więcej myśl, ale sama nie byłam przekonana, czy to coś da. Raczej nie, co mi przyjdzie z tego, że będzie więcej myślał, właściwie nic, powinien nie tyle więcej myśleć, co być inny, a może i to nie wystarczy, bo to ja powinnam być inna, ale jak to się robi? Może właśnie w Istambule się uda, może kiedy wreszcie wyjdę z istambulskiego bazaru, będę inna i on będzie inny, i życie będzie inne, ten wyjazd wydał mi się nagle swoistą misją, nie podróżą dla przyjemności, lecz karną ekspedycją, która hartuje i oczyszcza, poczułam lęk i dumę, jak przed powołaniem do wojska, i sprzątnęłam ze stołu, maszerując po kuchni lewa, prawa, wyprężona jak rekrut. Przyglądał mi się w napięciu, jak zwykle wyczulony na każdy ruch, po czym powiedział, że idzie wziąć prysznic, i dodał uroczystym, znaczącym tonem, jak ukłon w moim kierunku, możesz przy mnie posiedzieć, jak kiedyś, i przypomniałam sobie, że kiedyś, kiedy jeszcze mieliśmy jakąś nadzieję, lubiłam mu asystować podczas kąpieli, siedziałam na sedesie i rozmawialiśmy, takie tam zwykle rozmowy, co się zdarzyło tu, a co tam, tak wyglądały dni naszej miłości, jeśli on umrze, jedynie za tym będę tęskniła, nie tyle za nim, co za swobodą i zażyłością, jakiej doświadczałam, siedząc na opuszczonej klapie sedesu, i próbowałam sobie przypomnieć, jak brzmiał wtedy jego głos, dochodzący z płynącego strumienia wody, czy brakowało w nim życia i radości, wydawało mi się, że nie, że wtedy miał głos słodki, żywy i pełen oczekiwania, ale ile można, przecież nie sposób czekać wiecznie.

Łazienkę wypełniała wonna para, uśmiechnęłam się do siebie na myśl, że ostatnio większość czasu spędzam na przyglądaniu się facetom pod prysznicem, prysznicowa panienska do towarzystwa, oto co ze mnie wyrosło, a on odsunął zasłonkę, odwzajemnił mój uśmiech, potrząsając prostymi, wydłużonymi od wody włosami i powiedział, chyba dzwoni telefon, odbierz,

odpowiedziałam, nieważne, niech sobie dzwoni, ale on nalegał, to na pewno mój tata chce się pożegnać, więc wyszłam na suche, zimne pokoje, nie miałam ochoty odbierać, chociaż telefon dzwonił niestrudzenie, ale w końcu podniosłam słuchawkę i usłyszałam głos ochryply od papierosów, głos kochany, zniechęcony, palący i drażniący, który powiedział, Ja'ara. Nie odezwałam się, bo chciałam usłyszeć, jak powtarza moje imię, byłam nawet lekko zdziwiona i dumna, że je w ogóle pamięta, Ja'ara, odpowiedziałam, tak, Arie, a on powiedział, myślałem, że tu będziesz, usłyszałam, jak krew mi tężeje, przestaje płynąć z radości i z żalu, i zapytałam, jesteś sam, chociaż słyszałam w tle dużo głosów, a on powiedział, w wiadomym sensie jestem sam, więc zapytałam, kiedy sobie pójdą, on powiedział, niedługo, w nocy, i po chwili wahania spytał, przyjdiesz do mnie w nocy? Powiedziałam powoli, czując, jak całe usta bolały mnie od tych słów, naprawdę chcesz, żebym przyszła? A on odpowiedział, tak, więc powiedziałam, dobrze, postaram się, i odłożyłam słuchawkę.

Stałam roztrzęsiona przy telefonie i myślałam, jak on śmie, jak śmie rujnować mi miodowy miesiąc z powodu swojej żaloby, a potem pomyślałam, co on jest winien, tylko mnie pragnie, nic więcej, przecież dokładnie na to czekam od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłam przy drzwiach u rodziców, ale zaraz sobie przypomniałam słowa matki, a może Tircy, że on w ciągu tygodnia kogoś sobie sprowadzi, może to tylko przypadek, że to akurat ja, może żadna inna nie chciała, jeśli przyjdę do niego w nocy, co będzie z Jonim i z naszym miodowym miesiącem, a jeśli nie przyjdę, co będzie ze mną.

Spięta i wyczerpana wróciłam do łazienki, ukryta za gęstą parą, opadłam na sedes, jego głos dobiegł mnie jak przez sen, z daleka, z głębokiej studni w ziemi, kto to był, spytał, ja powiedziałam, nikt, nieważne, nie miałam siły kłamać i pomyślałam, że oto nadchodzi dzień sądu, wielki i straszny Dzień Boży, dzień, w którym trzeba podjąć decyzję. Coś się stało, zapytał mokro i dźwięcznie, a ja powiedziałam, nie, nic się nie stało, i pomyślałam, co za zasrane życie, zasrane to niewłaściwe słowo, jak ci już raz oferuje dwa prezenty, to jeden kosztem drugiego. A co jeśli chcę i być z nim w czasie żaloby, i jechać do Istambułu, dlaczego muszę wybierać, nie sądziłam, że to nastąpi tak szybko, nie przypuszczałam, że to w ogóle nastąpi, nie jestem teraz gotowa, nie jestem w stanie się zdecydować. Ale w tym przypadku brak decyzji to też decyzja, bo jeśli przeoczę chwilę, gdy pierwszy raz mnie potrzebuje, mogę go stracić na zawsze i nigdy nie usłyszę,

jak ponury głos mówi łagodnie, Ja'ara, Ja'ara, przyjdź do mnie w nocy. Myślałam o tych wszystkich dniach, które minęły, odkąd go zobaczyłam u rodziców, jak go szukałam po ulicach, po sklepach, jak go pragnęłam, jak pragnęłam, żeby mnie pragnął, i to się stało, co mnie obchodzi, jak i dlaczego, najważniejsze, że mnie teraz pragnie, i wtedy Joni powiedział, ręcznik, więc wyszłam, stanęłam przed szafą, próbując sobie przypomnieć, czego szukam, ale nie udawało mi się, przejrzałam wszystkie półki kolejno, półkę za półką, jakbym się z nimi żegnała, i przypomniałam sobie, jak sami skręciliśmy tę szafę, dlatego jest krzywa, Joni ciągle powtarzał, że trzeba ją rozmontować i złożyć na nowo, a ja go wyśmiewałam, słuchaj no, nie masz innych zmartwień, na co on odpowiadał, ciebie też przydałoby się rozmontować i złożyć na nowo, też jesteś nieźle skrzywiona, i w tym momencie zjawił się za mną, nagi, ociekający wodą, i powiedział ze złością, co się z tobą dzieje, gdzie ręcznik, wymamrotałam, przepraszam, szukałam właśnie półki z ręcznikami, a on odepchnął mnie niemal brutalnie i burknął, masz ją przed nosem, co się z tobą dzieje, wziął ręcznik, ale sam widocznie zapomniał, co z nim zamierzał zrobić, bo stał nagi z ręcznikiem w ręku i kapał na podłogę.

Spojrzałam na jego ciało, zaczęłam je przeglądać półka za półką, jak szafę, na każdą część składałam co innego, zaczęłam od dołu, od dużych, płaskich stóp, zwieńczonych zaskakująco cienkimi kostkami, dopiero teraz ze smutkiem zauważyłam ich kruchość, od kostek rozszerzały się w górę białe, ciemno owłosione nogi, wyżej były czerwonawe, szorstkie kolana, miękkie uda, szeroka miednica, a między udami rzadkie, czarne włosy łonowe, obwisła moszna i różowawy, lekko przekrzywiony na bok członek, i dalej wysokie biodra, zapadnięty, niewielki brzuch, jasna pierś i lekko pochylone ramiona, prowadzące do opalonych, szerokich rąk, jak przyklejonych do białawego ciała, które sprawiały wrażenie znakomitego kolażu, szczególnie udanych protez, imitacji przewyższającej oryginał, zawsze lubiłam je sobie wyobrażać, jak trzymają nasze dziecko.

Dopiero kiedy dotarłam do zgiętej szyi, zaczął się wycierać, robił to powolnie, jakby pozwalał mi się pożegnać ze swoją nagością, jego samego może jeszcze kiedyś zobaczę, ale nie jego nagość, a potem wyjął z szafy białe majtki i białą trykotową koszulkę, ubrał się szybko i wszedł do łóżka, a ja stałam w niewielkiej kałuży, jaką po sobie zostawił, nie wiedząc, co powiedzieć, nagle straciłam łączność i nie wiedziałam, jak się podłączyć na nowo.

Wyjął z szuflady budzik i powiedział, dobrze by było, gdybyś już zakończyła pakowanie, musimy być o siódmej na lotnisku, więc wyciągnęłam z szafy jakieś rzeczy, nawet nie spojrzałam, co, i wepchnęłam je do walizki, wzięłam kremy i kosmetyki, i książkę, która leżała przy łóżku, i buty, i sandały, on się roześmiał, do lata zdążymy wrócić, weź lepiej botki, więc nie wyjmując sandałów, wepchnęłam botki, i znowu zadzwonił telefon, pomyślałam, że może Arie już się rozmyślił, nawet przez chwilę miałam nadzieję, że to on, przecież jeśli w ogóle ma zamiar się rozmyślić, lepiej niech to się stanie teraz, kiedy jeszcze coś można uratować, ale to byli rodzice, matka trajkotała w słuchawkę, no, jak ci się podoba nasza niespodzianka? Naprawdę bardzo dziękuję, mam, powiedziałam, to nic wobec niespodzianki, jaką ja wam zrobię, a ona się roześmiała, po czym spytała niepewnie, co masz na myśli? Nic, odpowiedziałam, po prostu mam nadzieję, że będę mogła się wam kiedyś odwdzięczyć, a ona powiedziała, daj spokój, cieszymy się, że mogliśmy pomóc, tata też życzy szczęśliwej podróży i całuje. Wróciłam na palcach do sypialni, mając nadzieję, że już zasnął, ale leżał na boku w aureoli słabego światła i czytał swój przewodnik, błyskając wilgotnymi lokami, zwrócił na mnie miodowe oczy i powiedział, przepraszam, jeśli przedtem sprawiłem ci przykrość, to było naprawdę głupie z mojej strony, a ja rzuciłam, daj spokój, Joni, już o tym zapomniałam, weszłam do łóżka i odwróciłam się do niego tyłem. Poczułam jego ręce na swoich plecach, ni to głaskał mnie, ni to masował, asekurancko, co rozzłościło mnie jeszcze bardziej, przecież to moje plecy, nie jego, więc niech nie rusza, i odezwałam się dziecinnym głosem, to moje plecy, a on przylgnął do mnie od tyłu i zapytał, co powiedziałaś, w takich chwilach oboje przechodziliśmy na rodzaj męski, jestem zmęczony, Szczurku, odpowiedziałam, a on, to śpij, Kreciku, jutro wyruszasz na drugą stronę rzeki.

Sama go nauczyłam tych bzdur ze zwierzątkami z „O czym szumia wierzby”, rozmawiałam w ten sposób z koleżankami z wojska i dość szybko się tym zaraził, Szczurku, powiedziałam, boję się, co to będzie, a on na to, będzie dobrze, mój Kreciku, nie martw się, od jutra zacznie być dobrze, jego palce uparcie błądziły po moim ciele, co tak nie pasowało do naszej dziecinnego paplaniny, jakby ktoś podłożył dubbing od Pinokia do filmu erotycznego, moje ciało zamknęło się, ale on nie przestawał, sięgnął jedną ręką do piersi, a drugą między nogi, próbując wsunąć palce z niezwykłą stanowczością, był agresywny i uciążliwy, widocznie zdawało mu się, że tamto zaproszenie jest wciąż aktualne, ale nie było, naprawdę nie. Niewiele brakowało, a byłabym go strząsnęła z siebie mało uprzejmie, ale powiedziałam sobie, co ci szkodzi,

to przecież ostatni raz, więc odwróciłam się twarzą do niego, rozłożyłam szeroko nogi i wepchnęłam go do środka, jego dotyk był śliski jak guma i chociaż nic nie założył, jak zwykle miałam wrażenie, że jest w kondomie, złapałam go mocno za tyłek i cały czas powtarzałam sobie ni to modlitwę, ni groźbę, to ostatni raz, ostatni raz, on zapytał, dobrze ci, chciałabyś jeszcze? A kiedy nie odpowiedziałam, spytał znowu, tym razem w rodzaju męskim, co było nieznośnym zgrzytem w trakcie pieprzenia, mój Kreciku, odpowiedz mi, lzy mi stanęły w oczach i krzyknęłam, tak, tak, ściskając z wściekłością szeroki tyłek, i w tym momencie skończył z nagłym westchnieniem, jęknął ponuro jak szakał, opuścił głowę na moje piersi i przylgnął do nich, miękki i wdzięczny.

Zaczęłam go głaskać po włosach, czekając, aż zaśnie, zazwyczaj taka była procedura, ale on był w nastroju do rozmowy, szepnął, lubię cię czuć tak blisko, więc powiedziałam, ja też, co mogłam na to powiedzieć, on wyszeptał, trudno mi zasnąć ze wzruszenia, wydaje mi się, że jutro będzie nasz prawdziwy ślub, a ja powiedziałam, mnie też, on odczekał chwilę i spytał, czy w ciągu tych lat, kiedy jesteśmy razem, byłaś z kimś w ten sposób? Poczułam, jak zalewa mnie morze łez, i pomyślałam, oto twoja szansa, wyznaj wszystko, zacznij od nowa, po co go ciągle chronić, jego i siebie, ale nie byłam w stanie, szepnęłam tylko, nie, co ci nagle przyszło do głowy, on powiedział, bo mam poczucie, że dużo zachowujesz dla siebie, pogłaskał mnie po włosach i dodał, to nic złego, Ja'aruś, nie uważam cię za swoją własność czy coś takiego, chcę tylko wiedzieć, to wszystko, a ja powiedziałam, nie ma nic do wiedzenia, śpijmy, Szczurku, więc odwrócił się, zgasił światło i powiedział, dobranoc, Kreciku.

Wiedziałam, że już nigdy nie usłyszę, jak wypowiada te słowa, leżałam w ciemności i w ciszy, próbując się uspokoić, wmawiałam sobie, że jeszcze nie jest za późno, że mogę zostać w ciepłym łóżku, rano pojechać na lotnisko, urodzić dziecko z buzią owcy, usiłowałam zrobić rachunek za i przeciw, zysków i strat, aż głowa mi pękała od tabel. Wtedy uznałam, że jeśli zdołam zasnąć, to znak, że mam zostać, a jeśli nie zasnę, znak, że powinnam iść, i próbowałam myśleć o czymś przyjemnym, żeby zasnąć, ale poczułam, że coś we mnie wierzga jak dziki koń, wierzga coraz silniej, do bólu, jakbym miała w brzuchu całą stadninę dzikich koni, jakby co chwilę rodził się nowy, konie z rydwanu Boga, rumaki piekielne, konie ciemności, konie krwi, konie żelaza, konie mgły pasły się we mnie nad ognistymi żłobami. Nie mogłam uleżeć dłużej, wstałam cicho i poszłam do łazienki, obmyłam się szybko

zimną wodą, wróciłam do pokoju upewnić się, że on śpi, oddychał spokojnie, miarowo, a ja przyglądałam mu się z litością i ze strachem, jak patrzy się na chore dziecko, pogrążone we śnie, a potem ostrożnie wyniosłam walizkę do salonu, ubrałam się po ciemku w pierwsze, co mi wpadło w rękę, przy drzwiach zatrzymałam się, poszukałam papieru i długopisu, chciałabym móc z tobą spędzić miodowy miesiąc, napisałam mu.

Rozdział dziewiąty

Noc była inna, niż sobie wyobrażałam, niż wydawało się z łóżka, mniej mroczna, mniej gorzka, czuć już było koniec zimy, wlokąc po znieprawionej trasie pękata walizkę, pełną staników, podwiązek, pończoch i majtek, zastanawiałam się, gdzie mnie zastanie wiosna, gdzie mnie zastanie lato. Zatrzymało się przy mnie kilka taksówek, ale wołałam iść pieszo, pocąc się pomimo zimna, nie chciałam się teraz wdawać w żadną rozmowę, tylko posuwać się wolno naprzód, mijać sklepy, światła i drogowskazy w prywatnym pochodzie triumfalnym, pozdrawiając skinieniem głowy salutujący szpaler, co chwilę oglądałam się, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie ściga, i miałam wrażenie, że słyszę jego szept, wróć do mnie, Kreciku, wróć. Dlaczego szepcze, jeśli chce, żebym go usłyszała, czemu nie krzyczy, szept słabnie, musiałabym przystanąć i pochylić się, by go dosłyszeć z głębi ziemi, jak szepty ocalałych pod gruzami, co zanim się do nich dotrze, już nie żyją.

Usiadłam na wąskim chodniku, czując, jak zaciska się na mnie pięść smutku, i pomyślałam, że jeszcze nie jest za późno, mogę wrócić, on na pewno śpi, mogę szybko wrócić, rozebrać się i położyć do łóżka, jakbym wcale nie wychodziła, Arie na pewno zapomniał, że mnie w ogóle zaprosił, rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu znaku i przypomniałam sobie gwiazdę, która lśniła nad Jerozolimą jak miecz przez cały rok przed zburzeniem Świątyni, nie zniknęła ni zimą, ni latem i nawet w świetle dnia widoczny był jej blask, ale zaraz się poderwałam, dzika siła gnała mnie naprzód, nie mogłam zrezygnować z takiej szansy, i zatrzymałam się dopiero pod jego drzwiami, ciężko dysząc i nasłuchując odgłosów. Z mieszkania naprzeciwko dochodził gwałtowny, pełen wyrzutu płacz dziecka, które zaofiarowałam się czasem przypilnować, ale u Ewenów było cicho, więc zapukałam słabo, niemal głaszcząc tak dobrze znane drzwi, znałam je lepiej niż masywną, poważną twarz, jaka się w nich ukazała, pospiesznie przekręcił zamek i poprowadził mnie do sypialni, która zmieniła się doprawdy nie do poznania. Całe oprzyrządowanie medyczne zniknęło, łóżka znów były zestawione, nakryte kwiecistą narzutą i dużymi miękkimi poduszkami, po obu stronach stały drewniane komódki, a na nich okrągłe lampki nocne, po jego stronie zauważyłam czubatą popielniczkę z papierosianymi szczątkami i pełną szklanekę, po drugiej stronie na komódce

nie było nic, jakby tylko czekała na moje kremy. Kiedy zdażył to zrobić, zaledwie wczoraj ten pokój wyglądał jak sala szpitalna, a teraz jest wypucowany i anonimowy jak pokój hotelowy, dokładnie tak sobie wyobrażałam nasz pokój w Istambule, przez moment poczułam gniew, że tak szybko usuwa ślady po niej, zapewne równie szybko usunie ślady po mnie, próbowałam policzyć, skoro ja, która z nim była prawie trzydzieści lat, usuwa w ciągu jednego dnia, to jak prędko usunie mnie, jeśli, powiedzmy, będę z nim niespełna rok. Jak zdażyłeś to zrobić, zapytałam, a on powiedział przepraszającym tonem, nie robiłem czegoś z niczego, po prostu przywróciłem wcześniejszy stan, rozejrzałam się wokół podejrzliwie, właściwie swobodniej się czułam w poprzednich dekoracjach, postawiłam walizkę na podłodze, a sama usiadłam na niej, jakbym była na lotnisku, on przyjrzał się drwiąco walizce i powiedział, co nam przyniosłaś, a ja, z krzywym uśmiechem, odpowiedziałam, różne niespodzianki, bo nagle się zawstydziałam, że z nią przyszłam, zaprasza mnie na jedną noc, a ja się zjawiam z wielkim kufrem, jak Mary Poppins.

Zobaczmy, powiedział, podniósł mnie, otworzył walizkę i natychmiast wyciągnął z niej moje rekwizyty, właściwie wszystko, co czarne, z zainteresowaniem badał każdy z osobna, na koniec powiedział, nieźle, i zaczął się śmiać, tak mnie to upokorzyło, że usiadłam na łóżku z głową między kolanami i omal się nie rozplakałam, miałam nadzieję, że zaraz nadejdzie kaszel i zdusi ten jego śmiech, a wtedy usiadł koło mnie, objął mnie i powiedział, nie obrażaj się, nie śmieję się z ciebie, śmiesz mi twoja walizka, chętnie się zobowiązę, że stąd nie wyjdiesz, dopóki nie zrobimy użytku ze wszystkich twoich kreacji, uniósł mi głowę, patrzył na mnie przez chwilę i dodał, to dobrze, że mnie rozśmieszasz, przecież Bóg nakazuje pocieszać pogrążonych w żałobie.

Nie wyglądasz na pogrążonego w żałobie, powiedziałam, a on zachnął się, nienawidzę, kiedy ktoś mi dyktuje, co mam czuć, przeżywam żałobę po swojemu i w swoim czasie, miałem czternaście lat, kiedy z tego powodu porzuciłem Jesziwę, więc nie będę się podporządkowywał teraz, słyszysz? Nikt mi nie będzie mówił, kiedy się cieszyć, a kiedy smucić, cieszę się z twoich podwiązek, cieszę się, że ona już nie cierpi, wyrzucił z siebie jednym tchem, jest mi przykro z powodu ceny, jaką zapłaciła, jest mi przykro z powodu ceny, jaką ty płacisz, kiedyś mówiło się, że miłość nic nie kosztuje, ale to największa bzdura, jaką słyszałem. Miłość nie kosztuje? Najwyższą cenę płaci się za miłość. Kiedy zakończył swoją przemowę, która brzmiała

przekonująco, ale sprawiała wrażenie nieco wyświechtanej, jakby już ją wygłaszał przy rozmaitych okazjach, wstał, zdjął efektowne spodnie, położył się w majtkach po swojej stronie łóżka, znowu zaczął się śmiać nieprzyjemnie i rzucił, wyglądasz na zawiedzioną, Ja'ara, przyszedł tu się popieprzyć, a zamiast tego prawie ci kazanie, a ja położyłam się, przytuliłam do niego i powiedziałam, skąd, lubię cię słuchać. Rzeczywiście było mi miło słuchać, jak mówi do mnie, naprawdę do mnie, ciepło i kojąco, zawsze czułam, że potrafi taki być, i pomyślałam triumfalnie, warto było, nie pomyliłam się, pociągało mnie w nim nie pełne rezerwy milczenie, tylko to, co słyszałam za nim, te mocne, podniecające słowa, każde słowo, jakie wypowiadał, brzmiało podniecająco, podniecał mnie ruch języka w ustach, sposób, w jaki stykają się ciemne wargi, w jaki trzymają papierosa, podał mi swój papieros i powiedział, zwróć uwagę, że to nie jest zwykły papieros, włożyłem do niego środek na pocieszenie.

Na mnie to nie działa, powiedziałam, bo popalałam czasem i zawsze byłam rozczarowana, że nie ma żadnego efektu, ale tym razem albo domieszka była inna, albo ja byłam inna, bo natychmiast poczułam przypływ siły, miałam siłę, by lizać jego śniadą, aromatyczną skórę od dołu do góry, i zrobiłam to, zdawało mi się, że w ten sposób sklejam go z kawałków, że jest rzadkim wykopaliskiem, a ja, jak archeolog, zebrałam rozbite części i teraz sklejam je śliną, dopiero na koniec dowiem się, co z tego wyszło, byłam bardzo ciekawa, ale nie wolno mi było otwierać oczu w trakcie, dopiero po wszystkim. On leżał jak posąg i palił spokojnie, co pewien czas się śmiał, ale mnie to nie przeszkadzało, nawet byłam zadowolona, że znalazł sobie powód do śmiechu, przyklejałam mu powolutku długie i smukłe nogi, a między udami pięknego fiuta, który przeciągnął się jak po długim śnie, i szłam w górę, prawie zabrakło mi śliny, ale starałam się, nie chciałam przerwać w połowie, zostawić go bez głowy czy ramion. Kiedy skończyłam, spojrzałam na niego z dumą, świetnie to wyszło, miałam przed sobą człowieka poskładanego od nowa, wszystko było na swoim miejscu, zastanawiałam się, czy tak się czuł Bóg po stworzeniu Adama, ekscytowało mnie, że dzieję to doświadczenie z Bogiem, cały czas czułam, jak coś mnie pali na dole, więc wzięłam go za rękę i powiedziałam, zobacz, gorąco jak w piecu, a on zaczął mnie rozbierać i stwierdził z nieszczerą troską, trzeba obniżyć gorączkę, to niebezpieczne, wziął kostkę lodu, która pływała w jego szklance, possał ją chwilę, położył u wylotu i bardzo powoli wcisnął do środka, a ja drżałam z rozkoszy, czując, jak rozpuszcza się we mnie, i myśląc, tak samo rozpuściłam w końcu ciebie, kochany, tak samo rozpuściłam ciebie.

Tymczasem on poszperał w walizce i wybrał krótkie body, całe z siatki, ubrał mnie jak niemowlę, na nagie ciało, wziął czarną, jedwabną pończochę, zebrał mi włosy do góry i związał je jak gumką, całował mnie po odsłoniętej szyi i piersiach, które omal nie rozerwały oczek cienkiej siatki, a przy tym ciągle słyszałam bezgłośny, lisi śmiech, może rozlegał się tylko w mojej głowie, a może to ja się śmiałam, słysząc lisy, krążące wśród ruin Świątyni.

Cienka siatka ciążyła mi jak krata, a łóżko kołysało się mocno jak okręt wśród fal, okręt przewoził więźniów, dziwne uczucie być więźniem na samym środku morza, żywiołu bezgranicznej wolności, ale mnie nie do więzienia wiozą, tylko do Istambułu, gdzie sprzedadzą mnie do haremu sułtana i nigdy nie zdołam stamtąd wyjść, będzie sobie ze mną poczynał wedle swojej woli, i wtedy zobaczyłam, jak przypala papierosa w kącie łóżka, daleko – daleko ode mnie, i usłyszałam, jak pyta ochrypłym głosem, chcesz się jeszcze trochę pocieszyć? Tak, powiedziałam, a on popatrzył na mnie łagodnie i ni to stwierdził, ni to zapytał rzeczowym tonem, masz zmartwienie, jakby pytał, masz resztę, więc przysunęłam się bliżej, położyłam mu głowę na kolanach i powiedziałam, tak, ja też jestem w żałobie.

O nic więcej nie pytał, tylko podał mi skręta z czerwoną główką, mówiąc, włożyłem do niego dużo środka na pocieszenie, pogładził mnie po włosach, dodał przepaszająco, nie wiem, czy to łóżko pomieści jeszcze jedno zmartwienie, i wstał błyskawicznie, wystraszona, spytałam, dokąd idziesz, a on powiedział szeptem, wysikać się, nagle zauważyłam, że oboje mówimy szeptem, jakbyśmy się pilnowali, żeby kogoś nie zbudzić, i zapytałam, dlaczego szepczemy, a on na to, nie szepczemy, a już na pewno nie ty, wyrwało ci się parę okrzyków, które z pewnością wprawiły w podziw sąsiadów. To bardzo źle? spytałam zawstydzona i zamiast odpowiedzi usłyszałam jednostajny szum moczu, potem odezwał się, nie martw się, są przekonani, że rwę włosy z głowy i krzyczę. Wrócił, położył się przy mnie i w jednej chwili przyciągnął mnie siłą i posadził na sobie, unosił mnie i opuszczał jak kukłę szmacianą, poniżał i wywyższał, rozciągał i skracał, prostował i naginał, trzymał i puszczał, bolało jak mój pierwszy raz, na węglach, wśród puszek po piwie, ale tym razem nie obchodziło mnie to, tak lubiłam ten stan wyrzeczenia się woli, kontroli, w którym nie decyduję nawet o tym, czy ruszyć tyłkiem w lewo czy w prawo, w górę czy w dół. Usłyszałam, jak mówi, pokrzycz teraz, kotku, niech wszyscy usłyszą, że rozpaczasz po zmarłej, więc krzyczałam, bo kazał, chciałam robić wszystko, co każe, to nawet nie była chęć, tylko rodzaj wiedzy, że robię wszystko, co powie, nie

przeszkadzało mi nawet, że mnie nazywa kotkiem, i z dna tego krzyku rozpaczy, z całkowitego poddania się wystrzeliła gwałtownie wielka fala słodyczy, jakbym się zanurzyła w łożku pełnym miodu, jego ruchy we mnie też stały się delikatne, kołyszące, jakbym miała między nogami niemowlę, które on układa do snu, i tak zasnęłam, po prostu, jak inne kobiety, budzące we mnie zawsze zazdrość tym, że są w stanie spać obok różnych mężczyzn, chociaż nie obiecywali, że zawsze je będą kochać, a mimo to śpią dobrze, i miałam niejasne poczucie, że dzisiejszej nocy odkryłam coś, co powinnam zapisać, żebym nie zapomniała, ale nie miałam siły otworzyć oczu, a kiedy się obudziłam, nic już nie pamiętałam.

Byłam sama w dużym pokoju, bolała mnie głowa, natychmiast spojrzałam ze strachem na zegar, była dokładnie dziewiąta, godzina odlotu samolotu, który zabiera szczęśliwe pary do Istanbulu, pomyślałam, co ty zrobiłaś, co ty zrobiłaś, i szybko zadzwoniłam do domu, żeby usłyszeć jego głos, upewnić się tylko, że nic mu nie jest, i odłożyć słuchawkę, ale nikt nie odbierał, widocznie pojechał sam w naszą podróż poślubną, trochę mnie rozśmieszyło, że spędzamy miodowy miesiąc osobno, aż przypomniałam sobie, że to nie żart, że to się dzieje naprawdę, tyle że nic już nie mogłam zrobić, przecież nie mogę zadzwonić do samolotu i poprosić, żeby tędy przeleciał i zabrał mnie z łóżka, nic nie mogę zrobić, zupełnie nic. Wstałam z łóżka i zobaczyłam, że moje siatkowe body jest porwane, na ciele miałam ślady po jego dłoniach, a wszystkie mięśnie bolały mnie jak po bezlitosnej lekcji wuefu, pokuśtykałam do łazienki, wykapałam się we wrzącej wodzie, tak że ledwo mogłam oddychać, nasmarowałam całe ciało kremem, włożyłam kremową koszulkę i to było wszystko, co mogłam zrobić. Żaluzje były spuszczone, nie śmiałam ich odsłonić, żeby ktoś nie zauważył, że się tu ukrywam, z wnętrza domu dochodziły stłumione, przeważnie kobiece głosy, chwilami udawało mi się rozróżnić wśród nich jego głos, ochryply i opanowany. Podeszłam do drzwi, bo chciałam lepiej słyszeć, ostrożnie spróbowałam je uchylić i wtedy odkryłam, że jestem zamknięta na klucz.

Oparłam się o drzwi, gotując się z gniewu i oburzenia, co on sobie myśli, że jest sułtanem tureckim? Zamyka mnie w swoim łożku, jakbym była jego własnością, kto wie, co się odbywa w tym mieszkaniu, może w każdym pokoju zamknięta jest inna dziewczyna, świętująca z nim świeże wdowieństwo, w salonie zbierają się pocieszyciele i ocierają łzy, a inne pomieszczenia spływają potem rozpusty. Ja, która nigdy nie miałam odwagi zamknąć na klucz nawet drzwi ubikacji, tkwię uwięziona w sypialni, zależna

od jego łaski w pełnym tego słowa znaczeniu, jeśli o mnie zapomni, mogę marnieć z pragnienia i głodu do późnej nocy, nie wolno mi nawet pisnąć, żeby się nie wydało, że tu jestem, bezczeszczę pamięć i łożę zmarłej.

Z rozpaczyny wróciłam do łazienki, długo piłam wodę z kranu, umyłam twarz, żeby się uspokoić, i wróciłam do łóżka, próbowałam spojrzeć na to wszystko inaczej, jakie miał właściwie wyjście, przecież nie mógł mnie zamknąć od wewnątrz, chyba że by mnie obudził, prawdopodobnie chciał dać mi pospać, zostawić drzwi otwartych też nie mógł, wystarczyłoby, żeby matka czy siostra weszły odłożyć kilka płaszczy albo odpocząć chwilę, i znalazłyby mnie, na pewno czeka na odpowiedni moment, aby wymknąć się i przemyścić mi coś do jedzenia i picia, tak jak ja przemyślałam Tircy resztki po byłym mężu i jego nowej żonie. Próbowałam podsłuchać, co się tam dzieje, i niestety odniosłam wrażenie, że zgiełk się nasila, drzwi otwierały się i zamykały niemal bez ustanku, zrozumiałam, że nie ma szans, żeby się szybko pojawił, a jednak zadrżałam, słysząc zbliżające się kroki, klamka ruszyła się w dół i w górę kilka razy, aż ktoś ją puścił, rozczarowany, zrobiłam się cała czerwona ze wstydu i strachu na myśl, że mogłabym zostać odkryta, co za szczęście, że jestem zamknięta, przecież każdy, kto zechce siusiu, kiedy ubikacja dla gości będzie zajęta, spróbuje tu wtargnąć, mimo to uznałam, że lepiej by było, gdybym to ja miała klucz, a nie on, wtedy mogłabym wyjść, zmieszać się z gośćmi jako jedna z pocieszających, przecież byłam ostatnią osobą, która z nią rozmawiała, nawet jeśli nikt o tym nie wie, tak było, nawet jeśli nie powinno było tak być, jednak było. Mogę wziąć na siebie rolę gospodyni, w każdym razie serwować jedzenie, robić wszystkim kawę, w pierwszej kolejności sobie, wszystko bym dała za filiżankę kawy, i jak rasowa więźniarka usiłowałam sprawdzić, jakie są możliwości ucieczki, przecież to pierwsze piętro, więc mogę wyjść oknem i zjawić się oficjalnie drzwiami, próbowałam odchylić lekko żaluzję, żeby sprawdzić, czy są tam kraty, istotnie były, nawet dość gęste, a co śmieszniejsze, w kształcie serc, gapiłam się na nie w osłupieniu i powiedziałam sobie, nieźle się urządziłaś, kotku, zamiast jeść teraz śniadanie w Hiltonie w Istambule, spoglądać na cieśninę Bosfor i na Złoty Most, łączący Europę z Azją, skręcasz się z głodu i patrzysz na kraty w kształcie serc. Przypomniałam sobie, że w nocy nazwał mnie kotkiem, i trochę mnie to zniesmaczyło, co on o mnie myśli, ale powiedziałam sobie, nie myśli, tylko widzi to, co mu pokazujesz, jak się sprzedasz, tak cię kupią, a ty z uporem płacisz tak wysoką cenę, żeby się sprzedać tak tanio, co tam tanio, za darmo, gotowa jesteś nawet dopłacić temu, kto chce cię kupić, i znowu próbowałam dodzwonić się do Joniego,

znowu nikt nie odbierał, a mimo to trochę trudno mi było uwierzyć, że pojechał beze mnie, drogi Joni, smutny, biedny Joni, moja sierotka, teraz wszyscy dzielimy ten sam los, Joni, który stracił matkę, ja, która straciłam brata, i Arie, który stracił żonę, wszyscy jesteśmy jedną wielką i nieszczęśliwą rodziną.

Zastanawiałam się, kto w naszej rodzinie jest najbardziej nieszczęśliwy i z początku uznałam, że Joni, który pojechał sam w podróż poślubną, tu wdowiec prowadzi burzliwe życie seksualne podczas siedmiodniowej żałoby, a tam pan młody spędza miodowy miesiąc samotny jak pies, ale kto sam wyjeżdża, niekoniecznie sam wraca, nasz spóźniony miodowy miesiąc może z łatwością zmienić się w przedwczesny miodowy miesiąc Joniego i poznanej tam pani, właściwie wydało mi się to niemal nieuniknione, aż się o to prosiło według wszelkich niepisanych reguł życia miłosnego, zgodnie z którymi to ja będę ostatecznie najnieszczęśliwsza, bo kto chce zdobyć choćby o kromkę chleba więcej, niż ma, zostaje na koniec z niczym.

Rozejrzałam się wokół wystraszona, osaczona przez te reguły jak szczury w mrocznym laboratorium ojca, i myślałam, jak się im wywinąć, jak się ukryć przed swoim losem, jakby los był piłką w dziecinnej grze, w której nie wolno dać się zbić, jak się nazywa ta gra, zdaje się, że dwa ognie, ten, kogo dotknie piłka, odpada, spojrzałam na zegarek, żeby sprawdzić, jak daleko ode mnie jest już Joni, nadal była dziewiąta, co wydawało się nielogiczne, bo nawet jeśli czas płynie wolno, to jednak płynie, nawet gdy się nic nie robi, czas mija, co ostatecznie jest pewnym pocieszeniem, i wtedy dotarło do mnie, że mój zegarek, który zawsze był zbyt wrażliwy na wszelkie zmiany nastroju, stoi, pewnie się zepsuł od nocnych wstrząsów. Poczułam się jeszcze bardziej zagubiona, nie miałam nawet pojęcia, która godzina i czy mam prawo marzyć teraz o śniadaniu, czy o obiedzie, i ile godzin dzieli mnie od pory, kiedy się wszyscy wynoszą, wydaje mi się, że zwykle daje się żałobnikom odpocząć między drugą a czwartą, ale możliwe, że nawet jeżeli wszyscy goście wyjdą, pogrążona w żałobie rodzina będzie wolała odpocząć tutaj, zamiast tłuc się z powrotem do hotelu, zlitują się nad zrozpaczoną matką o błękitnych lokach. Ciekawe, czy je układa u fryzjera, czy robi wszystko sama tymi drobnymi dłońmi, i przypomniałam sobie drobne ciało Josephine, z jaką lekkością spłynęła do grobu, prawie że wymachując rękami i krzycząc z radości, i zaczęłam się zastanawiać, jakim była dzieckiem, na pewno jej matka siedzi teraz i opowiada każdemu, kto zechce słuchać, jaka z niej była zdolna i grzeczna dziewczynka, grała na pianinie,

pięknie recytowała Baudelaire'a albo Moliera, mniejsza z tym, w jej różanych usteczkach wszystko brzmiało równie słodko, rzeczywiście, nawet umarła jak róża, skurczyła się, zwiędła, płatki opadły i tyle, do śmietnika. Zawsze mnie przygnębiały wędnące kwiaty, spuszczone wyschniętą główkę do wazonu, który wydziela odpychającą woń fermentującej wody, tchnące zaniechaniem, wolałam patrzeć na pusty wazon niż na wazon ze zwiędłym bukietem. Joniemu, który czasami przynosił mi kwiaty, powtarzałam, żeby mi tego oszczędził, ich piękno nie jest dla mnie warte tyle, żebym znosiła tę ohydę, mówiłam mu, przecież ten bukiet zwiędnie najdalej w ciągu tygodnia, nim sobie przypomnę, żeby go wyrzucić, minie kolejny tydzień, tymczasem będę zachodzić w głowę, skąd ten smród i dlaczego dom sprawia wrażenie zaniechanego i przygnębiającego, w drodze do kosza wyschnięte płatki rozkruszą mi się w dłoniach, rozsypią po całym mieszkaniu, zawładną moim życiem, mnóstwo czasu upłynie, nim się pozbędę traumy związanej z trzymaniem bukietu w domu.

Pomyślałam, że może spróbuję zabić czas, podsłuchując, o czym tam rozmawiają, niekoniecznie o niej, prawdę mówiąc ona sama interesowała mnie teraz znacznie mniej, przecież jestem ze strony pana młodego, nie panny młodej, po co się z tym kryć, w jej agonii było coś ekscytującego, ale kiedy umarła, zdawała mi się właściwie osobą dość pospolita, która pożyła sobie parę lat i odeszła, pozostawiając po sobie anonimową sypialnię z gęstymi kratami w kształcie serc, zdaje się, że jej konanie było bardziej imponujące niż życie, prawdopodobnie dało jej sposobność, żeby wykazać się szlachetnością, a ona wiedząc, że to ostatnia okazja, postanowiła z niej skorzystać, z pewną dozą słuszności, ale Bóg jeden wie, co ja mam z tym wspólnego, dlaczego właśnie ja muszę być bardziej papieska niż sam papież, to znaczy niż jej mąż. Wzięłam sobie z kąta krzesło i przycisnęłam się do drzwi, z początku słyszałam tylko stłumione głosy, ale powoli zaczęłam je rozróżniać, akurat weszła jakaś kobieta, entuzjastycznie przyjęta, o bardzo donośnym głosie, ku mojej radości niemłodym, ją słyszałam dosyć wyraźnie, opowiadała, że właśnie wraca od weterynarza i nie pytajcie, co się stało. Ktoś spytał z troską, czy pies zachorował, a ona powiedziała, nie pytaj, poszłam go wykastrować, bo zaczął sprawiać kłopoty i nie miałam do niego siły, wszyscy mówili, wykastruj, to dla jego dobra, więc kiedy pies już leży uśpiony na stole operacyjnym, weterynarz mi mówi, proszę pani, gdzie pani ma oczy, to przecież nie pies, tylko suka, byłam w szoku, jakby mi to powiedział o moim własnym mężu, tak oczywiste było dla mnie, że to pies, więc mówię mu, co robimy, a on, w gruncie rzeczy nie ma żadnej różnicy,

sukę tym bardziej trzeba sterylizować, cieczerka jest jeszcze bardziej uciążliwa, więc powiedziałam mu, sterylizuj pan, usiadłam w poczekalni, a po kilku minutach on wychodzi i pokazuje mi jej macicę, okazuje się, że już tam miała cztery płody, maleńkie i okrągłe jak orzeszki, zaczęłam na niego wrzeszczeć, mówię mu, włóż wszystko z powrotem do brzucha, morderco, a on na to, co pani chce, umówiliśmy się na sterylizację, nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić, i teraz wszystko jest u niego w śmietniku, macica i szczeniaczki, suka się ocknie, powiedział, o niczym nie będzie wiedziała, ale ja wiem, i to mnie doprowadza do szaleństwa.

Usłyszałam szloch, prawdę mówiąc, sama też mało nie podrapałam drzwi, tak byłam wstrząśnięta, wszyscy zebrani zaczęli ją pocieszać, jakby to ona była w żałobie, i nikt już nie pamiętał o Josephine, ktoś, może nawet sam Arie, powiedział, spróbuj o tym zapomnieć, założmy, że masz jednak psa, nie sukę, teraz, kiedy nie ma macicy, to nawet bliskie prawdy, w przypadku psa to dość naturalne, że nie rodzi, więc z czego robisz tragedię? A ona odpowiedziała donośnie, po prostu świetnie, sam też się pocieszasz takimi metodami? Nie słyszałam jego reakcji, bo jakaś inna kobieta o młodym głosie spytała, napijesz się kawy, Tami, i zaraz poczułam napięcie, bo kto może podawać kawę z taką naturalnością, jeśli nie siostrzenica z firką albo inna przyjaciółeczka poruszająca się swobodnie po jego życiu. Łyżeczki zastukały o brzegi filiżanek, Tami widocznie ochłonęła, bo już jej nie słyszałam, dopiero po kilku minutach znów powiedziała głośno, wyobraźcie sobie ten szok, jakby ktoś mi oświadczył, że mój mąż tak naprawdę jest kobietą. Nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami, duży, pusty pokój zawirował i stanął na głowie, próbowałam wrócić do łóżka, ale po drodze wpadłam na walizkę, omal się nie przewracając, i rzuciłam się na nią ze wzruszeniem, jakby to był Joni, oto pamiątka z mojego poprzedniego życia, kiedy byłam wolnym człowiekiem, mogłam wychodzić i wchodzić, grzebałam w niej z czułością, wdychając zapach domu, który kojarzył mi się teraz ze słodkim zapachem wolności, i wśród rekwizytów żądzy natrafiłam na twarde, wepchnięty tam bezwiednie przedmiot, na biały kruk z prywatnej biblioteki kierownika katedry, zbiór legend o zburzeniu Świątyni.

Objęłam książkę czule i zaczęłam kartkować, szczęśliwa, że spotykam wszystkich swoich przyjaciół, jakbym znalazła nagle w obcym domu stare zdjęcie klasowe, była tam cudzołożnica, która przyjęła kielich z rąk syna, arcykapłana, i gdy ten stał przed nią, płacząc i lamentując, wypłała go do dna nie dlatego, że była pewna swej niewinności, tylko dlatego, że była pewna

swojej winy, spotkałam też córkę arcykapłana, na oczach której zamordowano ojca, a kiedy zaczęła krzyczeć, ją także zamordowano, mieszając jej krew z jego krwią, miałam przed sobą cały ród, spotkałam Martę, córkę Bajtosa, i resztę delikatnych cór Syjonu, które w życiu nawet nie były na targu, a potem przyszło im daremnie szukać jedzenia wśród końskiego łajna, chwytaly się kolumn i umierały na każdym rogu, ich niemowlęta pełzały przy nich, a każde, poznając matkę, wspinało się i próbowało ssać mleko, a gdy mu się nie udawało, umierało w obłędzie na jej łonie, matki wyobrażałam sobie na wzór i podobieństwo sąsiadki z naprzeciwka, w mojej wizji leżała martwa przy drzwiach swojego mieszkania, a obok niej raczkował synek o szczupłej, bladej twarzyczce owcy. Nad nimi wszystkimi unosił się cień Jeremiasza, który wędrując z Anatot do Jerozolimy drogą usianą odrąbanymi kończynami, dostrzegł przez łyżę potarganą, odzianą na czarno kobietę wołającą o pocieszenie, i sam zawołał o pocieszenie, zupełnie jak my tej nocy, też wołaliśmy o pocieszenie, on do mnie, a ja do niego. Najbardziej mnie ucieszyło spotkanie z żoną stolarza, która wyszła za czeladnika, wciąż wracałam do tej legendy, próbując wyczytać z oszczędnego opisu, co przeżywała naprawdę, kiedy mąż usługiwał im, roniąc łzy do jej kielicha w godzinie, gdy zapadł wyrok. Mocno przytuliłam książkę i rozłożyłam ją szeroko, chcąc poczuć uścisk papierowych ramion, okryłam nas kołdrą i usiłowałam się przespać dla zabicia czasu, jak to się robi w Jom Kipur, chyba nawet zasnęłam, gdy usłyszałam zgrzyt pospiesznie obracanego w zamku klucza i poderwałam się szybko, żeby nie uznał, że śpię, i nie wyszedł, a on stanął nade mną, bezgłośnie nakazał mi milczenie i usiadł na brzegu łóżka, wpatrując się we mnie dzikim wzrokiem. Rozejrzałam się wokół, sprawdzając, czy przyniósł mi jedzenie, ale jego ręce na moich piersiach były puste i zimne, a obserwująca mnie twarz, wykrzywiona w grymasie skupienia, zbliżała się, aż była tak blisko, że prawie przestałam ją widzieć, niecierpliwie zdarł ze mnie koszulę, obmacując prostacko, położył moją dłoń na rozporoku czarnych żałobnych spodni i wyszeptał, jak bardzo go chcesz, kotku, odpowiedziałam szeptem, bardzo, a on powiedział, pokaż, jak bardzo, nie całkiem rozumiałam, o co mu chodzi, jak się w ogóle pokazuje coś takiego, ale chciałam go zadowolić, więc ugniatałam mu spodnie miarowo, ale on wstał i powiedział, nie przekonałaś mnie. Czego ty ode mnie chcesz, spytałam, bliska łez, on odpowiedział, nic nie chcę, a czego ty chcesz, i jak wzorowa uczennica powiedziałam, ciebie, a on, to zastanów się, jak mnie przekonać, będziesz miała kolejną okazję w nocy, i ruszył do drzwi, pobiegłam za nim naga, nie

możesz mnie tak zostawić, wypuść mnie, a on powiedział, ale w drugim pokoju jest cała rodzina. Przynieś mi chociaż coś do jedzenia, poprosiłam, a on odpowiedział, najpierw mi pokaż, jak bardzo go chcesz, więc w ataku wściekłości uklęknęłam na podłodze, rzuciłam się na niego jak wygłodniałe zwierzę, gryząc, drapiąc i połykając wszystko wokół, już ledwo rozróżniałam, gdzie jestem ja, a gdzie on, gdzie ma przód, a gdzie tył, ciągnęłam go na podłogę, mówiąc, chodź wreszcie, nie mogę dłużej czekać, ale on nachylił się nade mną, podciągnął spodnie, zaniósł się lisim śmiechem i powiedział, dobrze jest cię trochę przegłodzić, wtedy zacznasz walczyć, odwróciłam się, nie wstając z podłogi, nie chciałam dłużej patrzeć na jego pysk, a on śmiał się, dostaniesz go w nocy, kotku, dokładnie tak, tu, na tej podłodze go dostaniesz, udało ci się mnie przekonać, że naprawdę chcesz.

Słyszałam, jak wychodzi, zamyka drzwi na klucz, nie miałam siły się podnieść z podłogi, z głodu za nim bolało mnie całe ciało, widocznie siebie też przekonałam, poczułam jego brak w sobie jeszcze silniej, niż kiedykolwiek czułam obecność, a jednocześnie zaczęłam się go bać, bać się tych dziwnych gier, do czego mu są potrzebne, może się uwikłałam w znajomość z typem, od którego lepiej nie być zależną, to znaczy zamkniętą na klucz w jego sypialni, co ja właściwie o nim wiem, a jednak wiedziałam, że nawet gdybym miała klucz, nie wyszłabym teraz, jeszcze nie, nie przed nocą.

Powlokłam się do łóżka, ociężała i podniecona oczekiwaniem na noc, całą noc z nim, gdy usłyszałam, że wraca, trzymając na czubkach palców okrągłą tacę, jak zawodowy kelner. Była tam duża filiżanka kawy, szklanka soku, dwie kanapki, talerzyk pokrojonych warzyw i miseczka owoców, dziwiłam się, jak zdążył to przygotować w ciągu dwóch minut, widocznie miał wszystko z góry przyszykowane, chciał sobie tylko zażartować, na kogo właściwie działają te jego gierki, i tu musiałam przyznać, najwyraźniej na ciebie, kotku. Postawił tacę na łóżku i powiedział z całkowicie zmienionym wyrazem twarzy, *room service*, był spokojny, zrelaksowany, nagle wyglądał jak sympatyczny, życzliwy wujek. Rzuciłam się na kawę i na jedzenie, poczułam, jak szczęście wypełnia mnie po brzegi na sam widok tej tacy, istnego dzieła sztuki, on wziął kawałek marchewki i żuł znudzony, ja zapytałam, jesteśmy sami, a on powiedział, niezupełnie, matka śpi w drugim pokoju. Która godzina, spytałam, a on odpowiedział, trzecia, i przypomniałam sobie, że to zawsze była najgorsza pora w Jom Kipur, o tej godzinie najbardziej chce się jeść, ale kiedy się ją przetrzyma, ma się wrażenie, że można już pościć wiecznie, poprosiłam, żeby dolał mi kawy, wrócił zaraz z błyszczącym,

czerwonym termosem, postawił go na tacy i powiedział, z początku nosiłem Josephine kawę w tym termosie, potem już jej się robiło od tego niedobrze. Popatrzyłam na termos i pomyślałam, jak zbędna jest ta uwaga, doprawdy w złym tonie, co mnie obchodzą dzieje termosu, on też zamilkł, pograżył się w smutnych refleksjach, jak wypadało, a potem powiedział, wtedy jeszcze myślałem, że to się dobrze skończy, z pełnymi ustami spytałam, jak coś takiego może się dobrze skończyć? A on powiedział, nic u niej nie znaleźli, wszyscy sądziliśmy, że to nerwy, bolały ją włosy, rozumiesz, słyszałaś o chorobie, przy której bolą włosy? Nigdy w życiu, odpowiedziałam, przerywając na moment obżarstwo z szacunku dla zmarłej, a on zaśmiał się gorzko, miała piękne blond włosy, nawet kiedy się zestarzała, włosy pozostały młode, bez cienia siwizny, wszyscy byli przekonani, że je farbuje, a w końcu właśnie tam ją bolało, i to piekielnie. Cesała się i płakała, wyobrażasz to sobie, byłem pewny, że chodzi o nerwy, coś, co miłość może uleczyć, wiesz, jak trudno jest pojąć, że są bóle, których się nie uleczy miłością? Przez te wszystkie lata myślała, że nie dość ją kocham, oboje się łudziliśmy, że kiedy jej dam całą miłość, jakiej potrzebuje, wszystko się ułoży, aż nagle okazało się, że moja miłość to nic, zero, każda tabletką paracetamolu jest warta więcej od niej. Mówił, jakby czuł się tym osobiście dotknięty, jak gniewny Kain, którego ofiarą wzgardzono, i siedzieliśmy tak we dwoje, zapatrzeni w termos, jakby był jej kolejnym wcieleniem, on wyszeptał, teraz rozumiem, że to był ból rozstania, jej włosy wiedziały przed nami, że ich zadanie skończone, nie dane im będzie dłużej zdobić ukochanej twarzy. Pomacałam ze strachem swoje włosy, te historie są zaraźliwe, on westchnął i spojrzał na mnie surowo, jakby w tej opowieści był morał, który powinnam odczytać, zanim będzie za późno, a ja się uśmiechnęłam przeproszająco i powiedziałam, można coś słodkiego? Nie to, żeby tak bardzo mi brakowało słodczy, ale chciałam zmienić temat, a on odpowiedział, tak, opróżniliśmy jej szafkę w szpitalu, nie masz pojęcia, ile czekolad się tam zebrało. Wyszedł po cichu, nawet nie zamykając drzwi na klucz, wrócił z kilkoma bombonierkami i powiedział, muszę trochę posprzątać, niedługo kolejna inwazja. Mogę ci pomóc, spytałam, on odpowiedział, nie radzę, ja na to, czemu nie mogę posiedzieć tam z tobą, będę udawać twoją koleżankę, przecież wolno ci mieć koleżanki, a on, lepiej nie, czuję, że dzisiaj przyjdą twoi rodzice. Ze strachu mało nie wyskoczyłam z łóżka, że też o tym nie pomyślałam, przecież matka nie daruje sobie takiej atrakcji, dziwne, że nie przyszła z samego rana, chyba że postanowiła nie okazywać podniecenia, myśl, że mogliby mnie tam przyłapać, tak mnie oszołomiła, że natychmiast

przykryłam się znowu kołdrą, odsuwając tacę, a on powiedział, prześpij się trochę, możliwe, że czeka cię burzliwa noc. Dlaczego tylko możliwe? Dlaczego nie na pewno? protestowałam, on się roześmiał, dziś w nocy wszystko zależy wyłącznie od ciebie, a ja, mając już dość jego szowinistycznej buty, powiedziałam, pieprz się, nikomu nie potrzebna twoja łaska. Ku mojemu zdumieniu odwrócił się do mnie gwałtownie, ściągnął kołdrę i wycedził napastliwym szeptem, nie mów nic, czego nie myślisz naprawdę, słyszysz, przecież nie chciałabyś, żebym poszedł się pieprzyć, i jak na razie zdecydowanie potrzebna ci moja łaska, więc jeśli nie chcesz, żebym cię tu zamorzył głodem, nie gadaj głupot, ja, próbując podciągnąć kołdrę z powrotem, wymamrotałam, co z tobą, coś się zrobił taki wrażliwy, a on puścił kołdrę i powiedział, nie znoszę głupiego gadania.

Ty nigdy nie gadasz głupot? spytałam, a on powiedział, wypróbuj mnie i się przekonaj, i spojrzał na mnie z zawodem, jak rzeźnik, któremu dostał się średniej wielkości ochłap, naciągnęłam kołdrę na głowę, miałam nadzieję, że ze mną zostanie, postara się mnie udobruchać, usłyszałam jednak, że wyszedł, szybko przekręcając klucz, i znów poczułam strach przed nim, przed jego raptownymi, niespodziewanymi ruchami, przed powstrzymywaną brutalnością, gierkami z obrażaniem się, tyleż dziecinnymi, co niebezpiecznymi, coś mi mówiło, że nie wyjdę z tego pokoju cało, jeśli w ogóle z niego kiedyś wyjdę. Z napięcia nie mogłam zasnąć, więc leżałam, wpatrując się w stertę pudełek, myślałam o tym, że ona na pewno też leżała godzinami bezsennie, patrząc na te bombonierki, nasłuchiwałam, starając się wyłapać jakieś głosy, postanowiłam, że jeśli usłyszę rodziców, zacznę krzyczeć, przyjdą tu i mnie uwolnią, ale za drzwiami panowała cisza, dobiegał mnie tylko szmer naczyń zebranych w zlewie, szum wody i ciężki, starczy kaszel. Raz jeszcze spróbowałam zadzwonić do Joniego, słyszałam, jak dzwonek telefonu krąży po małym, żółtym mieszkanku, wędruje z salonu przez kuchnię do niewielkiej sypialni z krzywą szafą, na pewno jest tam ciemno o tej porze, bujne drzewa zasłaniają resztki słońca, a wierne kaloryfery zaczynają grzać, rozpalają się wolno i wytrwale, może na stole przy wejściu czeka na mnie list, najsmutniejszy, jaki można sobie wyobrazić, nie ma sensu go czytać, bo co z nim zrobię, co w ogóle zrobię, co można zrobić z tym życiem, z którego nie ma szans wyjść cało, jak z choroby, bierzesz lekarstwo, chcąc pozbyć się jednego problemu, a ono wywołuje nowy. Bierzesz tabletki od bólu głowy, ból głowy mija, ale nabawiasz się wrzodu żołądka, bierzesz lek na wrzody, łapiesz zgagę, bierzesz coś na zgagę, dostajesz mdłości, bierzesz lekarstwo na mdłości, wraca ból głowy, a kiedy

na koniec przyplącze się ostatnia choroba, zastaje drzwi otwarte na oścież, jak Złota Brama w odległym Istambule, pozostaje jej tylko powiązać wszystko w całość i z tobą skończyć. Nudno ci z Jonim, więc poszłaś do Ariego, z Ariem faktycznie nie jest nudno, ale nie da się przy nim oddychać, teraz szukaj takiego, co i nie jest nudny, i można przy nim oddychać, nawet jeżeli uda ci się go znaleźć, okaże się, że tak w ogóle woli mężczyzn albo małe dziewczynki, a i to tylko w tym szczęśliwym przypadku, jeśli zdołasz stąd wyjść.

Zastanawiałam się, jak to jest, że innym się udaje, nie wszystkim, ale dużej części, bo z perspektywy tego otchłannego łoża zdawało się to zupełnie niemożliwe, przeciwne prawom natury, ludziom udaje się zostać razem i zrobić dzieci, a propos dzieci, dobiegł mnie nagle gniewny płacz, zrozumiałam, że maluch sąsiadki z przeciwka zbudził się z popołudniowej drzemki, i nagle przyszło mi na myśl, że może Joni wcale nie jest w Istambule, może jest tuż koło mnie, dosłownie za ścianą, z owcowatym dzieciakiem i jego matką, spędzamy nasz miesiąc miodowy prawie w tym samym miejscu i gdyby ściany były przezroczyste, moglibyśmy się widzieć nawzajem w naszych dodatkowych życiach, a nawet pomachać sobie przyjaźnie i życzyć wszystkiego dobrego. Jaka szkoda, że to niemożliwe, najchętniej prowadziłabym kilka żyć równolegle, żeby nic nie działo się kosztem czegoś innego, przecież to rozwiązuje wszystkie nasze problemy, chciałabym brać tabletki od bólu głowy, nie nabawiając się wrzodów, i brać lek na wrzody bez zgagi, i tak się rozochociłam w poczuciu, że zbawię świat, niosąc mu dobrą nowinę, że zaczęłam planować, jak ją będę głosić, kiedy stąd wyjdę, zamiast przechodzić kolejne wcielenia po śmierci, zdążymy ze wszystkim za życia, i wielce zadowolona ze swojego pomysłu natychmiast zasnęłam.

Obudziło mnie natrętne brzęczenie czyjegoś płaczu, pomyślałam, uff, znowu ten wkurzający dzieciak, ale płacz był naprawdę blisko, szukałam przy sobie Ariego, ale go tam nie było, i wtedy zorientowałam się, że to ja, że moja twarz jest mokra, otwarte usta płaczą śliną, nos wylewa płaczliwą wydzielinę, krótko mówiąc, że całe moje ciało płacze. W pokoju było zupełnie ciemno, nawet przez szpary w żaluzjach nie przebłyskiwało słońce i tylko spod drzwi przebijała mizerna, blada wiązka światła. Usłyszałam dzwonek do drzwi, widocznie ktoś zapomniał, że nie wypada dzwonić w czasie wizyt kondolencyjnych, i radosne okrzyki ludzi cieszących się ze spotkania, ogarnęła mnie zazdrość wobec wszystkich, którzy tam siedzą, tych synów

światłości, którzy jeśli nawet mają jakieś troski czy zmartwienia, nie rujnują sobie przez to życia, i pomyślałam, problem z tobą polega na tym, że nie dostrzegasz różnicy pomiędzy swoim życiem a swoim życiem miłosnym, a przecież dzieli je mur. Wydaje ci się, że to to samo, ale życie miłosne to tylko część życia, i to nie ta najistotniejsza, to tylko jedna mała kieszonka w płaszczu życia, i oni wszyscy o tym wiedzą. Dlatego siedzą tam, popijają kawę i jedzą ciastka, a ty leżysz tutaj w ciemności, zamknięta jak więźniarka w celi, jak chora w domu wariatów, w dodatku umieścili cię w izolatce, jakby twoja choroba była groźna, i tylko jemu jednemu pozwolili się tobą zajmować, widocznie sam jest tak chory, że już mu nie możesz zaszkodzić, ale nie myśl, że on nie może zaszkodzić tobie, kotku. Nagle wśród przyjacielskiego gwaru rozległ się głos mojego ojca, a nawet, żebym nie miała wątpliwości, ktoś powiedział życzliwie, znów ten Korman i jego marzenia, powiedział to życzliwie, a nie z pogardą, jak matka, której nie słyszałam wcale, natychmiast nastawiłam uszu, zerwałam się z łóżka i usiadłam przy drzwiach, sycąc się miłym młodzieńczym, czystym głosem, miał czysty głos, latami szukałam tego słowa, ale dopiero teraz je znalazłam. Płynął jak rzeka, a na niej maleńkie, drewniane łódki, rzeka-zabawka, o ile coś takiego istnieje. Latami dręczyła mnie niepewność, czy można ufać temu głosowi, jeżeli człowiek wygląda staro, ale brzmi młodo, skąd wiadomo, czemu zaufać, głosowi czy wyglądowi, a co, jeśli wygląda na chorego, ale brzmi zdrowo, jeśli wygląda smutno, a brzmi wesoło, wygląda, jakby nienawidził, a brzmi, jakby kochał, skąd to wiadomo. Latami zadawałam sobie pytanie, czy ten stary, smutny mężczyzna o młodym, wesołym głosie jest wesoły czy smutny, stary czy młody, czy mam się nad nim litować czy mu zazdrościć, i z tej niepewności nie zdażyłam go w końcu pokochać, dopiero teraz, w ciemności, poczułam do niego wielką miłość, chciałam, żeby przyszedł i usiadł przy moim łóżku, onieśmielony i zatroskany, jak wtedy, gdy byłam chora, i żeby przeczytał mi bajkę, jakąś legendę, choćby tę, którą znam na pamięć, był sobie pewien człowiek, czeladnik u stolarza, co upodobał sobie żonę swojego mistrza. Zdarzyło się, że mistrz znalazł się w potrzebie. Ów rzekł mu: poślij do mnie swą żonę, a dam jej pożyczkę. Posłał do niego żonę i była z nim trzy dni. Wyruszył mistrz i przyszedł doń, i rzekł mu: żona moja, którą do ciebie posłałem, gdzież jest? Ów rzekł mu: natychmiast ją odprawiłem, lecz słyszałem, że młodzieniaszkowie postąpili z nią niegodziwie w drodze. Rzekł mu mistrz: cóż pocznę? Ów rzekł mu: jeśli usłuchasz mojej rady, wygnaj ją. Rzekł mu mistrz: byłbym jej winien dużą odprawę. Ów rzekł mu: pożyczę ci, a wygnaj ją. I wygnął ją. Ów poszedł i ją poślubił. Gdy nadszedł czas i mistrz

nie miał czym spłacić pożyczki, rzekł mu: odpracuj u mnie swój dług. I stało się, że oni siedzieli, jedli i pili – a on stał obok, dolewał im wina i ronił łzy do ich kielichów – i w tej godzinie zapadł wyrok. A może moc jego czystego głosu sprawi, że zmieni się zakończenie legendy i kiedy dojdzie do słów „zapadł wyrok”, zamiast nich zabrzmia słowa pociechy i pojednania.

Oprócz jego głosu rozpoznałam donośny głos gościa z rana, właścicielki psa, czy raczej suki, musiała być z nimi w bliskiej przyjaźni, skoro się fatyguje dwa razy w ciągu jednego dnia, albo po prostu nudzi jej się teraz, kiedy suka dochodzi do siebie po operacji, słyszałam, jak się zapala, Istambu! Jak cudownie! i pomyślałam, że może chce na pocieszenie zabrać sukę do Istambu, aż nagle dotarło do mnie, że ojciec opowiada jej z dumą o swojej córce, udanej jedynaczce, która pojechała z mężem do Istambu, ze wstydu miałam ochotę uderzyć głową w drzwi, ale bałam się, że narobię hałasu, modliłam się tylko, żeby nie powiedział, że to spóźniona podróż poślubna, i żeby Arie nie usłyszał, może jest w kuchni, ale niestety był z nimi i zaczął opowiadać głośno, jakby specjalnie dla mnie, o Istambule. Zjeździłem prawie cały świat, mówił, i jeśli istnieje miasto, do którego bym wrócił, to jest nim Istambu, mój ojciec coś wspomniał o Pradze, a Arie powiedział, daj spokój, Praga jest zbyt doskonała, tak doskonała, że aż nudna, Istambu jest pełen grzechu, pełen sprzeczności, ma w sobie coś bardzo pociągającego i odpychającego, ciepłego i okrutnego, nie wiem, czy to dobre miejsce dla młodej pary w podróży poślubnej, zaśmiał się, ale dla kogoś, kto przekroczył połowę swojego życia i kto wie, czego szuka, na pewno tak. Pomyślałam, że dokładnie tak bym go określiła, pełen grzechu, pełen sprzeczności, widocznie jest moim Istambuem, podczas gdy Joni to Praga, więc może w pewnym sensie tam pojechałam, podniosło mnie to na duchu, mój pobyt u niego wydał mi się mniej bezsensowny, a zarazem mniej straszny, mimo wszystko jest przyjacielem mojego ojca, nie zrobi mi krzywdy naprawdę, ale zaraz powiedziałam sobie, kotku, żadnych rodziców, nie można ich zabierać ze sobą wszędzie, i przypomniałam sobie, jak pierwszy raz odwiedzili mnie w wojsku, jak unoszeni przez rozgrzany tłum przekroczyli bramę naszej bazy, nieśli kosze, jak wszyscy, w koszach były naczynia, jak u wszystkich, a jednak wydawali się inni, zmieszani, zagubieni. Tak bardzo na nich czekałam, siedziałyśmy przy bramie z nowymi koleżankami, w nowych mundurach, i czekałyśmy wzruszone, wreszcie ich zobaczyłam, zanim zdążyli zobaczyć mnie, szli po omacku, jak ślepcy, wystraszeni i bladzi, miotali się jak ryby wyjęte z wody, i w pierwszej chwili chciałam stamtąd uciekać, ukryć się przed nimi. Nie miałam siły unieść

ciężaru udręki w ich koszach, trucizny w ich naczyniach, szydziłam z siebie, myślałam, że oni cię uratują, że cię wyciągną z tego przygnębiającego miejsca, i cofałam się, patrząc na nich jak zahipnotyzowana, bojąc się odwrócić tyłem, jakby mieli mi strzelić w plecy, oni zbliżali się, a ja się oddalałam, aż zobaczyłam, jak ich wzrok się koncentruje, zaczęli do mnie machać i wróciłam powoli, pokonana, w ich oschłe ramiona. Zaszyliśmy się z koszami w jakimś kącie i usiedliśmy na ziemi, matka rozpostarła obrus na świeżej trawie, był początek zimy, obrus wyglądał jak ceratka dla niemowlaków, które się jeszcze moczą, potem porozkładała jednorazowe talerze i kubki, i wtedy odkryła, że zapomniała papierowych serwetek, twarz jej pociemniała z żalu i powiedziała, Szlomo, dlaczego mi nie przypomniałeś, a on na to, przypomniałem, razem sprawdzaliśmy z listą, zaczął szperać w kieszeniach, wyjął pomiętą listę i pokazał jej, a ona powiedziała, ale nie przypomniałeś mi przed samym wyjściem, i zaczęli się kłócić.

Niczego nie robisz, jak trzeba, gderał, a ona wrzeszczała, że od dwóch tygodni planuje te odwiedziny, żeby wszystko było tip-top, i prosiła go tylko o jedno, żeby sprawdził z listą, wyrwałam mu listę, spisana jednym ciągiem, i przeczytałam ją ze smutkiem, jak czyta się spóźniony list miłosny, gdy serce jest już złamane lub nieczułe, było tam napisane, kanapki z awokado, truskawki ze śmietaną, sok pomarańczowy, krakersy, kakao, pasta jajeczna, sałatka z tuńczyka, sernik, papierowe serwetki, jednorazowe talerze i kubki, sztucce jednorazowe, odczytywałam ją wciąż od nowa, podczas gdy oni się sprzeciali, obok nas przechodziły moje koleżanki, objęte z chłopakami, i pomyślałam, że gdybym miała chłopaka, wszystko by było inaczej, powiedziałam sobie, że wyjdę za pierwszego, który obieca, że zawsze mnie będzie kochał, byle tylko uwolnić się z ich kurczowego uścisku. Nie zwróciłam uwagi, że milkną i patrzą na mnie, matka spytała, dlaczego płaczesz, a ja odpowiedziałam, przywieźliście tylko coś na zimno, a ja miałam ochotę na coś ciepłego. Rzuciłam to na odczepnego, siedząca koło nas rodzina jadła akurat czulent z głębokich talerzy, zapach jedzenia uspokajał mnie, matka mówiła, nic mi nie wychodzi, nic, a ja nie mogłam się doczekać końca wizyty i powtarzałam sobie, masz nauczkę, żeby nie tęsknić, teraz wiesz, że oni nigdy nie będą w stanie ci pomóc w prawdziwym życiu, ale kiedy się z nimi żegnałam przy bramie, wypełniła mnie dojmująca litość, gdzie oni teraz pójdą, co na nich czeka w domu.

I wtedy znów usłyszałam głos ojca, przytknęłam ucho do drzwi, żeby się upewnić, a on, zwracając się prawdopodobnie do Tami, chociaż mnie się

zdawało, że mówi do mnie, że wie, że tam jestem, i odpowiada na moje pytanie, powiedział, na pewno myślisz, że jestem nieszczęśliwy, że moje życie to porażka, ale wiedz, że ja uważam się za całkiem szczęśliwego człowieka. Tak, tak, dodał, widocznie Tami nie była przekonana, jestem w całkowitej zgodzie ze sobą, słysząc to, w pierwszej chwili ucieszyłam się z dobrej nowiny, która dotarła do mnie tylnymi drzwiami, ale zaraz zawrzałam z wściekłości na niego, poczułam się oszukana, że zmarnowałam życie na litowanie się nad kimś, kto tak sobie udawał biednego, czy jeszcze gorzej, nawet nie udawał, tylko ja w swojej głupocie błędnie go odczytałam, a wtedy usłyszałam, jak Tami mówi łagodnie, jak do idioty, tak, Korman, wszyscy wiemy, jaki jesteś szczęśliwy, ilekroć myślę o szczęściu, stajesz mi przed oczami ty.

Wiedziałam, że z niego żartuje, ale nie rozumiałam, co to ma znaczyć, czyżby jego deklaracja była aż tak śmieszna, czyżby naprawdę był uosobieniem nieszczęścia, było gorzej, niż podejrzewałam? Zapadła dręcząca cisza, nawet do mnie dotarła udreka z salonu, aż doleciał stamtąd lisi śmiech i Arie powiedział coś o Istambule, o cmentarzu, Tami spytała, kawiarnia przy cmentarzu? A Arie powiedział, tak, na szczycie wzgórza, z widokiem na Złoty Róg, zwykle się tam spotykali, to najpiękniejsze miejsce w Istambule. Pamiętam tę historię, zapalił się mój ojciec, francuski pisarz i Turczynka, była mężatką i kiedy ich przyłapali, on został odesłany do Francji, a ją zabito, Tami spytała ze strachem, w jaki sposób? A ojciec powiedział, prawdopodobnie przez ukamienowanie, tak jak postępowano u nas z cudzołóżnicami, Tami krzyknęła, o Boże, nie wierzę, a Arie powiedział, w kawiarni są ich zdjęcia, była piękną kobietą.

Powiedziałem Joniemu, że koniecznie muszą tam pójść, opowiadał ojciec, to najpiękniejsze miejsce w Istambule, Arie zapytał, kto to jest Joni, a ja dosłownie zmiażdżyłam chłodną kłamkę, tato, tato, znasz opowieść o człowieku, który urządził wesele jednemu synowi, a ten umarł pod ślubnym baldachimem? Słyszałeś kiedyś tę historię? Tak samo czuł się Bóg po zburzeniu Świątyni, i to nie jedyna historia, jaką ci chcę opowiedzieć, a raczej rzucić na ciebie w rewanżu za opowieść, którą właśnie rzuciłeś na mnie. W tym momencie widocznie wkroczyła delegacja ze strony panny młodej, bo cały dom roztrajkotał się po francusku, więc wróciłam w ciemnościach do łóżka, mamrocząc cały czas, tato, nie odchodź, zostań tu ze mną, strzeż mnie, ale już wkrótce usłyszałam, że się żegna, a Tami swoim porażającym głosem krzyknęła za nim, życz Rachel szybkiego powrotu do

zdrowia, co mnie zdziwiło, nie dalej jak wczoraj matka była zdrowa jak koń, co jej się mogło stać, i poczułam się opuszczona jak dziecko, które zostało samo w przedszkolu z nową panią, której jeszcze za dobrze nie zna, i znowu pomyślałam, jak to możliwe, że przepuściła wizytę kondolencyjną, może naprawdę jest chora albo ma inny powód, ale to musiałby być naprawdę ważny powód, bo nigdy nie opuszcza takich imprez. Postanowiłam zadzwonić do niej i zaraz się rozłączyć, tylko po to, żeby usłyszeć jej głos, upewnić się, że jest jeszcze w stanie mówić, podniosłam słuchawkę i ku mojemu zdziwieniu wydobyły się z niej łagodne szmery, jak z wiekowej muszli, która przesiąkła szumem fal, przytknęłam ją do ucha ze zdumieniem, aż dotarło do mnie, że słyszę czyjąś rozmowę, był to delikatny, kobiecy, subtelnie modulowany głos, głęboki i czarujący, nie rozumiałam ani słowa z tej ni to mowy, ni to śpiewu, z początku nawet nie próbowałam zrozumieć, taką przyjemność sprawiało mi słuchanie, to było jak muzyka, dopiero kiedy usłyszałam w słuchawce jego głos, żarliwy, łagodny i słodki, a mimo to niewątpliwie jego, dopiero wtedy podjęłam próbę rozszyfrowania pospiesznej francuszczyzny, chcąc zwłaszcza sprawdzić, czy wymieniają między sobą jedyne słowa, jakie znałam, *je t'aime, voulez vous coucher avec moi*, ale nie można powiedzieć, żeby mi się to udało, bo rozmawiali tak szybko, że wszystkie słowa brzmiały jednakowo. Przysłuchiwałam się z gniewem, przeklinając chwilę, w której wybrałam w liceum arabski, a nie francuski, co sobie wyobrażałam, że będzie miał arabską kochankę, przecież kochanka musi być Francuzką, to się narzuca samo, i wtedy zorientowałam się, że między nimi wywiązała się lekka sprzeczka zakochanych, nic poważnego, z rodzaju tych kłótni, po których przyjemnie jest się pogodzić. Ona, nerwowo łapiąc oddech, wylewała przez zaciśnięte gardło potoki słów, on mówił wolniej, nie tracąc równowagi, próbował ją uspokoić, co on jej tam obiecał, że w końcu rzeczywiście uspokoiła się jak rozpieszczona dziewczynka, która pociąga nosem i tuli lalkę świeżo po awanturze, i rozkapryszonym tonem powiedziała, *alors*, ale nie *mon amour*, tylko po prostu *alors*. On też powiedział *alors*, a ja mało nie powtórzyłam za nimi *alors*, żeby się nie wyróżniać, ona dodała, *je t'embrasse*, co, zdaje się, ma jakiś związek z całowaniem, i rozłączyła się, a ja zostałam ze słuchawką w ręku, zdumiona tym pośpiechem, ta dziewczyna robi wszystko tak szybko, on też się chyba zdziwił, bo słyszałam, jak dyszy ciężko do słuchawki, trwaliśmy tak oboje, każde z nas sam na sam ze swoim zdumieniem, jakby to między nami toczyła się rozmowa, i nagle poczułam, że łączy mnie z nim wspólnota losu, jej zniknięcie z naszego życia było takie gwałtowne, jeszcze słyhać było

nerwowy, króliczy oddech, szybki, podniecający, dziecinny, a potem usłyszałam, jak on wzdycha i kaszle, i przestraszyłam się, że może nie odkłada słuchawki przeze mnie, żeby się upewnić, czy rzeczywiście tam jestem, jak podejrzewał, i chciałam się rozłączyć, ale nie mogłam, musiałam się z nim zgrać, dopiero po fali kaszlu usłyszałam, jak opuszcza słuchawkę, i natychmiast zrobiłam to samo.

Naciągnęłam kołdrę na głowę i leżałam bez ruchu, prawie nie oddychając, na wypadek, gdyby wszedł sprawdzić, próbowałam wymyślać sobie znaki, jeżeli przyjdzie zaraz, znaczy, że ma bardzo nieczyste sumienie, a jeśli przyjdzie później, to znak, że sumienie jest średnio czyste i tak dalej, ale on nie przyszedł wcale, co najwyraźniej znaczyło, że po prostu go nie obchodzi, zdażyłam już całkiem zapomnieć, po co brałam telefon, myślałam tylko o tym, że nic, dosłownie nic się nie zmieniło od dnia, kiedy zobaczyłam go w sklepie z Fifką, łudziłam się tylko głupio, że on mnie naprawdę pragnie, podczas gdy ciągle pełnię rolę zmienniczki, kochanki na zastępstwie, która podobnie jak jej krewniaczka, nauczycielka na zastępstwie, jest pośledniego sortu. A jednak zamiast żalu poczułam ulgę, że nie muszę już stać na straży płomienia jego miłości, nie muszę stać na straży niczego, bo nic nie mam, nie muszę po nocach robić szpagatu, żeby go nie rozczarować, ani pieprzyć się, stojąc na rękach, czy silić się na podobne efekty, uświadomiłam sobie, jak bardzo ciążyła mi ewentualność, że on mnie wreszcie chce, oprócz radości ogarniał mnie lęk, który przysłał radość, zupełnie ją dławił, jakbym musiała pilnować worka złota przed czającymi się wokół bandytami, to się nie mogło udać, faktem jest, że gdyby się udało, skarb byłby mój, ale to takie trudne, że lepiej od razu się poddać, po prostu zostawić go i uciec, co najwyżej spróbować wsunąć do kieszeni parę monet, słodką pamiątkę, i właśnie to teraz robię, kradnę grosik, żeby mieć go w kieszeni na pamiątkę, gdy wrócę do domu, jeśli w ogóle będę miała dokąd wrócić. Znowu poczułam strach i udrękę, znów sobie wyobraziłam mroczne kwadratowe pokoje, może też pojechały do Turcji, spłyną z biegiem Eufratu i Tygrysu do Babilonu, wraz ze wszystkimi zużytymi meblami i naczyniami, które dostaliśmy w prezencie ślubnym, i z białym kubłem na śmieci, a władcy Babilonu ograbiają je i zabiorą naczynia na swoje uczyty, dosłownie na naszych oczach, jak zamordowali arcykapłana na oczach jego córki, było dla mnie jasne, że dom nie stoi na swoim miejscu, jak mógłby stać, skoro my rozproszyliśmy się na wszystkie strony świata, i znowu postanowiłam tam zadzwonić, ale zapomniałam numeru, w żaden sposób nie mogłam sobie przypomnieć, jakbym go nigdy nie znała, i tak mnie zastał, wszedł, a ja leżałam w łóżku z

telefonem w rękę, jakbym właśnie skończyła podsłuchiwanie jego miłosnej rozmowy.

W jednej chwili, bez uprzedzenia, zapalił silne światło, zamrugalam, ogłupiała jak kret, i wyszeptalam, zgaś, domyśla się, że ktoś tu jest, ale on się uśmiechnął, ja tu jestem, nie? Nie muszę siedzieć po ciemku, nawet jeśli jestem w żałobie, a potem spojrzął na telefon i spytał z ostentacyjną uprzejmością, przeszkodziłem w rozmowie? Nie, powiedziałam, rozmowa jeszcze się nie zaczęła, a on zapytał, coś, co może poczekać? Odpowiedziałam, tak, tak, a on władcym gestem wyjął mi z ręki słuchawkę, odłożył na miejsce i wyciągnął się przy mnie, rozkładając szeroko całe ciało, które nie będzie moje, gładkie, ciemne ciało, z kielkującymi zawiązkami starości, z esencją mocnej, twardej dojrzałości, której nie zrozumie, choćbym się nie wiem ile o nią ocierała, był precyzyjną, bolesną kompozycją władczości i delikatności, szorstkości i głębi, prostactwa i wrażliwości, powagi i wyuzdania, jakby kucharz-wirtuoz stworzył go według jednorazowej receptury, w wyjątkowych proporcjach, których się nie da powtórzyć, zwłaszcza że zdążył już zniknąć z powierzchni ziemi, kucharz czy przepis. Odwrócił się twarzą do mnie, popatrzył na mnie ze smutkiem, niemalże po ojcowsku, i powiedział, Istambuł, co?

Wzruszyłam ramionami, zażenowana i dumna, jakbym dostała medal za odwagę lub poświęcenie i wiedziała, że mi się należy, ale nie miała pewności, czy było warto, w dodatku wstydziłam się trochę, że odkrył, co poświęciłam, żeby móc leżeć obok zachwycającego ciała, które nie będzie moje, gładkiego, ciemnego ciała z kielkującymi zawiązkami starości, z esencją mocnej, twardej dojrzałości, której nie zrozumie, choćbym się nie wiem ile o nią ocierała, nie wiedziałam nawet, czy drwi sobie ze mnie, czy mi po prostu współczuje, powiedział, Istambuł to wielkie, wspaniałe miasto, odurza wszystkie zmysły, i zapalił z westchnieniem papierosa, ostatnio dużo myślałem o Istambule, bo tam się zaczęła choroba Josephine, latami chcieliśmy tam razem pojechać i nigdy nie wychodziło, a kiedy już pojechaliśmy, musieliśmy wrócić w połowie, straciła przytomność, jej stan pogarszał się błyskawicznie, a wiesz, jaka tam jest opieka medyczna, lepiej nie ryzykować, więc natychmiast wróciliśmy, czuła się strasznie winna, że mi zepsuła wycieczkę. Byłeś na nią zły, zapytałam, a on powiedział, niemiło się przyznać, ale tak, trochę, mogłaby z tym zaczekać jeszcze tydzień, potem ciągle mówiła, jak wyzdrowieję, pojedziemy do Istambułu, a w końcu powiedziała, jak umrę, pojedziesz do Istambułu, objęłam go, jedźmy we

dwoje, weź mnie ze sobą, to nas pocieszy, on się roześmiał, może, może, a ja wiedziałam, że przy nim nie będę się wcale bała, nawet na środku bazaru, bo strach przed nim znosi zupełnie mój lęk przed światem, przyłgnęłam do niego mocno, on głaskał mnie od niechcienia, zamyślony, wreszcie powiedział, zmęczyłem się, tyle tu twarzy. To zostań już ze mną, prosiłam, nie wychodź więcej, a on odpowiedział, nie mogę ich zostawić samych, spojrzął na zegarek i dodał, już prawie dziewięta, chyba wkrótce zamkniemy kram, a potem przymknął oczy, rozchylił usta i leżał z ręką u dołu mojego brzucha, w miejscu, gdzie dojrzewają dzieci.

Trzymałam go za rękę, myśląc o ciąży matki, zdawała mi się wtedy taka długa, wręcz nieskończona, i rzeczywiście trwała trzy razy dłużej niż życie dziecka, które w niej zamieszkiwało, choć oczywiście nie mogłam tego wiedzieć, kiedy patrzyłam z lękiem na olbrzymi, wyzywający brzuch, wyobrażając sobie, że to ja jestem tam w środku, że mam okazję przyjrzeć się jej przed swoim urodzeniem, trochę mnie krępowało, że widzę siebie w jej wnętrzu, myślałam, że już wkrótce się urodzę w szczęśliwej godzinie, a zarazem w tym samym momencie skończy się moje życie, moje pierwsze życie, i zacznie coś innego, mówiłam mamie, jeśli to będzie córka, nazwij ją Ja'ara. Tak bardzo przywykłam, że jestem jedynaczką, że wierzyłam, że dzieci się nie mnożą, tylko wymieniają, jak w rodach królewskich, przecież nie mówi się, oto przyszedł kolejny król i teraz mamy dwóch czy trzech, tylko umarł król, niech żyje król, więc kiedy się urodziło dziecko, byłam naprawdę zaskoczona, że nadal żyję, że nadano mu własne imię, że ma własne łóżeczko i nie jest mną, bo to był syn, brzuch matki stopniowo zniknął, on tył i już się zdawało, że znajdzie się miejsce dla nas obojga na tym świecie, aż okazało się, że jednak nie. Wiedziałam, że gdyby musieli wybierać między mną i nim, wybraliby jego, i nawet mnie to nie dziwiło, nawet ich rozgrzeszałam, bo przecież ja już nie mogłam niczego uratować, byłam opcją wykorzystaną do cna, dziecko było nowiutkie, otwierało na oścież wrota przyszłości, na jego pulchnych, pachnących ramionkach można było złożyć wszystkie nadzieje, a ja, tak myślę, byłam jedynie ich towarzyszką w żalu płynącym z obojętności losu, w ukrytym gniewie, który rozwinął się w nich wobec mnie, w gaśnięciu i kurczeniu się ich miłości.

Ciemna i piękna dłoń drzemała na spojeniu mojego łona, gdyby tam było dziecko, powiedziałabym mu, dotknij, poczujesz ruchy, i przytrzymałabym ją mocno, ale tak, co mu właściwie mam do powiedzenia, zasnął przy mnie, jakbym od niepamiętnych czasów była jego żoną, leciwą

połowicą, przy której się odpręża po burzliwych rozmowach telefonicznych, i pomyślałam, jak niewiele jest ról na tej scenie, jak niewiele jest możliwości. Kiedyś leżała tu Josephine, dzisiaj ja, jutro Królicą, wczoraj spał przy mnie Joni, dziś Arie, jutro ktoś inny, tyle zachodu, by dostać mniej więcej to samo, i mój smutek przeszedł w zdziwienie, zabarwione obojętnością i goryczą, czeka mnie jeszcze tyle wcieleń, poczułam je w brzuchu jak kopanie dziecka, tyle wcieleń, aby na koniec znaleźć się mniej więcej w tym samym punkcie.

Rozdział dziesiąty

Wtedy usłyszałam pukanie, tak delikatne, jakby dochodziło z mojego wnętrza, i słaby głos wyszeptał, Ja'aruś, już miałam odpowiedzieć, prawie powiedziałam, tu jestem, psując wszystko, kiedy głos powtórzył, Aruś i znowu rozległo się pukanie, on poderwał się prędko, jakby łóżko stanęło w ogniu, nie odezwał się do mnie słowem, przy drzwiach zgasił światło i wyszedł, przekręcając za sobą cicho klucz, całkowicie mnie zignorował i pomyślałam, że nigdy nie byłam równie nieistniejąca. Nie rozgniewałam się, bo niby usprawiedliwiały go okoliczności, jednak musiałam przyznać, że zrobił to dość naturalnie, zresztą i ja tak to przyjąłam, nieszczególnie się dziwiąc, że więzi mnie tu godzinami, próbuję uzyskać jakieś informacje przez ściany, nikt z moich bliskich nie wie, gdzie jestem, a jedyna osoba, która wie, ukrywa mnie, jak się ukrywa nedorozwinięte dziecko albo żonę, która postradała rozum, i pomyślałam, *alors*, kto go nazywa Aruś, teściowa o błękitnych lokach czy szwagierka, a może ukochana, która przyszła go udobruchać po sprzeczce zakochanych, ta na pewno zechce zostać na noc, jak on jej wytłumaczy, że sypialnia jest zajęta i że nie może należeć do niej tej nocy, chociaż właściwie zajęta sypialnia jeszcze nie zmusza do zmiany planów, przecież w tym domu są inne pomieszczenia i kiedy wszyscy pójdą, może jej wsadzić tuż za ścianą, a ja tu będę siedzieć zamknięta, może nawet ją też gdzieś zamknie i będzie lawirować między nami, przecież to on ma klucz, i nagle z całą mocą odczułam, jak przerażający jest mój nowy status nieistniejącej kobiety, która nie może zmienić, a nawet poznać swojej sytuacji, chwytając się różnych znaków, nie mając pojęcia, czy to jej lęki są nieuzasadnione, czy też nadzieje płonne, jest zależna od mężczyzny, który ciągle zmienia oblicze, w jednej chwili jej pożąda, w następnej mu zawadza, i powiedziałam sobie, jeśli będziesz od niego zależna, daleko nie zajdziesz, albo odwrotnie, zajdziesz zbyt daleko, tak daleko, że nigdy nie zdołasz wrócić do wcześniejszego życia.

Próbowałam myśleć o swoim wcześniejszym życiu, o Jonim, o wszystkich, jakby byli kamieniami uwiązanymi u moich nóg, żebym nie zniknęła, nie zatarła się całkowicie, i wyobraziłam sobie kamień w kształcie Joniego, czyli właściwie posąg Joniego, ciężki i twardy, ubrałam go w kraciaste koszule i posłałam, żeby się pokręcił po bazarach Istambułu, jak

prawdziwy człowiek, w końcu zupełnie zapomniałam, że to posąg, i nie mogłam się napatrzeć na niego samego w sobie, w kompletnym oderwaniu ode mnie, chodził tam ze wszystkim, co ma, z zadartym dzieciennym noskiem i obwisłą moszną, o czym myśli ten człowiek, sam w miękkim hotelowym łóżku, sam w kawiarni koło cementarza, co mu się snuje po głowie, po co właściwie żyje, co ma z życia, co wszyscy mają ze swojego życia, wydawało mi się to coraz bardziej niepojęte. Powiedzmy moja matka, ma ten swój głód tragedii i to ją trzyma, patrzy, co się komu stanie i jakie to będzie straszne, a ja mam ten obłęd, pragnienie zdobycia Ariego, sprawdzenia, czy można w nim wzbudzić miłość, ale co mnie trzymało, zanim go spotkałam, nagle się okazało, że nie mam pojęcia, tamte dni wydawały się puste jak niezapisane kartki, podobne jedna do drugiej, jeszcze bardziej przerażające niż moje dni teraz, a może naprawdę nie chodzi o to, żeby go zdobyć, tylko żeby go rozszyfrować, jego, a poprzez niego – mnie, nas wszystkich, wprawdzie nie bardzo wiedziałam, kim są ci wszyscy, ale zaczęłam myśleć w liczbie mnogiej, jakby sam fakt, że za mną stoją inni, że nie jestem sama w nikomu niepotrzebnej misji, zostałam upoważniona do reprezentowania dużej grupy, która rozrasta się z każdą chwilą, narażam się na zgubę w łóżku podejrzanego, żeby dostarczyć cennych informacji, które mogą rzucić światło, nie wiadomo dokładnie na co, ale nazwijmy to tajemnicą życia, jakby sam ten fakt sprawiał, że to wszystko ma sens.

On posiadał tajemnicę życia, a ja muszę ją od niego wydobyć, powierzono mi taką misję, wyjaśnię to Jo-niemu, kiedy wróci z zadartym nosem i z obwisłą moszną, swoją drogą dziwne, że wszędzie mu towarzyszą, wyjaśnię mu to i będzie mi musiał wybaczyć, przyjąc mnie z powrotem, zdawało mi się, że już kiedyś czułam coś podobnego, ten pilny, nagłący przymus rozszyfrowania czegoś, i przypomniałam sobie strażnika, który mieszkał z psem w jednym z baraków koło naszego dawnego domu. Nie rozumiałam, czego on właściwie pilnuje, intrygowało mnie to coraz bardziej, nigdy nie widziałam, żeby patrolował osiedle czy robił inne rzeczy, jakie robią strażnicy, przez większość czasu kręcił się koło baraku ze skrawkami surowego mięsa dla psa w jednej ręce, a z nożem w drugiej, i codziennie powtarzał rytuał ostrzenia noża, żeby pokroić nim mięso. Kładł duży kamień na pieńku stojącym przy wejściu do baraku, umieszczał szeroką stopę przy kamieniu, zaczynał ostrzyć nóż ze zgrzytem, po czym wyciągał mięso, jakby odcinał je ze swojej grubej nogi i kroił na kawałki, a pies kręcił się wokół niego w gorączkowym tańcu, chwytając z zapalem kąski rzucone mu jeden za drugim, w niemal sadystycznej obfитоści, nim skończył jeden kęs, już mu

rzucano kolejny, i następny, i zamiast się skupić na jedzeniu, przyjmował nowe kawałki z rosnącą desperacją. Stałam z boku i przyglądałam się temu, aż kiedyś nie wytrzymałam i zapytałam, dlaczego nie daje mu pan w jego tempie, a on spojrzał na mnie nieprzyjemnie i powiedział, to mój pies, powiedział to niegrzecznie, mimo to dalej patrzył na mnie z zaciekawieniem, i zwolnił nieco. Miał młodą twarz, ale oddychał ciężko, ze świstem, a między zbyt krótką koszulą i opuszczonymi spodniami widoczny był szeroki pas jego ciała, różowawy i pulsujący, jakby miał osobne serce, zdumiewająco podobny do skrawków mięsa, którymi strażnik zarzucał swojego psa.

Nie był pierwszym strażnikiem, który mieszkał w baraku, nazywano go nawet barakiem strażników, w większości byli to schorowani staruszkowie, którzy nocami krążyli po okolicy, ale on pierwszy nasunął mi pytanie, które mogło się równie dobrze nie nasunąć nigdy, jednak od chwili, kiedy się nasunęło, dręczyło mnie nieustannie, czego właściwie pilnuje. Prawie o każdej porze można go było zastać, jak ostrzył nóż na niskim pieńku, z opuszczonymi spodniami i obnażoną szczeliną tyłka, niebieskie, bezczelne oczy błyszczały w okrągłej twarzy, nie golił się, szczeciniasta ruda broda wpełzała mu na policzki, starałam się przechodzić tamtędy co rano, rzucać na niego okiem w drodze do szkoły, a w południe – w drodze powrotnej, w nocy wychodziłam się przejść, okrążałam osiedle i ostrożnie zbliżałam się do ostatniego baraku, na samym skraju gaju cytrusowego, w miejscu, gdzie kończy się droga, i znajdowałam go tam, ostrzącego nóż w świetle latarni, wstrząsał mną słodki dreszcz ze strachu, że zaraz przyłoży mi go do szyi, ale nie wyglądało, żeby mu to w ogóle miało przyjść do głowy, tak był pochłonięty własnymi sprawami. Powoli nabrałam przekonania, że on coś ukrywa, nie wiedziałam co, wiedziałam tylko, że to jest sedno, że ukrywa sedno, wierzyłam, że jeśli odkryję ten sekret, ocale nas wszystkich, mnie, matkę i ojca, a może nawet całą ludzkość, więc kręciłam się przy nim, ale on zachowywał milczenie i tylko czasem rzucał mi niebieskie spojrzenie, zuchwałe i drwiące.

Przechodziłam tamtędy kiedyś i jego nie było na dworze, drzwi baraku były otwarte, nie wytrzymałam i weszłam do środka, zaskoczyła mnie kompletna pustka, nie było tam nawet krzesła, ani szafy, ani stołu, tylko ogromne łóżko wodne w kolorze wina, zajmowało całą podłogę, falowało jak wielka ryba, odwróciłam się, żeby wyjść, i zobaczyłam, że stoi za mną, miał ciężki, cuchnący oddech, zapytał, czego tu szukasz, zauważyłam, że ma obcy akcent, i powiedziałam, pana, a on zapytał, po co, czego ode mnie chcesz,

więc odpowiedziałam, chcę wiedzieć, czego pan pilnuje, uśmiechnął się, jego twarz zaokrągliła się jeszcze bardziej i powiedział, niczego, mieszkam tu. Ale pan mieszka w baraku strażników, drażylałam, a on powiedział, co z tego, nie obchodzi mnie, co tu było przede mną, jak człowiek mieszka w budzie, to staje się przez to psem? A jak w zagrodzie, to koza? Zapytałam, dlaczego pan nie ma mebli, a on powiedział, mam wszystko, co potrzeba, robię wszystko na łóżku, i wyszczerzył do mnie poźółkłe zęby. Ale co pan robi, spytałam, on powiedział, wykorzystuję życie, i nie wiedziałam, czy kaleczy język, bo to nie jego język, czy mówi tak celowo, bo to przesłanie dla mnie, zobaczyłam, że wytarł nóż o spodnie, przejechał nim dokładnie nad kroczem i rozpostarła się tam różowawa plama, stało się dla mnie jasne, że on ukrywa coś obrzydliwego, co im jest obrzydliwsze, tym bardziej zbawcze, nie mogłam się od niego oderwać, gdy kątem oka zobaczyłam, że zbliża się do nas szybko szczupła, jasna postać, ojciec wrzeszczał, Ja'ara, natychmiast do domu i popychał mnie, bo szłam bardzo wolno. Dopiero w domu zobaczyłam, że z gniewu jest czerwony na twarzy, w pokojach śmierdziało, bo matka rozpylała środek na karaluchy, szła pochylona wzdłuż ścian i rozpylała, ojciec wrzeszczał, jeśli jeszcze raz zobaczę, że kręcisz się koło strażnika, zamknę cię w domu, odpowiedziałam, on wcale nie jest strażnikiem, przez to, że mieszka w baraku strażników, nie staje się strażnikiem, tak jak ten, co mieszka w zagrodzie, nie staje się koza, a on ryczał do matki, słyszysz ją, zachowuje się jak Tirca, wypisz, wymaluj Tirca, matka rozpylała dalej w milczeniu, aż w domu nie było czym oddychać, a on powiedział, jeżeli chcesz nas zabić, zrób to od razu, nie na raty, i nie wiedziałam, czy mówi do mnie, czy do niej, zamknęłam się w swoim pokoju, tuląc się do miękkiej owieczki, i zastanawiałam się, skoro on wcale nie jest strażnikiem, czemu mam ciągle wrażenie, że mnie pilnuje.

Kiedy się stamtąd wyniósł po kilku dniach, na skutek skargi mojego ojca, czułam się znacznie mniej pewnie, całe noce nie mogłam zasnąć ze strachu, a teraz, kiedy sobie o nim przypominałam, pomyślałam, że w nocy, jak przyjdzie Arie i położy się obok mnie w łóżku, opowiem mu o strażniku, mimo że to historia, z której nic nie wynika. Na tym widocznie polega istota miłości, że chcesz opowiedzieć każdą bzdurę, jaka ci się przydarzyła, w nadziei, że w krętej drodze z twoich ust do ucha partnera opowieść zyska znaczenie i sens, jakby to wszystko zdarzyło się tylko po to, żebym miała co opowiedzieć Ariemu w nocy, nie tylko to, wszystko, co się zdarzyło, zdarza, zdarzy, ma jeden sens – zostać opowiedziane Ariemu, nawet jeżeli Arie wcale nie jest ciekaw i nie chce tego słuchać. Tymczasem dobiegły mnie odgłosy

pożegnania, życzenia dobrej nocy w kilku językach, drzwi zostały starannie zamknięte na zamek, więc usiadłam w łóżku, czekając, aż przyjdzie mnie oswobodzić, ale on się nie spieszył, po chwili usłyszałam jego głos, tylko jego, klócił się z samym sobą zapamiętane, aż zrozumiałam, że znowu rozmawia przez telefon, wzięłam aparat do ręki, ale nie odważyłam się podnieść słuchawki i tylko położyłam na nim głowę, jak na poduszce, może przeniknie do mnie coś z rozmowy, usłyszałam, jak w irytacji podnosi głos, po czym rzuca słuchawkę, i przeniknęło do mnie przekleństwo, a w każdym razie coś, co brzmiało jak przekleństwo, potem słyszałam postukiwanie naczyń, a dopiero później, nie wiedziałam nawet, po jakim czasie, bo u mnie na zegarku nadal była dziewiąta, otworzyły się drzwi sypialni, zapaliło światło i weszło życie.

Usiłowałam się uśmiechnąć, ale wyszedł mi krzywy uśmieszek kobiety, której mąż wraca późno, a ona próbuje to przyjąć z godnością i nie bardzo jej się udaje, Arie powiedział halo, widziałam, że ciągle ma w głowie telefony, ujęło mnie, że się stara, ale przekleństwo zostało mu w oczach i kiedy na mnie spojrzał, zwróciło się przeciwko mnie, poczułam jego udrękę, zły humor, odczułam je w całym ciele, jakbym to ja była winna fiaska, które się kryło za przekleństwem, i nie wiedziałam, co robić, jak rozproszyc jego złość. Staralam się być cicha i niedostrzegalna, ale w uszach dźwięczał mi gwizd przerażenia, podobny do gwizdu lokomotywy, kiedy nadjeżdża pociąg i okazuje się, że szlaban nie działa i nie da się już uniknąć wypadku, kwestia tylko, jaki będzie rozmiar tragedii.

Wyjdź no trochę, powiedział, na pewno już wpadłaś w klaustrofobię, więc przestąpiłam ostrożnie próg, jakbym przekraczała niebezpieczną granicę, i ruszyłam przed siebie, rozglądając się na boki z obawą czy w którymś z pomieszczeń nie został jakiś zapomniany gość, w salonie od razu usiadłam na kanapie, wytyczając swoje terytorium, i marzłam w cienkiej koszuli, on powiedział, głodna, to nawet nie było pytanie, a ja odpowiedziałam z przesadną wdzięcznością, tak, wyciągnął coś z lodówki, odgrzał i zawołał mnie do kuchni. Usiadłam posłusznie przy okrągłym stole nad dużym talerzem, na którym były sznycle, ziemniaki i sałatka, standardowy obiad w rodzaju tych, jakie matka przygotowywała mi po szkole, i próbowałam jeść kulturalnie, bez żadnego mlaskania, bo w jednej chwili stałam się niepożądana, czułam to w każdym jego ruchu, a kto jest niepożądany, powinien wstrzymać oddech, bo nie ma właściwie prawa do istnienia.

Pozbierał naczynia z salonu, opróżnił popielniczki, wszystko to robił ze złością, hałaśliwie, pomyślałam, jakie to dziwne, że nic nie zależy ode mnie, jak ciężko do tego przywyknąć, przecież zazwyczaj zachodzi jakiś związek między tym, jak postępujesz, a tym, jak cię traktują, ale w tym domu panują inne prawa, staję się pożądana bądź niepożądana z powodów ode mnie niezależnych, jestem jak blady księżyc, pozbawiony własnego światła i zdany na łaskę słońca. Kto wie, jaka sprzeczka miłosna sprowadziła mnie tutaj i jakie pojednanie mnie wygoni, albo odwrotnie, rządząca tym prawidłowość jest dla mnie całkowicie niejasna, i tak się poddałam smutkowi, że niepostrzeżenie łzy zaczęły mi kapać do talerza, stanął przede mną zaskoczony, co się stało, a ja powiedziałam, nic, i załkałam, nie chcesz mnie tutaj, on spytał, czemu to mówisz, nieskory do zaprzeczania, a ja szlochałam, bo tak się czuję, on powiedział, czasem zapominam, że tu jesteś, a kiedy sobie przypomnę, cieszę się. Przyszło mu to z trudem, jakby wyciskał z siebie ostatnie soki, i zrozumiałam, że to maksimum tego, czego mogę chwilowo oczekiwać, poczułam się trochę lepiej, przynajmniej mu wierzyłam, wtedy dodał, wiesz, że nie trzymam cię siłą, możesz iść, kiedy zechcesz, a ja pomyślałam, świetnie, ale dokąd, Istantu już przez ciebie straciłam, znienawidziłam go za to, że z taką wielkodusznością zwraca mi wolność, bo co niby mam z nią teraz zrobić. Wyjął dwie puszki piwa i dwa wielkie kufle, nalał i usiadł koło mnie, zdawało się, że humor zaczyna mu się poprawiać, śledziłam jego ruchy, tak zwinne, jakby ktoś naoliwił mu stawy, i próbowałam się podnieść na duchu, nie wolno mi teraz rezygnować, nie wolno wpadać w rozpacz, jestem już bliska końca, nawet jeśli nie wiadomo, jaki to będzie koniec, i sącząc piwo, czułam, jak wzbiera we mnie otucha, myślałam o walizce z podniecającymi łaskami, o długich nocach i krótkim życiu, każda noc wydawała mi się równa długością mniej więcej połowie mojego życia., i tyleż warta. Położyłam rękę na jego dłoni i zapytałam, jak się masz, a on, trochę zdziwiony, odpowiedział, w porządku, i zaraz się zmitygował i dodał, oczywiście, zważywszy na okoliczności, oczywiście, zgodziłam się i spytałam, kto cię odwiedził, przez ścianę to brzmiało jak karnawał, a on się uśmiechnął, tak, ludzie cieszą się, że się spotkali, wiesz, jak to jest. Moje palce na jego dłoni zdawały się takie białe, niemal świetliste, patrz, powiedziałam, on spojrzał i powiedział, Josephine też była jasna, byliśmy jak dzień i noc, wstał, zaczął czegoś szukać w szufladach i wrócił ze starym pudełkiem po butach, ściągniętym gumkami, zaczął w nim grzebać, śmiejąc się z zadowoleniem, po czym wyciągnął zdjęcie i pokazał mi, by udowodnić prawdziwość swoich słów, byli na nim oboje, spleceni ze sobą jak pnąca, a

raczej on był pniem, na którym ona się oplotła, oboje byli nadzy, chociaż prawie udało im się ukryć nawzajem swoją nagość, a kontrast między nimi był wstrząsający, prawie jak między polami w szachach czy warcabach, uśmiechali się do aparatu, dumni ze swoich ciał, piękni i młodzi, jego pierś zasłaniała jej biust, a ciasno złączone biodra skrywały intymne narządy.

Tak się zapaliłam, że mogłabym wpatrywać się w zdjęcie godzinami, tyle tam było dla mnie materiału, bogactwo, które wpadło mi w ręce zupełnie nieoczekiwanie, miałam możliwość zbadania całego jego ciała, całej młodości, całego jej ciała, całej ich miłości. Nie wiedziałam, od czego zacząć, od ciemnych włosów, porastających jego dużą głowę, od szczerego uśmiechu, od białych zębów, iskier radości w oczach? Wyglądał młodo, młodziej ode mnie, ładnie, ale znacznie mniej atrakcyjnie, trochę głupkowato z tym uszczęśliwionym uśmiechem, i pomyślałam, że gdybym go wtedy spotkała, nie zakochałabym się w nim, za to ona, ona do tego stopnia zasługiwała na miłość, że aż się przestraszyłam, te bujne złote włosy, błyszczące oczy, prosty mały nosek i pełne wargi, a jej nagość, wyłaniająca się delikatnie z jego ciała, też była zachwycająca, bolesna, gdy pomyślałam, jak krótki był jej rozkwit. Poczułam, że przygląda się zdjęciu zza mojego ramienia, i zapytałam cicho, naprawdę była taka piękna, mając nadzieję usłyszeć, że nie, że zdjęcie kłamie, bo jej uroda ciążyła mi, ale powiedział, nawet jeszcze bardziej, była cudowna, i chciał zabrać zdjęcie, ale trzymałam je mocno, żadne z nas nie ustępowało i mało go nie podarliśmy, aż poprosiłam, zaczekaj, daj jeszcze trochę popatrzeć, przyjrzałam się ich splecionym nogom, postawie dumnej, a jednocześnie swobodnej, i spytałam, jak mogłeś ją zdradzać, wydaje się tak fantastyczna, i zanim skończyłam zdanie, wiedziałam, że popełniłam błąd.

Natychmiast wyrwał mi zdjęcie i schował do pudełka, które omotał gumkami i sznurkami, gwałtownie zabrał ze stołu mój talerz i nie dopite piwo, i powiedział głuchym głosem, nie zdradzałem jej, nigdy jej nie zdradziłem, słyszysz, a ja, chociaż wystraszona, nie potrafiłam się zamknąć i rzuciłam, mnie nie oszukasz, przecież zdradzałeś ją ze mną, nie pamiętasz? Poczzerwieniał cały, machnął mi kuflem przed nosem i wrzasnął, co ty bredzisz, co ty tam wiesz, nigdy jej nie zdradziłem, byłem jej wierny aż do ostatniej chwili, i ona to wiedziała! Jakim prawem ośmielasz się mnie oskarżać, kim ty w ogóle jesteś, żeby mnie szkalować? I z całej siły cisnął kuflem o marmurowy blat koło zlewu, tak że rozprysł się na maleńkie okruchy, jak to jest, że ogromny kufel rozpada się w drobny mak, wielka szklanica, której w piwiarni nie dałby rady największy opój, poddaje się z

taką łatwością. Zobaczyłam, jak ze zdziwieniem ogląda swoje ręce, porusza nimi, jakby kartkował książkę, widziałam to za swoimi plecami, bo już mnie tam nie było, pobiegłam z powrotem do sypialni i zamknęłam za sobą drzwi, drżąc jak spłoszony zbieg ze strachu, z rozpaczy, z rozczarowania, zaczęłam szperać w walizce, ale byłam tak spięta, że nic nie mogłam znaleźć, sama nie bardzo wiedziałam, czego szukam, prawdopodobnie czegoś do ubrania, ale była tam tylko bielizna, nie dałoby się w tym wyjść na ulicę, pociemniało mi w oczach i zaczęłam złorzeczyć, co myślałaś, że nigdy już nie wyjdiesz z łóżka, podwiązki i botki, to jedno ci było w głowie, aż przyszło mi na myśl, że jednak coś miałam na sobie, kiedy tu przyszłam wczoraj, nie do wiary, że to było wczoraj, czułam się, jakby minął co najmniej miesiąc, przecież nie przyszłam w podwiązkach i botkach, więc gdzie jest moje ubranie, i zaczęłam grzebać w pościeli i pod łóżkiem, próbując sobie przypomnieć, gdzie się rozbierałam. Poszukaj w głowie, zawsze mi powtarzała matka, najpierw w głowie, ale głowę miałam odrętwiałą co najmniej w równym stopniu jak ręce, sparaliżowaną przygnębieniem i strachem, że za chwilę on wtargnie do pokoju i mnie zabije, próbowałam sobie przypomnieć, co robią w takich sytuacjach na filmach, zdaje się, że widziałam w jakimś filmie, że zastawia się drzwi krzesłem, więc wzięłam krzesło, powlokłam je do drzwi i wtedy znalazłam na nim swoje zwinięte, leżące spokojnie ubranie, a kiedy byłam już ubrana, zamknęłam szybko walizkę i nie zwalniając przy kuchni, nacisnęłam kłamkę i wyszłam.

Noc była przyjemna, wiosenna, jakby w ciągu tego jednego dnia, który spędziłam w zamknięciu, zmieniła się pora roku, pociałam się w ciepłym ubraniu, czułam się ciężka i zagubiona, chociaż z początku biegłam, dość szybko przeszłam do powolnego marszu, prawie stania w miejscu, bo uświadomiłam sobie, że nikt mnie nie goni i tak naprawdę nie bardzo się spieszę, nie można powiedzieć, żeby ktoś na mnie gdziekolwiek czekał, więc postawiłam walizkę na chodniku i usiadłam na niej jak niepotrzebna turystka w tym nowym, nocnym świecie, gdzie dzieją się straszne i niespodziewane rzeczy. Poczułam, że się pogrążam, ciągle powtarzałam sobie, trzymaj się, wracaj do domu, odbuduj swoje życie, no to pękł kufel, i co z tego, masz się czego złapać, wracaj do domu, a jutro idź na uniwersytet, posiedź wśród książek w bibliotece i pozwól, żeby ten człowiek szalał bez ciebie.

Próbowałam sobie wyobrazić siebie w pomieszczeniu pełnym książek, oddychając swobodnie i szczęśliwą, tańczącą wśród nich jak motyl wśród

kwiatów, sącząca to z tej, to z tamtej, nagle wzdrygnęłam się, bo przypomniałam sobie o białym kruku z prywatnej biblioteki kierownika katedry, zbiorze legend o zburzeniu Świątyni, otworzyłam walizkę, zaczęłam ją przeszukiwać gorączkowo, ale książki nie było, bo przecież jej tam nie włożyłam, porzuciłam ją w szerokim łóżu jak rannego na polu bitwy i kto wie, jaki los ją spotka, czy nie stanie się kolejną ofiarą jego gniewu, czy jej nie podrze na strzępy, tak jak roztrzaskał kufel, i czy wszyscy bohaterowie, którzy zaznali tyle cierpienia, arcykapłan i jego córka, szlachetnie urodzone córki Syjonu i stolarz, któremu podstępnie zabrano żonę, nie doświadczą kolejnej katastrofy, wiedziałam, że muszę ich wyrwać z jego szponów, nawet jeśli to pretekst, jest to coś więcej niż pretekst, postanowiłam, że po prostu tam wejść, nie powiem słowa, pójdę tylko do sypialni, wezmę książkę i wyjdę, nawet na niego nie spojrzę, ale stojąc na mrocznych schodach, poczułam, że oczy mnie bolą z pragnienia, żeby go zobaczyć, a kiedy otworzył drzwi, ciało mnie rozboleło z miłości do niego, miłości, litości, żalu i tęsknoty za nim, ale w milczeniu ruszyłam do sypialni, wysupłałam książkę z pościeli, przytuliłam ją i kołysałam w ramionach. Przyszedł za mną, powolny i smutny, stanął w progu sypialni, powietrze było ostre, a kiedy próbowałam go minąć, wyciągnął do mnie rękę tak wolno, że widziałam, jak zbliża się do mnie jego ruch, pogłaskał mnie po twarzy, zobaczyłam, że ma bandaż na dłoni, i powiedziałam, kocham cię, wiem, że to niedobrze, ale cię kocham, a on zaczął mnie rozbierać delikatnie i powtarzał, w porządku, w porządku, nawet nie spytał swoim zwyczajem, dlaczego, nie chciałam ci zrobić przykrości, dodałam, a on powiedział, w porządku, wiem, w jednej sekundzie poczułam, jak mnie otula od wewnątrz i od zewnątrz, gorący i pełny, i poczułam to słowo, szczęście, to było szczęście, jakbym spotkała kogoś, kogo już nie miałam nadziei zobaczyć, myśląc, że nie żyje, jakbym zdołała naprawić przeszłość, uzdrowić śmiertelnie chorego, połączyć rozwiedzionych rodziców, takie to było szczęśliwe i takie niemożliwe, tak dobrze wiedziałam, że jest nieprawdziwe, i tak nie mogłam się oprzeć tej słodyczy, cały czas mówiłam sobie, świat umarł, a ja jestem szczęśliwa, świat umarł, a ja jestem szczęśliwa, chwilami słowa mieszały mi się w ustach i mówiłam, umarłam, a świat jest szczęśliwy, umarłam, a świat jest szczęśliwy, zdawało mi się zresztą, że to na jedno wychodzi, obróciłam się w jego ramionach, cały czas myśląc, co za traf, mogłam przeżyć całe życie i tego nie poczuć, i tego nie wykorzystać, przecież to mój prawdziwy miodowy miesiąc, nie będę miała innego, nigdy nie będę miała innego, nawet jeśli to potrwa zaledwie kilka godzin, warto było. I wtedy usłyszałam, jak wydał z siebie jęk rozkoszy, który

natychmiast przeszedł w płacz, objęłam go mocno, szepcząc, nie płacz, kocham cię, ale on szlochał jak małe dziecko, nie zdradzałem jej, nigdy jej nie zdradziłem, ona to wiedziała, sama mi powiedziała przed śmiercią, powiedziała mi. Co powiedziała, spytałam, a on wyszeptał, że wie, że byłem jej wierny, że w to nie wątpi, powiedziałam, tak, wiem, i poczułam, jak jego ciało stygnie, kurczy się, nawet ramiona, biodra, kolana kurczyły się jak ciasto, które wyszło wyrosnięte z pieca i zaczęło opadać, on przewrócił się na drugi bok i szloch przeszedł w chrapanie, a ja, która czekałam cały dzień na tę noc, leżałam przy nim, zawiedziona, i licząc głośne chrapanięcia, głaskałam go po plecach, w nadziei, że może to tylko krótka drzemka, z której się zbudzi, żeby mnie kochać do rana, bo ja wcale nie byłam zmęczona, przecież większość dnia zajął mi sen, ale nie sprawiał wrażenia, żeby miał się szybko obudzić, więc wstałam z łóżka i poszłam do salonu. Przy drzwiach znalazłam wierną walizkę, wyjęłam na nowo koszulę, włożyłam ją i usiadłam w kuchni nad starym pudełkiem, które zostawił tam, ściągnięte gumkami, i zaczęłam w nim szperać z pewną obojętnością, która przeszła w takie wzburzenie, że zdawało mi się, że wszystkie emocje, jakich się spodziewałam po tej nocy, wychodzą do mnie z pudełka w obfitości, której ciężko sprostać.

Poczułam się jak pies strażnika, któremu rzucają coraz to nowe ochłapy wyśnionego mięsa, aż odchodzi od zmysłów, i sen zmienia się w koszmar, bo ze zdjęć wylewały się na mnie żywe członki, nagie lub, co było nawet bardziej ponętne od nagości, przyodziane w różne zmyślne rekwizyty, przy których łaszki z mojej walizki wyglądały jak strój roboczy pionierki z drugiej aliji. Było tam tyle oczu, w tak wielu kolorach i kształtach, zielonych, niebieskich i czarnych, okrągłych i skośnych, tyle piersi, sutków i łon, pośladków, włosów, istna ludzka jatka, zatłoczona do ostatnich granic, jakże bolesna była przynależność do niej, i jakże bolesny brak przynależności, bo mnie nigdy nie fotografował, byłam chyba jedyną kobietą na świecie, której nie robił zdjęć, która nie była warta fotografii. Próbowałam odnaleźć znajome twarze, ale świat na zdjęciach wydawał się obcy i daleki, jakby robiono je w innym kraju czy w innym czasie, i znów zobaczyłam tamto ujęcie, jedno z najniewinniejszych w tym pudełku, a obok dalsze ich zdjęcia, zrobione w tym samym okresie, jeśli nie tego samego dnia, na jednym ona siedzi mu na kolanach, oboje są całkiem nadzy, a jej białe piersi są zasłonięte jego czarnymi dłońmi, na innym ona leży z rozłożonymi nogami, ukazując różowy, delikatny paczuszek waginy, a jej twarz jaśniej uniesieniem, przedtem znalazłam kilka bardziej cenzu-ralnych zdjęć z paryskich kawiarni, może z

początku znajomości, powoli zorientowałam się, że zdjęcia są ułożone mniej więcej chronologicznie, i tak też je oglądałam, próbując je uporządkować na kuchennym stole, zaczęło się od niewyraźnych zdjęć z dzieciństwa, grupka szczupłych dzieciaków obok śniadych kobiet w chustkach i brodatych mężczyzn w czarnych marynarkach, potem stopniowo wchodziło więcej światła, jaśniejsze stroje, szerokie uśmiechy, wreszcie zdjęcie, na które rzuciłam się łapczywie, dwóch objętych chłopców, byłam prawie pewna, że obok Ariego widzę mojego ojca, że właśnie tego zdjęcia szukał tak rozpaczliwie, zrzucając sobie na nogi szuflady. Ariego rozpoznałam z łatwością, był wysoki i czarny, odsłaniał w szerokim uśmiechu białe zęby, nie spodobał mi się ten uśmiech, zbyt swobodny, zbyt arogancki, głupawy w swojej bucie, a drugi chłopak, niski i jasny, o bladej, uduchowionej, by nie powiedzieć, umęczonej twarzy, to był niewątpliwie mój ojciec, u progu życia, z niepewnym, nieufnym uśmiechem, tak różnym od uśmiechu przyjaciela, a jednak miał na twarzy jakieś oczekiwanie, nadzieję, gotowość na szczęście, im dłużej na niego patrzyłam, tym ciężiej mi było się z nim rozstać, zastanawiałam się, którego bym wybrała, gdybym wtedy była na świecie, gdybym była moją matką, który uśmiech, swobodny czy niepewny, jak trudno jest wybrać partnera czy choćby uśmiech, bo chwilami lepszy jest swobodny, a kiedy indziej niepewny, jak można się zafiksować na jednym uśmiechu na całe życie. Tak ciężko mi było się rozstać z tą fotografią, że szybko wepchnęłam ją do walizki i przeszłam do dalszych badań, ułożyłam zdjęcia po kolei i zobaczyłam, jak Josephine powoli schodzi na dalszy plan, czasem jeszcze się pojawiała przy różnych okazjach w kompletnym, lekko ciotczanym stroju, ale jasne było, że tłum młodych kobiet o bezwstydnym ciałach zepchnął ją na margines, światło w jej oczach przygasło, dosłownie widziałam chwilę, gdy to się stało, i z nienawiścią patrzyłam na wciąż nowe dziewczyny, które prawdopodobnie też nie są już dziś ani młode, ani zdrowe, może ich ciała także już spoczywają pod ziemią. Była tam taka jedna o wyglądzie Cyganki, śniada i urzekająca, przy odziana w dwie czarne chusty, jedną na piersiach, drugą na biodrach, chusty sprawiały wrażenie związanych dość niedbale, i rzeczywiście, na kolejnym zdjęciu opadły i Cyganka była zupełnie naga, osłonięta jedynie długimi, czarnymi lokami, leżała na czerwonym dywanie, a on na niej, to musiał być on, rozpoznawałam ten wąski, kształtny tyłek, nie było do końca wiadomo, czy są przed, czy po, ale zaraz zobaczyłam ich w trakcie, dosiadała go, a on był w niej, o czym świadczyło stężenie rozkoszy na jej twarzy, czwarte zdjęcie z tej sesji rzuciło nieco światła na poprzednie, a w każdym razie na tożsamość fotografa, bo

zobaczyłam na nim Josephine, już przekwitła, małą i bladą, stała przy łóżku w jasnym kombinezonie, Cyganka wyciągała szeroką dłoń prosto między jej uda i nie widziałam, z jakim przyjęciem spotkała się ta dłoń, z wdzięcznością czy z odrzuceniem, mogłam się tylko domyślać. Na następnym zdjęciu już był z kimś innym, szczupłą, długą i krótkowłosą dziewczyną o drobnych piersiach, ze zdjęcia na zdjęcie widziałam, jak się starzeje, czarne włosy siwieją, gładka skóra się marszczy, zęby żółkną, oczy matowieją, zwążają się, a przede wszystkim uśmiech, ten zdrowy uśmiech, staje się powściągliwy, mniej jednoznaczny. Wystarczy spojrzeć, a ułożone na stole fotografie przesuwają mi się przed oczami jak krótki, dwu-, trzyminutowy, wyczerpujący film animowany o życiu miłosnym pewnego faceta nazwiskiem Arie Ewen, życiu niewątpliwie intensywnym, jakim cudem znalazł w nim czas na inne rzeczy i jakim cudem jeszcze ma siłę, i chyba rzeczywiście nie ma, o tym akurat mogę coś powiedzieć jako ta, która próbuje się wcisnąć do ostatniego wagonu tego przepelnionego pociągu. Nic dziwnego, że tak trudno jest go podniecić, widocznie już dawno wyczerpał swój przydział podniecenia i oprócz samobójstwa w trakcie pieprzenia próbował wszystkiego, a może i tego też, kto wie, więc chyba powinnam spakować swój głód i wynieść się stąd, bo on go nie zaspokoi, głodny i syty nie mogą iść razem na ucztę, i w jednej chwili zrobiło mi się niedobrze od tych zdjęć, nie mogłam ich dłużej znieść, zaczęłam je wpychać pospiesznie do pudełka, od końca do początku, grzebiąc najpierw jego starość, a dopiero potem młodość, już je prawie zamknęłam, gdy zauważyłam jeszcze jedno zdjęcie, którego wcześniej nie widziałam, młoda, ładna kobieta, dla odmiany kompletnie ubrana, trzyma nóż i widelec nad prawie pustym talerzem, ma delikatne rysy, włosy zebrane w warkocz, na palcu cienką obrączkę i uśmiecha się powściągliwie do talerza. Nie mogłam oderwać wzroku od tego zdjęcia, chociaż dobrze je znałam, widziałam je dziesiątki razy, ale nigdy mnie ona nie zainteresowała tak, jak teraz, młoda, ładna, z poważnym wyrazem twarzy, jakby właśnie przelatowała jej przez głowę jakaś myśl, ważna, intrygująca, ale nie decydująca, może nawet coś, co ma związek z pustym talerzem, i natychmiast ją też wrzuciłam do walizki, chociaż miałam odbitkę w albumie, opadła jak liść między czarne ubrania, nie chciałam tam zostawiać swojego ulubionego zdjęcia matki, w tym obmierzłym pudełku, z tymi wszystkimi dziwkami, co ona ma z tym wspólnego, rzeczywiście, co ona ma z tym wspólnego, jak się dowiedzieć, przeszłość jest tak niedostępna, zasłania ją wielka kurtyna, ona sama może nie wiedzieć, więc jak ja się dowiem. Pomyślałam, co będzie o mnie wiedziała moja córeczka, którą

kiedyś będę miała, wydało mi się oczywiste, że ona też będzie szperać w tym pudełku i szukać moich zdjęć, przecież on wiecznie będzie krążył między nami, ponętny i przekłety, przyciągający jak magnes spragnione serca, chciałam zostawić jej tam karteczkę, w jego pudełku, córeczko, chciałam napisać, nawet kiedy dołożysz swoją wagę do mojej, nadal będziemy tylko martwym powietrzem, ale zamiast tego starannie ściągnęłam pudełko gumkami i tasiemkami i zgasiłam światło. W mroku krążyłam po domu, z pokoju do pokoju, tu i tam otworzyłam jakąś szufladę, ale nic więcej mnie nie zaciekało, ani pisma z banku, ani depesze kondolencyjne, ani francuskie dyplomy, przy tym, co wcześniej widziałam, wszystko bladło, wreszcie znowu usiadłam na walizce, która zdawała mi się wygodniejsza niż jakikolwiek fotel, i pomyślałam, że czas stąd iść, ten człowiek jest dla mnie zbyt zgniły, tak jak nie powinno się mieszkać w śmietniku, nie powinno się spać w jego łóżku, więc poszłam do sypialni, spojrzałam na szerokie łóżo, ale go tam nie było, łóżko było puste jak talerz mojej matki na fotografii.

Początkowo sądziłam, że źle widzę, bo on i ciemność mają prawie ten sam odcień, ale podeszłam bliżej, macając miękką pościel, i nie wyczułam żadnego ciała, więc pomyślałam, że może wyparował, skurczył się całkiem, rozplynał jak ustępujący wzwód, pozostawiając po sobie pudełko fotografii zamiast dzieci, a wszystkie ujęte na nich kobiety, te, które jeszcze żyją, odmówią po nim kadisz nad otwartym grobem, myślałam o tym z ulgą, nawet z nadzieją, bo wydało mi się to najprostszym sposobem pozbycia się go, bez konfliktu, bez dręczącego poczucia straconej szansy, zrobiłam swoje, reszta jest niezależna ode mnie, i byłam naprawdę zawiedziona, kiedy usłyszałam stłumione pierdnięcie i odgłos odkręcania i zakręcania kranu, nie zapomina umyć rąk nawet w środku nocy, ale co mu to da, skoro ma tyle brudu w sobie, rozległy się ciężkie kroki, jego ciało padło na łóżko i w świetle zapalniczki zobaczyłam twarz, skupioną na zapalonym papierosie i usłyszałam, jak mówi z mieszaniną drwiny i zaskoczenia, jeszcze tu jesteś, widocznie też miał nadzieję, że się rozplnęłam, zniknęłam z jego życia bez scen, bez pożegnań, bez obwiniania, i teraz może na moment połączy nas wspólne rozczarowanie, że to drugie wciąż nie odeszło.

Chcesz, żebym sobie poszła, spytałam, a on westchnął, nie mam do tego siły, co cię obchodzi moja wola, zajmij się swoją, zrób, co ty chcesz, ale nie jestem tu sama, powiedziałam, jest nas dwoje, on odpowiedział, jeszcze się nie nauczyłaś, że dwoje to dwie samotne osoby, i zdradzę ci w tajemnicy, że troje to trzy samotne osoby, i tak dalej, pomimo ciemności domyślałam się

zadowolonej miny, jaką przybrał po tym stwierdzeniu, próbowałam się zastanowić, czy to, co powiedział, jest głupie czy mądre, banalne czy oryginalne, i nie mogąc się zdecydować, mruknęłam, wygląda na to, że jesteś specjalistą od trójkątów, a on się najeżył i spytał napastliwie, co masz na myśli. Oj, nic takiego, wyjąkałam, a on zachichotał, rozumiem, że poszperałaś sobie trochę, milczałam, gotowa przyjąć kolejny atak gniewu, tym razem chyba nawet uzasadniony, ale on dalej chichotał, jakby chciał za wszelką cenę pozostać nieprzewidywalny, i powiedział, mam nadzieję, że się dobrze bawiłaś. Gorzej niż ty na tych zdjęciach, mruknęłam, a on się zaśmiał, tak, rzeczywiście, na ogół się dobrze bawiłem, po co mam temu zaprzeczać teraz, gdy mam już za sobą większość przyjemności życia, a ja powiedziałam z uraza, nie dajesz mi żadnej szansy. Nie bierz tego do siebie, odpowiedział, mówię o tym ogromnym koszcie przyjemności, niespodzianek, prezentów, otworzyłem już prawie wszystkie, w moim koszcie widać dno, a twój jest jeszcze pełny, Ja'ara, więc nie przejmuj się tak. Ja urodziłam się z pustym kosztem, powiedziałam, to nie jest kwestia wieku, nigdy nie czułam, że mam taki koszt.

Nie czuje się tego stale, dopiero patrząc wstecz, kiedy przekraczasz połowę życia, obraz się rozjaśnia, powiedział, i żeby rozjaśnić także nasz obraz, zapalił lampkę i zaczął grzebać w swoim zieleńcu, przygotowując kolejną dawkę pocieszenia, nie mogłam oderwać wzroku od jego ruchów, od nagiego, mrocznego ciała, wciąż stały mi przed oczami tamte zdjęcia i miałam wrażenie, że na jego skórze pełno jest odcisków palców, wyglądał jak zwinny lampart, cętkowany odciskami palców i warg wszystkich kobiet, które kopulo-wały z nim przez te lata, a jednak, tak jak lamparty, nie wyglądał na zużytego, wyprężył się z rozkoszą, pociągnął skręta, podał mi go i wrócił do przerwanej zdania, tak, bawiłem się dobrze, ale nie byłem od tego uzależniony, powiedział to prawie groźnie, z wyraźnym ostrzeżeniem, zrozumiałam, że nie warto się sprzeczać, więc tylko powiedziałam, jak znajdowałaś czas na inne rzeczy, a on się roześmiał, zapominasz, ile mam lat, przecież to się rozkłada na tyle lat. Ale ciało masz jedno, powiedziałam, całe w plamach, a on, zatroskany, obejrzał ze wszystkich stron śniadą, gładką skórę na rękę i westchnął z ulgą, jakby się rzeczywiście zląkł, zazdrość przez ciebie przemawia, dziecino, nawet nie próbowałam zaprzeczać, a on powiedział, Ja'ara, życie stoi przed tobą otworem, czemu ci tak spieszą je zamknąć, nawet kiedy już je otwierasz, czym prędzej zamykasz po pierwszym niepowodzeniu, i to był chyba pierwszy raz, kiedy się odniósł do mnie, do mojego świata, trochę mnie to zbiło z tropu, dlaczego

nagle wkracza w moją prywatność, i spytałam niechętnie, co masz na myśli. Sam nie wiem, powiedział, nie chodzi o szczegóły, tylko o ogólny obraz twojego życia, zamiast się na nie rzucić, poskramiać je, ty się ukrywasz, gotowa na przyjęcie ciosów, czasem wystawiasz nos ze swojej nory i zaraz wracasz. Masz oczywiście do tego prawo, każdy ma prawo do własnej drogi, ale cię to frustruje, to widać, nie wystarcza ci siedzenie w norze, chcesz czegoś więcej, ale w tym celu trzeba zaryzykować, a ty się boisz.

Ryzykuję, jestem tu przecież, próbowałam się bronić, ale przerwał mi z wyższością, znowu się wdajesz w szczegóły, nie chodzi o to, gdzie spędzisz jedną czy dwie noce w życiu, tylko w jaki sposób kierujesz całym życiem, czy masz nad nim kontrolę, czy ono ma kontrolę nad tobą, a ja się skuliłam ze wstydu, tak bardzo chciałam mieć kontrolę, o której mówił, być kobietą, która nie potrzebuje żadnego mężczyzny, nie robi rachunku zysków i strat, nie płaci ceny za bezpieczeństwo, kroczy własną drogą, wyobraziłam sobie przyszłość pod znakiem śmiałości i siły, bez Joniego, który osłabia mnie przez to, że tak mnie strzeże, bez Ariego, w małym mieszkanku na poddaszu, bo nasze mieszkanie rzeczywiście jest ciemną norą, muszę z niej wyjść do mieszkania, z którego widać wszystko z wysoka, ogarnia się cały obraz, a nie pojedyncze szczegóły, które zawsze sprowadzają mnie na manowce, będę sypiać, z kim zechcę, a nie z tym, kto mi obieca, że zostanie ze mną na zawsze, czasem także z Ariem, i ciało, to moje ciało, co do którego wciąż nie zdecydowałam właściwie, co ma z nim być, czym dla mnie jest, będzie mieć własne życie – dzikie, tajemne, będzie moim wierzchowcem i będę go dosiadać bez strachu. Na moment oszołomiła mnie moc tej wizji, tak wyraźnej i jasnej, ale zaraz straciłam zapal, jak wtedy, kiedy próbowałam rysować i miałam w głowie idealny, cudowny rysunek, ale w drodze na papier wszystko się zacierało i wychodziła z tego jedna wielka żalność, tak sobie wyobraziłam rozdźwięk między czarem wizji a jej realizacją. Widziałam siebie samotną na zimnym poddaszu, w najlepszym wypadku wprawiającą się w skokach z dachu, z telefonem, który nigdy nie dzwoni, z wyjątkiem telefonów od mojej matki, czasem Joni i jego nowa żona wpadają z wizytą, przynoszą mi resztki czulentu i jem je bez odgrzewania, a lzy kapią mi do talerza, zalała mnie fala litości nad samą sobą, a potem złości na niego, kim on w ogóle jest, że mnie poucza, i powiedziałam ostrożnie, ty też byłeś żonaty tyle lat, też byłeś zamknięty, a on odpowiedział protekcyjnym tonem, nie rozumiałaś mnie, jaki to ma związek z małżeństwem, to ma związek wyłącznie z twoim pojmowaniem siebie, małżeństwo odgrywa tu rolę drugorzędną, można być samym i zamkniętym albo żonatym i otwartym,

kwestia tylko, jaka potrzeba przywiodła cię do małżeństwa, jak dokonujesz wyborów, kierujesz swoim życiem, kwestia, czy wiecznie żyjesz jak uczennica, która boi się nauczyciela, czasem urywa się z lekcji, ale zachowuje pozory niewinności, żeby nikt nie powiedział rodzicom, czy jesteś sama dla siebie najwyższym autorytetem, na dobre i na złe, ze wszystkimi konsekwencjami. Mam wrażenie, że ciągle próbujesz iść po wymyślonej linii, żeby się nie wychylić, nie zapłacić wysokiej ceny, może w szkole to się sprawdzało, ale szkoda by było, gdybyś tak miała przeżyć całe życie. Wierz mi, dodał, nie mam w tym interesu, nie namawiam cię, żebyś uciekła z takiej czy innej lekcji, po prostu cię widzę, mimo że tobie wydaje się, że widzę tylko siebie, i jest mi cię żal.

Siedziałam przy nim skarcona i skulona, bolały mnie plecy, nie byłam w stanie się ruszyć, bo lodowata ręka ścisnęła mi wszystkie mięśnie, i wiedziałam, że on ma rację, naprawdę ma rację, ale co mam z tym począć, stoję przed bałaganem, nie wiedząc, od czego zacząć porządki, czy całego mojego życia na to wystarczy, czy lepiej nawet nie próbować, nienawidziłam go za to, że wepchnął się w moją prywatność tak po chamsku, bez mojej wiedzy sfotografował mnie na sedesie, jak dłużyć w nosie, a teraz wymachuje mi przed nosem tym zdjęciem i mówi, to ty, powiedz sama, czy można cię kochać. Kim on w ogóle jest, jak śmie, co chce osiągnąć, a on powiedział, wiesz, przyglądałem się dzisiaj twojemu ojcu, jak opowiadał, że jesteś w podróży poślubnej w Istambule, i miałem ochotę wziąć go za rękę, otworzyć drzwi sypialni i powiedzieć mu, Szlomo, ona jest tutaj i to nie twoja sprawa, potem wrócić z nim do salonu i kontynuować rozmowę, jak gdyby nigdy nic, jestem pewny, że on by to przełknął, wierz mi, dla niego to nie pierwszozna, zdziwiłabyś się, ile ludzie są w stanie przełknąć.

Wtedy nie mógłby siedzieć tutaj i głosić, że jest szczęśliwy, powiedziałam, a Arie machnął ręką lekceważąco, bzdury, on by wygłosił tę swoją deklarację, nawet gdybyś umarła, nie rozumiesz? Jest szczęśliwy, bo postanowił być szczęśliwy, nie dlatego, że życie potraktowało go ulgowo, przecież wiesz, że nie. Jego szczęście nie ma związku z tobą, nie wypływa stąd, że masz udane małżeństwo i bawisz się w Istambule, nie ma z tobą związku i nie jest twoim zadaniem ukrywanie przed nim czegokolwiek, byleby był szczęśliwy, przed nim ani przed matką, ani nawet przed twoim mężem. Prawda to gorzka pigułka, którą ludzie zazwyczaj łykają stosunkowo łatwo, nie chroń ich przed nią, ja powiedziałam, nie chodzi tylko o to, że czuję się odpowiedzialna za ich szczęście, boję się konsekwencji, a on

odpowiedział, tak, to znany dylemat, ale tylko pozorny, bo kto cię nie akceptuje taką, jaką jesteś, i tak musi odpaść z gry, przecież nie można wiecznie udawać.

Ale ja jeszcze nie wiem, jaka jestem, powiedziałam, rano jestem odważna, wieczorem wystraszona, rano chce mi się roznieść świat, wieczorem potrzebuję mężczyzny, który by mnie chronił, a on powiedział, więc znajdź sobie mężczyznę, który byłby gotowy chronić cię wieczorami i wypuszczać rano, tylko pamiętaj, że wszystko jest możliwe, świat jest znacznie bardziej otwarty, niż sądzisz, uwierz mi, jest jedną wielką bramą, zdenerwował mnie ten jego ton, mówił jak szef ekipy remontowej, arogancki i pewny siebie, tu pani wyburzy ścianę, łazienkę przeniesie tam, jakby w tym wszystkim chodziło o kamienie, a nie o problematyczny, żaloszny i rozedrgany budulec duszy. Jak może tak mówić, tak się mylić, chyba że to ja się mylę i trzeba faktycznie żyć, jakbyśmy byli z kamienia, i remontować życie według zmieniających się potrzeb, nie pozwalać duszy przeszkadzać, i przypomniałam sobie, jak wszyscy się ze mnie śmiali, kiedy w drugiej czy trzeciej klasie nauczycielka spytała, jakie organy wewnętrzne ma człowiek, a ja powiedziałam, duszę.

Patrzyłam na szeroką twarz w świetle lampki, na półprzymknięte oczy, na wargi, chciwie zasysające skręta, i wszystko zdawało mi się zarówno niemożliwe, jak nieznośne, ogarnął mnie smutek, że ciągle piję z wielkiego kielicha goryczy, piję i piję, bo oczywiste było, że on nie widzi siebie jako części mojego *życia*, tak jak fachowiec remontujący mieszkanie nie widzi w nim swojego domu i nie zamierza w nim zamieszkać, prawdopodobnie Joni w dalekim Istambule też już nie widzi siebie jako części mojego życia i okazuje się, że nikt nie ma udziału w tym życiu, nie bez powodu, sama bym się cieszyła, gdybym mogła się z niego wynieść, ale nie mam dokąd, to życie jest tylko moje, dostałam je jeszcze przed własnym pokojem, własne życie. Im bardziej próbował otworzyć je przede mną, tym bardziej czułam, jak się nade mną zatrząskuje z całym ciężarem straconych spraw, aż ciężko mi było oddychać, a wtedy powiedział, już prawie rano, Ja'ara, pora spać, i rzeczywiście, przez szpary w żaluzjach przeniknął do pokoju przyćmiony fiolet, chłodny i wyniosły, więc położyłam się z ramieniem pod jego pachą, wtulając się w lepki, żywiczny pot, a on zaskoczył mnie miłym uściskiem i czułam, że całe ciało ma miękkie i słodkie jak ciepły grysik w zimowy poranek.

Niedługo będzie lato, powiedziałam, on odpowiedział, to prawda, ja powiedziałam, nienawidzę lata, a on, tak, ja też. Zimy też nienawidzę, powiedziałam, kiedy myśli się o przyszłości w kategoriach pór roku, wydaje się beznadziejna, a on westchnął, tak, i w kilku innych kategoriach też, przepuszczone przez żaluzje skrawki światła stawały się coraz jaśniejsze i pomyślałam, że powinniśmy zostać na zawsze w tym łóżku, za spuszczone żaluzją, jak bezsilni uciekinierzy przed zmienną pogodą, starałam się zasnąć, ale mi nie wyszło, denerwował mnie jego oddech, chrapie, nawet kiedy nie śpi, i byłam na niego zła, że też nienawidzi lata, i też nienawidzi zimy, nasza nowa wspólnota ciążyła mi, jakbyśmy byli teraz podwójnie żałośni, obłożeni przez ciężkie chamsiny i wstrętne deszcze, od których nas oddzielają jedynie cienkie kraty w kształcie serc.

Zobaczyłam, jak się podnosi, odwraca w stronę rzekomo mojej krawędzi łóżka i pochyla nad telefonem, udawałam, że śpię, mając nadzieję, że przyłapię go in flagranti na intymnej rozmowie, ale zamiast tego wziął jedną z bombonierek, słyszałam, jak odwija folię i otwiera pudełko, po czym dobiegło stamtąd irytujące glamanie, zgrywa się na przewodnika duchowego, a sam wyładowuje frustracje na starej czekoladzie, której jego żona nie zdążyła zjeść przed śmiercią, potem zrobiło mi się go żal, że nie może zasnąć, widocznie jest rzeczywiście w żałobie, tylko widać to bardziej w nocy niż w dzień, i znowu poczułam, że spijam gorycz, trzymam w ręku roztrzaskany kufel i piję, i wtedy rozległ się cichy, ale wyraźny trzask, usłyszałam, jak zaklął, pobiegł do umywalki i splunął, natychmiast pobiegłam za nim, stanęłam obok niego nad brązową papką, a on zaczął w niej grzebać nerwowo, dalej plując i klnąc, pierdolone ścierrwiele, nie chce im się wyjąć pestek z wiśni, ja im pokażę, jeszcze dziś podam ich do sądu, aż wydobyl poźółkły kawałek zęba, poznaczony plamami z nikotyny, rozdziawił się przed lustrem i w błękitnym świetle poranka ukazał się żenujący, mroczny grymas ust ze złamanym przednim zębem, tragiczne przeciwieństwo swobodnego uśmiechu z młodości, którym błyskał do mnie ze zdjęć.

Wyplukał gwałtownie usta i zmoczył twarz, chlapiąc wokoło i nie przestając kłać, ciemnym, szerokim językiem wciąż macał powstałą wyrwę, jakby próbował ją zatkać, przez co wszystkie miotane przez niego przekleństwa i groźby brzmiały śmiesznie, jakby siedmiolatek, tracący mleczne zęby, groził pozwem o odszkodowanie, zobaczysz, o ósmej rano dzwonię do adwokata, nie jestem frajerem, mówię ci, powtarzał, jakbym w to powątpiewała, potem pospieszył do sypialni, przyjrzał się bombonierce, a

nawet zapalił światło tylko po to, żeby lepiej zobaczyć, że rzeczywiście jest na niej ostrzeżenie, że nadzienie zawiera wiśnie z pestką, więc cisnął pudełkiem z obrzydzeniem, tak że małe, okrągłe czekoladki rozsypały się po łóżku i podłodze, a jedna z nich wtoczyła mi się pod ramię, szukając schronienia pod moimi skrzydłami. Trzymałam ją jak nowo narodzone kocię i ogrzewałam w dłoni, a kiedy zaczęła mięknąć, położyłam ją sobie na brzuchu i zaczęłam rozsmarowywać, jak się smaruje chleb, trochę mnie to uspokoiło, bo nie wiedziałam, co zrobić z jego gniewem, i znowu poczułam, że tak naprawdę to moja wina, bo przeze mnie trafiły tu te słodczyce, pomyślałam, jak szybko się wszystko psuje między nami, przecież mieliśmy namiętnie uprawiać miłość, a nie opychać się jak myszy w środku nocy, gdybyśmy się kochali, nie połamałby zębów, przypomniałam sobie matkę, która zawsze mawiała z rozpaczą, nic mi nie wychodzi, nic, denerwując mnie tym jeszcze bardziej, dlatego nie powiedziałam mu, nic mi nie wychodzi, tylko dalej topiłam na brzuchu czekoladę, aż poczułam w ręku twardą pestkę, ukryłam ją w zagłębieniu pępka i powiedziałam, patrz, jaki słodki brzuch, ale on ciągle wyrzucał z siebie stek przekleństw, był akurat przy: co za kretyń przyniósł jej to do szpitala, chciał, żeby połamała zęby? Przepytałam każdego, kto się tu pojawi, aż dowiem się, czyja to sprawka, mówię ci, zamachał ręką, a ja ujęłam jego dłoń i położyłam na lepkiem brzuchu, na moment znieruchomiał, ale zaciekawił się mimo wszystko, zbliżył twarz i zaczął wachać, a w końcu łaskawie wysunął mięsisty język, polizał, pozbierał jeszcze kilka czekoladowych kociąt i rozmazał mi we wnętrzu ud. Zdziwiła mnie ta entuzjastyczna współpraca i przyzwoliłam z radością, jednak jest gotów na przygody, nawet kiedy umarła mu żona i złamał ząb, próbowałam się więc, jak należy, chociaż przez cały czas przeszkadzała mi rozbieżność między tym, co wyobrażałam sobie, że powinnam poczuć, a tym, co czułam naprawdę, bo czułam się w sumie jak człowiek, którego nie wiedzieć czemu ktoś liże po brzuchu, a nie jak kobieta przeżywająca namiętną przygodę erotyczną, i nie wiedziałam, kto jest temu winien, ja czy on. Dziwiło mnie, że się nie zorientował, lizał i lizał, aż zaczęło mnie swędzieć, jakby nie miał nic lepszego do roboty, w jego wieku, usłyszałam, jak mówi, lubisz to, chcesz być lizana jak kotka, i zamruczałam, tak, bo po tym, jak mu złamałam ząb, nie wypadało mu łamać skrzydeł, on powiedział, strasznie byś chciała się pieprzyć jak kotka, i znów zamruczałam, tak, prawdę mówiąc, niezupełnie o tym myślałam, ale właściwie po co tu jesteśmy, dość szybko znalazłam się na czworakach, on tkwił we mnie i tylko zastanawiałam się w duchu, czy to przyjemność, czy udręka. Poczułam, że ciągnie mnie silnie za włosy, jakby

przywoływał głowę do porządku, i już rzeczywiście zaczęłam wchodzić w klimat, kiedy było po wszystkim, wydał z siebie prostacki wrzask, który zabrzmiał jak kontynuacja steku przekleństw, i wysunął się ze mnie, wymięty i kapiący jak świeżo uprane skarpety, które matka zbierała do miski i wysyłała mnie z nimi na dwór, żebym je rozwiesiła na rozciągniętych między dwoma słupkami drutach, u stóp gór, spoglądałam z obawą na druty, zawsze się bałam, że są pod napięciem i kiedy ich dotknę przez moką tkaninę, prąd mnie porazi na śmierć, że to przemyślna pułapka, że matka przez okno obrzuca mnie pożegnalnym spojrzeniem, w końcu mówiłam sobie, raz kozie śmierć, i zaczynałam rozwieszać skarpetę za skarpetą, patrząc na góry, nie były szczególnie wysokie ani majestatyczne, ale za to jak ze snu, zwłaszcza rankiem, kiedy wstawało zza nich słońce, i pod wieczór, gdy roztapiały się w fiolecie nieba, oddzielały mnie od nich gaje cytrusowe i pola marchwi, a czasem nawet truskawek, wciąż odkrywałam tam nowe niespodzianki, nagle Arie poderwał się z krzykiem, gdzie to jest, co gdzie jest, zapytałam, a on powiedział, żąb, ukruszony żąb, gdzie go położyłem, muszę go zabrać do dentysty, do odtworzenia, więc zapaliliśmy światło i zaczęliśmy szukać gorączkowo, wywracając poduszki i kołdry, wstałam, żeby zobaczyć, czy nie ma go w umywalce, a on krzyknął, nie ruszaj się, podszedł do mnie czujnym krokiem lamparta, który skrada się do królicy, sięgnął ręką do fałdy mojego tyłka i wyciągnął zgubiony kawałek. Stałam przed nim jak Beniamin, w którego worze znaleziono drogocenny puchar, niewinna, ale oskarżana, i nie pomogą żadne słowa, palec wycelowany jest we mnie, odwróciłam się do niego plecami i jako że byłam już w drodze do łazienki, poszłam tam, weszłam pod prysznic i opłukałam się z głupiej czekolady, ale pod ciepłym strumieniem zaczęłam się złościć na siebie, czemu wszystko psuję, akurat kiedy on się rozpala, ja pozostaję zimna, wspomnienie skrupulatnego lizania poruszyło mnie nagle, wzburzyło mnie znacznie bardziej niż wydarzenia w czasie rzeczywistym, właściwie może tak jest zawsze, może bardziej podniecające jest wyobrażanie sobie różnych rzeczy czy wspomnianie ich niż doświadczanie, bo w ten sposób ma się pełną kontrolę, więc rozkoszowałam się wspomnieniem, aż skończyła się ciepła woda, potem wyszłam spod prysznic, wytarłam się jego ręcznikiem, a kiedy weszłam do sypialni, zobaczyłam go pogrążonego we śnie, z rozdziawionymi ustami, językiem zasłaniającym przednie zęby i odkruszonym kawałkiem w otwartej dłoni.

Bez namysłu, z nagłą radością, jaka może wypływać tylko z wielkiego rozczarowania, wydobyłam drżącymi palcami drogocenny okruch, unikat, który nie ma i mieć nie będzie zastępstwa, wrzuciłam go szybko do muszli i

obserwowałam drobne, niemal niewidoczne kręgi, jakie rozeszły się wokół niego natychmiast, zęba też nie widziałam, kiedy spuściłam wodę, i on również więcej go nie zobaczy, można powiedzieć, że to kolejny, niewiele znaczący wyraz ukrytej więzi, jaka nas łączy.

Rozdział jedenasty

Kiedy zrozumiałam, że wszystko stracone? W chwili, gdy poczułam, jak moczy mnie deszcz, jakbym nie miała dachu nad głową. Dotarło do mnie wtedy, że nie tu jest moje miejsce, że nie mam swojego miejsca. Próbowałam uciekać, wydostać się z łóżka, które zmieniło się w wodną pułapkę, poduszki były ciężkie od wody, a kołdry mokre i grzaskie jak błoto, nie byłam w stanie ruszyć ręką ani nogą, ani szyją, rzucona tam jak worek kości, lało prosto na mnie, słyszałam wokół głosy, ludzie pytali, to pierwszy deszcz jesienny czy ostatni letni? Matka mówi do synka, idź, sprawdź, czy już zakwitły cebulice, czy pliszki się pokazały w naszym kraju, czy pola pełne są niebieskiego łubinu, po kilku latach dziecko wraca, mamó, to chyba był deszcz letni, bo pola się niebiesciły jak morze, nawet fale tworzyły się na nich od wiatru, a matka mówi, dobrze, że sobie przypomniałeś, żeby wrócić, zdążyłam tymczasem założyć nową rodzinę, on płacze, to przyjmij mnie do swojej nowej rodziny, ona na to, ale ty masz brązowe oczy, a my wszyscy mamy niebieskie, jak udowodnisz, że jesteś jednym z nas, on szlocha, wydłubię sobie oczy i wsadzę zamiast nich niebieski łubin, i próbowałam krzyknąć, Udi, nie rób nic złego tym pięknym brązowym oczom, kocham je, ale nie mogłam poruszyć wargami, to ja jestem twoją prawdziwą matką, Udi, nie pamiętasz, jak leżałam godzinami bez ruchu na balkonie, a on spojrzał na mnie błyszczącymi oczami Udiego Szejnfelda, brata Orit, mojej koleżanki z klasy, i powiedział, nie jesteś moją matką, upodabniasz się tylko do niej z każdą chwilą, i zobaczyłam przed sobą Mazał Szejnfeld, matkę Udiego i Orit, gasnącą z wolna na ich balkonie.

Zawsze zaskakiwało mnie to śmiałe połączenie sefardyjskiego imienia z aszkenazyjskim nazwiskiem i zawsze podejrzewałam, że właśnie ono przesądziło o jej losie, że gdyby znalazła sobie męża o innym nazwisku, nie umierałaby w tak młodym wieku na balkonie, w jasnym świetle dnia, na prowizorycznym łóżku z leżaka. Z daleka wyglądała jak beztraska wczasowiczka, dopiero kiedy zbliżyliśmy się z Orit Szejnfeld, bezwładna biel pościeli przestrzegała o powadze sytuacji. Pod prześcieradłem nie widać było najlżejszego ruchu, twarz o śniadej jemeńskiej skórze, która przybrała odcień jasnoszary, też ani drgnęła, tylko słabe rżenie, wydobywające się z zapadłych ust, świadczyło na przekór wszystkiemu o resztkach życia.

Mijałyśmy ją, dźwigając na młodych plecach ciężkie tornistry, zalatujące rozlaną lemoniadą i lepkie od gumy do żucia, grzechocząc kolorowymi kredkami przy każdym kroku, otwierałyśmy drucianą furtkę i wchodziłyśmy do domu, prosto do kuchni.

Orit wyjmowała świeży chleb, co rano posyłali sześciolatniego Udiego do sklepu po pieczywo, przebiegał lekko obok matki, która w nocy też spała na balkonie, nawet jej nie pamiętał chodzącej, bo choroba zaatakowała tuż po tym, jak się urodził, i wracał biegiem, z błyszczącymi oczami, a Orit robiła kanapki sobie i bratu, i mnie też, kiedy u nich spałam, przemieszczała się, utykając lekko i z wdziękiem, nie pamiętam, skąd się to wzięło, ale duża blizna na jej nodze tłumaczyła wszystko. Na obiad też jadłyśmy kanapki, potem bawiłyśmy się z małym Udim, a kiedy Gidon Szejnfeld, ich ojciec, po powrocie z pracy siadał z nami, oparty o ścianę i z jego szerokich szortów khaki wyglądały cienkie i długie jądra, my obie pękałyśmy ze śmiechu.

W czasie wizyt kondolencyjnych przesiadywałam tam dzień w dzień z Orit i Udim, patrząc na zdjęcia młodej i pięknej Mazał Szejnfeld i na jądra, podskakujące mu między nogami, gdy się uwijał po domu, roznosząc poczęstunek pocieszycielom, i próbowałam jakoś połączyć te dwa obrazy, wyobrazić sobie, jak śniada piękność zamyka jasne jądra w ciemnych dłoniach, ale ten gest kojarzył się raczej z wazeniem niż z pożądaniem. Co ją w nim pociągało? Miał wąskie, niemal okrutne wargi, rzadkie włosy, otaczał go tylko nimb gorzkiego losu, i myślałam, że kiedy trochę podrosnę, skończę piętnaście czy szesnaście lat, zakocha się we mnie i zamieszka u nich, ale będę spała w pokoju z nim, nie z Orit, i po kilku latach moje ruchy staną się ociężałe, z trudem będę mogła dotknąć jego jąder i umieszczą mnie na balkonie, chociaż będę miała dopiero niespełna dwadzieścia lat. W końcu nic z tego nie wyszło, bo po siedmiu dniach wizyt kondolencyjnych przestałam się przyjaźnić z Orit Szejnfeld, bez łóżka na balkonie ich dom wydał mi się nagle znacznie mniej interesujący, a Orit stała się nudna ze swoim świeżym chlebem, w końcu jak długo można jeść kanapki, więc przestałam do nich przychodzić i czułam się z tym okropnie, właściwie nadal czuję się z tym okropnie, ilekroć widzę na ulicy młodą kobietę, która utyka z wdziękiem, ze wstydem spuszcza wzrok, chociaż już wiele lat temu ktoś mi mówił, że Orit przeszła operację i teraz chodzi całkiem normalnie, i zawsze wiedziałam, że jeszcze mnie za to spotka kara, nie mogłam nie widzieć spojrzeń, jakie mi posyłała, Udi podchodził na przerwach, ocierał się o mnie jak kot i mówił, przyjdź do nas, pobawimy się, że jesteś moją mamą, a Orit tatą, zawsze w

zabawach osierocaliśmy go obie, a ja kłamałam, że jestem zajęta, nawet go nie pogłaskałam po brązowych, równo ostrzyżonych włosach ze strachu, że się zarazę. Dopóki w ich domu mieszkała choroba, nie bałam się wcale, a kiedy się wyniosła, właśnie wtedy zaczęłam się bać, co prawda Mazał Szejnfeld umarła, ale choroba żyje i szuka nowego ciała, żeby je unieruchomić, a teraz je znalazła, najlepszy dowód, że latami o nich nie myślałam i akurat dziś rano, tkwiąc w tym pokoju w domu okrytym żałobą, zobaczyłam brązowe oczy Udiego i przez to nie mogę ruszyć ręką ani nogą, i płaczę, mimo że nikt mnie nie słyszy, szlocham z żalu za Udim i Orit, moimi najdroższymi przyjaciółmi, moją rodziną, wiedząc, że kara nadeszła i nigdy już nie będę chodzić. Odniosą mnie na noszach do domu rodziców, a oni będą musieli odgadywać moje pragnienia; nawet kiedy mogłam mówić, z trudem im to przychodziło, więc jak sobie poradzą teraz, gdy jestem niema, usiądą przy moim łóżku i będą mi czytać przeróżne opowieści, takie jak ta, którą właśnie słyszę, znajoma historia, znajomy ton, a jednak słyszę, że opanowany głos mojej matki skrywa surową nagane, „znieważyleś dzisiaj wszystkich twoich wojowników, którzy dziś uratowali twoje życie i życie twoich synów, i twoich córek, i życie twoich żon, i życie twoich nałożnic, okazując miłość tym, którzy cię nienawidzą, i nienawidząc tych, którzy cię miłują. Dziś bowiem dałeś do zrozumienia, że niczym są dla ciebie wodzowie i wojownicy, ja zaś wiem już dzisiaj, że gdyby Absalom pozostał przy życiu, a my byśmy dziś wszyscy poginęli, wtedy wydałoby ci się to słuszne. Lecz teraz wstań, wystąp i przemów serdecznie do swoich sług. Przysięgam bowiem na Pana, że jeżeli nie wystąpisz, to nie pozostanie przy tobie dzisiejszej nocy ani jeden, to zaś będzie dla ciebie większym nieszczęściem niż wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na ciebie od twojej młodości do dzisiejszego dnia”*, i wiem, że ta nagana jest kierowana do mnie, bo nienawidziłam tych, którzy mnie miłowali, Orit i Udiego, i Joniego, krwi z krwi i kości z kości, ale zaraz wyjdzie do mnie król i zajmie miejsce w bramie, i światło pojednania spłynie na rozdartą waśniami ziemię, naraz słyszę zdławiony ze wzruszenia głos Ariego, który mówi, byłaś moim radiem, a potem, do kogoś innego, była moim radiem, na wojnie, kiedy zostałem ranny, dziesięć dni siedziała przy mnie i czytała mi Biblię, w szpitalu nie było żadnej innej książki.

A potem moja matka powiedziała, on nic nie mówił, z początku nie wiedziałam, czy mnie słyszy, lekarz powiedział, zmieniaj mu co pół godziny opaskę zaciskającą i siedź przy nim. Jak się zorientowałam, że coś rozumie?

* Ks. Samuela II 19,5-8.

Gdy czasem opuściłam jakieś słowo, wykrzywił usta, Arie roześmiał się, no cóż, trafiłem tam prosto z jesziwy, zamieniłem ogień Tory na ogień Syryjczyków, i już po jednym dniu leżę ledwo żywy i słyszę werset za wersetem, powiedziałem sobie wtedy, Tora cię prześladowuje, nie ma dla ciebie ucieczki.

Po dziesięciu dniach zaczęłam opuszczać ostatnie słowa z każdego wersetu, a on je dopowiadał, odezwała się matka, wtedy pierwszy raz usłyszałam jego głos, a kilka lat później wydało mi się, że widzę go na uniwersytecie, w Terra Santa, podchodzę do niego i mówię jak jakieś hasło, „to zaś będzie dla ciebie większym nieszczęściem niż wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na ciebie”, a on odpowiada, „od twojej młodości do dzisiejszego dnia”, i już wiedziałam, że to on. Oboje tak się zmieniliśmy, był jeszcze dzieckiem, kiedy do nas trafił w czasie wojny, ja zresztą też, jeszcze nie miałam szesnastu lat, a już moich kolegów z klasy zabijano jak muchy, po tygodniu wszystko się kończy i mówią nam, idźcie budować sobie życie, uczcie się, załóżcie rodziny, wychowujcie dzieci, ale jak mamy to zrobić, życie stało się gęste od smutku, nie ma czym oddychać, nagle mamy przeszłość, w jednej chwili mamy przeszłość, ciąży nam, ciągnie nas w tył.

Jak tylko wyzdrowiałem, uciekłem z doliny, powiedział, moja wizyta była krótka, ale zabójcza, nie znałem tych okolic z czasów pokoju, przyjechałem, zostałem ranny i w ciągu dwóch miesięcy znalazłem się z powrotem w Jerozolimie, jako pół kaleka, czasem miałem wrażenie, że cała ta wojna była tylko wytworem mojej wyobraźni. Usiadłam na łóżku i przecierałam oczy, może cała ta rozmowa to wytwór mojej wyobraźni, słyszałam ich tak wyraźnie, wyraźnie i blisko, inaczej niż zwykle słyhać tu było słabe odgłosy zza ścian i drzwi, a jednocześnie od strony salonu przebijały się stłumione echa innych rozmów, nie rozumiałam, co się dzieje, dopiero gdy usłyszałam, jak matka mówi, miło się siedzi na balkonie, a on powiedział, tak, Josephine często tu leżała, zanim ją wzięli do szpitala, i jakaś kobieta dodała, piękny dzień, pierwszy dzień wiosny, zrozumiałam, że wyraźne głosy dochodzą z balkonu łączącego sypialnię z salonem, balkonu, o którego istnieniu nie miałam dotychczas pojęcia. Przez spuszczone żaluzje udało mi się nawet zobaczyć, jak siedzą wygodnie przy wiklinowym stoliku, widocznie pozwolili sobie oddzielić się od francuskiego harmidru dobiegającego z salonu i stworzyć enklawę tubylców, którzy z dumą snują patriotyczne opowieści. Czułam się jak widz w teatrze, tyle że zamiast teatru jednego aktora jest to teatr jednego widza, w przedstawieniu gra kilku aktorów, zdaje

się, że rozpoznaję trzeciego z nich przez żaluzje, zadając sobie pytanie, czy rozmowa jest przeznaczona dla moich uszu, czy zasiedli na balkonie dla mnie, żebym lepiej słyszała, czy też pomimo mojej ukrytej obecności, i w pierwszej chwili wszystko, co usłyszałam, prawie nie zrobiło na mnie wrażenia, wyraźne głosy przyćmiły doniosłość informacji. Przez to, że nie musiałam wyteżać słuchu, by rozszyfrować paplaninę dobiegającą zza ścian, że wszystko mi podano do łóżka, jak śniadanie w hotelu, czułam się jak we śnie, z pozoru zaskakującym, w którym jednak na dobrą sprawę pewne rzeczy były wiadome, zrozumiałe same przez się, bardzo powoli dotarło do mnie, że właśnie wyjaśnia się tajemnica mojego życia, ale ja nie chcę niczego słyszeć, nie mogę niczego słyszeć, bo całą mnie, łącznie z uszami, dotknął paraliż, Tirca pyta, a co ze Szlomo, matka mówi, był tu wczoraj, prawda, Aruś, zwraca się do niego poufale.

Nie, co było ze Szlomo wtedy, kiedy się znów spotkaliście, spytała niedyskretnie Tirca, a Arie powiedział, staliśmy sobie w Terra Santa, ja i on, nagle podchodzi piękna dziewczyna z warkoczem i mówi mi, „to zaś będzie dla ciebie większym nieszczęściem niż wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na ciebie”, a ja odpowiadam bezwiednie, jak automat, „od twojej młodości do dzisiejszego dnia”, Szlomo pyta mnie, kto to jest, ja w pierwszej chwili mówię, nie wiem, przysięgam, że nie wiem, dopiero później dociera do mnie, że to głos z doliny, Szlomo od razu się w niej zakochał, widziałem to po jego oczach, Tirca się roześmiała nieprzyjemnie i powiedziała do matki, pamiętasz dzień pogrzebu Elika, cała wasza wieś opustoszała, a kiedy ludzie wrócili z pogrzebu, pewien mąż zastał żonę z innym. Wszyscy patrzyli na nią jak na kurwę, unikali jej, a po dwóch tygodniach ona weszła do morza i szła przed siebie, aż utonęła, matka odpowiedziała, tak, była cudowną kobietą, myślę, że byli na nią tacy źli nie dlatego, że zdradziła męża, który był zwykłym mulem, tylko dlatego, że zrobiła to w dniu pogrzebu Elika, w dniu, kiedy cała wieś była w żałobie, że wykorzystwała takie nieszczęście, i ona sama też nie mogła sobie tego wybaczyć. Aż rozbolały mnie uszy, więc nakryłam je kołdrą jak mąż, który nade wszystko nie chce przyłapać żony, bo będzie musiał ją stracić, nie chciałam słyszeć dalszego ciągu historii, aby nie stracić matki, która nagle wydała mi się niemal nieznośnie kochana, przypomniałam sobie, jak przed snem czytywała mi Biblię, ojciec mówił, wyjaśnij jej chociaż trudne słowa, ona nic nie rozumie, a matka odpowiadała, nie trzeba rozumieć, trzeba słuchać, i po prostu słuchałam jej łagodnego głosu, czytała ze wzruszeniem i razem płakałyśmy przy smutniejszych fragmentach. Słyszałam, że zaczyna płakać i zaraz się przyłączałam, żeby ją kryć, chociaż

nie rozumiałam, co w tym smutnego, wierzyłam, że ma powód płakać, a już najwięcej płakałyśmy nad Dawidem i Absalomem, bo ta historia nie mogła się dobrze skończyć, skończyłaby się dobrze tylko w przypadku, gdyby się w ogóle nie zaczęła, ale skoro los chciał, żeby się zaczęła, nie było już ucieczki od strapienia, bo w tej historii zwycięzca jest największym przegranym.

Przy lamentacji Dawida za każdym razem od nowa zanosiliśmy się płaczem, a gdy urodził się brat, było dla mnie oczywiste, że nazwiemy go Absalom, ale ojciec się przeciwstawił, pamiętam, jak się kłócili o to przez cały tydzień, aż do uroczystości obrzezania, i kiedy mistrz ceremonii zapytał o imię dziecka, ojciec milczał, a matka powiedziała: Absalom, z małym znakiem zapytania, jakby szukała u niego potwierdzenia, jednak nigdy w krótkim życiu braciszka nie zdążyliśmy go nazwać tym długim imieniem, dopiero nad grobem, ojciec czytał na głos tę przerażającą lamentację i wiedziałam, że mści się na niej za jej wybór, coś jej zarzuca, i od tej pory nie widziałam, by kiedykolwiek otworzyła Biblię. Czasem prosiłam, żeby mi poczytała trochę przed snem, zwłaszcza gdy byłam chora, ale odpowiadała niegrzecznie, nie jestem radio, jej głos już nie był łagodny, ochrypl od ciągłych kłótni i papierosów, a teraz na moment dawna łagodność wróciła, kiedy się odezwała, zamyślona, nie do wiary, czasem jakiś drobiazg, który robisz bez zastanowienia, towarzyszy ci przez całe życie. Historia, którą czytałam Arie-mu, mając szesnaście lat, szła za mną przez całe życie, powtórzyłam ją z własnymi dziećmi, chociaż u mnie nastąpił podział na dwoje, z Ja'arą walczyłam, a Absaloma straciłam, Tirca rzuciła, jak to walczyłaś, ona walczyła z tobą, a matka powiedziała, nieważne, kto zaczyna, ważne, czy się przystępuje do wojny, Dawid też nie zaczynał, ale i nie unikał walki, przecież mógł się wszystkiego wyrzec i oddać Absalomowi królestwo, jednak tego nie zrobił. Tak to jest, westchnęła, kiedy się walczy z własnym dzieckiem, nie można wyjść z tego zwycięsko, nawet jeśli zwyciężasz, przegrywasz.

Przysłuchiwałam się jej ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, o czym mówi, ale wiedząc, że jest to rodzaj elegii, wspomnienia o mnie czy o niej samej, czy o relacji między nami, bardziej niż treść, zaskoczył mnie ton tej rozmowy, wszyscy troje zachowywali się jak bliscy przyjaciele, chociaż zaledwie przedwczoraj matka z Tircą obmawiały go na cmentarzu, nie rozumiałam, o co tu chodzi, jak to możliwe, przecież zawsze mówiła o nim z nienawiścią, niemal ze wstrętem, pomyślałam, że tajemnice nigdy się nie rozwiązują, stają się tylko bardziej zawikłane, zdaje ci się, że już jesteś blisko, a w końcu

wychodzisz na głupka. A jednak musiałam przyznać, że podoba mi się ten ton, podoba mi się ich przyjaźń, otwartość, nie słyszałam, by kiedykolwiek rozmawiała z ojcem równie otwarcie, zawsze miała się na baczności, żeby nie wykorzystał przeciwko niej jakiegoś strzępka informacji czy skruchy, czy rachunku sumienia, ta ich wieczna, obłędna rywalizacja, i w tym momencie usłyszałam, jak Tirca pyta, więc Szlomo i Arie konkurowali o twoje względy? Matka westchnęła, nie, niezupełnie, mam wrażenie, że sprawa była z góry przesądzona, a Arie powiedział, zbyt wiele czasu minęło, nie da się tego dokładnie odtworzyć.

Co za rozkosz się starzec, roześmiała się matka, należałoby przypomnieć każdemu, kto dziś cierpi, że za trzydzieści lat będzie się z tego śmiać, na wszystko trzeba patrzeć z dystansu co najmniej trzydziestu lat, dopiero wtedy wiadomo, jak co przyjąć, zdawało mi się, że prawie to wykrzyczała, i nagle nabrałam podejrzeń, że może ta cała scena jest wyreżyserowana, może ona wie, że tu jestem i gra przede mną, tylko cel nie jest jasny, może chce mi przedstawić upiększoną wersję wydarzeń, przekazać jakiś morał, ukryte przesłanie. Uniosłam się i poprawiłam poduszki za plecami, żeby mi było wygodnie, poczucie odrętwienia ustępowało i pomyślałam, że może mój paraliż odwlecze się o kilka lat, obserwowałam ich jak w teatrze, supernowoczesnym teatrze łóżkowym, w którym aktorzy widoczni są tylko przez kurtynę z żaluzji, a widownia powinna się ich domyślić, uzupełnić brakujące szczegóły. Z łatwością rozpoznałam brązową sukienkę matki, w której zawsze jej było do twarzy, przez żaluzje rysował się ładny profil, przegroda służyła jej, ale nie ciotce Tircy, ta zdawała się rozłożysta i sztywno wbita w krzesło, a on, olbrzymi kot, król kotów, chwilami wydawał się zupełnie oswojony, a chwilami drapieżny i dziki, oparcie krzesła przypominało długi, naprężony ogon i nawet przez żaluzje czułam jego magnetyzm. Z przyjemnością słuchałam, jak rozmawiają bez napięcia i bez zgorzknienia, czułam się jak dziewczynka, której rodzice się pogodzili, więc może już spać spokojnie, wiedząc, że rano zastanie oboje w domu, w dobrym humorze, i rzeczywiście zasnęłam mimowolnie, przecież niczego na świecie nie pragnęłam bardziej, niż obserwować dalej to przedstawienie, odgrywane przede mną, na moją cześć, więc jak mogłam nagle zasnąć, i obudziłam się wściekła, że przegapiłam koniec, a teraz się nigdy nie dowiem, co straciłam, przecież nie mam kogo zapytać, bo jestem jedynym widzem, tymczasem balkon był pusty, zniknęło nawet słońce, okrągłego, wiklinowego stolika też nie dojrzałam, i już zaczęłam wątpić, czy naprawdę to wszystko słyszałam i widziałam, bo tylko poduszki pod moimi

plecami świadczyły, że rzeczywiście próbowałam się czemuś przyglądać, nie mogłam sobie wybaczyć, że zasnęłam na moment przed tym, nim prawda wyszła na jaw, na moich zamkniętych oczach.

Na komódce przy łóżku zobaczyłam czerwony termos i okrągłą tacę, a na niej szklankę soku pomarańczowego i świeżą bułeczkę, chciałam sobie nalać kawy, ale nie było do czego, zapomniał o filiżance, zawsze musi brakować czegoś, co brak czyni najistotniejszym. Próbowałam pić bezpośrednio z termosu, ale przy okrągłym wlocie poczułam chłodny smak perfum czy szminki i przypomniałam sobie, jak ostatniego ranka w swoim życiu malowała usta na jaskrawy róż, jak jej wargi błyszczały w wykrzywionej twarzy, jakby do niej nie należały, próbowały umknąć przed jej losem, a może ostatecznie udało im się, może uciekły tutaj, do tego niewielkiego, starannie wymytego termosu, i teraz para kruchych, niemalże bezcielesnych w swojej delikatności cyklamenowych warg unosi się w morzu kawy, którą zaparzył dla mnie, jak uszka w barszczu, za chwilę, kiedy przechylę termos, jej wargi zetkną się z moimi, wcisną mi się do ust i już w nich zostaną na zawsze. Z grozą zajrzałam do środka, gorąca para zapiekła mnie w twarz, wypełniając wąski wlot, pobiegłam do łazienki i próbowałam powoli wylać kawę do umywalki, żeby sprawdzić, czy coś w niej jest, brunatny, aromatyczny napój spływał smutno do białej umywalki, znikając w głodnej paszczy, aż strumień zmienił się w wątle kapanie, wreszcie i ono ustało. Pochyliłam się, starając się zajrzeć w głąb termosu, w jego połyskliwą czeluść, ale nie zobaczyłam nic, napełniałam go wodą i wylewałam ją, patrząc, jak w miarę wypłukiwania mętnych resztek kawy staje coraz bardziej przejrzysta, wreszcie wróciłam do łóżka, w desperacji wypiłam sok i pomyślałam, jak byłam bliska kawy i jak daleka jestem teraz, jak bliska byłam prawdy, a znów się oddaliłam, bliska ich młodości, ich przeszłości, tej przeszłości, która chwilami jest jak oswojony kot, a chwilami jest dzika i straszna, całkiem jak on, przeszłości, która wyje do mnie po nocach i woła o zmianę, i to ja, właśnie ja mam ją zmienić, ja, która ledwie jestem w stanie ruszyć coś w teraźniejszości, nie mówiąc o przyszłości, ja powinnam naprawić przeszłość, bo przez to, że tkwi w niej defekt, i we mnie tkwi defekt, i tylko naprawiając przeszłość, mogę naprawić siebie, a jeśli nie uda się jej naprawić, mnie też się nie da naprawić. Swobodna rozmowa docierająca do mnie z balkonu uświadomiła mi, jak wszystko się mogło ułożyć, bo u nas w domu nigdy nie mówiło się z równą swobodą, tymczasem tu, poprzez żaluzje, pochwyciłam dobrą nowinę o połówkach, które pasują do siebie jak dwa połączone fragmenty biblijnego wersetu, „to zaś będzie dla ciebie większym

nieszczęściem niż wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na ciebie od twojej młodości do dzisiejszego dnia”. Ale jak można naprawić przeszłość, nie znając jej, trudno pogodzić się z tym, że przyszłość jest niewiadoma, więc jak się pogodzić z nieznaną przeszłością, wzięłam szczotkę, stanęłam przed lustrem, jakby w nim kryło się rozwiązanie, i zaczęłam się czesać, pierwszy raz, odkąd się tu znalazłam, czesałam się długo, aż włosy stały się piękne i błyszczące, a potem zaplotłam je w gruby, długi warkocz, zupełnie jak warkocz matki, schowany w szafie, owinięty z pogardą w gazetę jak ryba z bazaru, warkocz, który w jednej chwili, jednym ruchem ręki przeniesiono ze stałego miejsca na głowie do mrocznej szuflady.

Tamtej nocy, gdy cienie tańczyły na ścianach, świece drżały w oknach, a rodzice wrócili ze szpitala bez mojego braciszka, po raz ostatni widziałam warkocz na jej karku, rano wstała bez niego, wydawała się naga, obnażona, nieoczekiwanie męska i brzydka, spytałam, mamó, co ty zrobiłaś, a ona powiedziała, rozdarłam szaty i rwałam włosy z głowy, już nigdy nie dopuszczę do siebie nic pięknego, zapytałam, gdzie warkocz, a ona odpowiedziała, w śmietniku, dopiero po kilku miesiącach, szukając czegoś w szafie, natknęłam się na gazetę, z której wysunął się jej gruby warkocz, lśniący i gładki, był grubszy i dłuższy niż mój, a jednak jest podobieństwo, usiłowałam dopiąć go sobie do włosów, przymocować z pomocą chustki lub gumki, ale zawsze się ześlizgiwał po karku, jakby miał własną wolę, za to teraz trzyma się mocno, sprawia, że chodzę prościej, że noszę swoją miłość do niego jak miłość mojej matki, wyobraziłam sobie młodą kobietę na wąskich korytarzach uniwersytetu, obraz był czarno-biały, biała twarz i czarny warkocz, spotyka dwóch młodych mężczyzn, jeden jest czarny, drugi biały, a wtedy jak fragmenty wersetów, łączące się w jeden werset, tak jego i jej pamięć łączą się w jedno wspomnienie, wspomnienie kilku dni wojny, która złamała ich młodość. Znałam historię chłopca – żołnierza, opowiadała mi ją kilka razy, nie wymieniając jego imienia, chłopiec – żołnierz został ciężko ranny, siedziała przy nim dziesięć dni, ale jeśli to rzeczywiście on, jeśli był tak ciężko ranny, jak to jest, że nie ma żadnej blizny, to prawda, że nie znać po nim wszystkich pocałunków, jakimi go obdarzano, ale jak to się dzieje, że ciężkich ran też nie widać, i wtedy pomyślałam, że może chodzi o jego bezpłodność, może to właśnie jest kalectwo, o którym wspomniał. Ze strachem i z litością ujrzałam przed sobą rosłe i piękne ciało, odarte z nasienia i smutne na wieki, przerażona jak prorok, któremu objawiono jego misję, to mnie przypadło wypełnić pustkę w tym ciele, przedrzeć się pod

ukochaną, gładką, ciemną skórę i zniknąć w mrocznej przestrzeni jak w starożytnej grocie, nigdy więcej nie widzieć światła dnia.

Wzburzona zaczęłam szperać w walizce, wyciągnęłam jej zdjęcie i patrzyłam to na nie, to w lustro, byłyśmy dość podobne z naszymi warkoczami i poważnymi minami, zapytałam ją, czemu ty tego nie zrobiłaś, czemu go nie pocieszyłaś, przecież go kochałaś, w jednej chwili poprzez warkocz na mojej głowie objawiła mi się jej miłość, nie miałam do niej żalu, że całe życie kochała innego mężczyznę, nie ojca, przeciwnie, lepiej, że kogoś kochała, niżby miała po prostu nie kochać nikogo, nie wiedzieć, co znaczy kochać, myślałam, jak można przeżyć życie, kochając innego i wiedząc, że wszystko stracone, nie tak jak ja, która ściagałam go i czyhałam na niego, tylko jak ona, nie robiąc nic, jak można przepływać z dnia w dzień bez wyp nadziei, na które chciałoby się dostać, i zobaczyłam straszliwą pustkę jej życia, przecież przychodzi taka chwila, gdy się już wie, że nic się nie zmieni, sama czuję, jak ta chwila zbliża się do mnie, już nie można powiedzieć, będzie jeszcze kiedyś mężczyzna, którego pokocham, albo jeszcze kiedyś będę miała życie, które będę kochać, chwila, kiedy się wie, że przynajmniej w obecnym wcieleniu żadna zmiana na lepsze nie nastąpi, i kropka, takie mniej więcej jest życie, a wtedy wszystko blednie, płowieje, w jednej chwili przygasa blask, który przydaje każdej rzeczy sens, i życie zostaje nagie, zawstydzone własną nagością, gdy to się dzieje, z początku chce się umrzeć, potem płakać, a potem mówi się, byle tylko nie było gorzej. Poprzez ciężki warkocz poczułam jej frustrację, siedząc na łóżku, głaskałam go jak kota, gdy usłyszałam, że otwierają się drzwi, stanął w nich, promieniejąc blaskiem jej miłości, z dużą filiżanką w dłoniach, niebieską jak koszula, którą miał na sobie, letnia koszula z krótkim rękawem, odpięte guziki odsłaniały szeroką śniadą pierś, kilka siwych włosów pokazało się, jakby dla podkreślenia głębokiej opalenizny, jak w dniu, kiedy widziałam go po raz pierwszy, tyle że wtedy był koniec lata, a teraz lato zaczyna się na nowo, uśmiecha się z zamkniętymi ustami, by ukryć złamany ząb, wyciąga filiżankę i mówi, zapomniałem, stawia ją obok pustego termosu i próbuje wlać kawę, a kiedy nic nie wypływa, śmieje się, wypilaś wszystko? Jakbym mu spłatała szczególnie zabawnego figła, ja mówię, tak, a potem, nie, bo przecież nadal mam ochotę na kawę, naraz on pyta, coś ty z sobą zrobiła, przygląda mi się surowo, nagle nie mam się jak ukryć, zasłony moich włosów są zebrane, a twarz, ze wszystkimi drobnymi zmarszczkami i plamkami od słońca – odkryta, on robi nieprzyjemną minę i łapie mnie za warkocz, szarpie za gumkę, zdiera ją, wyrywając kilka włosów i brutalnie mierzwi trzy miękkie

pasma, nie pozostawiając śladu po okazałym warkocz, wszystko to trwa ledwie sekundę, ale dla mnie mijają godziny, powolne, przerażające jak rytuał wypędzania demonów, czuję, że zaczynam drżeć, potem spostrzegam, że to on drży, albo świat drży, już sama nie wiem kto, on siada na krześle naprzeciw mnie i zaczyna wrzeszczeć, wynos się stąd wreszcie, mam dość twoich prowokacji, czuję, że zaczyna mi brakować powietrza, nie mogę się poruszyć, dotknięta paraliżem jak biedna Mazał Szejnfeld, on wstaje, kopie walizkę w moją stronę i krzyczy, dość tego, tym razem naprawdę przesadziłaś.

Wstałam z trudem, ubrałam się i zaczęłam zbierać swoje rzeczy, tym razem pamiętałam o książce, wrzuciłam wszystko do walizki, zamknęłam ją, każdą czynność wykonywałam bardzo wolno, próbowałam się ruszać szybciej i nie udawało mi się, jakbym walczyła z siłą ciężkości, a kiedy stanęłam przy wyjściu, usiadł naprzeciw mnie na łóżku, zakrył twarz i powiedział łagodniejszym tonem, czemu się ze mną drażnisz, co chcesz osiągnąć, ja powiedziałam, nic, nic nie wiem, nic nie rozumiem, a on powiedział, ten warkocz, nienawidzę go, zapytałam dlaczego, on odpowiedział, też byś nienawidziła węża, który cię chciał ukąsić, powiedziałam, dlaczego, nic nie rozumiem, on popatrzył na mnie tak jakby z dołu, nagle wyglądał jak małe dziecko, naprawdę nie wiesz? Powiedziałam, przysięgam na Biblię, a on na to, tak właśnie się przechadzała ta twoja matka, księżniczka z doliny, wiatr igrał z jej bujnym warkoczem, a ona igrała z naszymi uczuciami w swojej nieskończonej pysze. Oszołomiona tym opisem zapytałam, jak to możliwe, przecież cię tak kochała, a on się roześmiał gorzko, mnie kochała? Tylko siebie samą kochała, ja byłem dla niej nostalgicznym wspomnieniem z czasów wojny, częścią wspólnego wersetu, ani jej przez myśl nie przeszło, żeby mnie traktować poważnie. Byłem czarny, z dzielnicą nędzy, z podejrzaną przeszłością i niejasną przyszłością, nie tak jak twój ojciec, z porządnej niemieckiej rodziny lekarzy z Talbije, z układnym uśmiechem, wiesz, co ona mi powiedziała? Mówił to tak, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj, kocha mnie, ale chce dzieci, dzieci chce, to dla niej ważne, a ja przecież byłem ranny, wiedziała to lepiej ode mnie, ona jedna siedziała wtedy przy mnie, lekarze nie omieszkali jej poinformować o ranie. Wiesz, co mi powiedziała? Nie przystaję do wizji przyszłości, jaka kiełkuje jej w głowie, pod tym warkoczem, chce wyjść za zdrowego mężczyznę, ustawionego życiowo, urodzić dużo dzieci, chce mieć normalną rodzinę, mówiłem jej, błagałem, Rachel, nie wolno się odwracać od miłości, całe życie za to się płaci, ale ona wiedziała najlepiej, bez mojej wiedzy wzięła i wyszła za

mojego najlepszego przyjaciela, rzuciłem wtedy studia i wyjechałem z kraju, zostawiając za sobą klątwę, przekląłem ich, żeby nigdy nie mieli dzieci. Mniej więcej wiedziałem, co u nich, opowiadano mi, że twój ojciec zachorował i przerwał wszystko w połowie, prawdę mówiąc, żał mi go było, ale mówiłem sobie, dobrze jej tak, dobrze jej tak, wydaje jej się, że ma życie w garści, że wszystko się da zaplanować. Zawsze pytałem przyjaciół z Izraela, czy urodziło im się dziecko, widziałem, że klątwa działa, ale w dniu twoich urodzin pokonała mnie, dostała swoje uzasadnienie, rozmawiałem przez telefon z twoim ojcem, wysłała go, żeby przede wszystkim zadzwonił do Paryża i zawiadomił mnie, on przecież nic nie rozumiał i w swojej naiwności był pewien, że cieszę się razem z nimi.

Tego dnia poznałeś Josephine, powiedziałam, a on zdziwił się, tak, skąd wiesz? Ale nie czekał na odpowiedź. Josephine chciała mnie na każdych warunkach, na tym polegała jej wielkość, umiała kochać, nie oczekując niczego w zamian, była gotowa do wielu wyrzeczeń, by ze mną być, zrezygnowała dla mnie z dziecka, które nosiła już w łonie, rozumiesz? Dlatego zostałem z nią do końca. Myślisz, że twoja matka nie próbowała mnie ściągnąć z powrotem? Pewnie, że próbowała, twój ojciec zrobił jej dziecko, więc nie był jej już potrzebny, wtedy nagle odkryła, że nie może beze mnie żyć, że jestem jej prawdziwą miłością, przyszła do mnie, ty spałaś w wózekczku, i zaproponowała, żebym zamieszkał z wami obiema, wychowywał cię razem z nią jak własną córkę, ale ja jej nie potrafiłem wybaczyć tamtego odrzucenia, cieszyło mnie, że rujnuje sobie życie, a kiedy umarł Absalom, wiedziałem, że to kara dla niej, ona też to wiedziała, dlatego od tamtej pory przez wiele lat nie chciała mnie widzieć, wiem, że nie powinienem był ci o tym wszystkim mówić, ale kiedy cię zobaczyłem z tym warkoczem, podeszło mi to do gardła jak torsje, nie byłem w stanie się opanować. Byłam oszołomiona, jego opowieść była tak różna od wersji, jaką miałam w głowie, że zupełnie nie mogłam jej pojąć, z trudem docierały do mnie szczegóły, wychwytywałam tylko jego okrutny ton, mściwy i zawzięty, nie wybacza, nie zapomina, nie lituje się, przez cały czas myślałam, to pomyłka, niemożliwe, żeby tak było, nawet Josephine opowiadała co innego, mówiła, że się cieszył, kiedy się urodziłam, nagle to jedno się dla mnie liczyło, czy był to dla niego szczęśliwy dzień, czy smutny, nie mogłam znieść myśli, że żałował, że się urodziłam, dopiero potem pomyślałam o niej.

Położył się na łóżku, paląc z zamkniętymi oczami, z grymasem na twarzy, a ja znów pomyślałam o matce, wróciła do mnie z całą swoją

nienawiścią, bo kiedy dwoje ludzi sobie pisanych sprzeniewierza się przeznaczaniu, skazują się na życie pełne oskarżeń i nienawiści, wszyscy są przecież winni tego fatalnego przeoczenia, ona jest winna, bo odwróciła się od miłości, ojciec, bo pozwolił jej wierzyć, że będzie z nim szczęśliwa, ja jestem winna, bo dla mnie wyrzekła się miłości swojego życia, a ja w zamian nie dałam jej nic, on też jest winien, bo nie chciał do niej wrócić, gdy tego chciała, a Josephine, bo dowiodła mu, że istnieje prawdziwa miłość, ten stale się poszerzający krąg winy ogarnia prawie cały świat, więc jak mogę się ludzić, że uda mi się z niego wymknąć, jestem jak dziecko, które próbuje walczyć z bronią jądrową. Podeszłam i położyłam się przy nim, ale tyłem do niego, bo nie chciałam go widzieć, nagle i on, i wszystkie soczyste ochłapy informacji, na które czekałam tak długo, wzbudziły we mnie wstręt, zdawały mi się zatrute, niezdatne do spożycia, tymczasem on wstał i powiedział, wybac mi, nie powinienem był tego robić, ale przy tobie ciągle tracę kontrolę, myślę, że nie powinniśmy być razem, za dużo obciążeń jest między nami, wieczorem, kiedy wszyscy pójdą, odwiozę cię do domu.

Rozebrał się powoli, ze smutkiem, i wszedł pod prysznic, usłyszałam szum wody i pomyślałam o bałwanku z opowiadania, które często czytała mi matka, ukochanym bałwanku, co ubrudził się błotem, a kiedy próbowano go umyć, roztopił się w wodzie i nic z niego nie zostało. Żelazna logika tej historii zawsze budziła we mnie sprzeciw, pytałam, dlaczego go zabijają, a matka odpowiadała, bo się zabrudził błotem, ja krzyczałam, próbując odwrócić surowy wyrok, lepiej, żeby był brudny, niż żeby go w ogóle nie było, a ona mówiła, oni chcą, żeby był czysty. Ale to niemożliwe, denerwowałam się, chcą rzeczy niemożliwej, kto chce rzeczy niemożliwej, traci wszystko.

Spojrzałam na komódkę, na niebezpieczny stos bombonierek, i pomyślałam o jej życiu, które przez jedną chwilę było otwarte, a potem się zamknęło, zobaczyłam, jak się dobija do jego bram, błaga, by jej otworzono, lecz jest za późno, jeden błąd pociąga za sobą kolejny, na koniec dostaje życie, które jest wielką pomyłką. Wyrzekła się go, żeby urodzić mnie i Absalom, ale nienawidziła nas za to tak bardzo, że przez tę nienawiść Absalom umarł, a ja nie potrafię okiełznać życia, a przecież gdyby jego wybrała, nie byłabym przyszła na świat, cóż za słodka, czarowna ewentualność, zostałabym jak zamknięta bombonierka, jak doskonała, bo nie poddana próbie obietnica, na pewno za każdym razem, kiedy zbudziłam ją w nocy, kiedy ją rozczarowałam, nie odrobiłam lekcji albo narozrabiałam, myślała o cenie, jaką jej przyszło zapłacić, a wszystko przez niepołączone

fragmenty biblijnych wersetów, pogubione jak odcięte członki, Josephine też właśnie przez to zachorowała, bo wdzięczność, jaką ją darzył, nie wystarczała, ona chciała miłości, tylko miłości, a w nim miłość stęchła jak stojąca woda, do której nie dociera światło, słońce, powietrze, więc co jej miał do dania, i co ma do dania mnie, resztki dawnego gniewu, nieco nadpsute poczucie triumfu, zwycięstwa nad słabymi, najbardziej chyba zbliżonego do przegranej, więc nic tu po mnie, w nocy wyjdę i pójdę, gdzie mnie walizka poniesie, pozwolę, by prowadziła mnie jak pies przewodnik, bo im szerzej mi się otwierają oczy, tym widzę mniej.

Usłyszałam, jak śpiewa pod strumieniem wody, śpiewał z uczuciem, „nad rzekami Babilonu, tam siedzieliśmy i płakaliśmy na wspomnienie Syjonu”, głos miał smutny, ale brzmiał on młodo, swobodnie, pomyślałam, że pozostał młody, by kłuc ją tym w oczy, kiedy się zestarzała, żeby wciąż od nowa jej przypominać przeszłość, w ten sposób jej marzenie nie umierało, tylko stawało się coraz bardziej niespełnialne, usłyszałam, jak ten głos woła mnie, Ja'ara, nie czekał na odpowiedź, pewny, że jeszcze nie poszłam, i dodał, przynieś mi ręcznik, więc otworzyłam szafę i zaczęłam szukać ręczników, wszystko tam było równo poukładane, ręczniki złożone na sztywno, jak deski, wzięłam pierwszy z brzegu, czarny, niechcący *zrzucając* następny, próbowałam go złożyć i nie udało mi się, więc przyniosłam mu oba, a on się uśmiechnął drwiąco i spytał, dla kogo ten drugi? Masz tu gdzieś jeszcze jednego faceta, który czeka na ręcznik? Robił aluzję do tamtego dnia w Jaffie, ale ja powiedziałam, tak, myśląc o drogim Jonim, który też czekał na swój ręcznik, nadal stoi w ciasnej łazience, cały drżący, bo kiedy go opuściłam, była zima, ciągle tam stoi mokry i czeka, żebym go przyszła wytrzeć. Owinęłam się dużym ręcznikiem, chociaż byłam ubrana, wróciłam do łóżka, a on pospieszył za mną i stanął nagi przed szafą, próbowałam wypatrzeć ukrytą bliznę na jego ciele, ale nic nie widziałam, więc zapytałam, spałeś z nią? Nie odpowiedział, ale wiedziałam, że słyszał pytanie, bo drgnął, jakby uderzył w niego wiatr, odwrócił się do mnie gwałtownie i powiedział, dlaczego tak cię zaprzęta przeszłość, Ja'ara, czemu nie spytasz na przykład, czy się prześpię z tobą, zbliżał się do mnie, był coraz bliżej, a może tylko jego nabrzmiały fiut był coraz bliżej, a on sam został daleko, i dodał, nie można ze wszystkim zdażyć, kiedy się grzebiesz w przeszłości, zaniedbujesz terażniejszość, co jest teraz dla ciebie ważniejsze, to, czy trzydzieści lat temu z nią spałem, czy to, czy prześpię się z tobą teraz. Zachichotałam speszona i zapytałam, co mam powiedzieć, a on odpowiedział, prawdę, więc powiedziałam, czy spałeś z nią. Odwrócił się w

stronę szafy i zaczął się ubierać, obrażony, ja zaprotestowałam, sam mi kazałeś powiedzieć prawdę, a on, tak, ale za prawdę się płaci, nie wiedziałaś? Im bardziej był ubrany, tym bardziej go pragnęłam, w jakimś zaćmieniu pragnęłam go po czubek głowy, skóra mnie piekła, jakbym przez kilka godzin spała w słońcu, i myślałam, jak to się dzieje, że ciągle popełniam błędy, przecież jej życia już nie da się uratować, tymczasem ja marnuję swoje, więc powiedziałam, chodź, pragnę cię, a on spojrzał na mnie wyniośle, z góry, i odpowiedział, ale teraz ja nie chcę, nawet nie mogę, podszedł do mnie i wskazał na swoje podbrzusze, widzisz, wszystko tam dla ciebie umarło, nie ma nic, gdybym miał szparkę, wzięłabyś mnie za babę, i rzeczywiście, to miejsce emanowało dziwnym spokojem, pustką martwego przedmiotu. Tak szybko wszystko umarło, obraziłam się, a on powiedział, tak, tak to już jest, wściekłam się na niego nagle i wrzasnęłam, jeszcze przed chwilą byłeś taki chętny, więc jak to się stało, że nagle nie jesteś, po prostu dotknęło cię to, co powiedziałam, po co zadajesz pytania, jeśli nie jesteś w stanie znieść odpowiedzi? Rozzłościł się natychmiast, ja nie jestem w stanie znieść? To ty nie jesteś w stanie znieść tego, że mi dla ciebie nie staje, krzyknęłam, kłamca, mama dobrze zrobiła, że za ciebie nie wyszła, on roześmiał się głośno, odrażająco, a ja, trzymając się za gardło, które nagle mnie rozboleło od wrzasku, patrząc na popołudniowe, rdzawe światło wdzierające się przez żaluzje, mówiłam sobie, za kilka godzin to też będzie przeszłość, nie będzie mnie tu, nie mam pojęcia, gdzie będę, ale wiem, gdzie mnie nie będzie, a to już coś, tu mnie nie będzie, tu wszystko jest chore, chore, i nie wierzyłam własnym uszom, gdy spadł na mnie grad moich własnych myśli, wypowiedzianych jego głosem. Tu wszystko jest chore przez ciebie, ryczał, rozsiewasz choroby, przy tobie Josephine była uosobieniem zdrowia, przez ciebie zachowuję się tak, że sam siebie nienawidzę, nie będę tego dłużej znosić, żalowałam trochę, że w mieszkaniu nie ma nikogo oprócz nas, choćby jednego z moich rodziców, kogoś, kto by nas rozsądził, ale w końcu co za różnica, kto ma rację, jasne jest, że ten pokój nie może pomieścić nas obojga i muszę się wynieść, zanim przyjdą kolejni goście i znowu tu utknę do nocy, a jednak nie mogłam pozostać mu dłużna, wrzasnęłam, kłamca, jesteś parszywym kłamcą, i przez śmiech, jaki znów nim owładnął, usłyszałam, nie bardzo rozumiem, co tu robisz, skoro jestem takim potworem, po co ci jestem potrzebny, ja krzyknęłam, faktycznie nie jesteś mi potrzebny, żałuję, że cię w ogóle spotkałam, a on powiedział, to nie spotykaj mnie więcej, nikt cię tu nie potrzebuje. To czemu zadzwoniłeś, że- bym do ciebie przyszła, krzyknęłam, całe życie mi zrujnowałeś tym

telefonem, a on na to, ja zadzwoniłem? Ty zadzwoniłaś do mnie i chciałaś przyjść, myślisz, że bym zadzwonił do ciebie, i to w dniu, kiedy pochowałem żonę? Rzuciłam się na niego, z wściekłości nie wiedziałam, co robię, rzuciłam się na wargi, które wypowiedziały te przerażające, kłamliwe słowa, próbowałam mu je wyszarpać z twarzy, a on pchnął mnie na łóżko i nie dając mi wstać, ciągle powtarzał zdania, których nie mogłam znieść, ja zadzwoniłem? W życiu do ciebie nie dzwoniłem, nie znam nawet twojego telefonu, w życiu do ciebie nie dzwoniłem, i wtedy rozległ się dzwonek do drzwi, i rozpoczęła się druga połowa trzeciego z siedmiu dni żałoby po Josephine Ewen.

Rozdział dwunasty

Gdyby ktoś mnie zapytał, co jest łatwiejsze, bić się czy uprawiać miłość, powiedziałabym oczywiście, że to drugie, ale teraz, leżąc w jego łóżku i dysząc nienawiścią, poczułam, o ile bardziej fizyczna jest we mnie nienawiść niż miłość, mniej chwiejna, nie tak defetystyczna. Dla niej wezbrały we mnie wszystkie siły, gdy nakryłam się puchową kołdrą, mnąc z wściekłością miękkie poduszki, jakby to były jego bluzgające słowami usta, i zacisnęłam powieki, bo wszystko, co widziałam, budziło we mnie wstręt, każdy mebel, każdy kąt w tym pokoju, nawet białe ściany, nawet wiszący na nich obraz, ogromne płótno, przedstawiające czarny groźny dźwig, i szafa, ciągle otwarta, nawet żaluzje, do których nikt się nie dotknął już od dwóch dni, były wstrętne, bo słyszały te słowa, a każdy, kto je słyszał, kto widział obłąkany uśmiech, stanowiący ich obramowanie, tak szeroki, że rozsadzał mu wargi, aż w ich kąciku pokazała się kropla krwi, każdy, kto był tam obecny, człowiek czy przedmiot, był nieczysty, skalany na zawsze. Usiłowałam skłonić samą siebie do wykonania jakiegoś ruchu, to że nie masz dokąd pójść, nie znaczy, że powinnaś zostać, i to że zrobiłaś błąd, nie znaczy, że masz go utrwalić, ale nie byłam w stanie, tak mnie przerażała ta wiedza, ta absolutna świadomość, pewność, że ja, Ja'ara Korman, urodzona dnia tego i tego, w miejscu tym i tym, kolor oczu taki i taki, i cała reszta faktów, których już nie da się zmienić, trzeba po prostu z nimi żyć, sprawiłam, że do tego zbioru faktów dołączył dzisiaj nowy, więc inne muszą się ścieśnić i zrobić mu miejsce, zaprzyjaźnić się z nim, a jest to fakt, że w miesiącu takim a takim roku takiego a takiego popełniłam błąd, straszliwą pomyłkę, która wpłynęła na całe moje życie, przeszłość zmieniła w krainę wiecznej tęsknoty, teraźniejszość w koszmarny sen, a przyszłość w dziką bestię, i teraz muszę nauczyć się z tym żyć, jak inni uczą się żyć z kalectwem, ale to nie jest zwykle kalectwo, bo sprowadziłam je na siebie sama, jak ktoś, kto pakuje sobie kulę w nogę i musi żyć dalej ze sobą i z okaleczoną nogą, albo ktoś, kto rozbija się w samochodzie, jest jednocześnie kierowcą i ofiarą, leżącą pod kołami, zarówno oskarżającym, jak oskarżanym, i pomyślałam o drogim Jonim, którego straciłam na wieki, i o jego miłości, która w jednej chwili zostanie ze mnie zdjęta jak obrus ze stołu, a ja zostanę jak ten stół, żaloszny i obnażony, pełen defektów i plam. Wyobrażałam sobie, jak w łagodne rysy

wkradnie się nieustępliwość, wtopi się w nie z zaskakującą łatwością, jakby tam była zawsze i tylko czekała, żeby się ujawnić, a w głosie zabrzmiała stanowczość, gdy mi wyjaśni uprzejmie, że coś w nim pękło, że nie ma powrotu do wcześniejszego życia, bo ten miodowy miesiąc w Istambule wyznacza dla niego kres naszego małżeństwa, a potem powie, wiesz, że Turcy władali kiedyś niemal całym światem? Ja powiem, może spróbujemy jeszcze raz, rozstać się zawsze można, ale on będzie ciągnął dalej, resztki świetności, zmurszała duma, tyle im z tego zostało, ja będę błagać, wynagrodzę ci to, Joni, wszystko naprawię, ale on powie, ich władza była okrutna, a teraz w Istambule zostało już tylko samo okrucieństwo, bez władzy, i na tym się skończy rozmowa, spakuję swoją zmurszałą dumę, książki i ubrania, a on spakuje swoje, bo żadne z nas nie zechce zostać w tym mieszkaniu, połowę skrzyń oznaczymy jego nazwiskiem, drugą połowę – moim, przy drzwiach uściśnie mi dłoń silnie, z powagą, jakbyśmy dobili targu, a oczy będą mu błyszczeć szczęściem, nie wyzywającym, zuchwałym, tylko skromnym, życzliwym szczęściem kogoś, kto wyszedł na wolność wcześniej, niż się spodziewał, i więcej go nie zobaczę. Nic nie zostanie z lat, które spędziliśmy razem, ani rozdarte między nami dziecko, ani majątek, o który można by walczyć, dosłownie nic, każde wyjdzie z pustymi rękami, tak jak przyszło, może kiedyś go spotkam przypadkiem na ulicy, siądziemy w jakiejś kafejce i wtedy dopiero odważy się opowiedzieć, jak strasznie było wstać rano w słodkim podnieceniu przed podróżą, pospiesznie powtórzyć sobie w myślach, co jeszcze jest do zrobienia, zawsze jakieś drobiazgi zostają na ostatnią chwilę, i dopiero wtedy zobaczyć puste łóżko, pustą łazienkę, pustą kuchnię, a mimo to wziąć walizkę i pojechać, bo taki jest Joni, nie zmienia planów, nie zostaje, żeby szlochać w poduszkę, płacze w ruchu, w samolocie, w hotelu, inaczej niż ja, która płacze w bezruchu, kto płacze w ruchu, w końcu zdoła się uratować, a kto w bezruchu, w końcu gubi siebie, jak ja, i byłam przerażona tą przyszłością, która jawiła mi się bardziej jasno i pewnie niż przeszłość, i wiedziałam, że jej nie sprostam, że muszę ją powstrzymać, znaleźć sposób, by unieruchomić ten wielki kamień, który stacza się na mnie. Przede wszystkim wyjść z łóżka, nawet siedzenie na sedesie jest lepsze niż tkwienie w pościeli, a najlepiej jest stać przy oknie, udaje mi się dotrzeć do okna i otworzyć je, ze wzruszeniem rzuca się na mnie wypchnione, wiosenne powietrze, w ogródku kwitną cytrusy, przesyłają mi pozdrowienie od gajów otaczających osiedle, które kwitły jak młode pary, budziły we mnie myśli o miłości, zawsze bardziej urzekające niż sama miłość, spacerowałam wśród drzew, uszczęśliwiona własnymi myślami,

wspinałam się na pagórek i spoglądałam w dół, a świat był jednym wielkim, nieogarnionym gajem cytrusowym, wyobrażałam sobie, jak przyprowadzę tam mężczyznę, którego pokocham, pokażę mu ten cud i tym samym znajdę odpowiedź na wielkie pytanie, co nigdy nie zostało i nie zostanie zadane. Może zabiorę tam Joniego po powrocie, będę na niego czekać na lotnisku, z meczetów Istanbuhu zawiozę go prosto do gajów Szaronu, na pagórku odzyskam jego serce, tymczasem podeszłam do walizki i znowu zaczęłam w niej grzebać, sprawdzając, czy niczego nie zapomniałam, rozejrzałam się wokół i przystąpiłam do układania planu ucieczki, co okazało się stosunkowo proste, bo wychodząc, w pośpiechu zapomniał mnie zamknąć w sypialni, a może celowo nie zamknął, więc mogę spróbować się wymknąć przez korytarz, minąć salon albo nawet zajrzeć na chwilę i z powagą uściskać mu dłoń, udając, że właśnie wyszłam z ubikacji dla gości, ale co zrobić z walizą, niemożliwe, żeby to ona mnie w końcu zatrzymała. Postanowiłam powoli uchylić żaluzje na drzwiach balkonowych, które dopiero dzisiaj odkryłam, i zobaczyłam, że klucz do nich wisi na klamce, buja się wesoło, czeka na mnie już od kilku dni, więc otworzyłam drzwi, lekkimi kopnięciami wypchnęłam walizkę na balkon, opuściłam żaluzje i szybko, nim się rozmyślę, wyszłam z pokoju.

Z salonu dobiegało miarowe pomrukiwanie, coś jakby cichy, dyskretny śpiew, spleciony z wielu głosów, Boże Najwyższy, śpiewali, Stworzycielu świata, który szczerze obdarzasz wszelkim dobrodziejstwem, który przez pamięć prawości ojców przynosisz zbawienie synom ich synów, a ja ostrożnie posuwałam się naprzód, aż dotarłam do ubikacji, pospiesznie weszłam do środka i usiadłam na zamkniętym sedesie, żeby trochę ochłonać. Ta ciasna klitka wydała mi się małą wysepką w sercu groźnego morza, rozejrzałam się wokół, odnotowując, jak bardzo brakuje tu kobiecej ręki, co też może zaprzętać gospodarza, że nie dostrzega, że nie ma papieru, a z ustępu zalatuje jak w szalecie publicznym. Usłyszałam zbliżające się kroki, szybko wysunęłam nogę, żeby przytrzymać drzwi, jeśli się będą otwierać, bo nie było w nich klucza, ale nie dosięgnęłam, chociaż nogi mam stosunkowo długie, kroki oddaliły się, ja jednak dalej próbowałam, zastanawiając się, co robią ludzie zaskoczeni tu w trakcie, ze spuszczonej spodniami, przecież mają tylko dwie możliwości: albo rzucić się i przytrzymać drzwi, kapiąc w ubranie, albo przyłgnąć siedzeniem do deski, narażając się na krępującą dekonspirację, dziwiłam się gospodarzom, że stawiają znajomych przed tak ciężkim dylematem, szczególnie po Josephine spodziewałam się większych względów dla gości, przeszło mi nawet przez myśl, że kto wie, czy nie dlatego

zachorowała i zmarła, przecież za drobniejsze przewiny została zburzona Świątynia. Przypomniałam sobie o cennej książce, porzuconej na łasce ciekawskich w głębi walizki, więc spuściłam wodę, wyszłam z ubikacji, udając szczególnie przejętą żalobnicę, i pospieszyłam do wyjścia, przystając na chwilę w progu salonu, aby zobaczyć, jak Arie, otoczony przez innych mężczyzn, kiwa się w modlitwie, nagle jakaś kobieta wyszła do mnie z kuchni, gdzie przy okrągłym stole wokół błękitnej damy zebrało się kilka pań, dała mi znak, że mam czekać, i powiedziała, modlitwa zaraz się skończy, możesz poczekać z nami, więc weszłam za nią, zajmując jedyne wolne krzesło. Napijesz się czegoś? spytała, a ja, uszczęśliwiona, odpowiedziałam, tak, kawy, nagle, poza sypialnią, to stało się takie proste, naląła mi zręcznie kawy do dużej filiżanki, podsunęła cukier i mleko, uśmiechając się przy tym do mnie, i powiedziała, jestem Ajala, siostra Ariego.

Wasi rodzice musieli lubić zwierzęta*, zauważyłam i zaraz się złękłam, że ją uraziłam, ale ona roześmiała się ciepło, tak, to prawda, zawsze mówiłam im, szkoda, że o swoje dzieci nie troszczycie się tak, jak o byle kota na ulicy. Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością, a ona zapytała, ciasta? Nie czekając na odpowiedź, podała mi na ozdobnym talerzyku jasny, aromatyczny kawałek sernika i płynną francuszczyznę zaproponowała dokładkę matce Josephine, poruszając się delikatnie i z wdziękiem po zatłoczonej kuchni. Była niska i pulchna, obcisła trykotowa bluzka uwypuklała jej duże, miękkie piersi, a w opalonej twarzy błyszcząły niebieskie oczy. W niczym nie byli do siebie podobni, chociaż może te wydatne wargi, ale u niego były sinawe, a u niej czerwone. Kiedy się uśmiechała, a odniosłam wrażenie, że robi to nieustannie, od błyszczących oczu do ust biegły zmarszczki, ale i one do dawały jej tylko uroku, jak dołeczki. Tak mnie oczarowała, że po prostu piłam w milczeniu kawę i przyglądałam się, zdziwiona i pełna podziwu, jak się porusza po kuchni, jak troszczy się o wszystkich, okazuje życzliwość, żartuje, skąd się tu nagle wzięła ta cudowna istota, że też nie wiedziałam wcześniej o jej istnieniu, chociaż niewielka szansa, że wiedząc, postępowałabym inaczej, zmieniałabym swój pogląd na świat. Zagapiłam się na nią do tego stopnia, że nie zauważyłam, że zwraca się do mnie, to ty jesteś córką Kormana, spytała, ja wpatrywałam się w jej usta jak zahipnotyzowana i nie odpowiedziałam, co najwyraźniej zostało uznane za potwierdzenie, jesteś taka podobna do mamy, ciągnęła, to niesamowite,

* Hebrajskie imię Ajala znaczy „łania”, Arie znaczy „lew” – przyp. tłum.

pamiętam ją, jak była mniej więcej w twoim wieku, nie do wiary, jak jesteście podobne, brakuje ci tylko warkocza, a ja uśmiechnęłam się krzywo, tak, ale powstaje pytanie, czy ze wszystkich ludzi na świecie warto być podobną akurat do mojej mamy, i z rozpędu dodałam, wolałabym być podobna do ciebie. Spojrzała na mnie ze współczuciem i powiedziała, to zależy tylko od ciebie, ja też stałam się sobą po wielu metamorfozach, a ja pomyślałam, jeżeli ktoś jeszcze powie mi dzisiaj, że wszystko zależy tylko ode mnie, zacznę krzyczeć, ale od niej gotowa byłam przyjąć wszystko, bo mówiła to łagodnie i ze zrozumieniem, chciałam zapytać ją, gdzie była przez te wszystkie dni, dlaczego nie przyszła odwiedzić mnie w mojej celi, tam, za ścianą, ale nagle na kuchnię padł cień i cała wypełniła się mężczyznami. Rozpoznałam wśród nich francuskiego szwagra i Szaula, który wyparł się mnie wzrokiem w obawie, że swoją obecnością zdradzę jego sekret, i zaraz wyniósł się z kuchni, a cała reszta była mi nieznana, Arie wszedł ostatni, dostrzegłam, że siostra przygląda mu się z troską i mówi, Aruś, jest tu córka Kormana, on spojrzał na mnie przelotnie, sądziłam, że będzie zły, że przekroczyłam granicę, ale wydawał się raczej rozbawiony, powiedział drwiąco, przesadnie akcentując każde słowo, córka Kormana, cóż za niespodzianka, i uśmiechnął się, lubię niespodzianki, siostra objęła go i zobaczyłam, jak bardzo są właściwie podobni, wyglądała jak jego jasna strona, chociaż przy niej on też zdawał się jaśniejszy, udobruchany, spokojny. Nie jesteś w Istambule? Słyszałem, że bawisz w Istambule, powiedział, a ja poczułam, że się czerwienię, i odpowiedziałam, już wróciliśmy, umyślnie powiedziałam „my”, jakbym wciąż stanowiła część jakiejś pary. Jak było, zapytał, tak sobie, odpowiedziałam, Istambuł mnie rozczarował, spodziewałam się czegoś więcej, on powiedział, zawsze lepiej mieć mniejsze oczekiwania, inaczej wszystko nas rozczarowuje, a Ajala dodała, to prawda, obraz, jaki masz w głowie, zawsze jest doskonalszy niż ten, który masz przed oczami, tak jest ze wszystkim, więc powiedziałam, to może lepiej żyć we własnej głowie, nie oglądać świata, nie poznawać ludzi. Ale wtedy nigdy się nie dorasta, odpowiedział, bo przecież rozdźwięk między tym, co widzisz oczyma duszy, a tym, co widzisz oczyma ciała, to właśnie jest dorastanie.

Dlaczego właściwie trzeba dorastać, spytałam, widząc, że Ajala przygląda się nam z ciekawością, jej wrażliwe nozdrza drżały jak chrapy zwierzęcia, które zwęszyło podejrzany zapach, a on odpowiedział ze znużeniem, bo takie jest życie, panno Korman, zrezygnować z dorosłości to zrezygnować z *życia.*, Ajala zaczęła bić brawo i stwierdziła ze śmiechem, nie wiem dlaczego, ale nagle poczułam się, jakbym była w teatrze, wtedy do

kuchni wrócił Szaul, wszedł lekko pochyłony, coś za sobą ciągnąc, i z przerażeniem ujrzałam swoją walizkę, on zawołał, patrz, co znaleźliśmy, dlaczego zostawiasz spakowaną walizkę na balkonie, a Arie spojrział na nią obojętnie i powiedział, to nie moje, nie mam pojęcia, co ta walizka robi na moim balkonie, Szaul natychmiast się cofnął, odsunął niepewnie i wszyscy cofnęli się wraz z nim, więc ja też przepchnęłam się na bok, widząc, że patrzą z obawą na podejrzaną walizkę, jakby za chwilę miała wybuchnąć. Trzeba wezwać policję, powiedział Szaul, ktoś po francusku wyjaśnił staruszce matce, w czym rzecz, ta wydała stłumiony okrzyk i natychmiast zakryła ręką zwiędłe usta, i staliśmy tak nad walizką, jak ledwie trzy dni temu nad świeżym grobem Josephine, poczułam, że zaraz zemdleję, zrobiło mi się słabo, nie mogłam oddychać, nie wiedziałam, jak z tego wybrnąć, wciąż czułam na twarzy jego rozbawiony wzrok, jakby mówił, zrobiłaś mi niespodziankę, więc ci odpłacam niespodzianką, nagle dostrzegłam kolejną parę utkwionych we mnie oczu, błyszczące oczy Ajali wędrowały ode mnie do niego, potem dotknęła ramienia Szaula, który zmierzał już do telefonu, i wykrzyknęła z egzaltacją, jak mogłam zapomnieć, przecież to moja walizka, szybko wyszła na środek, chwyciła ją i postawiła pod ścianą, a Arie powiedział, nie wiem dlaczego, teraz ja czuję się jak w teatrze, i zaczął bić brawo niedbale i arogancko, krąg publiczności rozpraszał się powoli, większość udała się do salonu, tak że w kuchni zostałyśmy tylko ona, ja i niebieska dama, która sprawiała wrażenie zadbanej i załamanej, bo chociaż pozornie jedno wyklucza drugie, u niej to szło ze sobą w parze. Znowu pożałowałam, że nie znam francuskiego, bo chętnie zapytałabym ją o kilka spraw, na przykład, czy to dla niej pocieszające, że jest już u kresu życia, bo dostać taki cios, powiedzmy, w połowie życia, jest znacznie ciężiej, wiadomo wtedy, że ma się sporo czasu na obłaskawienie cierpienia, ja na przykład wpadam w rozpacz na samą myśl o tych wszystkich latach, które mnie czekają, dybią na mnie jak jakieś monstra, każdy rok potworniejszy od poprzedniego, a ja muszę kolejno wskakiwać im na grzbiet, cwałować z zapalem ich ścieżkami i okazywać przy tym radość życia, obejmować włochatą, grubą szyję, która napawa mnie wstrętem, mieć przed zamkniętymi ze strachu oczami cały obmierzły pysk. Zamknęłam oczy, twarz jeszcze paliła mnie ze wstydu, kiedy poczułam na ramieniu chłodną dłoń i usłyszałam, jak ona mówi, idź już do domu, panno Korman, i nie wracaj tu, słyszysz, choćby cię wzywał, nie wracaj, więc otworzyłam oczy, nie będzie mnie wzywał, westchnęłam smutno, bo kiedy zobaczyłam go między gośćmi, znowu poczułam ten ciężar, ten dręczący i przytłaczający pociąg, ona wzięła

moją walizkę i wyszła z nią z mieszkania, ja powlokłam się za nią, przy drzwiach powiedziałam, Ajala, życie mnie mierzi, a ona wyszeptała, nie wolno tak mówić, kto tak mówi, ten obraża życie, i objęła mnie po matczynemu. Masz dzieci, zapytałam, a ona odpowiedziała, mam dzieci, ale one nie mają matki, zabrzmiało to dziwnie, bo wyglądała na szczęściarę, taką, której się wszystko układa, nie rozumiałam, jaka porażka może się za tym kryć, ale ona nie zamierzała się wdawać w szczegóły, z wdziękiem odwróciła się do mnie plecami i wysoko unosząc głowę, weszła z powrotem do domu żałoby.

Była najbardziej przerażająca pora dnia, godzina, w której światło jest bardziej niebezpieczne od ciemności, bo staje się droższe, rzadsze, o tej porze zawsze się bałam opuszczać dom. Kiedy byłam mała, trzymałam się kurczowo ręki matki, nie wierząc, że uda nam się wrócić, a kiedy już dochodziłyśmy, nie wierzyłam, że to rzeczywiście nasz dom, nie zmyślna pułapka, wyglądająca całkiem jak on. Sprawdzałam swój pokój, zaglądałam pod łóżko, do szafy, a kiedy próbowała mnie uspokajać, sprawdzałam i ją, bo też mogła być zmyślną pułapką, która wygląda jak matka, a teraz, patrząc na zewnątrz z mroczniejącej klatki schodowej, pomyślałam, że całe moje życie stało się zmyślną pułapką, która wygląda jak moje życie, że muszę się z niej uwolnić, chociaż czuję na szyi jej zacisk, to jest jak dotyk sztucznych dłoni, jakby ktoś mnie próbował udusić protezami rąk, trudno mi oddychać, trudno chodzić, siadam na schodach, masuję szyję, ale pułapka zaciska się od środka, chcę zwolnić sprężynę, wkładając rękę do gardła, ale jak mam sięgnąć tak głęboko, czuję tylko, że ręka pachnie jego papierosami i ma, jak jego usta, gorzko-ostry smak.

W oknach budynków naprzeciwko zapalają się złote światła, robi się domowo, tymczasem w moim domu od trzech dni panuje kompletna ciemność, jak ja tam wrócę, jak zapalę światło, kiedy smutek drogiego Joniego kładzie się na zniszczonej terakocie jak wielkie, nie pogrzebane zwłoki, wydziela w zamkniętym mieszkaniu fetor, sąsiedzi już zaczynają węszyć, naradzają się, czy nie wyważyć drzwi, więc powiem im, to nie on, to smutek większy od niego, tylko to mi zostało, bo on sam już nie wróci. Słyszę, jak wieczór rusza niczym ogromna fabryka, wszystko bym dała, żeby być w niej w środku, woła się dzieci na górę, miesza jajecznicę na patelniach, napęlnia wanny, a na te odgłosy nakładają się nagle krzyki, tuż przy moim uchu, jakby adresowane do mnie, wynoś się wreszcie stąd, nie mogę już tego znieść, więc wstaję ze strachem, patrząc w kierunku jego drzwi, i widzę, jak

otwiera się mieszkanie naprzeciwko i wypada z niego wielka paka, ma ramiona, a nawet nogi, ale jest pozbawiona siły woli czy możliwości ruchu, zwija się błyskawicznie na schodach i ciężko dyszy. Podeszłam do niej, kładąc jej rękę na ramieniu, podniosła głowę i kiedy mnie rozpoznała, spuściła ją znów na kolana w geście rozpaczony, spytałam, co się stało, a ona zapłakała, już nie mogę, nie mogę, wyprostowała się nagle i krzyknęła, tam jest moje dziecko, teraz zabierze mi dziecko, pobiegła z powrotem do drzwi i zaczęła w nie walić, wrzeszcząc, oddaj mi Nuriego, oddaj Nuriego, ale drzwi ani drgnęły, za to ona drżała, wykrzywiając twarz w płaczu. Wstałam, objęłam ją i wyszeptalam, nie martw się, wydobędę twoje dziecko, nie wiem, czemu to powiedziałam, ale skoro padły te słowa, rzecz stała się faktem, ona spojrzała na mnie z wdzięcznością i zatkąła, chcę swojego koteczka, nie mogę bez niego, a on nie może beze mnie, więc poprosiłam, opowiedz mi, co się stało, pomogę ci, ona powiedziała, zabrałam małego do ortopedy, bo ma problem z nóżkami, a po powrocie zastałam męża w ataku szału, uznał, że zakochałam się w ortopedzie, że mały ma zdrowe nóżki, a ja wszystko zmyślam, żeby spotykać się z kochankiem i że pieprzę się z nim na oczach dziecka. Wyobraź sobie, mały ma niecałe pół roczku, a mój mąż usiłuje nauczyć go mówić, żeby na mnie donosił, w tym momencie otworzyło się okno w jej mieszkaniu i ktoś wrzasnął, pieprzona dziwko, zabieraj swoje szmaty, do ogródka sfrunęły skotłowane ubrania, bluzki, staniki i majtki obwiesiły kwitnące cytrusy, zapytałam, naprawdę zakochałaś się w ortopedzie, w nadziei, że powie tak, ale ona odpowiedziała, skąd, co mi do niego. Mnie to przekonało, nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie przekonuje jej męża, wtedy opowiedziała, że kiedyś, kilka lat temu, zostawiła go dla innego i od tej pory mąż ma ataki szaleńczej zazdrości, czasem nawet twierdzi, że dziecko nie jest jego, przy słowie dziecko znów się skrzywiła, spojrzała na mnie błagalnie i wyciągnęła ręce, mam takie puste ręce bez mojego maluszka, przynieś mi go. Przecież wtedy mówiłaś, że mały jest podobny do twojego męża, przypomniałam jej, tak, powiedziała, ale on utrzymuje, że jeśli będąc z nim w łóżku, myślałam o innym mężczyźnie, to dziecko nie jest jego, a jak mam mu udowodnić, że nie myślałam, jej płacz wzmógł się, a z domu jak echo dobiegło kwilenie dziecka, więc powiedziałam, nie martw się, zabierzemy małego i pójdziemy do mnie, nikogo u mnie teraz nie ma, będziecie mogli zostać kilka dni, aż wszystko się ułoży, wprawdzie nie miałam pojęcia, jak wydobędę dziecko, ale powiedziałam jej, teraz bądź cicho i schowaj się, żeby pomyślał, że sobie poszłaś, spróbuję to załatwić.

Kiedy ukryła się tak starannie, że wydawało się, jakby naprawdę odeszła, wstałam i zadzwoniłam do drzwi, zobaczyłam, że ktoś patrzy przez wizjer, zadzwoniłam znowu stanowczo, tym razem je uchylił i spytał, czego pani chce. Uśmiechnęłam się do drzwi serdecznie, zawsze mówiono mi, że mój uśmiech wzbudza zaufanie, i powiedziałam, jestem z naprzeciwka, wie pan, że obchodzimy żałobę, a niski mężczyzna o spiętej, prawie znajomej twarzy odpowiedział, tak, widziałem klepsydrę, i otworzył mi, wskazując na nekrolog przymocowany do drzwi, patrzyłam na nekrolog zaskoczona, bo nie było go tam, kiedy przyszłam przedwczoraj w nocy, a teraz kłuje mnie w oczy jak niezbity dowód, że to wszystko się dzieje naprawdę. Brakuje nam jednej osoby do wieczornej modlitwy, powiedziałam z powagą, bardzo byśmy prosili, żeby pan do nas dołączył, a on wskazał na pokój, w którym tymczasem zapanowała cisza, i powiedział, dziecko właśnie zasnęło, więc zaproponowałam, zostanę z nim kilka minut, ile to w końcu może potrwać, spojrzał na mnie niezdecydowany i odpowiedział, nie wiem, gdzie mam jarmułkę, miałam ochotę zadrwić, może wisi na drzewie, ale uśmiechnęłam się tylko i powiedziałam, proszę się nie martwić, dadzą panu, mają wystarczająco dużo jarmułek, on rozejrzał się wokół z wahaniem, wreszcie westchnął, dobrze, nie odmówię zmarłej modlitwy, i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi, a ja pospieszyłam do pokoju dziecka i gdy tylko zniknął w mieszkaniu Ewenów, złapałam je na ręce i wyleciałam stamtąd pędem, nie zamykając drzwi, ona wychylnęła z ogródka, złapała małego i pobiegłyśmy razem, ona z dzieckiem, a ja z walizką, aż do głównej ulicy.

Była tam zatłoczona kawiarnia, wepchnęłam ją do środka, bo wydawało mi się, że to dobra kryjówka, poza tym chciałam trochę odwlec powrót do domu, bo nagle się wystraszyłam, że jeśli ta para ulokuje się u mnie, to nigdy się nie wyniesie, usiadłyśmy zdyszane wśród zgrai hedonistów, wszyscy wokół sprawiali wrażenie szczęśliwych i beztroskich, tylko moje i jej życie było w rozsypce, ale ona też jeszcze kilka dni temu zdawała mi się beztroską osiedlową królową z kluczem w jednej, a dzieckiem na drugiej ręce, aż tu wszystko się odmieniło w mgnieniu oka. Wysupłała dzieciaka z kocyka, przyjrzałam mu się w napięciu, tym razem wyglądał całkiem inaczej, jak nie to samo dziecko, miał jaśniejsze, prawie niebieskie oczy, a włoski jasne, nie kasztanowe, jak Joni, nie, w niczym nie przypominał Joniego, ale też w niczym nie był podobny do ojca, przez chwilę rozumiałam wystraszonego mężczyznę, który otworzył mi drzwi, bo właściwie skąd można wiedzieć, jak raz zacznie się coś podejrzewać, trudno przestać, a faktem jest, że nawet ja jestem zdziwiona. Co prawda niemowlęta podobno się zmieniają,

ale żeby aż taka zmiana w tak krótkim czasie, może ona w ogóle handluje niemowlakami, wciągnęła mnie w to szambo, wyląduję w więzieniu za udział w porwaniu dziecka, kto wie, co się stało z poprzednim, które wpadło w jej ręce, tym ze słodką buźką owieczki, jakiego niestety nie posiadam na pamiątkę po Jonim.

Nie masz pojęcia, jak ci jestem wdzięczna, powiedziała, ja uśmiechnęłam się gorzko, nie wiedząc, co odpowiedzieć, a kiedy stanęła przed nami młodzieńka długonoga kelnerka w tyciej mini, pomyślałam ze smutkiem, że nigdy nie byłam naprawdę młoda, zawsze się znajdowały młodsze niż ja, a teraz to się nasila, mam wrażenie, że na świecie jest coraz więcej młodszych i coraz mniej starszych ode mnie, a już na pewno tak jest w tej kawiarni, poczułam mdłości, więc poprosiłam o herbatę z cytryną, ona też, zirytowało mnie, że nie ma własnej woli, pomyślałam, jak spuściła z tonu, kiedy nie ma już bezpiecznego domu i oddanego męża, dzieciak też poza swoim łóżeczkiem wydawał się zagubiony, byli oboje zupełnie jak obrazy, które po wyjęciu z ramy, tracą blask, tak samo ja, z tą swoją żalną walizką, która w jednej chwili się zestarzała, więc muszę wrócić do domu i ponownie wtłoczyć się w ramę obrazu mojego życia. Dziecko zaczęło płakać, wzięłam je za rączkę i próbując rozśmieszyć, przypominałam sobie historię, którą matka opowiadała mojemu bratu, oczywiście nic nie rozumiał, ale natychmiast się przy niej uspokajał, zaczęłam więc opowiadać tę historię, nie wiedziałam nawet, że ją pamiętam, mały Absalom miał wielkiego czarnego kota, który nazywał się Arie, wszyscy pytali, co mu przyszło do głowy, żeby nazwać kota Arie, czyli lew, to tak, jakby nazwać węża zajacem albo psa lisem, a Absalom nie odpowiadał. Wiedział, że Arie jest królem kotów i zasługuje na królewskie imię, ale domyślał się, że inni go wyśmieją, jak im to powie. Kazał mu udowodnić, że Arie jest królem kotów, a on nie umiał udowodnić, tylko to czuł. Czuł, że Arie nie tyle jest jego kotem, co on dzieckiem Ariego, i podobało mu się bycie dzieckiem kota. Maluch uśmiechnął się do mnie, nie do wiary, jak ta historia działa, wierzgnął nóżkami i zobaczyłam, że jedna nóżka jest większa od drugiej, zapytałam, czy on nie ma jakiegoś problemu z nóżką, a ona powiedziała, ma, przecież właśnie wracam od ortopedy. Co ci powiedział, spytałam, ona odpowiedziała, że wszystko będzie w porządku, w co trudno mi było uwierzyć, bo jak coś takiego może być w porządku, jak w ogóle cokolwiek może być w porządku, więc powiedziałam, coś mi się zdaje, że ten ortopeda to oszust, ona na to, mówisz zupełnie jak mój mąż, i przykro mi się zrobiło na myśl o niskim mężczyźnie, który poszedł wypełnić nakaz sumienia, a w tym czasie zabrano

mu dziecko. Co teraz zrobisz, spytałam, a ona widocznie wyczuła moja niechęć, bo powiedziała, nie martw się o mnie, ochłonę trochę i wrócę do domu, jemu też przejdzie i będzie spokój do następnego razu, więc odetchnęłam głęboko i znów czując do niej sympatię, zapytałam, nic się z tym nie da zrobić? Nie, odpowiedziała, nie powinnam go była zostawiać, całkiem mu przez to odbiło. A może nie powinnaś była wracać, skoro już się zdecydowałaś odejść, powiedziałam, dlaczego właściwie wróciłaś? Już nie pamiętam, rzuciła, wtulając twarz w drobne ramionko dziecka, zupełnie jak moja matka w ciało Absaloma, a ja odwróciłam wzrok, bo wydała mi się odpychająca, żeby nie powiedzieć: okrutna w tej swojej nadziei, że to drobne ramionko unieważni jej błędy.

Nagle za oknem zobaczyłam jej męża, który ganiał w kółko jak żuk, skojarzył mi się z przeżywającym spóźnioną młodość wujkiem Alekssem, nie chciałam być obecna przy ich nieuniknionym spotkaniu, więc powiedziałam, idzie tu, z bliska dostrzegłam, że ma jarmułkę, widocznie zdążył pomodlić się trochę, zanim się zorientował, w czym rzecz, biała jarmułka lśniła na czubku głowy jak słoneczko, ona chwyciła mocniej dziecko, ale w oczach miała dumę, że ktoś jej szuka, nie tak jak mnie, ranie nikt nie szukał, więc wstałam i wyszłam drugimi drzwiami dokładnie w chwili, kiedy on wchodził do środka, błędząc spojrzeniem po sali z nadzieją i gniewem i błyskając jarmułką.

Pospiesznie skręciłam z głównej ulicy w niewielką przecznicę, bojąc się znajomych twarzy, wstrętnych szablonowych pytań, znienawidzona droga wyglądała teraz całkiem inaczej, była dłuższa, bardziej mroczna, wiodła cichymi bocznymi uliczkami, wznosiła się i opadała kojąco, wciąż próbowałam się pocieszać, że to ostatni raz, że więcej nie zobaczę spokojnej, irytującej w swojej zamożności ulicy, nie będę już miała powodu nią chodzić, nie poprowadzi mnie więcej do ani od niego, nie istnieje dla mnie, choćby została starta z powierzchni ziemi, nie poczuję jej braku. W jednej chwili cała ta część miasta stała się zbędna, wręcz drażniąca, te wypieszczone, szczęśliwe domy, zadbane ogródki, duże okna, otwarte na oścież, jakby gospodarze nie mieli nic do ukrycia, każdy może zajrzeć do pokoju, zobaczyć, co w nim jest, stoję przed takim oknem i widzę półki z książkami, gdzie spojrzeć – książki, przebija się do mnie nawet ich zapach, delikatna woń kurzu, starego papieru, długich lat. Widocznie to pora kwitnienia książek, kwitną razem z cytrusami, może mniej bujnie, za to bardziej kojąco, wdycham znajomy zapach, taki sam, jaki rozsiewa biały kruk od kierownika

katedry, i nagle staje się dla mnie jasne, że ten dom pełen książek to jego dom, tu pędzi swój spokojny żywot na wędrowce od tomu do tomu, mam ochotę wejść przez szerokie okno, usiąść wśród półek, wznieść na biurku stos książek i złożyć na nim umęczoną, chorą głowę, gdy nagle w wielkim oknie gaśnie światło, jakby opadła kurtyna, kończąc przedstawienie, trzeba się otrząsnąć i wrócić do domu, idę powoli, chcę, żeby czar trwał, tak samo wracałam po filmach, które co tydzień wyświetlano w naszym osiedlu, lepiej niż ich treść pamiętam lunatyczny, powrotny marsz, potykałam się o kamienie i nie czułam bólu, bo słodycz ciągnęła się za mną jak królewski tren, malując drogę pastelami, każdy film oferował mi jakąś przyszłość, musiałam jedynie dokonać wyboru, przekroczyć szeroką bramę, która teraz zawarła się, miażdżąc mnie, może została jeszcze wąska szczelina, przez którą już nie przebija światło, tylko coraz słabszy zapach, a jeśli się nie pospieszę, brama zatrzaśnie się całkiem, jak te ulice, zwązają się powoli, tłum narasta, okna maleją, dochodzę do dobrze znanego mrocznego spadku, a jednak wszystko to zdaje się obce, jakieś drobniejsze, niepozorne, jak po powrocie z podróży zagranicznej, kiedy oczy przywykły do innych wymiarów, pochyłość ulicy niesie mnie wprost do naszego mieszkania w bloku, na parterze, nogi mi drżą z napięcia, co zrobię, jeśli tam jest, i co zrobię, jeśli go nie ma.

Mieszkanie jest zamknięte i pogrążone w ciemnościach, stare drzwi ustępują posłusznie. Przez krótką chwilę stoję w mroku, nie pamiętając, gdzie się zapala światło, i nasłuchując odgłosów domu, pomalowane przez pomyłkę na żółto ściany jaśnieją nikłą poświatą, wodzę po nich dłonią po omacku, gdyby tak można było wyczytać z zagłębień i wypukłości, co widziały, wiedziałabym dokładnie, co Joni robił tamtego ranka, czy mnie wołał, czy szukał mnie najpierw w kuchni, czy w łazience, gdzie stał, kiedy zobaczył mój list, jak się zachował, gdy go przeczytał. Ręka natrafia na włącznik, przyciskam go i widzę przed sobą białą kartkę, chwytam ją w napięciu, chciałabym móc z tobą spędzić miodowy miesiąc, czytam i cofam się, wystraszona, teraz jest to wiadomość od niego dla mnie, nieprzypadkowo ją tu zostawił, nie zabrał ze sobą, nie wyrzucił do kosza, tylko zostawił w tym samym miejscu, nadając jej nową treść, mnę z wściekłością złe słowa, które wróciły do mnie złe w dwójnasób, i idę do sypialni w poszukiwaniu świadectw jego smutku, oznak zawodu, śladów urazy. Kołdry leżą na łóżku, pełne i nadęte, jakby wciąż spoczywały pod nimi w śmiertelnym bezruchu nasze ciała, sprawdzam nawet, dla wszelkiej pewności, ale nie, nie ma nas tam, to tylko przepojone stęchłymi wyziewami powietrze, ciepławe i

zawiesziste, szafa otwarta, jego część jest do połowy pusta, brakuje torby podróżnej, nie ma wątpliwości, pojechał beze mnie w naszą podróż poślubną do Istambułu i chociaż to śmieszne, czuję się urażona, przecież powinien być zostać, rozpaczać po mnie, jak śmiał jechać beze mnie, nawet mnie nie próbował szukać, jak mąż sąsiadki Ariego, nie zadał sobie najmniejszego trudu, a byłam tak niedaleko, niecały kwadrans pieszo. W kuchni odkrywam kubek po kawie, którą pił przed wyjściem, wypił do dna, nie zostawił ani jednego łyka na pamiątkę, dla przyszłych pokoleń, lodówka jest prawie pusta, chleba oczywiście nie ma, nie ma też oznak żalu ani szczególnej burzy uczuć, po prostu opuszczone na kilka dni mieszkanie, w którym życie stanęło i nigdy się dalej nie potoczy. Wszystko zakrawa na tak tymczasowe, że nawet nie chce mi się odłożyć ubrań do szafy, wysypuję zawartość walizki na łóżko, żeby choć trochę wypełnić stronę Joniego, nakrywam grubą kołdrą kuszące łaszki, boję się usiąść, jakby nie wolno mi było dać się przyłapać, bo to nie mój dom, przyszłam tylko zerknąć na swoje poprzednie życie, pomarudzić trochę, ale zaraz uprzejmość pryśnie i wyrzucą mnie stąd. Mam wrażenie, że powinnam prosić o pozwolenie na wszystko, na skorzystanie z ubikacji czy z telefonu, nie wiem tylko, do kogo się zwrócić, więc przymilam się do żółtych ścian, biorę telefon, ale nie mam numeru, szukam w książce telefonicznej, zdziwiona, że pamiętam kolejność liter, wydaje mi się, że przybywam z miejsca, gdzie alfabet w ogóle nie istnieje, i rzeczywiście, przez chwilę nie jestem pewna, co jest najpierw, R czy S, kierownik katedry nazywa się Rose, profesor Rose, słyszę w słuchawce jego głos z mocnym angielskim akcentem, apodyktyczny, ale bardzo ludzki, przepraszam, że przeszkadzam i że nie przyszłam na spotkanie, ale umarła mi matka, mówię nagle i zaczynam płakać, sama tym zaskoczona, musiałam zdażyć na pogrzeb, a on od razu składa mi kondolencje, nie wiem już, jak z tego wybrnąć, więc mówię, nie była moją prawdziwą matką, tylko macocha, znaczy żoną mojego ojca. Na moment milknie, po czym natychmiast wyraża zrozumienie, jednak dodaje, nie chcę cię męczyć w tak trudnych chwilach, postaramy się naturalnie uwzględnić sytuację, ale musisz wkrótce złożyć konspekt, bo nie przyznają ci etatu, ja mówię, chcę się z panem spotkać, przerwę żałobę, żeby się z panem zobaczyć, a on, Boże broń, to mimo wszystko może poczekać, ale ja obstaję przy swoim, nic się nie stanie, tylko w połowie była dla mnie matką, więc wystarczy, jeśli odbędzie połowę siedmiodniowej żałoby, i umawiam się z nim na jutro o wpół do jedenastej u niego w gabinecie, i dopiero wtedy, mając co robić jutro, jestem w stanie pomyśleć o Ariem.

Przybliżam się do tej myśli powoli, ostrożnie, jak ktoś, kto mijając miejsce wypadku, boi się zobaczyć, co się stało, otwiera w napięciu drzwi spalonego czy zgniecionego samochodu, bo skąd można wiedzieć, co się ukaże w środku, może wypadnie stamtąd nagle zwęglony trup, myślę o nim ze smutkiem, bez wcześniejszej nienawiści, jak o chorym, i mówię sobie, on jest stracony, stracony, stracony, skąd mogłam wiedzieć, że jest stracony, kręcę się po pokojach, mamrocząc, wszystko stracone, stracone, skąd mogłam wiedzieć, że wszystko stracone, że nowe jest zawsze gorsze od starego, niewiedza zawsze lepsza od wiedzy, potem myślę o matce i jej zdwojonym żalu, o tym, jak dwukrotnie stanęłam między nią a jej miłością, raz jeszcze przed urodzeniem, a raz po, bo z niemowlęciem w wózku już jej nie chciał, to oczywiste, mimo że nie śmiał się do tego przede mną przyznać, matka do śmierci mi nie wybaczy, nawet nie umiem być na nią zła, bo ma rację, całkowitą rację, postanawiam zadzwonić do niej i przeprosić ją, jak wcześniej kierownika katedry, wykręcam numer, odzywam się słabym głosem, ona krzyczy do ojca, Szlomo, to Ja'ara, a do mnie, no, jak się macie, jak miodowy miesiąc, ja szepczę, cudownie, naprawdę cudownie. Jak Istambuł, pyta, mówię, cudowny, ona pyta, jak hotel, rzeczywiście widać z niego Złotą Bramę? Róbcie dużo zdjęć, bo muszę to zobaczyć, sfotografujcie mi widok z okna, ja mówię, dobrze, i pytam, co u was słyhać, co porabiacie? Nic szczególnego, odpowiada, wszystko w porządku, więc pytam, jak ciotka Tirca? Trzyma się, mówi matka, ja szepczę, mam, pamiętasz słowa Joawa po śmierci Absaloma, a ona odpowiada pospiesznie, tak, bo co? Bo miałam dzisiaj sen, mówię, śniło mi się, że leżę w wielkim łóżku i słyszę, jak czytasz ten werset, „okazując miłość tym, którzy cię nienawidzą, i nienawidząc tych, którzy cię miłują”. Usłyszałam, jak bierze głęboki oddech i jak ojciec pyta w tle, sądząc widocznie, że matka słucha w skupieniu, no, co mówią, więc powiedziałam, przekaż mu, że ja to nie oni, tylko ona, po czym spytałam, dlaczego przestałaś mi czytać Biblię, ona odpowiedziała, dosyć, Ja'ara, przecież wiesz, nie ma sensu tego roztrząsać, kiedy dzwonis z zagranicy, ja wyszeptałam, nie mów tacie, ale nie dzwonię z zagranicy, co to znaczy, spytała wystraszona, a ja powiedziałam, jesteś mi teraz taka bliska, przepraszam, jeśli ci zrujnowałam życie. Szkoda pieniędzy, rzuciła prędko, szkoda życia, odpowiedziałam, a ona na to, bawcie się dobrze, świetnie, że zadzwoniłaś, więc odłożyłam słuchawkę, zaraz potem zadzwonił telefon, ale nie odebrałam, pewna, że to ona, nagle dotarło do niej, co powiedziałam, zmartwiła się, przestraszyła i próbuje mnie sprawdzić. Naliczyłam dziesięć sygnałów i wyłączyłam aparat, zapanowała cisza, położyłam się na kanapie

w salonie, rozmyślając, komu jeszcze winna jestem przeprosiny, może Szirze, której zabiłam kota, powiodłam go na śmierć, wprowadzając tym samym pustkę w jej małe, i bez tego puste życie, co ja zrobiłam, wzdrygam się, wprowadziłam w puste życie pustkę, poniżyłam poniżonego mężczyznę, spaliłam spaloną Świątynię.

Przyniosłam sobie kołdrę, bo zrobiło się chłodno, wyłączyli kaloryfery z powodu wiosny, nakryłam się nią w ubraniu, nie zdjawszy nawet butów w poczuciu tymczasowości, i przyglądałam się bacznie znajomym widokom, jak chory, który wie, że jego dni są policzone i że życie potoczy się dalej bez niego. Wkrótce wprowadzi się tu nowa rodzina, młoda para u początku małżeńskiej drogi, jaką i my kiedyś byliśmy, ale żona nie będzie biegać od okna do okna jak ja, upewniając się, że nie zagraża jej najłżejszy choćby ślad zapachu świeżego chleba, pośrednik powie, w pobliżu nie ma żadnej piekarni, co najwyżej sklep spożywczy, a ona nie zamruga przepraszająco do męża, źle na mnie działa zapach chleba, wpędza mnie w depresję, i w tym momencie słyszę ciche pukanie do drzwi, nie jest to nerwowe walenie w stylu matki, a jednak nie śmiem się ruszyć ze strachu, że ktoś mnie tu przyłapie, naciągam kołdrę na głowę, zatykam uszy i poprzez wszystkie bariery słyszę, jak wzywa mnie zgrubiałą od papierosów głos, wyskakuję pospiesznie z łóżka, uchylam nieco drzwi i mam go przed sobą, stoi i pali na nie oświetlonych schodach, parę kroków od mojej wycieraczki, już miał zamiar iść, jest ubrany w marynarską koszulkę w wąskie, niebiesko-białe paski, żałobny zarost rozjaśnia mu twarz, na mój widok wyrzuca papierosa, depcze go i kopie w stronę zapuszczonego ogródka, a ja, oparta o drzwi, stoję na straży wąskiego przejścia, przez które się nie przecisnę, nie ocierając się o mnie wypukłością ukrytą w głębi spodni.

Tyle razy wyobrażałam sobie, jakie to będzie szczęście, jaka pociecha i łaska, kiedy zobaczę, jak puka do moich drzwi, przyzywa mnie całą swoją postawną obecnością, każdym pożółkłym zębem, każdym kształtnym palcem, całym odzieniem, spodnim i wierzchnim, całymi wąskimi oczami, oddalonymi od siebie, gdy się uśmiecha, i schodzącymi się, gdy poważnieje, teraz oczy zbliżają się, w miarę jak gaśnie na jego twarzy uśmiech gościa, mówi, chciałem tylko sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku, czy dotarłaś szczęśliwie, nie odpowiadam, ściskając ze wszystkich sił zdobyty puchar zwycięstwa, jest ładny, ale ciężki, trudno mi go utrzymać, wreszcie odzywam się, dotarłam, jestem tu, jakby nie widział mnie, i cofam się wolno w głąb mieszkania, podąża za mną, nigdy tu nie był, jego obecność jest dla

mnie dziwna, zupełnie do tego miejsca nie przystaje. Jak go mam ugościć, sama będąc gościem, mieszkanie przecież należy do poprzedniego życia, a jeszcze nie mam nowego, więc nie mam go gdzie zaprowadzić, chwilowo nie mam życia, zła jestem, że się w nie wpycha, i wtedy, o słodkie szczęście, on mnie pragnie, pragnie mnie, a za godzinę zaprzeczy, że tu w ogóle był, i przypominam sobie, co mi mówiła jego siostra, nie wracaj, choćby cię wzywał, te słowa przekłuwają balon słodkiego szczęścia, wycieka przez małe dziurki, lepkie i skrzepłe, smakowałoby mrówkom, siostra mnie tu przysłała, mówi tonem dziecka. Co takiego jest w tym mieszkaniu, że każdy, kto przekracza jego próg, zaczyna mówić jak dziecko, niedługo mnie nazwie Krecikiem, a ja jego Szczurkiem, pytam, po co, on mówi, sądziła, że coś z tobą jest nie tak, że się źle czujesz, ja się dziwię, dlaczego go przysłała, skoro sama mnie przestrzegła, żeby nie wracać, może to jakaś pułapka, ona podsłuchuje pod drzwiami, sprawdza mnie, więc powinnam zareagować chłodno, odprawić go grzecznie, a jednak jego obecność tutaj jest dla mnie czymś tak nowym, że trudno się jej wyrzec, stoi przede mną jak świeżo wyjęta z pudełka zabawka, wyprężony, pachnący, nieużywany, w zabawnej koszulce w paski, ze złamanym zębem i szczeciniastą brodą, że też jej nie dostrzegłam wcześniej, tak bardzo chcę go pomacać, sprawdzić, jak działa, tyle się naczekałam, i tak stoimy w progu, nie mam ochoty wprowadzać go do salonu, on też się nie pali do wejścia, tylko stoi przy drzwiach wyprężony i uśmiechnięty, ten głupkowaty uśmiech znam ze zdjęć z młodości, i jak na randce w ciemno przyglądamy się sobie badawczo, zachowując dla siebie wrażenia, po czym on mówi, na pewno chętnie coś zjesz po tym, jak cię głodziłem trzy dni, a ja się dziwię, jak możesz? Przecież odbywasz żałobę. Myślisz, że to sprawdzają w restauracjach? Chichocze drwiąco, a ja mówię, ale jeżeli przyjdą do ciebie goście, co sobie pomyślą, on bada językiem złamany ząb i odpowiada, pomyślą, że poszedłem do dentysty, przecież jest tam Ajala, moja teściowa i wszyscy. A co z dentystą, pytam, nie martw się, mówi, już byłem, ząb da się odtworzyć, to „nie martw się”, zabrzmiało, jakby się zwracał do żony, nawet mu przez myśl nie przejdzie, że własnoręcznie wrzuciłam do muszli cenny szczątek, obrzuca mnie krytycznym wzrokiem, idziesz? – pyta. Zrozumiałam aluzję i powiedziałam, moment, przebiorę się, w sypialni radośnie rzuciłam się na szafę i wyciągnęłam z niej aksamitną sukienkę w kolorze wina, wreszcie była na nią pogoda, umalowałam się, skropiłam perfumami i już miałam wyjść z pokoju, kiedy zbrzydziły mnie te wszystkie zabiegi, pomyślałam sobie, też mi radość, też mi święto, ni z tego, ni z owego się do ciebie uśmiechnął, więc zdjęłam sukienkę, włożyłam stary

dżinsowy komplet i szybko, nim się rozmyśle, wyszłam z sypialni. Stał przy oknie, cicho nucąc piosenkę, którą śpiewał w łazience, płakaliśmy na wspomnienie, na wspomnienie Syjonu, przez chwilę zdawało mi się, że to Joni, bo on lubił stać przy tym oknie, wzdrygnęłam się lekko, zaledwie wczoraj Joni był fundamentem tego domu, a teraz drzę, widząc go przy żalonym, wychodzącym na śmietnik okienku, skąd obserwowaliśmy wszystkich schodzących z kubłem, mieliśmy uświęcony tradycją zwyczaj meldować sobie wzajemnie o ruchach śmieci w budynku, o tym, kto jest kubłowym w każdym z mieszkań, a jeśli przepływ odpadków się nasilał, próbowaliśmy dociec przyczyn, taką mieliśmy tradycję, z zewnątrz musiało to brzmieć wstrętne, jak pieśczołliwe imiona, które nadają sobie zakochani, ale nikt, a już na pewno nie ten, co właśnie obserwował śmietnik, zająwszy opuszczony posterunek, nie zrozumiałby, jak słodko, jak kojąco było słyszeć, że Joni mówi, nie uwierzysz, dziś mąż wyrzuca, ja rechotałam, pewnie jest w siódmym niebie, bo mu dała w nocy, Joni robił minę bogobojnej dziewczicy i chichotał, i właśnie te żenujące rozmowy pozwalały nam czuć wobec siebie bliskość.

To co byś zjadła, zapytał, kulturalnie zwracając się w moją stronę, ja powiedziałam, smutno mi przez tę twoją piosenkę, a on, zaskoczony, jaką piosenkę? Tę, którą śpiewasz cały dzień, mówię, płakaliśmy na wspomnienie Syjonu, on wzrusza ramionami, nie znam tej piosenki, tak sobie pogwizdywałam, masz ochotę na kuchnię francuską, włoską, tajską, chińską, orientálną? A ja mam największą ochotę na sałatkę Joniego, więc na odczepnego rzucam, chińską, bo nie mam siły się zastanawiać. Niedawno otworzyli świetną chińską knajpkę, mówi, w zeszłym tygodniu byliśmy w niej z Josephine, zabrałem ją tam ze szpitala, a mnie się robi niedobrze, gdy wyobrażam ją sobie w trakcie posiłku, i co, była w stanie coś zjeść? Z trudem, odpowiada, nie bardzo czuła smak, ale piła herbatę, uwielbiała herbatę. Nie musisz mi tego mówić, myślę z dumą, przecież ostatnią szklanekę herbaty przyjęła z moich rąk, nawet jeśli nikt o tym nie wie, tak było, nawet jeśli nie powinno było tak być, jednak było, więc próbuję się jakoś wykręcić i mówię, w takim razie może nie idźmy tam, a on mnie uspokaja rycersko, dlaczego, nie martw się o mnie, mnie to nie przeszkadza. Zupełnie nie miałam ochoty siedzieć w miejscu, gdzie ona siedziała, pić herbaty, którą piła, chociaż bez żadnych problemów kładłam się do jej łóżka, ale on już otworzył przede mną stanowczo drzwi mieszkania, a po chwili drzwiczki samochodu i z piskiem opon włączył się w ruch parzystych, znaczących noc okrągłymi żółtymi dziurkami świateł.

Jak ona się tu wdrapała, spytałam, wspinając się po wąskich, krętych schodach starego budynku w centrum miasta. Z trudem, ale jej pomogłem, pochwalił się, szturchając mnie w biodro, żeby zademonstrować, jak ją popychał, a mnie było żal chorej kobiety, która dla jego przyjemności z zaciśniętymi zębami pokonywała bezlitosne schody. Miała bardzo silną wolę, powiedział, gdy czegoś chciała, nie pozwalała sobie na rezygnację, ale dlaczego ty pozwoliłeś jej na taki wysiłek, zapytałam, są przecież inne chińskie knajpki, gdzie łatwo się dostać, już się bałam jego reakcji, ale przyznał nieoczekiwanie, masz rację, nie pomyślałem o tym, chciałem ją zabrać do najlepszej restauracji.

Przecież nie czuła smaku, powiedziałam, a on zaczął się śmiać nieprzyjemnie, strasznie, akurat w momencie, gdy stanęliśmy na progu restauracji, jakbyśmy wychynęli na świat z otchłani piekieł, drobny kelner podszedł do nas z przymilnym uśmiechem, poprowadził nas do małego stolika pod oknem i łamaną angielszczyzną powiedział, był pan u nas kilka dni temu, prawda, a Arie potwierdził, mając wciąż resztki śmiechu wokół ust, i zapytał, pamięta pan kobietę, z którą byłem? Kelner przytaknął z zapalem, widocznie wywarła na nim silne wrażenie, a Arie powiedział, właśnie umarła, kelner spojrzał na mnie, jakbym to ja ją zamordowała, i wycofał się tyłem w ukłonach, a po chwili kelnerka podała nam ogromne karty, ukryta za kartą myślałam, to miejsce ją zabiło, wysiłek, żeby wspiąć się po schodach, wyglądać zdrowo, zadowolić go, zrobiła to tylko dla niego, na pewno każda chwila była dla niej niewymownym cierpieniem, przecież to dla chorego koszmar wyjść z łóżka, w dodatku do eleganckiej restauracji, nawet mnie by to mogło zabić, nawet dla mnie to zbyt duży wysiłek siedzieć naprzeciw niego, jeść kulturalnie i prowadzić uprzejmą rozmowę, jak gdyby nigdy nic, jakbym nie zrujnowała mu życia, jeszcze zanim się urodziłam, jakby on w rewanżu nie zrobił tego samego z moim. Też się schował za kartą, zza której widoczne były tylko piękne, bębniące nerwowo palce, nie mogąc znieść napięcia, uciekłam do ubikacji i usiadłam ciężko na sedesie, próbując zabić czas, powtarzałam sobie, on na mnie czeka, pragnie mnie, ale nie bardzo mogłam sama siebie przekonać, żeby do niego wyjść, bo te nagłe zaloty wystraszyły mnie w nie mniejszym stopniu niż nagły gniew.

Zamówiłem za ciebie, powiedział, kiedy wróciłam do stolika, odkryłem ich specjalność, możesz na mnie polegać, ja powiedziałam, świetnie, dziękuję, bo nie chciało mi się zastanawiać, a jednak byłam zła, dlaczego decyduje za mnie, co sobie myśli, on spytał nagle, kiedy wraca twój mąż,

pierwszy raz o nim wspomniał, uznał jego istnienie, odpowiedziałam, pojutrze, zdaje się, a on powiedział, rozstajecie się, bez najmniejszego znaku zapytania, wystraszyłam się, kiedy to padło tak bez ogródek, i znowu poczułam złość, że decyduje za mnie, a jednak, mimo wszystko, chciałam dać mu znać, że jestem wolna, więc powiedziałam, zapewne. Takich rzeczy nie warto ciągnąć, rzucił, zapytałam, co rozumie przez „takie rzeczy”, a on wzruszył ramionami, złe związki. Ale nasz związek jest dobry, próbowałam oponować, tym gorzej, powiedział, muskając długimi palcami krótki żałobny zarost, i pomyślałam, że właściwie ma rację, nasz dobry związek jest znacznie trudniejszy niż zły, bo człowiek się uzależnia, nie może bez tego żyć, on dodał, Ajala, moja młodsza siostra, ciągnęła dobry związek z mężczyzną, który jej nie odpowiadał, ponad dziesięć lat, a kiedy odeszła, miała już czwórkę dzieci i mąż, zresztą wspaniały facet, zgodził się zwrócić jej wolność wyłącznie pod warunkiem, że dzieci zostaną z nim, teraz jest w Ameryce, ożenił się, jego żona wychowuje dzieci Ajali, a ona tu siedzi sama.

Kiedy to usłyszałam, zadrżałam, jakby chodziło o mnie, i słabym głosem spytałam, Ajala żałuje, a on odpowiedział, to nie ma nic do *rzeczy*, nie wolno tego oceniać przez pryzmat konsekwencji, jej krok sam w sobie był słuszny, tyle że teraz ma dużo więcej trudności. Trudność, z którą można żyć, ludzie zastępują trudnością, z którą się żyć nie da, powiedziałam, on odpowiedział z rezerwą, w zamyśleniu, czy ja wiem, z każdą trudnością da się żyć, jeżeli jest nadzieja, nadzieja na co, spytałam, a on powiedział, w moim wieku nie dzieli się włos na czworo, wie się, że świat się zmienia, zmieniają się okoliczności, dzieci w końcu dorosną, wrócą do niej, wszystko jeszcze przed nią, a ja, żeby uniknąć tego losu, który zagrażał mi jak nadciągająca nawałnica, spytałam, a jeśli mój mąż mi odpowiada.

Gdyby ci odpowiadał, nie byłoby cię tutaj, parsknął, a ja pomyślałam, to prawda, jestem przecież jak żona z legendy, tylko czyny mogą o mnie świadczyć, bo cała reszta jest niewiadomą, wielką zagadką, jednak usiłowałam się bronić, może mi odpowiada, ale o tym nie wiem, a on, odsłaniając złamany ząb, powiedział, może. Bardzo chcę, żeby mi odpowiadał, zaczęłam, a on przerwał mi zimno, tak, wiem, dając do zrozumienia, że przesadzam z tą wylewnością, więc spróbowałam zatrzeć złe wrażenie, kładąc szybko rękę na jego dłoni, czemu nigdy nie mogę z nim porozmawiać o nas, zapytać, co z nami będzie, zawsze mówi o moim życiu, jakby nie pozostawało w żadnym związku z jego własnym, on przytrzymał moją rękę, mówiąc, nie bój się, i rzeczywiście przez chwilę się nie bałam,

tuliłam się do jego dłoni, piłam wino, starając się nie myśleć o przyszłości, tylko cieszyć się potrawami, które dla mnie zamówił, ryżem z orzechami i słodkim, chrupiącym makaronem, i myśląc, co za szczęście, że czuję smak, to w życiu najważniejsze, czuć smak. Prawie nie tknął jedzenia, tylko palił i pił, dając się ponieść bezładnej opowieści o licznych rozpustnych przyjęciach w kręgu bohemy paryskiej, w których brał udział przed laty, tam też byłem odmieńcem, powiedział, tu, w Izraelu, to przekleństwo, a tam – błogosławieństwo, w krótkim czasie znalazłem się w głównym nurcie tych spraw, miałam wrażenie, że opowiada nie mnie, tylko jej, mojej dumnej matce, co go nie chciała, w pewnym momencie słowa zaczęły się zlewać, widocznie pił wcześniej w domu, a teraz zamówił kolejną butelkę, kelnerka przyniosła wino, robiąc do niego oczy, były zielone i piękne, zastanawiałam się, czy z jego punktu widzenia jest jakakolwiek różnica między mną a nią, dla niego wszystko było tak nieosobiste, nie obchodziło go. Już przez moment myślałam, że mi sygnalizuje, że mam zostawić Joniego i odejść z nim, ale zaraz znów zamknął się w sobie, właśnie wyciąga rękę i na oczach kelnerki głaszcząc mnie po włosach, posyłam jej triumfalne spojrzenie, mnie pragnie, mnie, nagle widzę, że i on posyła jej spojrzenie, zgoła nie triumfalne, tylko prowokujące, jedzenie utyka mi w gardle, zaczynam kasłać, całkiem jak Josephine w ostatnim dniu życia, kiedy rozlała na szpitalną pościel podaną przeze mnie herbatę. Kelnerka, nie proszona, biegiem przynosi mi szklanekę wody, piję z rozpaczą, on mnie nie chce, coś mi się zdaje, że będąc wiecznie skupiona na tym, czy on mnie chce, zapominam się zastanowić, czy ja go chcę, to już swoisty aksjomat, coś, co się rozumie samo przez się, co nie wymaga dowodu, a może nadszedł czas poznać siebie, ale jak to się robi, najwyraźniej łatwiej jest poznawać innych. Na pozór świat bliźnich jest przed nami zamknięty, a nasz własny otwarty, jednak w gruncie rzeczy jest odwrotnie, bo są momenty, kiedy czuję miłość do niego, jestem jej pełna jak ten stojący przed nim talerz, myślę o tym, jak zaraz pójdziemy do łóżka i jak się zbudzimy rano, wszystko wydaje się ekscytujące, kiedy upłynie siedmiodniowa żałoba, pojedziemy do Istambułu i zacznę nowe życie, matka i ojciec nie będą mnie chcieli znać, on będzie moją rodziną, jego siostra mnie adoptuje, wszystko zostawię za sobą, Joniego i ciasne mieszkanie, nie przyjdę nawet po rzeczy, tylko kupię nowe, odetnę się od przeszłości, może w ogóle przeniesiemy się do Istambułu, żeby nie wpadać na ulicy na znajome twarze, widzę teraz, jak trudno go wkomponować w moje życie, znacznie prościej jest zacząć dla niego żyć od nowa niż wprowadzić go w to, co jest. Żal mi się robi rodziców, a zwłaszcza matki, bo jednocześnie straci jego i

mnie, żal mi Joniego, który zostanie sam z krzywą szafą, wypakowaną moimi ubraniami, co z nimi zrobi, i już po chwili myślę o Ariem z rezerwą, dostrzegam jego braki, przerzedzone włosy, głębokie zmarszczki, żółte zęby, odgłos kroków nadchodzącej starości, kurczące się życie, a pod tym wszystkim chwiejną i pełną agresji osobowość, i myślę, co ja mam z nim wspólnego, chcę do domu, do mojego małego życia, może właśnie bezpieczniej jest się zajmować tym, czego on chce, bo na mnie nie można polegać, ale jak można polegać na nim, uśmiecha się to do mnie, to do kelnerki, dostrzegam na jej głowie modne *carrée* i nagle jestem pewna, że to sławetna Fifka, jego prawdziwa miłość, która była z nim wtedy w sklepie. Może celowo mnie tu sprowadził, żeby się z nią podrażnić albo żeby ją zobaczyć, może to jakaś chora gra, całe jedzenie staje mi w gardle i pytam drżącym głosem, dlaczego przyszliśmy akurat tutaj, on mówi, sama chciałaś chińszczyznę, co trochę mnie uspokaja, bo rzeczywiście był to mój wybór, ale może mnie skłonił do tego, nie pamiętam. On znowu przegląda kartę i proponuje mi zapiekane banany z lodami, ale ja, dławiona podejrzeniami, nie mogę tam dłużej zostać, mówię, źle się czuję, chodźmy już, wstaję pospiesznie, omal się nie przewracam na schodach, po co z nim szłam do tej przeklętej knajpy, powinnam była go wziąć do domu, do mojego pierwszego domu, pokazać mu nieogarniony świat gajów cytrusowych z najdroższą ruderał pośrodku, bylibyśmy uratowani, więc czemu się ociąga, czemu ma taką zaciętą minę, gdy w końcu do mnie dołącza, chciałem ci dogodzić, mówi ze złością, ale widocznie nie możesz tego znieść.

Byłam pewna, że się kochasz w kelnerce, lamentuję, a on mówi, o to właśnie chodzi, nie potrafisz znieść tego, że ktoś ci chce dogodzić, nie możesz być szczęśliwa, natychmiast się próbujesz karać, a o karę nietrudno, szkoda tylko, że musisz doszukiwać się w każdym wad. Więc przysięgnij, że nic cię nie łączy z kelnerką, mówię kapryśnie, a on burczy, fakty są tu bez znaczenia, cokolwiek bym powiedział, nie uspokoi cię to, dobrze wiesz. Nieprawda, zaczynam płakać, nie mogę przestać, uspokoi mnie wszystko, co powiesz, a on, zamiast spróbować, pogwizduje nerwowo całą drogę, ignorując mnie, dopiero pod swoim domem odzywa się, chciałem cię odwiedzić, ale w tym stanie nie możesz zostać sama, mówi to protekcyjnie, jakby mi robił wielką łaskę, więc odpowiadam, nie musisz mnie zapraszać, chyba że chcesz, i czuję, jak znowu wpadam w macki znajomej zależności. Ledwie parę godzin temu stąd wyszłam i znów się znalazłam w jego zasadzce, znów jestem na jego łasce, przepelniona wdzięcznością, żalną miłością, nie pojmując, jak to się stało, przecież to on do mnie przyszedł, on mnie wzywał.

Kiedy wchodzimy, przemierzając jedno za drugim korytarz gęsiego, wiem, że już stąd nie wyjdę, że nigdy go nie zdobędę i nigdy się od niego nie uwolnię, ledwie parę godzin temu wyrwałam się stąd cudem, a cud się nie zdarza dwa razy, więc pogodzona z losem idę wprost do sypialni, jak koń do stajni, rozbieram się i kładę do łóżka. On się ociąga, słyszę znane odgłosy mojego więzienia, dzwoni telefon, otwiera się i zamyka lodówka, wreszcie wchodzi z puszką piwa w rękę, spokojny jak lampart, który ma już zdobycz w garści, zdejmuje z westchnieniem ulgi koszulkę w paski i niebieskie spodnie, kładzie się przy mnie swobodnie, a mnie się zdaje, że muszę go udobruchać, bo tym razem ja zepsułam wszystko, więc zaczynam go głaskać po plecach, pomrukuje z lubością jak wielki kot, nagle wyczuwam niewielką, podłużną wypukłość, z bliska wygląda jak narośl na jabłku, on mówi, tak, podrap mnie tam, czuję lekki wstręt, ale nie zapominam, że prawdziwa miłość nie wie, co to wstręt, więc drapię go po narośli, aż czuję wilgoć na koniuszkach palców, są czerwone, więc mówię, twoja narośl krwawi, on na to, aha, powinieneś iść do lekarza, coś z tym zrobić, dodaję, a on mówi, jedynym lekarzem, z jakim gotów jestem się spotkać, jest dentysta, pozostali niech sobie radzą beze mnie.

Nie powinieneś tego tak zostawiać, to niebezpieczne, ciągnę, a on się uśmiecha, nie bardziej niż każde wyjście z domu. Wiesz, jak trudno dotrzeć w zdrowiu do lekarza? I po co? Nie ufam nikomu, wszystkie choroby mają jedno źródło, a jest nim dusza, więc żaden dermatolog tu nie pomoże. To idź, lecz duszę, mówię, a on, chcesz, żebym powierzył duszę obcej osobie? Nie ufam nikomu i nie zamierzam się uzależniać od nikogo, powiedział to z taką nienawiścią, jakby wokół miał samych wrogów, to jak ci mają pomóc, spytałam, a on na to, nie potrzebuję niczyjej pomocy, tego mi brakowało, żeby ktoś mi pomagał, kiedy mówił, narośl ruszała mu się na plecach jak żuk, pogłaszcz ją, powiedział, może to pomoże. Miałam pewne opory, ale zaczęłam głaskać i cały świat powoli zawęził się do rozmiarów tej narośli, stał się prosty i oczywisty, bez napięć, bez sprzeczności, miałam w nim jedno zadanie, na które mogłam przeznaczyć całe życie, głaskać go po narośli, zresztą gdy się poważnie zastanowić, nie jest to wcale bardziej poniżające niż cokolwiek innego, głaskanie go po fiucie czy po ego, wręcz przeciwnie, bo z tego rzeczywiście może być jakiś pożytek. Powoli krwawienie ustało, zaczął ciężiej oddychać, pomyślałam, że zasnął, przerwałam na chwilę i usłyszałam jego śmiech, uspokaja cię zajmowanie się cudzą naroślą, nie? Znów ta protekcyjnalna poza, jakby mi robił łaskę, że się pozwala dotykać, usiadłam na łóżku ze złością, jak mogłam znowu wpaść w to szambo, jak wszystko

przeinaczył, to ja go potrzebowałam? Usłyszałam, jak mówi, wiem, czego ci teraz trzeba, szarpnął mnie w tył i posadził na sobie, siedziałam plecami do niego, a przed oczami miałam gładkie, śniade nogi, znieruchomiałe, zupełnie od niego odcięte, niewinne, młodzieńcze, palce u stóp układały się ładnym skosem od najmniejszego do największego, jak należy, kołysał mną, a ja myślałam o tym, że ile razy zobaczę jabłko, przypomnę go sobie, co znaczy, że ciągle będę go sobie przypominać, bo wszędzie widuje się jabłko, tak jak wszędzie czuć zapach chleba, mój świat się zamyka, będę musiała chodzić z zatkanym nosem i nie otwierać oczu, próbowałam sobie przypomnieć smak jabłek, czy są słodkie słodyczą, którą właśnie rozlewa po moim ciele, jakby sączył miód przez lejek na czubku członka, przez to, że sam jest gorzki, miód wydaje się słodki, czuć kontrast, to w nim podnieca, zalewa mnie miodem jak Herod młodziutką Hasmoneuszkę, która mu odmówiła ręki, całą rodzinę zabił, a ją chciał poślubić, ale rzuciła się z dachu, więc przechowywał ją w miodzie siedem lat, żeby mówiono, że ma za żonę księżniczkę.

Przesuwam się rytmicznie w przód i w tył, jak wioślarka, ciskana o jego ciało, próbując się oswobodzić, czuję pod sobą ruch, w górę, w dół, zderzamy się jak dwa porzucone wagony na zapomnianych szynach, z rosnącą siłą, impet pcha mnie naprzód, omal nie spadam z łóżka, nie widzę już jego nóg, wydaje mi się, że jestem tu sama i słodycz, ta ulubiona, wzbiera we mnie jak wtedy, w osiedlu, gdy garnęłam się do regałów w starej bibliotece, przez okna zaglądały gałązki kapryfolium i lantany w feerii barw i zapachów, z czytelni dobiegały kojące szepty, byłam sama wśród półek pełnych grubych powieści, wszystkie już przeczytałam co najmniej raz, a jednak wracałam do nich, bo były strażniczkami mojej przyszłości, moimi brytanami, głaskałam zakurzone półki, brałam pękaty tom, natychmiast znajdując w nim to, po co przyszłam – między starymi kartami wzbierała słodycz, ta ulubiona. Odwracałam się w stronę okna, wkładałam książkę między gorące uda i spoglądałam na gaje cytrusowe, na znikające w nich pary, aż kiedyś zobaczyłam tam Absaloma, widziałam, jak powstał z ziemi, wysoki i piękny, jakby przez lata spędzone w grobie rósł i rozwijał się, a teraz narodził się na nowo, przyszedł na świat w wybranej przez siebie porze i wieku, ziemia go wykarmiła jak drzewo. Byłam taka szczęśliwa, że go widzę, myślałam, jak się ucieszą rodzice, gdy go przyprowadzę, zostawię pod ich drzwiami jak prezent i ucieknę, i nigdy nie wrócę, a wtedy on oderwał się od przeciwnego brzegu łóżka, zbliżył twarz do mojej, odwrócił mnie przodem do siebie, zdziwiłam się prawie na jego widok i powiedziałam, już zapomniałam, że tu jesteś, myślałam, że jestem sama, a on odpowiedział, wiem, w porządku, i

uwierzyłam, że naprawdę wie, to mi wynagrodziło wszystkie cierpienia, w jednej chwili poczułam, że było warto, bo skoro potrafię o nim zapomnieć, to znak, że mnie zna od środka. Pocałowałam go w usta, wargi miał suche, mięsiste, przyłgnęłam do niego ciasno i powiedziałam, chcę tu być z tobą zawsze, on spytał, jesteś pewna, odpowiedziałam, tak, on powiedział, dlaczego, a ja, bo cię kocham, i wtedy zadał odstręczające pytanie, co we mnie kochasz, to, że wśród regałów nie słyszeć twoich kroków, powiedziałam, on zapytał, i co jeszcze, więc dodałam, całej reszty nienawidzę, ale widocznie to jest najważniejsze.

Rozdział trzynasty

U mnie była dziewiąta, ale ciemny zegarek Ariego, spoglądający na mnie groźnie z jego lewego nadgarstka, wskazywał prawie dziesiąta, więc wyskoczyłam spod kołdry i ubrałam się prędko. Leżał na środku łóżka z zamkniętymi oczami, lewe przedramię, to od zegarka, przesłaniało mu czoło, po same ramiona nakryty był kwiecistym prześcieradłem, co nadawało mu wygląd sędziwej, nieszkodliwej Hinduski, owiniętej w sari. Kiedy otworzyłam drzwi, obserwując ostrożnie długi korytarz, usłyszałam, jak pyta, dokąd idziesz?

Oczy miał zamknięte, ale usta otwarte, wyzierał z nich złamany ząb, powiedziałam, mam spotkanie na uniwersytecie, nie rozumiejąc, skąd mi się bierze ten przeprasający ton, jakbym miała coś do ukrycia, on otworzył oczy i spytał, na tyle ważne, że musisz wyjść po kryjomu, kiedy śpię? Jego głos zabrzmiał agresywnie, a mój jeszcze bardziej potulnie, gdy odpowiedziałam, wcale nie po kryjomu, nie chciałam cię budzić, a on, jednym kopnięciem zrzucając z siebie prześcieradło, warknął, to dlaczego nie zaczekałaś, aż wstanę?

Bo jestem umówiona o wpół do jedenastej, powiedziałam, nie mogę się spóźnić, a on, przecież tam wszyscy się spóźniają, myślisz, że nie wiem, jak jest na uniwersytecie? Nie opowiadaj głupot, zirytowałam się, on usiadł gwałtownie i wycedził cicho, nie śmiesz tak do mnie mówić, słyszysz? Nie wiem, o co ci chodzi, wybąkałam, a on powiedział, ciekawe, czy wiesz, o co chodzi tobie, nie dalej jak wczoraj mówiłaś, że chcesz tu zostać na zawsze. Tak, przyznałam, ale to nie znaczy, że nie mogę wyjść na kilka godzin, chciałam i wrócić, a on wrzasnął, nie masz po co wracać, słyszysz, jeżeli teraz wyjdiesz, nie będziesz miała po co wracać, więc spojrzałam z rozpaczą na zegarek, u mnie była dziewiąta, zabrakło mi odwagi, żeby podejść do niego i sprawdzić, jak szybko upływa czas, ale wie działałam, że jest późno i na granicy łez rzuciłam, o co ci chodzi, czego ode mnie chcesz, a on powiedział, niczego, wyłącznie konsekwencji, skoro mówisz, że chcesz tu zostać na zawsze i że mnie kochasz, jak możesz twierdzić, że spotkanie na uniwersytecie jest dla ciebie ważniejsze ode mnie, jesteś popapwany, krzyknęłam, wszystko przeinaczasz, gdzie tu widzisz sprzeczność, dlaczego

mi każesz wybierać, nie dość, że muszę wybierać w poważnych sprawach, to jeszcze w takich bzdurach? Spieszę się na spotkanie, dlaczego to miałyby znaczyć, że cię nie kocham, a on powiedział, bo ja tak uważam, a ty powinnaś się ze mną liczyć, i zaraz dodał protekcyjnym tonem, nie żebym cię tu szczególnie potrzebował, po prostu chciałem sprawdzić, na ile wiarygodne są twoje deklaracje, i widzę, o czym zawsze wiedziałem, że u ciebie wszystko jest bez pokrycia, mówisz byle co, nie masz pojęcia, co znaczy kochać, jak postępuje prawdziwa kobieta, kiedy kocha.

Nie wierzę własnym uszom, krzyknęłam, on ciągnął dalej, ja też nie wierzę, że pozwoliłem ci spać w łóżku Josephine, to była prawdziwa kobieta, umiała kochać, nie tak jak ty, ja się wydarłam jak jeszcze nigdy w życiu, ale ona umarła, ty zboczeńcu, właśnie dlatego umarła, zabiłeś ją przez te ciągłe, wariackie testy, a on wrzasnął w odpowiedzi, jak śmiesz mnie oskarżać, wynoś się stąd nareszcie.

Właśnie to usiłuję zrobić, krzyknęłam, o, proszę, obwieścił i parsknął z satysfakcją, widzisz, sama przyznajesz, że twoje spotkanie to tylko pretekst, więc wyszłam z pokoju, trzaskając drzwiami najmocniej, jak potrafiłam, i słysząc za sobą ponury głos, uprzedzam cię, Ja'ara, jeśli wyjdiesz, nie będziesz miała dokąd wracać, już nie mam dokąd wracać, pomyślałam, zapominając mu to wykrzyzczeć, słowa uwięzły mi w gardle. Szybko wyszłam na dwór, a kiedy byłam na schodach, zobaczyłam, że koło domu staje taksówka i wysiada z niej uroczyście pogrążona w żałobie rodzina, matka i siostra, i jej mąż, matka skinęła mi na powitanie, widocznie mnie zapamiętała z wczoraj, powiedziałam *bonjour*, siląc się na poprawny akcent, ale głos mi zadrżał od płaczu, który narastał w miarę, jak się zbliżałam do przystanku, i całą drogę przeklinałam jego i siebie, jak mogłam się tak pomylić, widzieć go innym, niż jest, nie dostrzegać, że jest całkowicie uzależniony od mojej zależności od niego, że tylko tego ode mnie chce.

W pustym autobusie usiadłam przy oknie i płakałam, mijając tętniące życiem ulice i komin szpitalny, z którego unosił się biały dym, myślałam o Tircy, leżącej w sali z widokiem na pustynię i próbującej wyczytać coś z małego lusterka, obok niej na wąskim łóżku leży nowa chora, nieważne, mężatka czy nie, mająca dzieci czy nie, w tym stadium to żadna różnica, zresztą w stadium, w którym ja jestem, to też już chyba bez znaczenia, wysiadłam prosto w chłód podziemi uniwersytetu, dusznych i nowoczesnych przejść, rozdartych tu i ówdzie ogromnym oknem, przez które świat zdaje się znacznie bardziej kuszący, niż jest naprawdę, to świat z wystawy, świat na

sprzedaż, mam ochotę powstrzymać bieganinę wokół mnie i powiedzieć, po co tak gnacie, wierzcie mi, nie ma się dokąd spieszyć, przybywam stamtąd, z prawdziwego, połyskliwego, drogiego świata, gdzie wszystko wydaje się inne, niż jest, tam wszystko jest zgniłe, wierzcie mi, na cmentarzu nie znajdzie się tyle robactwa, co na najokazalszych ulicach tego świata, ale opanowałam się i weszłam do łazienki opłukać twarz, a kiedy zobaczyłam czerwone oczy, zapuchnięte powieki i pełne goryczy usta, płacz się nasilił, bo wyglądałam na smutniejszą, niż się czułam, i pomyślałam, jak ja z tego wyjdę, jak z tego wyjdę.

Akurat jakaś dziewczyna wyłoniła się z jednej z kabin i stanęła przy mnie, żeby umyć ręce, wydawała się taka właściwa, nie piękna, ale w porządku, wszystko w niej wydawało się w porządku, nie miała otwartej rany na środku twarzy, jak ja, wyglądała tak, jak ja przedtem, nim wszystko się zaczęło, wymruczałam do lustra, och, gdybym mogła powrócić do tych pierwszych dni, a potem wyszłam stamtąd, ledwo trzymając się na nogach, i ruszyłam po schodach w górę, do gabinetu kierownika katedry, odwróciłam głowę, przechodząc koło pokoju asystentów, jednak nie mogłam nie słyszeć dochodzącej stamtąd radosnej paplaniny, tylko ja byłam jak z innego świata, jak uchodźca, jak ocalała z dalekiej wojny, która konfrontując się ze swoim dawnym życiem, ucieka przerażona, jakby to ono było jej wrogiem.

Drzwi gabinetu były otwarte, więc zapukałam i nie czekając na odpowiedź, weszłam, na biurku zobaczyłam książkę, rozłożoną przed pustym krzesłem, zajęłam miejsce naprzeciwko, złożyłam głowę na chłodnym drewnianym blacie, próbując powstrzymać łzy, ale im bardziej się starałam, tym bardziej dokazywały w moich oczach, tym mniej mnie słuchały, moczyły mi kolana, jak w czasach, kiedy zmywałam naczynia pod małym oknem, woda spływała mi po fartuchu na nogi, a Joni kręcił się przy mnie i opowiadał. Dla rozrywki wymyślałam sobie różne zabawy, na przykład słuchałam tylko co trzeciego słowa, potem on pytał, co o tym sądzisz, a ja bąkałam, nie dosłyszałam, powtórz, potem słuchałam co drugiego słowa, aż mnie głowa bolała z wysiłku, a za trzecim razem, gdy jego głos był cichy, bez życia, denerwowałam się, mów głośno, nie słysząc cię, czemu szepczesz, jeśli chcesz, żebym cię słyszała, i rozchlapywałam ze złością wodę poza zlew, mokre plamy znaczyły mi rajstopy, nawet teraz czuję na skórze ukłucia wilgoci, jakby chodził po mnie jakiś robak, a na ramieniu nagle ciepło, i miły głos, z wyraźnym angielskim akcentem, mówi, obyś nie zaznała więcej trosk.

Unoszę czerwoną, opuchniętą od płaczu twarz, a on patrzy na mnie łagodnie i pyta, zaskoczyło cię to? Co, pytam z lękiem, bo wszystko, co mi się przydarzyło tego ranka, zaskoczyło mnie i przeraziło, ale nie sędzę, żeby właśnie to miał na myśli, on mówi, śmierć mamy, mamy, mówi, jakby była także jego matka, naprawdę nie wolno kłamać, myślę, jak teraz z tego wybrnę, i mamroczę, była moją macochą, on potakuje uprzejmie, rozumiem, że twoja biologiczna matka też nie żyje, więc dla świętego spokoju bąkam ze spuszczoną głową, tak, zmarła przy porodzie, jak w Biblii. Przy twoich narodzinach? pyta, a ja odpowiadam, nie, przy narodzinach mojego brata, on pyta dalej, ile lat ma twój brat? Brat też umarł, szepczę, kilka miesięcy po mamie, a on siada, wzdrygając się lekko wobec tej chorej rodzinnej historii, i wzdycha, wydając przy tym pełne zdumienia chrząknięcie, nagle kojarzy mi się z różowym, miękkim prosiakiem i zaczynam się śmiać z rozpaczą, bo to spotkanie, na które czekałam jak na zbawienie, wydaje mi się teraz równie beznadziejne jak wszystko, co je poprzedziło, nie bardziej, ale i nie mniej.

Znowu opuszczam głowę, żeby ukryć śmiech, niech myśli, że ma do czynienia ze zrozumiałym atakiem płaczu, to najwyraźniej działa, bo wtyka mi do ręki papierową chusteczkę, ocieram nią niesforne łzy, czuję początek migreny, kiedy unoszę wzrok i napotykam jego jasne oczy, mówię niemal błagalnie, nie uwierzy pan, panie profesorze, co mnie dręczy od kilku dni - ciągle myślę o losie stolarza, któremu podstępnie wykradziono żonę, a na koniec przyszło mu usługiwać jej i jej nowemu mężowi, roniąc łzy do ich kielichów. Już od kilku dni, jakby to ująć, współczuję mu, przeklinam czeladnika, który mu wykradł żonę, i samą żonę za to, że z nim była w zмовie, ale dopiero dziś rano, dosłownie w drodze do pana, coś zrozumiałam.

Co rozumiałaś? patrzy na mnie niepewnie, wciąż z tamtym chrząknięciem na pełnych ustach, gotowym się wyrwać ponownie, więc próbuję powstrzymać je pytaniem, co oplakiwał stolarz, pana zdaniem, nad czym właściwie płakał, kiedy dolewał im wina?

Jak to, przecież to oczywiste, obrusza się kierownik katedry, płakał nad sobą, nad żoną, którą posiadał inny, nad straszną krzywdą, jaką mu wyrządzono! Patrę na jego wargi, schodzące się i rozchodzące z przekonaniem, i mówię, też tak myślałam do dzisiejszego ranka, ale teraz rozumiem, że nie nad krzywdą wyrządzoną sobie płakał, tylko nad krzywdą, którą wyrządził swojej żonie, przecież to on jest zły w tej legendzie, gorszy nawet od czeladnika, a już na pewno gorszy niż żona.

Na czym opierasz swoją tezę, pyta chłodno, prawie drwiąco, obawiam się, że właśnie topnieją resztki jego wiary we mnie i teraz on też będzie przeciwko mnie, ale nie mogę się już wycofać, wyjmuję z torebki książkę i rozkładam szeroko. Opieram się na tym, co jest tu napisane, dlaczego stolarz się zgodził posłać żonę do czeladnika po pożyczkę? Przecież wiedział, że ją naraża, i nie dbał o to, byleby tylko zdobyła dla niego pieniądze. Jak to się stało, że całe trzy dni nie pofatygował się, żeby jej poszukać, trzy noce kładł się spać bez niej, wstawał bez niej, dopiero trzeciego dnia poszedł do czeladnika spytać, co się z nią stało, a kiedy usłyszał, że młodzieniaszkowie postąpili z nią niegodziwie w drodze, zamiast ją zabrać do siebie, zająć się nią i pocieszyć, zgodził się z taką łatwością ją wygnąć, gdy tylko czeladnik zaoferował mu pieniądze na odprawę dla niej. Czemu nie zbadał sprawy, dlaczego nie wysłuchał żony, przecież sam ją posłał, naraził na tę przygodę. Nie widzi pan, że kryje się za tym nieprzerwany łańcuch win i zaniedbań, które przesądziły o losie Świątyni!

Kierownik katedry spojrzał na mnie zmieszany, gwałtownie mrugając, przez chwilę sądziłam, że puszcza do mnie oko, wreszcie przemówił z powagą, ale żona też mi nie wygląda na świętą, Ja'ara, wprawdzie nie zajmowałam się szczegółowo tą legendą, ale odnoszę wrażenie, że była w zмовie z czeladnikiem męża.

Skąd pan wie? atakuję go, przecież nie można jej oceniać na podstawie uczuć czy słów, bo nie ma o nich wzmianki w tekście, a na podstawie czynów też nie, bo była zupełnie bierna. Mąż ją posłał do czeladnika, nie wiadomo, czy z własnej woli spędziła z nim trzy dni, może została uwięziona, może to on postąpił z nią niegodziwie, a nie młodzieńcy, potem mąż ją odprawia, a czeladnik poślubia. Cóż dziwnego, że zgodziła się wyjść za niego po tym, jak mąż ją porzucił w tak haniebny sposób? Nie widzi pan, że legenda jej nie obwinia?

Kierownik katedry bierze ode mnie książkę i czyta, odprowadzając zatroskanym wzrokiem poszczególne słowa. Tak, przyznaje, czyny zdają się o niej nie świadczyć, zatem nie można jej obwiniać, nawet jeśli jest winna, nie można jej obwiniać.

To prawda, nabieram odwagi, ale wie pan, kogo jeszcze obwinia legenda, poza stolarzem i czeladnikiem?

Kogo, pyta z ożywieniem, a ja mówię, pana, mnie, wszystkich słuchaczy i czytelników, którzy przez wieki dawali się zwieść uproszczonemu, łzawemu

przesłaniu, ignorując prawdziwy przebieg wydarzeń. Najłatwiej jest się litować nad zdradzonym, poniżonym i płaczącym mężczyzną, ale nie wolno pomijać okrucieństwa tkwiącego w szczegółach. Legenda celowo wprowadza czytelników w błąd, wystawia ich na próbę, której nawet my nie przeszliśmy.

Masz rację, wzdycha, rozkłada ręce w przeproszającym geście, chowa głęboko ukochany tom i wiem, że już się z nim nie rozstanie, ale dlaczego twoim zdaniem legenda wprowadza nas w błąd?

Dlaczego pana zdaniem życie wprowadza nas w błąd? mówię, a on podnosi na mnie wzrok i w jego oczach widzę wewnętrzną rozterkę, jedno oko jest za mną, drugie przeciwko mnie.

Pamięta pan, co odpowiedział Bóg Mojżeszowi, perswadując życzliwemu mi oku, gdy ten po spisaniu Tory narzekał na werset, który otwiera furtkę dla herezji? Bóg powiedział mu, pisz, synu Amrama, a kto zechce zbłądzić – zbłądzi!

Myśli pan, że można uniknąć błędu? Kto zechce zbłądzić, tak czy inaczej zbłądzi, widocznie oboje chcieliśmy błędnie odczytać legendę, każde z nas miało ku temu własne powody, to nic strasznego, bo tamtych troje już nie żyje i wyrok na Świątynię zapadł, ale gdy błędnie odczytujemy życie, płacimy rzeczywistość, wysoką cenę. Tym właśnie chcę się zająć w mojej pracy, spróbuję znaleźć inne legendy o zburzeniu Świątyni, które celowo wprowadzają czytelnika w błąd, zwodzą go, a błąd dotyczy przede wszystkim sfery ducha, więc trzeba go naprawić w sferze ducha, rozumie pan? Niebo jest pełne potencjalnych, jeszcze nie zapadłych wyroków!

Popatrzył zaskoczony na wąski pasek nieba, malujący błękitem okno i powiedział z łagodnym uśmiechem, wątpię, czy znajdziesz coś więcej, nie przychodzi mi na myśl żadna inna legenda, która by pasowała do twojej tezy, ale spróbuj, jeśli ci się uda, to może być bardzo interesujące, jeśli nie, szkoda czasu.

W życiu tak jest ze wszystkim, powiedziałam, jeśli się nie udaje, szkoda czasu, szkoda się rodzić dla nieudanego życia, szkoda żenić dla nieudanego małżeństwa, on odpowiedział, tak, ale w tym przypadku łatwiej to ocenić, kryteria są bardziej jednoznaczne, a ja powiedziałam, w każdej dziedzinie są dość jednoznaczne, tylko czasem trudno nam się z tym pogodzić.

Może masz rację, przyznał, ale nie będziemy się w to teraz wgłębiać, oczekuję, że w ciągu tygodnia przedstawiś mi tytuły rozdziałów swojej

pracy, w przeciwnym razie nie przedłużymy ci umowy na przyszły rok, a ja wpadłam w popłoch, tylko tydzień? Przecież w najbliższym tygodniu muszę spróbować ratować całe swoje życie, nie zdażę, ale kierownik katedry był nieugięty, to twoja ostatnia szansa, Ja'ara, naciskano na mnie, żebym cię już skreślił, ale ze względu na waszą tragedię daję ci tę szansę, z tym, że jeśli nie udowodnisz natychmiast, że twoja praca posuwa się naprzód, uniwersytet nie będzie ci miał nic więcej do zaoferowania.

A jeśli nie zdażę w ciągu tygodnia, opierałam się, on jednak stwierdził stanowczo, wówczas twój etat przypadnie komu innemu, przykro mi, więc powiedziałam, dobrze, postaram się, i podniosłam się wolno, a on się uśmiechnął, nie wystarczy, że się postarasz, musi ci się udać, panie profesorze, szepnęłam, gdyby pan wiedział, co poświęciłam, żeby przyjść na to spotkanie, a on spytał, słucham? Co mówisz?

Nic, wybąkałam, przychodzi taka chwila, gdy nic już nie jest i nigdy nie będzie proste, on, oficjalnym tonem, powiedział, tak, chwila naszych narodzin, widocznie późno to zrozumiałaś, albo właśnie się narodziłam, odpowiedziałam ze śmiechem, po prostu późno się narodziłam, i ze spuszczonym wzrokiem skierowałam się w stronę drzwi, nagle przypomniałam sobie, wie pan, ktoś mi kiedyś powiedział, że każdy, kto popełnia błąd, z góry wie, że go popełni, tylko nie umie się powstrzymać. Zaskoczeniem może być rozmiar błędu, nie sam fakt jego popełnienia. Kierownik katedry uśmiechnął się na to i powiedział jakby do siebie, kto nie zechce zbłądzić, nie zbłądzi, zobaczyłam przed sobą jego duże stopy w znoszonych sandałach i skarpetkach, wysunięte naprzód z irytującym spokojem człowieka, który ma poukładane życie, i nie wytrzymałam, obiema nogami nadepnęłam na nie, niby przypadkiem, on wciągnął je z powrotem pod biurko, a ja powiedziałam, przepraszam, nie zauważyłam, i tak się zawstydziałam, że podeszłam, objęłam go i spytałam, boli? Nie, w porządku, powiedział, ale poczułam, jak z zaskoczenia okulary drżą mu na nosie.

Pokój asystentów był otwarty, w środku nie było nikogo, więc weszłam szybko i zamknęłam za sobą drzwi. Wzdłuż ściany ciągnął się długi, wąski stół, a na jego końcu otwierała się okazała panorama, w niewielkie boczne okienko wtoczyło się całe Wzgórze Świątynne ze złotą kopułą meczetu w otoczeniu posepnych drzew, opadające w dół Miasto Dawida i ciasne uliczki, po których wolno sunęły samochody, jak w żałobnym kondukcje, nowe dzielnice wbijały w złoto ostre, wilcze kły wież i wieżowców, między którymi przebłyskiwały czerwone dachy, wyblakłe jak anemony na łące w ostatnim

dniu wiosny, otworzyłam okienko i wystawiłam głowę, chcąc być bliżej olśniewającego widoku, odetchnąć miękkim, pachnącym powietrzem króciutkiej wiosny, z subtelną, ognistą nutą, a wtedy zobaczyłam płomienie oblepiające wzgórze, wpełzające na nie uparcie, okalające Świątynię, wąską z tyłu, a od frontu szeroką i podobną do lwa, widziałam zgliszcza tam, gdzie wcześniej był blask, widziałam jak łzy stolarza spływały do pustych kielichów, kiedy zaczął się wielki głód, a potem do załamanych z żalu rąk, gdy stali z żoną naprzeciw siebie jak dwa szkielety bez życia, wielki pożar okrywał różem ich wychudłe policzki i pochylali głowy w niemocy, jak para więdnących fiołków, ciekawe, czy wtedy prosił ją o wybaczenie, czy powiedziała, ja wybaczyłam, ale Niebo nie.

Za moimi plecami otworzyły się drzwi, odwróciłam się i zobaczyłam Netę, wchodzącą do pokoju sprężystym krokiem, z kubkiem kawy w rękę, czarne loki wiły się wokół jej głowy jak robactwo, w drugiej ręce trzymała papiery, gruby plik, coś za wizyta, powiedziała drwiąco, bez radości, już dwa miesiące odwałam za ciebie robotę, przecież nie robisz tego dla mnie, odpowiedziałam, chcesz pokazać, że można się obyć beze mnie, a Neta uśmiechnęła się z satysfakcją, to prawda, nawet łatwiej, niż myślałam, roześmiałam się, bo lubiłam jej bezpośredniość, i powiedziałam, przecież ci nie zagrażam, zajdziesz, dokąd chcesz, nie martw się, ty w życiu byś sobie nie napytała biedy z powodu miłości.

Miłości? Boże broń, oto moja miłość, wskazała na stos papierów i rozłożyła go na dwie części, jestem gotowa podzielić się z tobą moją miłością, chodź, sprawdźmy razem ćwiczenia, jak na początku roku, przypomniałam sobie, że siadywałyśmy w tym pokoju, małe okienko zerkało na nas z boku, a my nanosiłyśmy ołówkiem uwagi do prac studentów pierwszego roku, wieczorami przychodził Joni, siadał na wąskim stole, gniotąc przy tym kilka kartek, my zbierałyśmy rzeczy i wychodziłyśmy z nim, strzegła mnie wtedy aureola domu, bezpieczeństwa, której już nie ma, Neta patrzy na mnie badawczo i mówi, zmieniłaś się, jak, pytam, a ona, nie wiem, podtyka mi papiery, odsuwam się, jeszcze nie teraz, mam mnóstwo spraw do załatwienia, wrócę później.

Neta wzrusza ramionami, rzuca się chciwie na gruby plik, a ja wychodzę, unoszę się jak zjawa w korytarzach mojego poprzedniego życia, spływam ruchomymi schodami do autobusu, który już powoli ruszył, nie wiem, dokąd mi tak spieszno, przecież nic na mnie nie czeka w domu, poza karteczką w drzwiach, zwiniętą w pośpiechu, pokrytą starannym pismem

mojej matki, Joni przylatuje o piętnastej trzydzieści, wyjedź po niego! – napisała z karcącym wykrzyknikiem. Wchodzę do mrocznego mieszkania i jeszcze raz czytam kartkę, ile lęku, przerażenia kryje się w oszczędnych słowach, w drobnym wykrzykniku, biedna mama, mówię, biedna mama, powtarzam to chyba ze sto razy, a potem mówię, biedny tata, a potem, biedny, biedny Joni. Na dużym zegarze ściennym jest już prawie dwunasta, dzwonię na lotnisko, rzeczywiście jest lot z Istambułu o piętnastej trzydzieści, skąd ona wie, że Joni nim wraca, co zrobiła, żeby to ustalić, żeby ratować moje życie, wysiłek, jaki włożyła w tych kilka słów, łamie mi serce, natychmiast rezerwuję miejsce w taksówce, a potem rozglądam się wokół, nie wiem, od czego zacząć, biegnę do sklepu, kupuję pieczywo, wino i sery, warzywa i owoce, głównie zielone jabłka, które najbardziej lubi, a obok kupuję bukiet białych kwiatów, odpowiednich na tę okazję, powrót z miodowego miesiąca, w podnieceniach biegnę do domu, wkładam wszystko do lodówki, wyrzucam stare jedzenie, uchylam żaluzje, otwieram okna i wypuszczam nieśmiałą wiosnę do środka, waha się, ale w końcu wchodzi i zwiedza pokoje lekkim tanecznym krokiem.

W jednej chwili staję się efektywna i energiczna, co jest stanem zbliżonym do szczęścia, jednoznacznym i oczywistym, nawet miłszym niż szczęście, bo nie budzącym lęku, postanawiam upiec dla niego ciasto, najbardziej lubi tort czekoladowy, bez książki kucharskiej przypominam sobie cały przepis, chociaż nie robiłam tortu od lat, a kiedy ciasto dochodzi w piekarniku, zaczynam sprzątać dom, z zapalem ścieram smutek i zaniedbanie, mówię sobie, że musi się udać, kiedy Joni zobaczy, jak się postarałam, wybaczy mi, ciasto na pewno go złamie, jeśli już nic innego nie poskutkuje, zmieniam pościel, szykuję łóżko na naszą spóźnioną miłość, prawie nie myślę o Ariem, nawet kiedy o nim myślę, nie myślę o nim, za bardzo się spieszę, moje ręce za bardzo się spieszą, nogi się spieszą, nawet serce bije mi szybciej, jak podczas przygotowań weselnych, bo to będzie nasz dzień, mój i drogiego Joniego, który będzie mi musiał wybaczyć. Bez upadków nie byłoby wzlotów, powiem mu, a bez rozstania – spotkania, dziś po raz pierwszy się spotykamy naprawdę, nie pozwolę mu powiedzieć nie, wypełnię go miłością jak puste naczynie, będzie się nią wypełniał i wypełniał, aż nie będzie się w stanie ruszyć pod ciężarem mojego uczucia, a wieczorem pójdziemy razem do moich rodziców, za rękę, może objęci, i mama zobaczy, że wszystko jest w porządku, że nie musi się martwić, bo ktoś się o mnie troszczy.

Kąpię się szybko, a potem maluję delikatnie, tak jak lubi, nie zanadto, i wkładam białą sukienkę, chociaż ten odświętny strój wydaje się trochę śmieszny w zwykły dzień, ale dziś jest mój ślub, w sali przylotów odbędzie się mój prawdziwy ślub, zaproszę na niego cały tłum pasażerów z rodzinami, będą siedzieć na walizkach, przyglądać się naszemu wzruszającemu spotkaniu, wszyscy będą naszymi świadkami i będą nam wiwatować wielkim głosem, poniosą nas na rękach, śpiewając, jeszcze rozlegnie się w miastach judzkich i na jerozolimskiej ulicy głos radości i uciechy, głos oblubieńca i oblubienicy, i jak w trzy święta pielgrzymie ruszymy w wielkim pochodzie do Świętego Miasta.

Podeksycytowana, rozwijam z powrotem dywan na czystej podłodze, wyjmuję ciemne ciasto z piekarnika, stawiam koło kwiatów, ich biel w połączeniu z brązem przypomina mi chwilę, kiedy moja dłoń spoczywała na jego ręce, układam jabłka w misie i prawie na każdym znajduję brunatną narośl, wściekam się, że w ten sposób nigdy go nie zapomnę, obracam jabłka, żeby ją sobie wzajemnie zasłaniały, i nagle dociera do mnie, dlaczego nie układało się między nami, bo zamiast tuszować jego narośl, tylko ją podkreślałam, dlatego nam nie wyszło, ale nie będę żałować, bo dziś dzień moich zaślubin, a w nocy, na tym łóżku, pocznę i wszystkie moje żale, wszystkie radości, wszystkie lęki, wspomnienia, rozczarowania, fobie i pragnienia, wszystko to razem zmieni się w żywą istotkę, miękką i śliczną, rozkoszną i wzruszającą, w dziewczynkę, która za dwadzieścia lat będzie przerzucać mlecznymi palcami stare zdjęcia, od teraz tylko dla niej będę żyła, bo dla mnie życie miłosne dziś się kończy, na tej jeździe taksówką, tej ostrożności, by nie poplamieć białej sukienki, mojej sukni ślubnej.

Przyciskam się do szyby w zatłoczonej taksówce i kątem oka widzę tamten płomień, czerwono kwitnące drzewo za mijanym domem, niezagaśła pochodnię, i wiem, że wtedy, w drodze do Jaffy, nie śniło mi się, to się naprawdę zdarzyło, korona drzewa przypomina mi o wielkim niebezpieczeństwie, wydaje mi się, że nie wolno na nią patrzeć z bliska, jak nie wolno patrzeć w słońce, więc kieruję wzrok na siedzącą przy mnie kobietę, młodą, w kwiecistym nakryciu głowy, opowiada swojej sąsiadce, trochę starszej, może matce, o dziecku, które się urodziło w ich domu i po dwóch dniach zmarło, nie można go było pochować bez obrzezania, więc je obrzeczali pośmiertnie, dreszcz mnie przechodzi, a co z napletkiem, czy je z nim pochowali, czy też zrozpaczona matka schowała go w szafie, owinięty w

gazetę, jak moja matka swój piękny warkocz, który nawet w szufladzie miał w sobie więcej życia niż ona.

Taksówka zatrzymuje się przy wejściu i wchodzi uroczyście do weselnej sali, taksując wzrokiem zebranych, trochę mnie dziwi, że nie znam nikogo, przecież to moi goście, nikt nie podchodzi z gratulacjami, widocznie trudno bez pana młodego rozpoznać pannę młodą, niedługo, kiedy przyleci Joni, wszystko się wyjaśni, będzie kroczył z powagą i smutkiem śliskim przejściem, aż zauważy mnie i twarz mu zapłonie z radości, jak korona tamtego drzewa, ja pobiegnę do niego i dalej pójdziemy już razem, przy akompaniamencie życzeń naszej publiczności, która wreszcie się zorientuje, o co chodzi. Stoję tam, na wszelki wypadek kryjąc się za szerokimi plecami młodego mężczyzny, bo nagle ogarnia mnie straszny lęk, że może Joni nie będzie kroczył sam, może jakaś kobieta będzie się wspierała na opalonym, mocnym ramieniu, wyglądającym jak proteza na tle jego nagiego ciała, może nie do naszego wypucowanego mieszkania się będzie spieszył, tylko do niej, samotnej pasażerki, nie mogącej uwierzyć w swoje szczęście, mam coraz większą pewność, że tak się stanie, a mimo to postanawiam w żadnym razie nie rezygnować, ślub się odbędzie, nawet jeśli pan młody ma jakieś zastrzeżenia, choćby wbrew niemu się odbędzie, choćby wbrew jego nowej ukochanej. Przylatujący napływają oznaczonym przejściem nieprzeliczonym, hałaśliwym stadem, bez pasterza, rozglądają się, oczekując miłych niespodzianek, wokół mnie wymachują różne ręce, kochające, tęskniące za uściskiem, i widzę go, zbliża się tak powoli, że wydaje się, jakby się cofał, tak samotny, że mam wrażenie, że wszyscy się od niego odsuwają, jakby był chory, nie uczestniczy w radosnym rozgardiaszu i wzruszeniu, idzie zamyślony, blady, zatroskany, ze znajomą torbą podróżną na ramieniu.

Na moment pochwytyję jego wzrok, pełen upokorzenia, szuka mnie potajemnie, ze wstydem, już chcę biec do niego, objąć go, ale coś mnie trzyma, paraliżuje jak piękną Mazał Szejnfeld, gdy zbliżają się do mnie dziecinne, psio smutne, bezradne oczy, w których oprócz zmieszania jest nadzieja, nadzieja mimo wszystko, miękkie ciało przemieszcza się ociężale i przez krótką chwilę widzę Joniego samego w sobie, w oderwaniu ode mnie, Joniego, który ma prawo do własnego życia, i mówię do siebie, pozwól mu, pozwól mu odejść, nie stawaj mu na drodze, bo nagle dostrzegam tuż przy nim świetlistą, związaną z nim luźno postać, to Joni szczęśliwy, oczy mu błyszczą, nadchodzi energicznie, jest między nimi porażający kontrast, Joni szczęśliwy obrzuca mnie obojętnym spojrzeniem, bez śladu zależności, a

Joni nieszczęśliwy rozgląda się wokół w desperacji i wiem, że nawet jeśli się rzucę na niego z uczuciem, będzie to uczucie zwierzęcia, które rzuca się na ofiarę, zza Joniego wylania się szybko młoda, ładna kobieta w fioletowym kostiumie ze spodniami, a z tłumy wyrywa się do niej mężczyzna, też młody, o jasnych lokach, tulą się do siebie namiętnie, wzrok Joniego zawisa na nich, z zazdrością obserwując godziwe powitanie, ja też z ukrycia przyglądam im się zawistnie i wiem, że tylko to nas teraz łączy, jedyne, co mamy wspólnego, to zazdrość wobec pięknych zakochanych.

Już mnie mija niemowlęcy nosek, zranione plecy, zaskakująco drobny kark, głowa obraca się, szuka mnie, mimo wszystko, złość mnie ogarnia na te żalosne wysiłki, nigdy ci nie wybaczę, myślę, że pozwoliłeś mi odejść, a teraz mnie szukasz, wtapiam się w tłum, z daleka śledzę plecy w zielonej koszuli w kratę i lekko pochylone ramiona, opuszcza salę, idzie powoli w stronę postoju taksówek, zielone plecy robią się szare, w jednej chwili chmurzy się, otwiera się niebo, pęka cienka powłoka świata, odsłania wielki, elektryzujący blask i myślę, są błyskawice, a gdzie grzmoty, jak można je rozdzielić, przecież błyskawica bez grzmotu jest jak młoda bez pana młodego, powłoka rozszczepia się znowu i mam wrażenie, że błyskawice tną świat na dwoje, połowa dla mnie, połowa dla niego. Już prawie zniknął w swojej połowie, stoi potulnie w kolejce do taksówki, a ja ze swojej połowy przyglądam mu się, ukryta za parkującym samochodem w sukience poplamionej brudnym deszczem, zmieszanym z piaskiem, trudno uwierzyć, że była biała, tak jak trudno uwierzyć, że ja miałam jakieś oczekiwania, nawet nadzieje, łudziłam się, że wrócimy do domu objęci, usiądziemy przy cieście i kwiatkach, ale nie pomyślałam, co będzie dalej, zapomniałam o chwili, kiedy będziemy musieli naprawdę stanąć twarzą w twarz ze sobą, twarzą w twarz z życiem, kruchym, złamanym, mściwym i pamiętliwym, którego żadne złudzenie nie udobrucha.

Siadam na mokrym chodniku, obserwuję, jak przesuwa się szybko na czoło długiej kolejki, jeszcze przed chwilą był ostatni, teraz jest jednym z pierwszych, okazuje się, że wytrzymały ostatecznie dochodzi do celu, trzeba tylko stać w jednym miejscu, a ja się rzucam i zawsze zostaję na końcu, żeby móc się wycofać w odpowiednim momencie, widzę, jak się rozgląda, podejmując ostatnią, rozstrzygającą próbę, ciekawa jestem, czy zrezygnuje dla mnie z kolejki, raz jeszcze ruszy na poszukiwanie, ale nie, podjeżdża pusta taksówka, on wtłacza do niej poszarzałe plecy, bladą twarz, głębokie dzioby, owcze kędziorki, zadarty nos i już jest w środku, z westchnieniem sadowi się

w swoim nowym życiu i wiem, że ten bolesny widok Joniego, który wyrusza w drogę, zostanie mi w oczach na zawsze, jak katarakta, nie ruszy się stamtąd i każdą rzecz, wesołą czy smutną, jaka mi się jeszcze zdarzy w życiu, będę ze wstydem przykładać do tego widoku, jego miarą będę mierzyć wszystko.

Kiedy taksówka znika, idę na koniec kolejki, stąpając po jego dużych śladach, obskakuje mnie gwałtowny deszcz wiosenny, ciepły, czarniawy, o smaku piasku, wsiadam do swojej taksówki, wypełnia się prędko i na pewno szybko dogoni tę, którą on jedzie, więc wjedziemy do miasta w dziwnej kawalkadzie, osłaniając się nawzajem, wspierając na sobie po raz ostatni, przemoczona, drzę z zimna i strachu, bo samochody jeden za drugim mijają nas ze świstem strzały wystrzelonej z napiętego łuku. Gdybym teraz siedziała w taksówce z nim, w jego ramionach, nie zwróciłabym na to uwagi, ale że jestem sama, odgłosy się potęgują, niczyje ciało nie amortyzuje wstrząsów, czuję każdą wyrwę w jezdni i myślę, jak ja wytrzymam, jak przetrwam ten dzień, ten wieczór, dokąd pójde.

Znów siadam blisko okna, ale zamykam oczy, nie ma nic do oglądania na zewnątrz, ani w środku, widzę tylko Ariego, krążącego po domu wśród gości jak lew w klatce, jestem ciekawa, ile czasu minie, nim wyjdzie stamtąd pod byle pretekstem i przyjdzie do mnie, nie mam najmniejszej wątpliwości, że to nastąpi, tak łatwo się nie wyrzeknie mojej zależności, naszych chorych gier, ale dzisiaj wieczorem spotka go niespodzianka, bo drzwi otworzy mu Joni, rozczarowany, że to nie ja, a Arie stanie przed nim, równie zawiedziony, i będą tak stali naprzeciw siebie, Joni i Arie, dwaj mężczyźni mojego życia, którzy wyrugowali się nawzajem, a potem każdy z nich wyrugował samego siebie, zostawiając mnie zupełnie samą, porzuconą na pastwę aut, pędzących ze świstem.

Kiedy wjeżdżamy do miasta, taksówka pustoszeje, każdy zabiera bagaże i wysiada, tylko ja zostaję, kierowca się odwraca i pyta, gdzie mnie wysadzić, a ja rozdziawiam usta jak ryba, bo akurat nad tym się nie zastanawiałam, on się śmieje, kotku, jeżeli nie masz dokąd iść, możesz przyjść do mnie, już prawie się decyduję pojechać do rodziców, ale wiem, że trudno mi będzie znieść pytania, jakimi mnie zarzuca, więc mówię, proszę na uniwersytet, kierowca się dziwi, o tej porze? Tak się poświęcasz nauce? bo już się zaczyna zmierzchać, a ja nie odpowiadam, nie mam siły mówić, znów widzę komin szpitalny, z którego unosi się dym, to dym zniszczenia, podszywający się pod

dym nawrócenia, otula ciężkie ciało Tircy, stojącej przy ciemnym oknie, czeka tylko na mnie.

Przy wejściu na uniwersytet taksówka się zatrzymuje, a ja wysiadam niespiesznie. Kierowca dopytuje się, co z walizką, ja mówię, nie mam walizki, i tak bez niczego wybrałaś się za granicę, pyta z podziwem, więc odpowiadam, nie byłam za granicą, pojechałam tylko odebrać kogoś z lotniska. To gdzie on jest? Dlaczego jesteś sama? dziwi się, a ja mówię, dobre pytanie, w odpowiedzi można by napisać książkę, i jadę w górę schodami, pod prąd, bo wszyscy właśnie spływają w dół, niesieni przez wzburzone, ruchome wodospady, tylko ja jedna wjeżdżam, biegnę szybko, nim będzie za późno, jakby od tego zależało moje życie, wpadam do biblioteki, subtelna woń książek spowija mnie, kiedy składam rewers, bibliotekarka mówi, ale ta książka jest w księgozbiornym podręcznym, nie może jej pani wypożyczyć, nie chcę jej wypożyczać, mówię, skorzystam na miejscu. Za kwadrans zamykamy, opiera się, a ja odpowiadam, w porządku, to mi wystarczy, i z książką w rękę siadam przy bocznym stoliku, kartkuję ją drżącymi dłońmi, sama nie wiedząc, czego szukam, i wierząc, że się dowiem, kiedy znajdę.

Wszyscy wokół zaczynają się zbierać, z daleka widzę Netę, która wkłada stertę papierów do dużej torby, potrząsając włosami, i tylko ja się nie mogę oderwać od książki, jak matka od niemowlęcia, badam jej doskonale członki, obracam na wszystkie strony i wiem, że żaden okrutny regulamin nas nie rozdzieli, a kiedy głośnik wzywa do opuszczenia biblioteki, idę w odległy kąt i kładę się wśród regałów, na twardej wykładzinie, wsłuchana w stłumione kroki, dochodzi mnie głos kierowniczkii biblioteki, która pogania pracowników, mam dziś wesele, mówi, muszę zamykać, i w ciągu kilku minut gasną jaskrawe światła, tylko lampka awaryjna się pali i wiem, że do rana jestem tu uwięziona, bez picia, bez jedzenia, sam na sam z moją książką.

Pierwszy raz, odkąd się wszystko zaczęło, oddycham pełną piersią, podczołguję się do bladej lampki, siadam pod nią i tylko szmer kartek zakłóca ciszę, jaka zapanowała w wielkich salach, nie przestaję szukać, aż trafiam i wiem, że znalazłam dokładnie to, czego potrzebowałam, legendę o córce kapłana, która zmieniła wiarę krótko przed zburzeniem Świątyni, ojciec obchodził po niej siedmiodniową żałobę, na trzeci dzień stanęła przed nim i powiedziała, ojcze, zrobiłam to tylko po to, by ocalić twą duszę, ale on nie przerwał żałoby, z jego oczu płynęły łzy, aż umarła, a wtedy powstał, poprosił o świeże ubranie i o chleb, jestem pewna, że już to kiedyś

słyszałam, wiele lat temu, matka czytała mi tę legendę pewnego wieczoru, gdy nie było prądu i siedzieliśmy we troje przy jednej świecy, ojciec powiedział wtedy, co ty jej opowiadasz, nie widzisz, że to zbyt smutne.